

KOLEJNA BESTSELLEROWA POWIEŚĆ LAUREATA NAGRODY WIELKIEGO KALIBRU 2018
ORAZ NAGRODY „ZŁOTY POCISK” 2019 ZA NAJLEPSZĄ POLSKĄ POWIEŚĆ KRYMINALNĄ

RYSZARD ĆWIRLEJ

NAGA PRAWDA



RYSZARD
ĆWIRLEJ
NAGA PRAWDA



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redaktor prowadzący: *Małgorzata Burakiewicz*

Redakcja: *Beata Mes*

Redakcja techniczna: *Andrzej Sobkowski*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Aleksandra Zok-Smoła, Magdalena Zabrocka/Lingventa*

Zdjęcie wykorzystane na okładce

© FXQuadro/Shutterstock

© by Ryszard Ćwirlej

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2022

ISBN 978-83-287-2149-4

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

Spis treści

Prolog

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Prolog

Poznań

Sobota

18 stycznia 2020

Godzina 3.20

Obudziło go pojękiwanie windy. Otworzył oczy i dostrzegł jasną smugę wsuwającą się do wewnątrz poprzez szparę w zasłonach. Wszystko w porządku, odetchnął z ulgą, gdy zdał sobie sprawę, że jest u siebie w domu. Znał to lekko pomarańczowe światło z ulicznej latarni, którą ustawiono prawie naprzeciwko okna do jego sypialni. Próbował coś z tym światłem zrobić, pisał nawet jakieś pisma do urzędu, ale nic to nie dało. Gdyby nie grube zasłony, nocą miałyby jasno jak w dzień. Na początku bardzo go to irytowało, ale teraz, po dwóch latach mieszkania w tym nowoczesnym apartamentowcu na poznańskich Garbarach, przyzwyczał się już do tego stopnia, że nawet polubił tę latarnię. Była przydatna, kiedy budził go pełny pęcherz. Nie musiał wówczas szukać włącznika światła. Latarniana poświata doskonale oświetlała drogę do drzwi.

Teraz właśnie poczuł ucisk w podbrzuszu. Nic dziwnego, wczoraj musiał sporo wypić, bo usta i język miał wyschnięte, jakby przed chwilą skończył wylizywanie kurzu ze starego dywanu. A przecież wcale nie planował jakiejś hucznej zabawy. Poszedł do pubu, żeby się napić z kolegami. Była okazja, bo żona z dziećmi pojechała do Szczyrku na narty. On został w domu, ponieważ nie było najmniejszej szansy na urlop. Za dużo miał w pracy zaległości do nadrobienia po swoim poprzedniku, po którym objął dyrektorski stołek przed dwoma miesiącami.

Postanowił wykorzystać tę chwilę wolności i trochę zaszaleć. Szaleństwo, oczywiście, miało swoje granice. Kilka piw, no może jeszcze parę shotów, i do domu. Ze Starego Rynku, gdzie wczoraj się zabawiał, na Garbary miał zaledwie parę kroków. Kłopot w tym, że ani jednego z nich sobie nie przypominał. Nie miał pojęcia, jak udało mu się dojść do mieszkania. Ale czy to ważne? Najważniejsze, że dotarł cało i zdrowo. No może z tym zdrowo to lekka przesada. Podnosząc się na łokciu, poczuł ból w głowie, który mało nie rozerwał mu czaszki.

– O ja pierdole – jęknął, chwytając się za skroń. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mu się coś podobnego. Kac, owszem, suchość w ustach, jak najbardziej, ale rozrywający ból w skroniach to przypadłość, z którą miał do czynienia po raz pierwszy.

Ostrożnie podniósł się z łóżka i podreptał w kierunku łazienki. Gdy tam dotarł, zapalił światło, wszedł do środka i powoli, podtrzymując się ściany, doczłapał się do sedesu. Zsunął bokserki i już chciał zacząć sikać, gdy naraz uświadomił sobie, że kłapa, ta służąca do siedzenia, jest opuszczona. Zdziwił się, bo on opuszczał ją tylko w razie większej potrzeby. Gdy był sam w domu, najczęściej obie kłapy sterczały w górze, odsłaniając paszczę porcelanowej muszli. Ciekawe, kto ją opuścił?, pomyślał, chwytając za plastik, i wtedy zamarł z przerażenia. Dostrzegł bowiem, że jego dłonie mają jakiś dziwny kolor.

– O ja pierdole! – zaklął i odwrócił się do lustra. Przez chwilę stał wpatrzony w postać gołego faceta z potarganymi włosami i w gaciach spuszczonej do kolan. Wszystko w tym wizerunku było naturalne, poza jednym. Brzuch, ręce, uda i przede wszystkim twarz miał ubrudzone czymś czerwonym. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakaś farba, że koledzy, z którymi był w pubie, wysmarowali go dla kawału...

Odkręcił kran i włożył dłonie pod strumień ciepłej wody. Przerażony patrzył, jak czerwona woda spływa po białych ściankach umywalki. Nie, to nie była farba.

– Ja pierdole, skąd tu, kurwa, krew?! – Wybiegł z łazienki i wpadł do sypialni. Zapalił światło i zmartwił. Pościel była zakrwawiona. Krew widać było na ścianie za łóżkiem, ale najwięcej było jej na samym środku, tam gdzie leżały nagie zwłoki kobiety z poderżniętym gardłem.

Podszedł bliżej, by sprawdzić, czy aby na pewno nie żyje. Pochylił się, ale nie musiał jej nawet dotykać, by zyskać pewność. Nie oddychała, a rozplątane gardło było najlepszym dowodem. Martwe, szeroko otwarte oczy dziewczyny spoglądały na niego oskarżycielsko.

– Przecież ja niczego nie zrobiłem – wymamrotał, próbując się wytłumaczyć przed samym sobą.

Zaraz, kto to w ogóle jest i co robi w moim łóżku? Spojrzał jeszcze raz w te zielone oczy i wtedy ją sobie przypomniał.

Dziewczyna podeszła do baru i stanęła obok. Został sam, bo kumple poszli już do domu. Nic dziwnego, skoro czekały na nich żony. On nie musiał się nigdzie śpieszyć. Nie musiał i chyba nie chciał. Już wcześniej dostrzegł tę ładną szatynkę przy sąsiednim stoliku, wpatrzoną w niego sponad szklanki z piwem. Dlatego gdy kumple zbierali się do wyjścia, powiedział im, że zostaje jeszcze na jednego drinka.

– Wolne? – zapytała, wskazując krzesło obok. Spojrzał na nią i uśmiechnął się radośnie, jak to mają w zwyczaju podpici faceci w średnim wieku, kiedy próbują zaprezentować swoje wdzięki przed o połowę młodszą dziewczyną.

– Zajęte, ale specjalnie dla pani – rzucił szarmancko.

– To można, co?

– Zapraszam, oczywiście. – Poklepał siedzisko stołka.

Wspięła się po relingu przy barze i usiadła.

– Mam na imię Adam, a ty?

– Iga.

– Ładne imię.

– E, zwyczajne. W sumie to Jadwiga, a Iga to skrót, no wiesz...

– Nadzwyczajne, bo nie co dzień poznaje się Igę–Jadwigę. – Spróbował błysnąć, ale sam poczuł, że zabrzmiało to pretensjonalnie.

– Nadzwyczajnie to jest w Chinach.

– Tak? – Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– No nie oglądasz w telewizji? Jakiś wirus wydostał się z laboratorium i zabija ludzi.

– E, Chińczyków jest tak dużo, że nawet nie zauważą straty, jak jakiś milion umrze.

– Ale może dojść do nas.

– Z Chin? Nie żartuj. Wirus nie ma nóg. Tam ich zamkną, otoczą wojskiem i nie ma szansy.

Tę analizę epidemiologiczną rzeczywistości przerwał barman.

– Coś podać?

– Pepsi z lodem – poprosiła, obdarzając Adama uśmiechem.

– Kto to widział samą pepsa pić? – rzucił lekkim tonem.

– Jak się nie ma na wódeczkę, to się pije samego zapychacza – stwierdziła, robiąc cierpką minę.

– A co jak ktoś ma na coś do pepsa?

– To niech postawi.

Postawił, a ona wypijała najpierw jednego, potem drugiego i w końcu znaleźli się u niego w mieszkaniu. Przypomniał sobie jeszcze, że siedzieli w salonie i popijali whisky, by po chwili przenieść się do sypialni...

Na podłodze leżały porozrzucane w pośpiechu ubrania, jego i jej. Usiadł na krześle przy czarnej toalecie, zupełnie niepasującej do pozostałych mebli. Pomyślał, że trzeba by w końcu wymienić ją na taką w kolorze ramy łóżka i szafy... Zupełnie bez sensu w takiej chwili myśleć o meblach. Nie miał pojęcia, co ma teraz zrobić. Chyba powinien zawiadomić policję? Niech łapią mordercę. Bo przecież on by w życiu jej nie zabił. Po jaką cholere miałby to zrobić? Ktoś musiał się dostać do mieszkania i ją zamordować. Tylko po co? Ja pierdolę, co się tu, kurwa, dzieje? Może to jest jakiś koszmarny sen. Może trzeba zamknąć oczy i obudzić się jeszcze raz? Spróbował, ale nic to nie dało. Dziewczyna z poderzniętym gardłem leżała dalej na zakrwawionej pościeli...

I wtedy zadzwonił telefon. Rozejrzał się, ale nigdzie nie było widać komórki. Dzwonek hałasował natarczywie. Dźwięk dochodził gdzieś z dołu. Pochylił się i zajrzał pod łóżko. Dostrzegł światło. Chwycił aparat i przycisnął zieloną słuchawkę.

– Halo!

– Już się pan wyspał, panie Włodarczyk? – zapytał jakiś męski głos.

– Kto mówi?

– Nieważne kto. Ważne dlaczego.

– Dlaczego?

– Żeby panu pomóc.

– Co?

– Zaszalał pan w nocy.

– Ja? A skąd niby pan...

– Potrzebuje pan pomocy.

– Nie, nic nie potrzebuję. Daj mi pan spokój.

– Chce pan spędzić w więzieniu resztę życia? Proszę bardzo. Za gwałt i morderstwo spodziewałbym się dożywocia.

– Co pan mówi...?

– Mówię, że jest pan w beznadziejnej sytuacji. Ale na szczęście nie ma sytuacji bez wyjścia.

– Czyli że co?

– Pomożemy panu.

– Pomożemy? Kto pomoże?

– A co za różnica? Najważniejsze, że pana kłopoty się zaraz skończą.

Przez chwilę się zastanawiał. Chcieli mu pomóc. Ale dlaczego? Jeśli ktoś obcy chce ci pomóc, to znaczy, że ma w tym interes. Nikt nie robi tego bezinteresownie. Zwłaszcza czegoś takiego jak... No właśnie, jak niby można by było pomóc?

– Jak to można zrobić, znaczy się z tą pomocą?

– Posprzątam.

– Co posprzątam?

– Wszystko.

– Cały ten... bałagan?

– Tak, nie zostanie najdrobniejszy ślad.

– Zaraz, a skąd w ogóle wiecie, co tu się stało?

– Niech pan zajrzy do swoich SMS-ów.

Od razu otworzył komunikator. Kilkadziesiąt zdjęć zamordowanej, zakrwawionej dziewczyny zostało wysłanych z jego komórki na jakiś obcy numer telefonu. To był ten sam numer, z którym się połączył.

– Nie rozumiem. Jak to? Ja wysłałem do pana te zdjęcia?

– Oczywiście, że pan. Mnie tam nie było.

– Kim pan jest?

– Przyjacielem.

– Przecież ja pana wcale nie znam. Jak mogłem wysłać takie zdjęcia do obcej osoby?

– Widać nie jestem taki obcy, skoro się pan zdecydował...

– Nic nie rozumiem.

– Nie musi pan teraz nad niczym się zastanawiać. Raczej chyba nie ma na to czasu. Nieprawdaż? Zalecałbym jednak szybkie podjęcie decyzji. Może któryś z sąsiadów coś słyszał. Wie pan, w tych nowych budynkach ściany nie są zbyt grube...

– A czego pan chce w zamian?

– Niczego.

– Niemożliwe.

– A jednak, cuda się zdarzają. Proszę się nie martwić. Nie interesują mnie pańskie pieniądze.

– Nie?

– To co, mam przysłać ekipę?

– Jaką ekipę?

– Czyścicieli.

Cztery godziny później mieszkanie Adama Włodarczyka, dyrektora wydziału gospodarki nieruchomościami urzędu miejskiego, wyglądało, jakby nic tu się nie wydarzyło. Meble w sypialni świeciły pogodnym blaskiem mroźnego świtu, a wszystko wokół pachniało czystością i zielonym jabłuszkiem. W tym otoczeniu tylko Włodarczyk prezentował się nieświeżo. No ale w końcu miał prawo do kiepskiego wyglądu, po zapitej i nieprzespanej nocy, pełnej ekstremalnych wrażeń.

– Poznań, miasto, kurwa, doznań – powiedział do siebie i zasnął w fotelu. Na powrót do sypialni jakoś nie mógł się zdecydować.

Rozdział I

Pamiętkowo

Środa

11 marca 2020

Godzina 6.50

Pierwsze promienie słońca powoli wysuwały się zza koron iglastych drzew i spływały łagodnymi smugami na taflę jeziora. Drewniana, stara łódź leniwie ciąła równą połać wody. Wiosła w nienaoliwionych dulkach zgrzytały, trzeszczały i jęczały jak potępione dusze na wiecznych mękach. Odpowiadały im pokrzykiwania i popiskiwanie ptaków, które uwijały się w poszukiwaniu towarzystwa i jedzenia. Mimo że o tej porze znad wody bił jeszcze ostry wiosenny chłód, nie był on w stanie odstraszyć prawdziwych miłośników natury, czyli wędkarzy, którzy obsiedli przybrzeżne pomosty w oczekiwaniu na wielką sztukę. Każdy z tych stacjonarnych poławiaczy szczęścia z zazdrością patrzył na przesuwaną się po wodzie łódkę, bo wiadomo, że w takiej, nawet starej i trzeszczącej, można dopłynąć wszędzie, w najdalszy zakątek, do którego za nic nie dało się dorzucić haczyka z przynętą z brzegu. Nie każdy jednak mógł sobie na taki luksus pozwolić. To pływające чудо trzeba było gdzieś przechowywać zimą, a latem mieć własne miejsce do cumowania.

Waldek Bartkowiak, pięćdziesięcioletni właściciel łodzi, kochał przyrodę. Szczególnie poranki nad wodą i ten jedyny, niepowtarzalny i niepodobny do niczego innego zapach papierosów, połączony z wilgotnym aromatem mułu i trzciny. On na szczęście nie mieszkał w bloku, tak jak większość tych biedaków siedzących na pomostach. Mieszkał w murowanym domu czteropokojowym, postawionym jeszcze przed wojną dla pracowników majątku w Przeclawku. Po wojnie mieszkali tam robotnicy rolni spółdzielni produkcyjnej, a teraz bezrobotni, którzy żadnej pracy nie potrzebowali. I właśnie dlatego Waldek mógł pozwolić sobie na łódź, bo zimą trzymał ją w swoim przydomowym ogródku, przykrytą plandeką zrobioną z baneru wyborczego jakiegoś lokalnego polityka. Gdy tylko robiło się cieplej, zwoził ją na specjalnym wózku wprost do jeziora, bo od jego domu do brzegu było zaledwie kilkadziesiąt metrów. Więc gdy lód zniknął z tafli wody, wołał do pomocy sąsiada Mietka Florczaka i brali się do roboty. Zresztą Florczak nie pomagał zupełnie bezinteresownie, bo zazwyczaj towarzyszył Bartkowiakowi w połowach. Dziś też płynęli razem w kierunku dawnego pola namiotowego. To biwakowisko, niegdyś tętniące wakacyjnym życiem, od kilku ładnych lat nie widziało żadnego namiotu. Ludzie woleli domki albo kwatery, które zapewniały znacznie więcej luksusu za niewielką cenę. Miejsce po biwakach zostało, a brzeg zarósł sitowiem, więc były tam doskonałe warunki do łowienia.

Jak zwykle ustawili się lewą burtą do trzciny. Każdy z nich miał po cztery wędkę, mimo że zgodnie z przepisami wolno im było mieć o połowę mniej. Ale kto by się tam martwił jakimiś ograniczeniami? Oni nie łowili przecież dla przyjemności, ale z powodów finansowych. Złowione ryby jeszcze tego samego dnia trafiały do solanki, a następnego – do beczki wędzarniczej. Uwędzone sztuki schodziły na pniu, kupowane przez właściciela sklepu w pobliskim Pamiętkowie. Było to idealne rozwiązanie, bo w tym samym sklepie

dwaj wędkarze zaopatrywali się od razu w niezbędny do życia płyn, czyli najtańszą wódkę Krajową po dwanaście złotych dziewięćdziesiąt dziewięć groszy za flaszkę.

Zarzucili wędki jak zwykle od dzioba do rufy w kierunku sitowia, bo wiadomo, że tam ryba brała najlepiej. Teraz trzeba było tylko cierpliwie poczekać.

– To co, po małym? – zapytał Bartkowiak, wyciągając flaszkę z kieszeni kurtki.

– Łe tej, chłopie, jeszcze się pytasz, a mnie tak w ryju suszy, że ledwo gadam – stwierdził Florczak.

– Jeszcze żeś nic dziś nie gadał – zauważył Waldek, też nienależący do ludzi rozmownych. „Po co gadać, jak nie ma o czym”, zwykł był mawiać, gdy nie miał nic do powiedzenia, czyli prawie zawsze. Ale co innego na rybach podczas picia wódki. Wtedy język jakoś samodzielnie mu się rozwiązywał i Bartkowiak aż się dziwił swoim krasomówczym umiejętnościami. – Pięknie tu jest – stwierdził filozoficznie, pociągając pierwszy łyk wódki. Podał butelkę koledze. Ten, wypiwszy, natychmiast oblizał usta, rozejrzał się, a potem uśmiechnął się radośnie, ukazując światu zdefasonowaną kławiaturę zębową, pozbawioną górnych jedynek i lewej dwójki.

– Pięknie to jest w monopolowym.

– Racja, ale przyroda ma coś w sobie.

– Przyroda jest po to, żebyś miał za co pić. – Florczak był jednak realistą w odróżnieniu od romantyka Waldka. – Po to Pan Bóg dał człowiekowi wędki i łódkę, żeby my mogli łapać gadzinę, wędzić ją i odsprzedawać do sklepu Pawłowskiemu. Znaczy się, że ta cała przyroda jest dobrze pomyślana, bo jakby nie było wędki, to nie byłoby za co pić.

– Kiedyś my nie łowili tyle, co teraz, a na gorzołę wystarczyło – przypomniał sobie Bartkowiak, drapiąc się po zarośniętej wielodniową szczeciną gębie.

– Inne czasy były. – Florczak machnął ręką. – Wtedy my robili w spółdzielni. I człowiek miał co miesiąc pensję, a i jeszcze przyrobiło się na lewej bendzynie. Pięknie było.

– Niby tak, ale żeś codziennie musiał do roboty wstawać rano, a w żniwa to jeszcze wcześniej. Pamiętasz? A teraz co, żal ci? Na ryby se wypływamy codziennie, łowimy, ile się da, wędzimy i żyjemy se jak paniska. A jak na ryby nie idziemy, to se spać możesz nawet do ósmej i nikt ci nie powie „wstawaj”. Nie masz nad sobą żadnej władzy, a piniędzy masz tyle, ile ci potrzeba, a nawet więcej. A telewizja! Pamiętasz wtedy za PRL-u, jaka była telewizja? Jeden telewizor był u Kupichów i żeśmy do nich chodzili dobranocki oglądać. A później, jak mój stary kupił telewizor, to były dwa programy czarno-białe. A teraz ile masz programów? No powiedz mi ile?

Florczak wzruszył ramionami.

– A niby to skąd ja mam wiedzieć?

– No widzisz, a powiadasz, że wtedy było lepiej. Gówno prawda. Teraz dopiero mamy dobrze, bo wszystko jest. A jak pójdziesz do sklepu, to nawet nie wiesz, za co się chwycić, tyle dobra wszystkiego. A samej białej wódki to ze dwadzieścia gatunków, że o kolorowej już nie powiem.

– Po co mi dwadzieścia, jak my i tak ciągiem pijem krajową.

– Bośmy do niej nawykli. Krajowa dobrze smakuje i tania jest jak barszcz. Ale jakbyś nawykł do finlandii, tobyś ino finlandię chciał chlać.

– Nigdy w życiu. – Florczak pokręcił głową. – Finlandia nie jest dla ludzi. Za droga. Kto to widział, żeby za pół litra dawać trzy dychy? Jak za tyle można mieć dwie inne flaszkę i to całkiem dobre, nie?

– Prawda. – W kwestii wydawania pieniędzy zgadzali się doskonale. Tam gdzie było można, zawsze oszczędzali.

– Zapalimy? – zapytał Florczak, wyciągając paczkę papierosów z kieszeni wojskowej kurtki moro. Popatrzył na nią i uśmiechnął się pod nosem. – A za komuny to żeś nawet nie pomyślał, że ruskie ćmiki będziesz palić.

– Bo za komuny były popularne, to na cholere ruski tytoń. A teraz, jak nasze są takie drogie, to grzech nie kupić tych bondów za piąta.

W sklepie zaopatrywali się w papierosy spod lady, które do Polski przywozili Ukraińcy i odsprzedawali właścicielowi. Te o filmowej nazwie Bond cieszyły się największym wzięciem, bo były najtańsze.

– Takie musiał palić ten Bond z filmu – stwierdził z miną znawcy Florczak, wkładając papierosa w usta.

– Głupiś. Jak Bond mógł palić ruskie fajki? Przecie on jest Amerykanin.

– Nie Amerykanin, ino Angol. Widziałem wew filmie, że on jest z Londynu.

– A co, Amerykanin to już nie może być z Londynu?

– Nie może. Jakby był z Londynu, toby był nie Amerykaniec, ino... – Naraz Florczak przerwał, wpatrzony w coś przy brzegu. Bartkowiak też tam spojrzął, przekonany, że jego kolega obserwuje szałwika. Ale jak dotąd żaden się nie poruszył. Ryby jeszcze się nie zorientowały, że ktoś zaprasza je na morderczą ucztę.

– Tam. – Florczak wskazał brudnym paluchem fragment trzcin.

– Co tam? – zapytał właściciel łodzi, który niczego nie mógł dojrzeć.

– Coś tam jest.

– Co? Ktoś łowi?

– Ady tam. Patrz się, jak te ćminy są potargane.

– Wiatr.

– Gówno, nie wiatr. Coś je zgmiotło.

– Łódź ktoś spuszczał przez ćminy? Jakiś głupi czy jak? Łódź się spuszcza z plaży, żeby nie uszkodzić...

– To nie łódź. – Florczak był coraz bardziej zaintrygowany. – Coś wjechało do wody.

– Amfibia?

– Samochód. Ja pierdolę, tam auto wjechało do wody. Mówiąc to, poderwał się na równe nogi tak gwałtownie, że łodzią zakołysało.

– Co ty gadasz...

– Patrz się tam. – Wskazał kierunek. – Widać czerwone w wodzie. Tam jest samochód. Płyniemy tam!

– Zaraz, a wędki? Trzeba je ściągnąć.

– Kładź wszystkie na tył. Nic im nie będzie! – Niespodziewanie Florczak przejął dowodzenie. Szybko zgarnął swoje kije i ostrożnie ułożył je na rufie bez zwijania żyłek.

Bartkowiak zrobił to samo i zaraz ujął w dłonie wiosła. Florczak chętnie by mu pomógł, żeby było szybciej, ale nie daliby rady zmieścić się obok siebie na ławce wiosłarskiej. Dlatego stanął na dziobie i jak generał Waszyngton, opierając się prawą nogą na desce łączącej obie burty, wskazywał kierunek swojej jednoosobowej armii. – Jeszcze na lewo, daj mocniej. O, teraz dobrze, kurwa! Jedziemy prosto, no jeszcze trochę. Teraz dobrze – instruował kolegę. – Zatrzym! – zawołał w końcu. Wioślarz wbił oba pióra mocno w wodę i łódź się zatrzymała. Wyjrżeli za burtę. Pod wodą, jakieś pół metra od powierzchni, widać było wyraźny kształt czerwonej karoserii.

– Co ty robisz? – zapytał Waldek, spoglądając ze zdziwieniem na kolegę. Ten właśnie zdejmował kurtkę i sweter.

– No przecie w ubraniu nie będę nurkował.

– A po co chcesz nurkować?

– Jak po co? A może tam ktoś jest?

– Jak jest, to już mu nie pomożesz.

– A bo ja też nie wiem, że nie da się pomóc, jak kto pod wodą długo leży? Ale sprawdzić trzeba, no wiesz...

Bartkowiak wiedział. Co miał nie wiedzieć. Ale że Florczakowi się chciało? Woda po ziemię była lodowata, więc ręka wetknięta za burtę natychmiast drętwiała. Właśnie się o tym przekonał.

– Masz jakieś pół minuty na sprawdzenie i wypływasz.

– Jakbym nie wypłynął, to ciągnę do góry. – Florczak wskazał na sznur do cumowania, który właśnie przywiązywał do paska od spodni. Pasek zapiął na biodrach, a potem powoli zaczął się opuszczać do jeziora, przytrzymując się burty.

– I jak? – zapytał z troską w głosie Waldek.

– Jebie po girach jak chuj, ale dam radę – stwierdził Florczak i zaraz zniknął pod wodą, obserwowany czujnym spojrzeniem kolegi.

Wypłynął jakąś minutę później. Chwycił się mocno burty, ale nie miał siły wspiąć się wyżej. Na szczęście Bartkowiak był silny i rozgrzany alkoholem. Wciągnął go do środka i posadził na ławce. Natychmiast narzucił mu na ramiona ciepłą kurtkę, a potem wziął się za otwieranie butelki wódki. Musiał czymś rozgrzać zziębniętego kompana. Ten z wdzięcznością przyjął flaszkę i trzęsącymi się rękoma uniósł ją do sinych ust.

– I co? – Waldka zżerała ciekawość.

– Chłop i baba siedzą w aucie.

– Żyją?

– Zwariował żeś. Nieżywi na ament. Nic byś im nie pomógł, nawet jakby którego wyciągnął.

– Za długo w wodzie...

– Nie o to się rozchodzi.

– A o co?

– O to, że mają dziury we łbach.

– Jak niby?

– No normalnie, są zastrzeleni.

– Ano tak. Jak kto zastrzelony, to sztuczne oddychanie na nic się nie zda – stwierdził właściciel łodzi, wyjmując flaszkę z dłoni kolegi. Też musiał się napić. W końcu nie co dzień zdarzało mu się natrafić na zastrzelonych ludzi w Jeziorze Pamiątkowskim.

Szamotuły

Godzina 8.30

– I co teraz będzie?

– Jak co? Nic nie będzie. Tak jak zapowiadał ten Kononowicz, czy jakoś tak się nazywał.

– Kto?

– No taki kandydat na posła albo prezydenta.

– Nie znam. – Podkomisarz Aneta Nowak zmarszczyła brwi, jakby chciała dać do zrozumienia swojemu szefowi, że mocno się zastanawia. Ale to nazwisko kompletnie nic jej nie mówiło.

– Bo i nie powinnaś. Niczym się nie wślawił oprócz własnej głupoty. Taki przygłup, który podczas wystąpienia w telewizji mówił, że chce, żeby nie było już nic. Zresztą co ja ci będę gadał, weź no se go wybubluj.

– Co mam zrobić?

– No se go znajdzie w internetach. – Nadkomisarz Darek Biernat, niewysoki czterdziestoosmiolatek, jeszcze kilka miesięcy temu miał dość pokaźny brzuch. Ale ostatnio zmienił się nie do poznania. Schudł, zrzucając jakieś piętnaście kilo, więc pozbył się też dodatkowego podbródka. Z dawnego Biernata została tylko okrągła twarz, przyozdobiona solidną łysiną, biegnącą od czoła w kierunku potylicy. Nie był jednak całkowicie łysy. Na skroniach ocalało jeszcze nieco włosów, których długość zapewne miała rekompensować braki na czubku głowy. Na nosie miał okulary o grubych szklach. Ubrany był jak zwykle w popielaty, nieco pomięty garnitur. Wyglądał w nim jak urzędnik pocztowy, a nie oficer śledczy.

Zdjął okulary i zaczął przecierać szkła jednorazową chusteczką. Ta chusteczka właśnie była widowym znakiem zmiany, jaka zaszła w jego życiu. Gdy trzy lata temu zmarła jego żona, nie potrafił się kompletnie odnaleźć. Zaczął więc, jak wielu mu podobnych świeżo owdowiałych mężczyzn, topić rozpacz w alkoholu. Doszedł już do tego etapu, że pił codziennie, nie tylko wieczorami w domu, ale zaczynał od rana przed pracą, a potem pił także w pracy. Tego na dłuższą metę nie udało się utrzymać w tajemnicy. Dlatego pół roku temu wezwał go do siebie komendant Zenon Czerpak, szef Komendy Powiatowej Policji w Szamotułach. Znali się jeszcze z czasów, gdy dowódca był naczelnikiem drogówki w sąsiedniej gminie.

– Ile się już znamy? – zapytał Czerpak, gdy Biernat zajął miejsce na fotelu naprzeciw. Nie czuć było od niego wódy, bo przed rozmową zjadł kilka miętowych landrynek. I teraz, jak każdy pijak w podobnej sytuacji, był przekonany, że niczego nie da się po nim poznać.

– No z dziesięć lat będzie.

– To wiesz, że byłem w drogówce, nie?

– No przecież wiem dobrze.

– I ty se myślisz, że ja nie mam nosa. – Czerpak dotknął palcem wskazującym czubka bulwiastego nocha.

– No niby... ale że co?

– To, że ja w drogówce zatrzymałem tyłu pijanych gości, że ci się nawet nie śniło ilu. I jeśli tobie się wydaje, że jak kto się nażre miętówek, to nie będzie czuć, że chleje, to się niestety bardzo mylisz.

Biernat zdjął z nosa okulary i zaczął czyścić szkła kraciatą chusteczką. Te chusteczki z bawełny to był jego fetysz. Taki łącznik z dawnym światem. Kiedyś chusteczki, koszule i wszystkie ubrania prasowała mu żona, a on brał co jakiś czas świeżą chustkę z kupki, a brudną wyrzucał do kosza na pranie. Więc gdy ona odeszła, postanowił, że będzie dalej używał tych chusteczek, tak jakby się nic nie zmieniło. Prał je i prasował z jakimś maniackim uporem, jakby te kawałki materiału mogły mu przywrócić dawne życie. Nie przywróciły. Picie wódki też nic nie dawało poza tym, że ludzie zaczęli już gadać za jego plecami. No i w końcu komendant, który darzył Biernata, doskonałego oficera śledczego, dużym szacunkiem, zareagował.

– I żaden mnie nie przekonał, że to tylko jedno piwko – ciągnął dalej Czerpak. – Wiesz, jak się mówi: „piłeś, nie jedź”. Jak kto po pijaku jeździ, to nie tylko jest jego problem. On robi problem wszystkim dookoła. Bo jak taki pijak spowoduje wypadek i szlag go trafi, to czort z nim, ale jak on wjedzie w samochód, którym jechała akurat matka z dzieckiem, to co powiesz?

– Ale ja nie mam samochodu – odpowiedział Biernat.

– Ale masz robotę i w tej robocie się stykasz z ludźmi. I ludzie gadają, że chlejesz. Zresztą co ty se myślisz, że ja nie widzę, że się staczasz? Wszyscy to widzą. Więc ja jako twój szef powiem ci tak: weź no jakiś tydzień urlopu albo nawet dwa i zastanów się nad sobą. A po tych dwóch tygodniach możesz wrócić do roboty tylko pod warunkiem, że skończyłeś z chlaniem. Bo jakbyś jeszcze zamierzał chlać po kryjomu, to lepiej od razu napisz podanie o zwolnienie ze służby. A te dwa tygodnie będziesz miał na przemyślenia i na to, żebyś zobaczył, jak się siedzi w chacie i nic nie robi. Potem, jak wrócisz, to wystarczy mi, że zameldujesz, że żeś załatwił problem. Nie musisz mi przedstawiać żadnego zaświadczenia, że się leczysz czy cokolwiek innego. Ja ci wierzę, że jesteś przyzwoity facet, i jak wrócisz, będziesz już całkiem niepijącym gościem.

Poszedł na urlop i po dwóch tygodniach wrócił do pracy całkowicie trzeźwy. Przemyślał wszystko i doszedł do wniosku, że musi zamknąć za sobą ten rozdział życia, a picie do niczego nie prowadzi. No może tylko do rozstania z firmą w ekspresowym tempie. I zrobił coś jeszcze. Przestał prasować bawełniane chusteczki. Odtąd nosił przy sobie papierowe jednorazówki.

– Ja jego pamiętam. – Starszy aspirant Szymon Turek, szczupły facet w dżinsowej kurtce i kowbojskich butach, któremu do pełni szczęścia brakowało tylko kowbojskiego kapelusza na głowie, spojrzął na swojego przełożonego znad gazety. Codziennie pracę zaczynał od prasówki i kawy. Do tego jeszcze jakiś czas temu koniecznie musiał zapalić papierosa, ale odkąd dwa lata temu do jego pokoju znowu wprowadziła się Aneta, palenie zostało surowo wzbronione.

– Śmierdzi tu u was jak w kiblu – powiedziała pierwszego dnia. Znała się z Turkiem i Biernatem od dawna, więc nie musiała się silić na jakieś specjalne uprzejmości. Pierwszy raz do Szamotuł trafiła w 2012 roku ze swojego posterunku w prowincjonalnych Dusznikach. Wszystko dzięki własnej przenikliwości i umiejętności wyciągania logicznych wniosków. To ona wpadła na trop ludzi, którzy porwali syna miejscowego biznesmena, i odkryła miejsce, w którym go ukrywano. Wtedy zwrócił na nią uwagę Biernat i zabrał do siebie. Ale nie zagrzała tu długo miejsca. Jej umiejętności doceniono też w komendzie wojewódzkiej. Wkrótce dostała przeniesienie do wydziału dochodzeniowo-śledczego. Dobrze wykorzystała ten czas, bo skończyła zaocznie studia prawnicze, a potem szkołę oficerską w Szczytnie.

– A co ma nie śmierdzieć, jak ja tu palę papierosy, he, he! – Turek umiał znaleźć zawsze najbardziej logiczne wyjaśnienie. Tyle że niezbyt zadowolilo ono Anetę.

– Jeśli myślisz, że będę wachać twoje smrody, to się mylisz. Od dziś, jak będziesz chciał zapalić, to sobie chodź do palarni. Ja nie mam zamiaru być bierną palaczką. Poza tym, o ile wiem, w pomieszczeniach biurowych komendy jest całkowity zakaz palenia.

Turek nie miał innego wyjścia. Musiał się zgodzić na jej warunki, jeśli chciał mieć spokój w pracy, bo wiedział dobrze, że Aneta jest osobą cholernie upartą i skuteczną w działaniu. Nie było co iść z nią na wojnę. Teraz ponosił tego konsekwencje, pijąc kawę bez ulubionego papierosa.

– Ten Kononowicz to był taki gruby gość w swetrze, co wygadywał idiotyzmy. Jakiś debil chyba – przypomniał sobie. – Ale kariery żadnej w polityce nie zrobił.

– I dobrze – zgodził się z nim Biernat. – Już widzę go w roli prezydenta. Za to inni zrobili i mamy teraz problemy, skoro rządzą nami tacy Kononowicze, tyle że bardziej cwani od niego.

– Kiedyś przeminą. Byleby tylko za dużo nie naszkodzili – rzuciła Aneta, która już zdążyła doświadczyć na własnej skórze piętna polityki rozsiadającej się na dowódczych stanowiskach.

Gdy skończyła studia w Szczytnie, wydawać się mogło, że kariera stoi przed nią otworem. Zamierzała wrócić do wydziału dochodzeniowo-śledczego w komendzie wojewódzkiej. Niestety po powrocie do Poznania okazało się, że wiele się tu zmieniło. Najistotniejsza zmiana nastąpiła w gabinecie komendanta, w którym zasiadł człowiek bez kompetencji i właściwości, za to z właściwym stosunkiem do rządzącej partii.

Komendant Barszczak nie zapomniał jej tego, że kiedyś wytknęła mu głupotę i brak kręgosłupa. Nie mógł jej tak po prostu zwolnić, zwłaszcza że ukończyła szkołę policyjną z doskonałymi ocenami. Postanowił więc ją przesunąć. I tak historia jej kariery zatoczyła koło. Wróciła pod skrzydła Biernata do komendy powiatowej w Szamotułach¹.

– Ciekawe, co będzie teraz z tą epidemią? Przecież to jakieś szaleństwo. – Biernat wyglądał na autentycznie zafasowanego.

– To robota Chińczyków – stwierdził Turek, który dużo czytał i miał już sporą wiedzę na temat tego wirusa. – Chińczycy wyprodukowali go w swoim tajnym laboratorium w Wuhan. I zrobili go po to, żeby spowodować chaos. Dziś przez lotnictwo, znaczy się przez to, że latamy i się przemieszczamy, wirus rozprzestrzenia się błyskawicznie i będzie zabijał ludzi na całym świecie. Widzicie, co się dzieje we Włoszech. Oni tam kompletnie sobie nie radzą.

I u nas też tak będzie. Będą ludzie padać jak muchy, bo nasz rząd nie jest wcale przygotowany na taką epidemię. A Chinolom o to właśnie chodziło. Chcą spowodować, żeby wszystko się zamknęło, żeby w Europie i w Ameryce zaczął się kryzys, a oni potem zaczynają wykupować upadłe firmy. Ja czytałem taką analizę...

– Ale Chińczycy przecież też chorują, nie? – przerwała mu Aneta.

– No pewnie, że chorują, ale dla nich to nie problem. Oni mają sporo ludzi, więc oni sobie szybko poradzą, bo mają szczepionkę na tego wirusa.

– Chińczycy mają szczepionkę? – zdziwił się Biernat.

– No pewnie. Mają i już ją od razu podali swoim najważniejszym, tym, co są u koryta. Partyjna góra jest cała zaszczepiona, siedzi sobie bezpiecznie przed telewizorami i planuje, do którego kraju się wbić ze swoimi inwestycjami. Oni normalnie zaatakowali cały świat. Ludzie jeszcze o tym nie wiedzą, ale stoimy przed katastrofą.

– A gdzie ty znajdujesz takie głupoty? – Biernat był jak zwykle sceptyczny. Nie wierzył w jakieś spiskowe teorie.

– Mogę ci pokazać. Jest taka strona internetowa, co się nazywa Naga Prawda. Tam jest wszystko na temat tej zarazy. Ona się dopiero rozpędza, ale szczęście, że ja to czytam, bo tam mówią, co zrobić, żeby nie zachorować. Ja na ten przykład codziennie łykam aspirynę. Bo tam napisali, że aspiryna pomaga. I jeszcze pomagają wziewy sterydowe.

– No to ja jestem w takim razie zabezpieczony, bo wziewy biorę ciągle. – Nadkomisarz uśmiechnął się pod nosem, bo akurat ta informacja go ucieszyła. Nie wierzył w bzdury, ale w skuteczność sterydów, owszem. Biernat był alergikiem, który szczególnie źle znosił okres wiosenno-letni, kiedy w powietrzu unosiło się sporo pyłków roślinnych. Zawsze wtedy chodził zakatarzony, a ratunek przynosiły mu sterydowe lekarstwa i nie miał nic przeciwko temu, żeby ochroniły go także przed tajemniczym chińskim zagrożeniem.

– Ale aspiryna najlepsza! – przekonywał Turek z entuzjazmem. – A ty, Aneta, też powinnaś brać, bo masz jasną karnację. Wirus atakuje najbardziej tych, co mają jasną skórę.

– A co to ma wspólnego z karnacją? – zdziwiła się. Rzeczywiście miała jasną skórę, do tego rude włosy, zielone oczy i trochę piegów na nosie. Nie mogła się opalać, bo jej skóra reagowała na słońce natychmiastową czerwień. Ale żeby skóra mogła reagować na wirusa?

– Wirus może się przedostawać też przez wrażliwą skórę. Więc trzeba brać aspirynę.

Machnęła ręką.

– Wiesz co, ty już nie czytaj tych bzdur o nagiej prawdzie. Ty weź poczytaj jakąś książkę. O, jak chcesz, właśnie skończyłam fajny kryminał...

– Nie wierzycie mi? No dobra, ale aspiryna nas wszystkich uratuje.

Na biurku Biernata zadzwonił stacjonarny telefon. Podniósł słuchawkę.

– No, co tam jest? – zapytał bez cienia entuzjazmu. Przez chwilę słuchał w skupieniu.

– Dobra, ekipę techniczną stawiaj na nogi, do straży pożarnej dzwoń, niech dają wóz i płetwonurków, a dla mnie samochód podstawiaj z kierowcą. Schodzimy za pięć minut.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na swoich podwładnych.

– Wirus może i zabija ludzi, ale my dziś mamy zabitych wcale nie przez wirusa, tylko przez... No, tego się dowiemy.

– Pewnie nie brali aspiryny – rzucił Turek, podnosząc się z fotela. On zawsze był gotowy do roboty w terenie. Aneta szybko spięła swoje długie włosy gumką, sięgnęła po czarną bejsbolówkę i założyła ją, przekładając koński ogon przez otwór z tyłu. Z szuflady w biurku wydobyła pas z kaburą kryjącą czarnego glocka. Turek jak prawdziwy kowboj nosił rewolwer, co prawda nie amerykański, ale polski Gward, egzemplarz unikatowy i niemal kolekcjonerski, który udało mu się załatwić własnymi kanałami od rusznikarza policyjnego z Warszawy, takiego samego jak on kowboja i miłośnika nietypowej broni.

Biernat podszedł do wieszaka i zdjął z niego operacyjną czarną kurtkę z jaskrawym napisem „POLICJA” na plecach, zarzucił ją na ramiona i wyszedł z pokoju. Jego ludzie poszli za nim. Mieli robotę do wykonania.

Poznań

Godzina 9.20

Właściciel baru Świat Wódek, starszy aspirant Przemek Drażkowski, zaklął pod nosem, spoglądając na ekran telewizora. Przez chwilę jeszcze patrzył na żółte paski informacyjne, podające najnowsze wiadomości, a potem przydusił przycisk na pilocie i wyłączył urządzenie.

– Co się wściekasz, Przemus? – zapytała Alex, która za barem ustawiała właśnie kieliszki w równych rzędach. O tej porze pijalnia była jeszcze nieczynna, ale ona już przygotowywała się do otwarcia w południe. Lubiła mieć wszystko przyszykowane, zanim do pracy przyjdą dziewczyny, dwie studentki, które zajmowały się nalewaniem drinków i podawaniem zakąsek.

– Jak co? Nie widzisz, co się dzieje?

– Co się dzieje?

– No nie udawaj! – Wstał od stolika, przy którym właśnie skończył jeść śniadanie, zabrał talerz z resztkami jajecznicy i szklankę z niedopitym sokiem pomarańczowym i poszedł w kierunku bufetu. – Przecież też oglądasz telewizję.

– Ja tam na te bzdury nie patrzę. Nie interesuję się polityką – stwierdziła dziewczyna, uśmiechając się do gramolącego się na wysoki stółek Przemka, prywatnie jej męża.

Tę knajpę przy ulicy Półwiejskiej przekazał mu ojciec, bo starszukowi już zdrowie nie dopisywało i nie mógł zajmować się jej prowadzeniem. Formalnie jeszcze cały czas był właścicielem, ale rządził tu Przemek... Nie, jemu wydawało się, że rządzi, bo faktyczną kierowniczką wszystkich knajpianych spraw, najwyższą decydentką i ostateczną instancją była Alex. Miała na imię Aleksandra, ale wszyscy, zwracając się do niej, używali skrótu, bo zdrobnieniem tego nazwać nie można. Nie chciała być Oluchną czy Olcią, więc wymyśliła Alex, uważając, że to jej dodaje uroku i niezwykłości. Kiedyś nosiła w nosie kolczyk zakończony kulką, ale zdjęła go, bo Przemkowi się nie podobał. Powiedział jej, że wygląda, jakby zwiślał jej z nosa jakiś glut. Obraziła się i nie odzywała się do niego przez tydzień. Ale w końcu ustąpiła, dochodząc do wniosku, że dobry związek polega na wzajemnych ustępstwach. Przyszła więc do pracy po tym milczącym tygodniu i jak zwykle zrobiła mu śniadanie. Podeszła do stolika, postawiła przed nim jajecznicę i usiadła naprzeciwko.

– Zdjęłam ten cholerny kolczyk – powiedziała, dotykając nosa.

– Bardzo się...

- Zdjęłam, bo tak chciałam, a nie dlatego, że mi kazałeś.
- Nigdy niczego bym ci nie nakazał. Powiedziałem tylko, że wygląda jak...
- Jak ci się nie podobam, to powiedz otwarcie.
- Podobasz mi się. Wszystko mi się w tobie podoba.
- A moje smoki? Nie wpadniesz na pomysł, żebym i je usunęła?

– Kocham te twoje potwory. – Chwycił jej rękę, pociągnął ku sobie i pocałował smoczy pysk. Na przedramionach miała kolorowe smoki, których łby opierały się na wierzchach dłoni. Bo Alex uwielbiała smoki. Czytała i oglądała wszystko, co zawierało choćby smoczy ślad, była prawdziwą „smoczą” specjalistką. Do tego stopnia, że na coroczny festiwal fantastyki Pyrkon zawsze ubierała się we własnoręcznie uszyty strój złotej smoczycy. Przemek też lubił te niezwykle stworzenia. Byli parą niemal idealną, bo zgadzali się ze sobą, że świat fantasy jest znacznie ciekawszy niż ten, w którym żyją, dlatego trzeba samodzielnie wprowadzać do rzeczywistości baśniowe elementy.

– Możesz się nie interesować polityką, ale polityka prędzej czy później się zainteresuje tobą – stwierdził, patrząc na jej dłonie, polerujące suchą szmatką szklankę do piwa.

– W jakim sensie?

– W takim, że ci, którzy nami rządzą, nie mają zielonego pojęcia o tym, co się dzieje w świecie. I pieprzą nam głupoty, że u nas jest bezpiecznie. Mimo że ludzie już zaczynają chorować.

– Może jest bezpiecznie.

– Alex, obudź się. Nie trzeba być epidemiologiem, żeby zrozumieć, co się dzieje. Ludzie jeżdżą po świecie i zarażają się wzajemnie. Nie unikniemy tego paskudztwa.

– Ale co to ma wspólnego z polityką?

– Jak to co? Oni już przebąkują, że w razie problemów, jeśli wirus do nas dotrze, to trzeba będzie ograniczyć ludziom możliwości kontaktowania się.

– Przez telefon? Bzdura. Nie zakażą nam korzystania z telefonów.

– Nie, Alex, za chwilę zamkną nam knajpy. Już zamykają szkoły, wprowadzają zakazy zgromadzeń. To jest coś takiego jak stan wojenny, rozumiesz?

– Jak zamkną knajpy? To niby co my będziemy mieli robić? Jak nasza pijalnia nie będzie zarabiać, to z czego zapłacimy za media, no i w ogóle? Przecież dziewczynom też trzeba dać wypłatę.

– My jakoś przeżyjemy. Póki co mamy odłożonej kasy dość sporo, dzięki tacie. Ale inni sobie nie poradzą.

– Ale jak państwo będzie zamykać restauracje czy bary, to będzie musiało zapłacić odszkodowania właścicielom. Jeszcze na tym zarobimy. – Alex była przekonana, że nic strasznego nie może ich spotkać. Nawet w tę epidemię nie bardzo chciało się jej wierzyć. Przecież ludzie ciągle na coś chorowali. Więc tych kilku ludzi ze stwierdzoną obecnością wirusa nie mogło przecież zarazić wszystkich pozostałych.

Przemek pokręcił głową.

– To nie jest normalne państwo. W normalnym kraju rządzą fachowcy, a u nas goście, którzy idą do polityki, żeby się nachapać. I dlatego stają się politykami, bo w żadnej

normalnej firmie by się nie sprawdzili. Pogoniliby ich od razu, poznając się na ich głupocie. Ale w polityce sobie doskonale radzą, bo pod latarnią głupota nie świeci tak jaskrawo...

– Trzeba brać aspirynę. Czytałam o tym.

– Jak to aspirynę?

– No czytałam w necie, że na wirusa najskuteczniejsza jest zwykła aspiryna.

– A kto tak napisał?

– Naga Prawda. Jest taka strona, co się tak nazywa. Oni są niezli, mówię ci, Przemek, rozwalają system. Piszą o wszystkim otwarcie, nawet o wraku smoleńskim, że nigdy do Polski nie wróci, bo władza dostałaby mocny dowód do ręki na Tuska. I by go mogli wsadzić. Ale Putin nie chce się na to zgodzić, bo lubi Tuska. I dlatego nigdy nie odda wraku, a nasz rząd mu może co najwyżej skoczyć.

Przemek był naprawdę zdumiony. Nie przypuszczał, że jego kobieta interesuje się takimi sprawami.

– Lepiej byś jakieś przepisy poczytała zamiast tych głupot. Sama mówiłaś, że dobrze by było, żeby uruchomić wreszcie kuchnię. Mamy tyle miejsca na zapleczu, że dałoby się robić jakieś dania na ciepło. Miałaś się czegoś nauczyć.

Alex parsknęła jak niezadowolona klacz. Przemek wiedział, że wkracza na grząski grunt, ale postanowił zaatakować. Kuchnia rzeczywiście była jej pomysłem. Mieli na zapleczu duże pomieszczenie, które można było tak zaadaptować. Kiedyś, jeszcze w latach siedemdziesiątych, funkcjonowała tam kuchnia, teraz zamieniona na graciarnię. Gdy ojciec Przemka, emerytowany milicjant Teofil Olkiewicz, przejął lokal, postanowił, że da klientom to, czego ci naprawdę potrzebowali, a więc wódek w wielkim wyborze i do tego ewentualnie jeszcze piwo. Ale nie myślał o otwarciu kuchni, uważając to za niepotrzebny dodatek. Goście w pubie mieli pić, nie się objadać, ewentualnie zagryzać trunki orzeszkami i paluszkami. Teraz czasy się zmieniały i klienci coraz częściej pytali o jakieś przekąski na ciepło. No i dlatego Alex wpadła na pomysł z kuchnią, oświadczając, że sama nauczy się robić różne dania przekąskowe, takie jak fasolka po bretońsku czy bigos. Ale ostatnio jakoś przestała poruszać tę kwestię, gdy zdała sobie sprawę, ile dodatkowej roboty musiałaby poświęcić na przygotowywanie jedzenia. Poza tym zrozumiała, że gotowanie wcale nie jest łatwą sztuką po tym, jak bigos, który zrobiła w domu, okazał się ohydny, mimo że ściśle trzymała się przepisu z internetu. Kapusta była tak kwaśna, że nie dało się tego zjeść. To ostatecznie pogrzebało jej plany zostania masterchefem.

– Jeśli mamy robić kuchnię, to trzeba by zatrudnić profesjonalnego kucharza – rzuciła na odczepnego.

– To trzeba by dobrze przeliczyć, ile się sprzeda dań, no i czy taki kucharz na siebie zarobi. Bo wiesz, że na pół etatu żaden dobry fachowiec nie przyjdzie, a taki, który już ma pozycję, to chce zarobić...

– Może młodego, zaraz po szkole. – Zaczęła już widzieć oczyma wyobraźni kuchnię, w której coś się dzieje. I jak zwykle to u niej bywało, od razu zapaliła się do pomysłu. – Mogę wrzucić na fejsa, że szukamy młodego, dobrze zapowiadającego się szefa kuchni, który ma wizję...

– He, he, Alex, wizję to my musimy mieć. Ale najpierw biznesplan i potem się zobaczy, co nam wyjdzie...

– Ty byś tylko planował i liczył pieniądze, ale w knajpie liczy się serce.

– Być może, i dlatego ty prowadzisz knajpę, a ja jestem szkielem².

Rozległo się pukanie do drzwi. Oboje spojrzeli w tamtym kierunku. Za szybą stała Paula, okrągłolica brunetka, którą Alex przyjęła do pracy w bufecie pół roku temu. Dziewczyna pomachała właścicielom. Przemek zeskoczył z wysokiego stołka i poszedł otworzyć.

– Cześć, szefie – przywitała się, wchodząc do środka.

– A czy to czasami Marianna nie miała być dzisiaj od rana? – zapytał zdziwiony.

Dziewczyny same dzieliły się robotą i ustalały grafik dyżurów. Właściciele się w to nie wtrącali, a one miały tylko pilnować, by na tygodniowej rozpisce nie było pustego miejsca. Wczoraj Przemek spojrział na grafik i wydawało mu się, że dostrzegł imię „Mary”, wpisane na dzisiejsze przedpołudnie.

Kelnerka podeszła do kontuaru i położyła na nim swoją torebkę, ozdobioną złotymi frędzlami.

– Dziś jest jej dyżur – potwierdziła dziewczyna.

– Zamieniłaś się z nią? – domyśliła się Alex.

– No właśnie że nie.

– Jak to?

– Nie mogę się z nią skontaktować. Ona od dwóch dni nie odbiera telefonów. To se pomyślałam, że ona tu będzie dzisiaj. Bo ja mam dyżur, ale po południu, i dlatego przysłałam, żeby się z nią rozmówić...

– W jakim sensie rozmówić? – zapytała Alex.

– No bo ona pożyczyła ode mnie pięć stów i miała wczoraj oddać. A wiedziała, że to moja resztką kasy i jak mi nie odda, to nie będę miała za co żyć. No i wczoraj właśnie zostałam bez grosza. A jak dzwoniłam do niej, to miała wyłączony telefon. No to przysłałam dzisiaj wcześniej, żeby z nią pogadać.

– To nieładnie z jej strony – stwierdził Przemek, jednocześnie spoglądając na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, bo mimo że dziś miał wolny dzień, musiał na chwilę wpaść do komendy, żeby podpisać jakieś protokoły. Na szczęście nie musiał rozwiązywać konfliktów między pracowniczkami. Alex świetnie się w takich sytuacjach sprawdzała.

– Nawet dziś nic nie zjadłam, bo nie miałam kasy na jedzenie – rzuciła rozgoryczona dziewczyna.

– Idź na zaplecze. Tam na stole w reklamówce są bułki, pomidory i serki topione. Zrób sobie kanapkę. A jak Mary przyjdzie, to powiem jej, co myślę o takich numerach.

– Dzięki. – Dziewczyna wzięła torebkę i poszła do pokoju szefowej.

– W takim razie już będę leciał – stwierdził Przemek. Wolał nie być świadkiem tej dyscyplinującej rozmowy. A swoją drogą, pomyślał, Marianna nigdy nie sprawiała wrażenia niesolidnej dziewczyny. Owszem, żyła zawsze w tym swoim wydumanym świecie, w którym samoloty odrzutowe rozpylały nad miastami i wsiami szkodliwe substancje, żeby truć ludzi i dawać w ten sposób zarabiać koncernom farmaceutycznym. Jednak oprócz tych głupot wyglądała na całkiem normalną dziewczynę.

– O której będziesz?

– Myślę, że o trzynastej będziemy mogli pójść już na jakiś obiad.

– Super. Ja bym dziś coś chińskiego zjadła.

– Jakbyśmy mieli działającą kuchnię, tobyśmy nigdzie nie musieli chodzić.

– To może rozejrzyj się za kimś, kto nam taką kuchnię zaprojektuje. No wiesz, te wszystkie kwestie techniczne, tego sami nie ogarniemy.

Posłała mu uśmiech i zaraz sięgnęła po komórkę. Wybrała numer Marianny. Nie było żadnego sygnału. Po chwili odezwał się sztuczny głos, który poinformował ją, że abonent jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon. Nie wiedzieć czemu, poczuła jakiś dziwny niepokój, ale nie przejęła się tym zbyt, bo nie należała do osób przesądnych. No chyba że te przesady dotyczyłyby smoków.

Pamiętkowo **Godzina 11.30**

– To ci dwaj. – Młody posterunkowy wskazał na facetów siedzących na drewnianym kłocu, który zastępował plażową ławkę. Kilka takich płasko ściętych pni ułożono tu, by wypoczywający mieli na czym usiąść. Ci, którzy dziś zajęli na nich miejsca, nie przybyli tu jednak w poszukiwaniu plażowych atrakcji. Tak samo jak gapie, którzy stali trochę dalej, wpatrując się w brzeg jeziora z nadzieją, że uda się zobaczyć coś ciekawego. Gdyby mogli, już dawno podeszliby bliżej, ale policjanci z komendy w Szamotułach znali się na swojej robocie i pilnowali, by nikt nie przedarł się na pole biwakowe. Ciekawscy mogli więc liczyć co najwyżej na to, że z punktów obserwacyjnych na plaży albo z pomostów wchodzących kilkanaście metrów w głąb tafli wodnej da się dostrzec coś ciekawego. Z każdą chwilą przybywało ludzi, ale też coraz więcej się działo. Dwaj nurkowie ze straży pożarnej zeszli już pod wodę, by przytwierdzić stalowe liny do samochodu. Wielki, zielony ciągnik John Deere, sprowadzony z pobliskiego Pamiętkowa, stał gotowy do pracy przy wyciąganiu auta. Jego właściciel Bronisław Pawlak z wyraźnym zainteresowaniem obserwował działania strażaków. Miał szczęście, bo był jedynym mieszkańcem wsi, który został dopuszczony na sam brzeg. Liczył, że dzięki temu będzie miał najlepszą wiedzę na temat wypadku i każdy będzie chciał z nim porozmawiać. A on wtedy opowie, jak to traktor ruszył i... Na razie jednak nie miał pojęcia, jak to wszystko będzie wyglądało, bo nurkowie jeszcze pracowali przy samochodzie. Jedynymi świadkami byli tylko ci dwaj siedzący na pniu faceci, ubrani w zniszczone, wojskowe kurtki moro.

– To wy znaleźliście ten samochód? – Aneta podeszła do obu mężczyzn, wskazanych jej przez posterunkowego, i od razu zaczęła ich przepytwać.

– A panience to co do tego, że się tak spytam? – odezwał się nieogolony i pomarszczony facet z wyraźnymi worami pod oczyma.

– Panienska jest z policji. – Wskazała na doskonale widoczną blachę, zawieszoną na łańcuszku.

– My tam z byle kim, znaczy się z dzieciokami, nie gadamy – rzucił ten drugi, o okrągłej twarzy i z wyraźną łysiną na czubku głowy. – Niech do nas jaki policjant przyjdzie.

– To co, nie lubicie kobiet? – Aneta uśmiechnęła się zalotnie, a ten większy oblizał spierzchnięte wargi.

– Czemu nie, lubić lubimy, do ruchania, a nie gadania, ha, ha, ha! – zarechotał oblesnie, a jego kolega, zadowolony z żartu, uniósł się z pnia, robiąc gest, jakby chciał ją chwycić za tyłek.

– Chodź, lisico, do wujka na kolanka, to zaraz... – Nie zdążył wyjaśnić, co zaraz miało nastąpić, ale na pewno nie było to to, co się wydarzyło. Aneta chwyciła jego rękę, pociągnęła lekko ku sobie, robiąc jednocześnie szybki półobrót w miejscu, po czym chwyciwszy go w zgięciu, wykręciła mu przedramię tak mocno, że facet nawet nie zdążył się zdziwić. Zrozumiał, co się dzieje w chwili, gdy celny kopniak wymierzony w ściegno przy mięśniu podkolanowym dosłownie rzucił go przed nią na kolana. Coś w ręce niebezpiecznie chrupnęło.

– O ja żeż cię pierdolę. Auu! Kurwa, puszczaj!

– No puść go, bo...

– Rusz dupę z tego klocka, a zaraz będziesz klęczał obok niego. Zrozumiano? A ty się zamknij, ćwoku. Teraz cię puszcze, a ty grzecznie usiądziesz. Rozumiemy się?

Obaj pokiwali głowami.

– No to uważaj, puszczam twoją łapę, a ty siadaj na dupie. I ani słowa, dopóki was nie poproszę.

Puściła. Mężczyzna podniósł się z trudem i zaraz wziął się za rozmasowywanie nadwyręzonego nadgarstka. Aneta tymczasem złożyła ręce na piersi, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Była zadowolona ze swojej szybkiej reakcji i z tego, że pokazała tym dwóm nieokrzesanym typom, gdzie jest ich miejsce, i że należy trzymać łapy przy sobie. Nie znosiła tych seksistowskich zachowań, oblepiających oślizgłych spojrzeń i uwag rzucanych niby żartem, na które pozwalali sobie także jej koledzy z pracy. Ale najbardziej odrażające było dla niej, gdy ktoś obcy próbował przekroczyć granicę intymności i wyciągał w jej stronę swoje brudne łapy. Dlatego zareagowała błyskawicznie, żeby od razu wprowadzić zasady, których nieprzestrzeganie mogło się skończyć dla tych dwóch jakąś trwalszą kontuzją. Zresztą oni już o tym wiedzieli. Wystarczyło tylko spojrzeć na ich zdziwione gęby.

– No to teraz zacznijmy nasze spotkanie od nowa, bo chyba coś nam nie poszło na początku. Jestem podkomisarz Aneta Nowak, a panowie?

– Ja jestem Waldek Bartkowiak – przedstawił się ten łysy. – A to jest Florczak. – Wskazał na kolegę, który próbował przed chwilą bliższego kontaktu z Anetą. Teraz siedział naburmuszony i patrzył w dal, jakby cała ta rozmowa go nie dotyczyła.

– No już znacznie lepiej. Ale widzę, że pan Florczak się obraził. Nie dziwię się, bo pół wsi widziało, jak padł przed kobietą na kolana.

– W dupie to mam. To nie nasza wieś.

– Jak to? – zdziwiła się, spoglądając na gapiów stojących na skraju plaży i na drodze. – To wy nie jesteście miejscowi?

– Jak najbardziej miejscowi, pani komisarz – pośpiesznie wyjaśnił Bartkowiak. – Miejscowi od urodzenia, ino że my zez drugiej strony jeziora.

– Z której?

– Zez tamtyj. – Wskazał na lewo, tam gdzie brzeg porastała gęsta ściana drzew.

– Z lasu? – Wolą uściślić informację. Bartkowiak pokręcił głową z politowaniem dla ignorancji policjantki, która nic nie wiedziała na temat skomplikowanych kwestii osadnictwa nad Jeziorem Pamiątkowskim.

– Zez tej strony, znaczy się od naszyj, to jest Przeclawek. To jest naszo wioska. Zez tej drugiej jest Pamiątkowo. I co tu stoją, to są zez Pamiątkowa. A jakby kto od nas przylazł, to

będzie stał tam od lasu. – Wskazał za siebie.

– No to już kwestie zamieszkania mamy szczegółowo wyjaśnione – ucięła, by zamknąć temat i przejść wreszcie do rzeczy.

– Nie bardzo, bo jest jeszcze letnisko – wtrącił się nagle Florczak, który dotąd nie odezwał się ani słowem, wpatrzony w drugi brzeg.

– Co to jest za letnisko?

– Tam, po drugiej stronie. – Wskazał palcem przed siebie. – Tam są domki kempingowe, znaczy się dla wczasowiczów, co tu przyjeżdżają na wakacje.

– To teraz pewnie nieczynny jest ten ośrodek. Znaczący tam nie ma?

Florczak uśmiechnął się pod nosem. Ta policjantka rzeczywiście nic nie wiedziała na temat jeziora.

– Kiedyś tam był jakiś ośrodek. Ale to jeszcze za Gierka. Ale potem to wszystko wykupili ludzie i zrobili se domki. Jedni drewniane, inni murowane i tak przyjeżdżali, i budowali coraz większe, i teraz to już nie są to kempingi, ino domki, co w nich wiara mieszka przez cały rok. Ale to już nie jest nasze.

– Co nie jest wasze?

– Te domki. One już nie są w naszej gminie. Bo Pamiątkowo i Przeclówek to wszystko jest nasza gmina Szamotuły. A tamci to obcy, co się tu sprowadzili z Poznania. I w ogóle to przynależą do Cerekwicy. – Nazwę sąsiedniej miejscowości Florczak wymówił z lekkim lekceważeniem. Aneta od razu to zauważyła.

– Nie lubicie tych z Cerekwicy? – zapytała.

– My tam do nich nic nie mamy – wtrącił się Bartkowiak. – Tych ze starej Cerekwicy to my wszystkich znali. Bo to byli ci, co tu żyli od zawsze. Ale ci nowi to szkoda gadać. Przyjechali nie wiadomo skąd i zaczęli się budować. Pełno ich tu się najechało, samych obcych. Wszędzie stawiają domy i zaraz jak postawią, to chcą, żeby im asfalt robić i lampy, i gaz. I ta ich gmina Rokietnica to im robi. A u nas w Przeclawku to gazu się nie doczekamy nigdy pewnie. A asfalty to nam do wsi położyli dopiero cztery lata temu. Tyle my się na tą drogę naczekali, a oni mają tak wszystko od razu, na zawołanie. I gdzie tu jest sprawiedliwość?

– Właśnie – poparł kolegę Florczak. – Oni mają tam ładne chaty, samochody, ładne żony i psy do wyprowadzania na spacer. A my tu nic nie mamy.

– A ci, co tam w tym samochodzie, to miejscowi? – Wskazała za siebie, tam gdzie właściciel traktora właśnie zakładał stalową linę na zaczep maszyny.

– To nikt od nas – stwierdził Florczak stanowczo.

– Jest pan pewien?

– No przecież ja tam nurkowałem nawet, żeby sprawdzić, czy jeszcze nie żyją.

– Widział ich pan?

– Widziałem. Całkiem niepotrzebnie widziałem. Bo teraz mi się będą śnić do końca życia te ich łby odstrzelone.

– A twarze?

– Twarze to były takie, że mało co się widziało, bo napuchnięte jak meduzy. A ja taki więcej obrzydliwy jestem. Ale jedno, co wiem na pewno, to oni nie są od nas.

– Skąd taka pewność? Przecież nie mógł pan rozpoznać twarzy...

– Rozpoznać to się rozumie, że nie rozpoznałem – zaczął tłumaczyć powoli i wyraźnie, jakby objaśniał jakąś skomplikowaną kwestię dziecku. – Bo jak człowiek długo wew wodzie leży, to się robi mientki jak galart. Co my tu nad tym jeziorem dobrze wiemy, bo topielca to już niejednego się tu wyłowilo. No to oni tam muszą leżeć jakiś czas. Ja to bym nawet powiedział, że musieli tu wjechać na lód jeszcze zimą i wlecieli pod lód i po ptokach. A jak zimą wlecieli, to znaczy się, że od zimy są zaginięci. A w Przeclawku ani w Pamiątkowie nikt nie jest zaginięty od zimy. Znaczy to nie nasi, ale obcy.

– Jak zimą, toby ktoś ślady zauważył pewnie. – Aneta natychmiast wyobraziła sobie auto wjeżdżające na lodową taflę i naraz zapadające się w wodną toń. Miejsce, w którym samochód zanurzyłby się w wodzie, byłoby wyraźnie widoczne. Poza tym gdyby jechał po zaśnieżonym brzegu, zostawiłby ślady prowadzące wprost do jeziora. Niemożliwe, żeby nikt tego nie zauważył. Czyli do wypadku musiało dojść niedawno.

– Byłyby ślady na śniegu – powiedziała właściwie sama do siebie.

– Nie musieliby być – stwierdził Bartkowiak.

– Jak to?

– Jakby to było tydzień po tłustym czwartku, toby nic nie było widać – przypomniał sobie Florczak.

Aneta spojrzała na niego jak na wariata, ale on wiedział, co mówi.

– W tłusty czwartek lód był już mientki – zgodził się z kolegą Bartkowiak. – Wiem, bo my wchodzili, żeby sprawdzić, czy jeszcze da się z przerębla łowić. Ale już giry po kostki się zapadały w tej glajdzie. No to my już odpuścili ryby. A parę dni później byli my w Pamiątkowie u jednego kolegi, co się nazywa Gawełek. I my u tego Gawełka zjedli, jak Pan Bóg przykazał, po pączku i zapili to wódeczką. A jak my wracali do chaty, to się zrobiła tako zadymka i pizgawica, że my myśleli, że już nie dojdziem.

– Na szczęście mieli my jeszcze jedną flaszkę – przypomniał sobie Florczak. – Ona nas uratowała, bo żeśmy się po drodze mieli czym ogrzać. I na drugi dzień lód wrócił, a na nim było tyle śniegu, że wszystko było białe, jakby to pole, a nie jezioro przykryte śniegiem.

– Pięknie wyglądało, co nie? – rozmarzył się Bartkowiak. Zrobił przy tym taką minę, jakby był autentycznie wzruszony. Jednak wzruszenie natychmiast zniknęło z jego twarzy, gdy dostrzegł, co dzieje się za plecami policjantki. Traktor powoli zaczął jechać w kierunku drogi, a lina za nim się naprężyła. Obaj mężczyźni natychmiast poderwali się na równe nogi i ruszyli biegiem na miejsce akcji, żeby niczego nie uronić z tego zajmującego widowiska. Pozostawiona samej sobie Aneta, chcąc nie chcąc, poszła za nimi. Pięćdziesiąt metrów dalej przystanąła. Akurat w tym momencie z wody wynurzył się dach czerwonego auta. Chwilę później dostrzegła tylną szybę i klapę bagażnika.

– Skoda fabia – zauważył dzielnicowy z Pamiątkowa.

– Miejskowa?

Policjant pokręcił głową.

U nas takie auto nie zginęło. Zresztą ludzie też nie, bobym wiedział, pani komisarz. O, proszę, to nie od nas. – Wskazał na rejestrację zaczynającą się od liter PZ. – Poznań zadupie, czyli powiat poznański – wyjaśnił oczywistą oczywistość.

Auto wyjechało na brzeg. Traktor pociągnął je jeszcze kawałek, tak żeby nie stoczyło się z powrotem. Strażacy na wszelki wypadek podłożyli kliny pod koła. Kilkanaście osób otoczyło wrak, by zajrzeć do środka.

– Kurwa mać! – zawołał naraz strażak nachylający się do szyby od tylnych drzwi. – Tu są trzecie zwłoki. To jest, kurwa, dziecko!

Poznań

Godzina 12.20

– Panie dyrektorze, jest na linii jakiś ksiądz – zawołała zza otwartych drzwi do sekretariatu pani Andżelika. Dyrektor Adam Włodarczyk odłożył gazetę na blat biurka i sięgnął po kubek z herbatą, żeby popić kanapkę. Taki zwyczaj panował tu w urzędzie, że około dwunastej jedzono drugie śniadanie i raczej nie przyjmowało się ludzi, a rozmowy łączono tylko te z najważniejszymi interesantami. Ksiądz – już samo w sobie brzmiało poważnie, więc sekretarka, na wszelki wypadek, wołała zapytać.

– Jaki ksiądz? – Dyrektor z racji zajmowanego stanowiska w wydziale gospodarki nieruchomościami miał już do czynienia z duchownymi. W Poznaniu bowiem największym posiadaczem ziemskim był Kościół. Często więc dochodziło do sytuacji, gdy interesy miasta i tej katolickiej instytucji kolidowały ze sobą. Magistrat starał się rozwiązywać te konflikty w taki sposób, by nie doprowadzić do zaognienia i tak już napiętych stosunków. Tym bardziej teraz, gdy hierarchowie kościelni doszli do wniosku, że sprzyjający im czas w polityce należy dobrze wykorzystać. Starali się więc odgrzebać jak najwięcej niewyjaśnionych do końca spraw właścicielskich i odebrać miastu to, co podobno należało kiedyś do administrowanej przez nich instytucji. Tak było z terenami poznańskiej Małty, które zdaniem Kościoła należały do niego przed wojną. Sprawa była nie do końca jasna, bo trzydziestohektarowy folwark Malta został zakupiony przed pierwszą wojną światową z pieniędzy zebranych przez mieszkańców Poznania po to, by ustanowić tam park dostępny dla każdego. Nieszczęśliwie zarząd nad tym terenem powierzono katolickiej drukarni świętego Wojciecha. Chodziło o to, by władze pruskie nie dostrzegły w tym działaniu charakteru narodowego, ale religijny, na które łatwiej dawano przyzwolenie. I to ta decyzja dała podstawy do wniosku sądowego o odszkodowanie. Po kilku latach procesu sąd zgodził się, że tereny powinny należeć do miasta, jednak skarb państwa musiał zapłacić zadośćuczynienie w wysokości siedemdziesięciu dwóch milionów złotych. Na tym sprawa Małty się zakończyła, ale w dalszym ciągu było jeszcze sporo nieuregulowanych kwestii w innych częściach miasta. Dlatego gdy dyrektor Włodarczyk słyszał słowo „ksiądz”, od razu zapalała mu się ostrzegawcza lampka w głowie.

Wypił więc jeszcze łyk herbaty i przepłukał nią usta, żeby nic nie przeszkadzało mu w rozmowie.

– A powiedział jakieś nazwisko?

– Mówi, że ksiądz Poniedziałki.

– Nie znam. A skąd?

– Z jakiejś fundacji.

– Jakiej fundacji? – zapytał zaniepokojony dyrektor. Fundacja już przez samo to słowo źle mu się kojarzyła z kościelnymi funduszami. A fundacja połączona z nieznanym

księdzem kojarzyła mu się zdecydowanie źle. Wyczuł w powietrzu nowe kłopoty...

– Dobrze, pani Andzeliko, niech pani połączy – rzucił z rezygnacją. Chwilę później telefon na jego biurku zadzwonił. Podniósł słuchawkę.

– Włodarczyk, słucham.

– Szczęść Boże, z tej strony ksiądz Benedykt Poniedziałki z fundacji Et Scientiam Dei Lumen Fidei.

– Ksiądz wybaczy, ale nie bardzo rozumiem, znaczy nie słyszałem o takiej fundacji...

– Znajomość Boga jest światłem wiary. To dokładnie znaczy nasza nazwa.

– A, rozumiem, to znaczy, że jesteście fundacją propagującą naukę Kościoła?

– Naukę i Słowo Boże, szczególnie wśród młodzieży – mówił spokojnym i ciepłym głosem, takim, jakim wygłasza się kazanie o szczęściu i miłości. – Staramy się trafiać do wszystkich, ale sam pan rozumie, młodzież to nasz... hm, target, ha, ha. Takie to modne dzisiaj słówko, ale oddające istotę rzeczy. W czasach, gdy młodzi ludzie masowo odchodzą od wiary, my wychodzimy im naprzeciw i mówimy: „zatrzymaj się, pomyśl, nie odchodź”. Zamiast nienawiści, która jak zaraza rozlewa się po naszej biednej ojczyźnie, my dajemy im miłość.

Dyrektor starł pot z czoła wierzchem dłoni. Słuchał tego, co mówi ksiądz, i jednocześnie w myślach przeprowadzał błyskawiczną analizę starych szkolnych budynków, które leżały w pobliżu kościołów czy plebanii, do których Kościół mógłby rościć sobie jakieś prawa. Nie było ich dużo, ale kilka, owszem. Należały do miasta, ale gdyby dobrze pogrzebać w księgach wieczystych, to mogłoby się okazać, że jest jak z tą Maltą. A poza tym miał wrażenie, że jednak skądś zna tego księdza. Głos był jakby znajomy.

– Wychowanie młodzieży, jak pan doskonale rozumie, powinno być dla nas wszystkich sprawą kluczową.

– No rozumiem, oczywiście, że rozumiem. Tylko nie bardzo wiem, jak mógłbym panu, znaczy się, przeproszam, księdzu pomóc.

– O, to, z czym się do pana zwracam, to sprawa dość prosta. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogła skomplikowana, ale gdy zdjęć z niej tę całą, grubą i nieco zaśnieżoną skorupę czasu, to dotrzemy do jasnego sedna, które mówi, że dla dobra dzieci powinniśmy dojść do porozumienia.

– Czyli w czym problem?

– Ja dzwonię do pana dyrektora, bo jeśli spojrzy pan na nią, znaczy sprawę, przychylnym okiem, wiedząc dokładnie, w czym rzecz, to myślę, że szybko nabierze ona rumieńców. Dlatego właśnie próbowałem panu dyrektorowi od początku naświetlić właściwym światłem, kim jesteśmy. Nie jesteśmy, broń Boże, jakąś organizacją o charakterze komercyjnym ani świeckim. My reprezentujemy świat sacrum, ale żyjemy tu i teraz w świecie profanum, więc by młodym ludziom wskazywać drogę, musimy ich do siebie przyciągnąć. A gdzie to najlepiej zrobić? Pytanie postawione przeze mnie z pozoru tylko wydaje się proste, a odpowiedź na nie jeszcze prostsza. Wydawać by się mogło, że kościół jest do takich spotkań miejscem odpowiednim. I tym pana zdziwię. Nie o kościół nam idzie, ale o miejsce, gdzie z młodymi ludźmi będziemy mogli się spotkać i stanąć przed nimi nieoddzieleni stołem ofiarnym, ale obok, ramię w ramię. Rozumie pan, co mam na myśli?

– Tak, oczywiście. Ale nie bardzo wiem, jak księdzu mogę pomóc. My nie mamy żadnych wolnych lokali, które moglibyśmy przeznaczyć na cele religijne.

– Ależ nie, drogi panie, źle mnie pan zrozumiał. My nie chcemy od miasta żadnego lokalu.

– Nie? – Teraz dyrektor zdziwił się autentycznie. Ten klecha gadał już od dziesięciu minut o jakichś bzdurach, więc Włodarczyk był przekonany, że chce wydębić jakieś mieszkanie. A to oznaczało, że będzie mógł za chwilę go grzecznie, aczkolwiek stanowczo, przekierować do wydziału komunalnych zasobów lokalowych. A oni już go tam przemaglują. Bo oni potrafili radzić sobie z tymi wszystkimi instytucjami, które próbowały załatwić sobie atrakcyjne miejsce, najlepiej w centrum Poznania, za możliwie jak najniższy czynsz. Ale niestety okazało się, że ksiądz ma zupełnie inne oczekiwania. – To jak mogę księdzu pomóc?

– No tak jak mówiłem, sprawa jest na pierwszy rzut oka niby skomplikowana, ale tak naprawdę jest prościutka. I przy odrobinie dobrej woli szybciotko się dogadamy.

– No to przejdźmy do rzeczy, bo ja za chwilę mam ważne spotkanie...

– Ależ proszę się nie martwić, już przechodzę do sedna. Otóż my nie potrzebujemy lokalu, ponieważ taki lokal już mamy. A dokładnie to w tej chwili ma go miasto. Budynek niestety popada w ruinę, ale gdy go odzyskamy, od razu mogę zadeklarować, że przywrócimy mu dawną świetność. Będzie najjaśniejszą perłą w całej okolicy, bo my potrafimy zadbać o to, żeby zabytek miał odpowiedni wygląd.

– O jakim budynku mowa? – zapytał Włodarczyk, bo wreszcie dochodzili do konkretów, a on nie lubił owijania w bawełnę, kręcenia i kluczenia. Zawsze zmierzał prosto do celu.

– To jest budynek położony przy ulicy Głogowskiej 32, tak zwana Sołtysówka Adama Jeskego.

– Co? – Przez chwilę myślał, że się przesłyszał, ale ksiądz był pewny swego.

– Tak, właśnie, panie dyrektorze szanowny, to właśnie ten budynek, który po pożarze stoi zdewastowany i nikomu nie służy. A na domiar złego w podwórzu mieści się jeszcze sex shop. To niedopuszczalne. Miasto dawno już coś powinno z tym zrobić. Ale wiadomo, że administracja ma pełne ręce roboty i brakuje jej funduszy na remonty kamienic, które na dodatek nie należą do samorządu.

– Zaraz, zaraz, szanowny księżu Benedykcie, przecież Sołtysówka to zabytkowy budynek, który od zawsze należał do miasta...

– I tu się pan myli, drogi dyrektorze. Po śmierci ostatniego sołtysa wsi, nomen omen Święty Łazarz, własność przeszła w ręce jego synów. Miał ich dwóch. Obaj walczyli podczas pierwszej wojny światowej w szeregach armii pruskiej i obaj ją przeżyli. Starszy Zygmunt w 1918 roku wrócił do Poznania i wstąpił w szeregi wojsk powstańczych. Niestety zginął pod Zbąszyniem. Natomiast drugi, Anton, został ranny pod Ypres i trafił do szpitala w miejscowości Aschaffenburg. I tam został po wojnie. Poznał tam swoją żonę i od tego momentu zaczyna się historia rodziny Jesków w Bawarii. Nie wrócili do Poznania, bo nie mieli do kogo, a poza tym żona wniosła mu w posagu prosperującą piwiarnię, więc Anton został w Niemczech, gdzie wkrótce doczekał się dwóch synów. I znów o jednego z nich upomniała się historia. Młodszy, Helmut Jeske, zginął na Krezie w 1941 roku. Jego bratu, Johannowi, udało się przeżyć wojnę, mimo że pełnił niezwykle niebezpieczną służbę na łodziach podwodnych...

– Rozumiem, że to on przekazał księdzu akt własności... – Zniecierpliwiony długą opowieścią wszedł w słowo Benedyktowi. Słyszał już dziesiątki podobnych historii i wiedział jedno, żadna z nich nie była prawdziwa. Jeśli ten klecha chce, niech idzie do sądu, ale on nie będzie w tym maczał palców. Sprawa wyglądała na szytą grubymi nićmi.

– Niedokładnie, panie dyrektorze. Widzę, że nie chce pan mi uwierzyć na słowo i moja opowieść pana nie do końca przekonała. Ale ja przecież nie zawracałbym sobie i panu głowy, gdybyśmy my, znaczy fundacja, nie mieli twardych dowodów. A dowody są takie, że mamy zdjęcia rodzinne rodziny Jesków w Poznaniu przed Sołtysówką z czasów pierwszej wojny i drugiej, a nawet później, dokumentujące historię rodzinną, no i mamy poza tym papiery. Chodzi o to, że Johann Jeske, ten z Bawarii, przed śmiercią zapisał cały swój majątek na naszą fundację, a dokładniej imiennie na przedstawiciela naszej fundacji, który z rodziną Jesków jest spokrewniony. A to oznacza, że mamy prawo do wszystkich jego nieruchomości. Brakuje nam tylko aktu własności, bo jak pan wie, nie możemy go mieć, gdyż dom po pierwszej wojnie przejęło miasto jako majątek porzucony. Ale mamy metryki urodzenia obu synów z kościoła parafialnego na Łazarzu oraz listy braci z czasów wojny... Możemy więc w prosty sposób udowodnić, że w istocie to nasza fundacja jest właścicielem tej nieruchomości.

Zmęczony tą rozmową dyrektor westchnął głęboko. Zapowiadał się kolejny proces, w który trzeba się będzie zaangażować.

– Oczywiście nie mogę księdzu zabronić występowania w imieniu fundacji o uznanie jej praw do tej nieruchomości. Ale nie widzę tu w bliższej perspektywie szansy szybkiego załatwienia sprawy.

– Nie? To pan woli, żeby obiekt niszczał? Taki piękny zabytek jest jak stajnia Augiasza, w której gromadzą się młodzi ludzie z patologii społecznej. A my im wszystkim możemy pomóc właśnie w tym budynku.

– Ksiądz wybaczy, ale to już ode mnie nie zależy. Trzeba wystąpić formalnie do miasta o przekazanie własności, my odmówimy i sprawa trafi do sądu.

– A moglibyście nie odmówić?

– Gdyby kwestia własności była nie do podważenia. Rozumie ksiądz, pewne dokumenty, opinie biegłych...

– Rozumiem, rozumiem. – W głosie księdza dało się słyszeć pewną nutę zakłopotania. – A gdyby tak pan zechciał zerknąć na te dokumenty, które wysłałem na pański adres. Ma pan je na skrzynce mailowej. Proszę tylko rzucić okiem. Zajmie to panu minutkę.

– Ale ja nie mam już czasu...

– Pół minutki. W nagłówku napisano: „Lumen verum, czyli światło prawdy”.

Dla świętego spokoju otworzył maila. I otworzył też pierwsze z trzydziestu przesłanych mu zdjęć. Na każdym z nich widać było zakrwawioną kobietę leżącą w jego własnym łóżku. Jego też było widać obok. To były te same fotografie, które wtedy w nocy przesłano mu SMS-em. Ktoś najwyraźniej postanowił wystawić mu rachunek. Naraz przypomniał sobie, skąd zna głos tego pierdolonego księdza.

Godzina 13.15

– No i co o tym myślisz?

- To jest kosmiczna dupa.
- Czyli że co?
- To mniej więcej tak, jakby ze statku kosmicznego wypadł jakiś gość.
- No i co?
- No i właśnie dlatego mówię, że kosmiczna dupa.

– Aha... Ale nie rozumiem. – Aspirant Jan Bury z poznańskiej dochodzeniówki nie znał się na kosmicznych kwestiach. Za to doskonale rozumiał złożoność świata, który go otaczał. Mikrokosmos, na który składały się poznańskie place, ulice i podwórka, to był jego wszechświat, a kosmos interesował go tylko wtedy, gdy przypadkiem podczas przełączania kanałów telewizyjnych trafił na jakiś film SF i zmusił się do obejrzenia, bo nie mógł znaleźć nic ciekawszego. Za to jego kolega podkomisarz Michał Gliniecki, brodaty trzydziestolatek z dość długimi, zakrywającymi uszy włosami, wydawał się być człowiekiem bujającym w obłokach. Miał skłonności do przeprowadzania analizy wszystkiego, z czym się zetknął. Może dlatego, że studiował filozofię i ona właśnie nauczyła go stawiania pytań dotyczących natury każdej materii.

– To proste – stwierdził Gliniecki. – Wyobraź sobie, że lecisz samolotem. Siedzisz przy oknie i patrzysz...

– Ja nigdy nie siedzę przy oknie. Jak lecieliśmy do Egiptu, to przy oknie siedziała Zosia, potem Ola, a ja na samym końcu, przy przejściu. Ola mówi, że to dlatego, że mam za duży brzuch i jakbym siedział w środku, to ona musiałaby się przeciskać do Zosi, gdyby trzeba było małą przykryć czy dać jej pić. Ale ja wiem, że wcale nie chodzi o mój beczol. –

Klepnął się wymownie po dość okazałym brzuszysku. Bury nie tylko brzuch miał duży. Mierzył prawie dwa metry, a przy tym był solidnie zbudowany. – Bo jej chodzi o to, żeby też patrzeć przez okno. Tak że jak lecimy, to ja nic nie widzę, tylko chmury, jak przez nie przelatujemy.

– No dobra, ale mówię o tym, że im wyżej jesteś, tym ludzie stają się mniejsi i wcale ich nie widać. Prawda?

– No niby tak.

– A w kosmosie te odległości są jeszcze większe. Ale wyobraź sobie, że jedziesz autem i wypada ci podczas jazdy papieros.

– No to jest gnój. Raz spadł mi ćmik na spodnie. Ja pierdzielę, poleciał na jajka...

– Nie o tym mówię. Jak wypadnie ci za szybę, to nawet jak jedziesz sześćdziesiąt na godzinę, to on poleci i nawet go nie zobaczysz. A jakbyś leciał tak jak samolot, osiemset czy tysiąc na godzinę, i by z tego samolotu ktoś wyleciał, to co by było?

– Niemożliwe. Przez okno miałby wylecieć?

– Teoretycznie przez drzwi na przykład.

– Drzwi się nie da otwo...

– Ty nie wynajduj przeszkód, tylko se wyobraź, że jakiś gość wylatuje. To poleciałby i śladu by po nim nie było. Po sekundzie czy dwóch już byś go nie widział, tak jak tego ćmika wywalonego przez okno.

– To jest możliwe – zgodził się aspirant.

– A statek kosmiczny Apollo w 1969 roku osiągnął prędkość prawie czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę. Wyobrażasz to sobie?

– No, musiał trochę zapierdalać.

– To wypadający z niego człowiek zniknąłby w kosmosie i nawet byś nie zobaczył, jak leci.

– Jak ten papieros – przypomniał sobie Bury.

– Więc znalezienie kogoś takiego jest praktycznie niemożliwe.

– Znaczą się lepiej nie wypadać ze statku kosmicznego. – Aspirant doszedł do jak najbardziej słusznego wniosku. – Ale po co my zasadniczo gadamy o tym kosmosie?

– Bo ta góra to jest nasz kosmos. – Gliniecki wskazał przed siebie. Przed nimi rozciągało się wielkie, wysokością sięgające być może czterech pięter, usypisko zmielonego gruzu.

– Kurwa, jebany kosmos. – Aspirant w końcu zrozumiał, o co chodzi koledze. – To będzie jak szukanie w kosmosie tego faceta, co wyleciał z rakiety.

– Będzie tak, jak mówisz. Trzeba całą tę górę przebrać, kamień po kamieniu.

Nie mieli innego wyjścia. Trzeba było wstrzymać pracę kruszarki, spowodować, by taśmociąg nie dorzucił już nowego urobku, no i wymyślić jakiś sposób na w miarę szybkie i dokładne przetrząśnięcie tej całej góry. A wszystko przez rękę, którą znaleźli tu robotnicy. Dokładnie dziś rano jeden z pracowników, który zajmował się obsługą koparki, zagarniał rozdrobniony osypujący się gruz i ładował go na wielką wywrotkę ze stalową wanną na pace. Wywrotka miała jechać już o ósmej rano na budowę jakiejś lokalnej drogi, bo gruz był potrzebny do utwardzenia jezdni przed wylaniem asfaltu. Ale dzięki spostrzegawczości operatora koparki Mirka Witczaka ciężarówka nie wyjechała, a prace w całym zakładzie wstrzymano.

– Co to, kurwa, jest? – zapytał szef porannej zmiany, kierownik Sawczuk, gdy na miejsce przywołał go Witczak.

– To jest, panie kierowniku, ręka. – Witczak dotknął kijem poczerńiałego znaleziska, które rzeczywiście miało palce i całą resztę, jaką zazwyczaj mają dłonie ucięte w okolicach przegubu.

– Czyja to ręka? – spytał Sawczuk.

– Moja nie. – Jakby na potwierdzenie tych słów operator wyciągnął obie ręce przed siebie. Do obu pochylających się nad znaleziskiem mężczyzn podeszło jeszcze kilku innych pracowników. Zawsze to jakaś odmiana od codziennej monotonii, więc warto było popatrzeć.

– To jest łapa jakiejś laski – stwierdził z pełnym przekonaniem operator kruszarki Kostron.

– A niby skąd to wiadomo? – Buczko, kierowca ciężarówki, miał wątpliwości. – To, że mała, to może być, że od jakiegoś dzieciaka.

– Głupiś. – Kostron miał pewność. – To łapa dziewczuchy. Tej, Witczak, weź ino obróć ją tym kijaszkiem.

Obrócił i wszyscy od razu dostrzegli, że Kostron miał rację.

– Widzicie te pomalowane paznokcie? Dzieciaki se nie malują pazurów.

– Niektóre malują – sprzeciwił się jeszcze Buczko, który w ten sposób chciał zachować twarz, ale nikt już nie zwrócił na to najmniejszej uwagi po tym, co powiedział kierownik Sawczuk.

– Jeśli żeś tę łapę znalazł w gruzie, to znaczy się, że może tam być więcej, czyli żeśmy przemielili jakąś łaskę na drobny gruz. A to się znaczy, że możemy albo wyrzucić tę łapę do kibla i udawać, że nic się nie stało, albo trzeba by zawiadomić policję.

– Robimy, szefie, dalej! – rzucił Buczko, któremu przez moment zdało się, że kierownik właśnie takiej deklaracji oczekuje. Sawczuk spojrzął po twarzach swoich pracowników, którzy kiwali głowami, zgadzając się z kierowcą. Większość z nich pracowała na akord, dostawali więc pieniądze za wykonaną robotę i dlatego przestoje im się nie kalkulowały. W dodatku każdy z nich lubił wypić od czasu do czasu, jedni mniej, inni więcej. Kierownik znał ich dobrze i wiedział, że jeśli tylu ludzi będzie chciało zachować tajemnicę, to tak jakby właściwie już jej nie było. Rozpowiedzą po pijaku, cholery jedne, stwierdził w myślach, a potem machnął ręką.

– A jakbyście tak szukali swojej zaginionej siostry albo dziewczyny i jakieś łachudry by znalazły jej kawałek i wyrzuciły do kibla, to jak byście się poczuli? A oni nic nie wiedzą i nawet ciała nie mają, żeby je pochować. A może właśnie w tej stercie są jeszcze jakieś resztki? Człowiekowi należy się chrześcijański pogrzeb. A jak te szczątki się znajdą i policja dojdzie, że została zabita, to może jeszcze nawet dojdą, kto ją zabił. I tego chuj, co ją wrzucił do wanny z gruzem na przeróbkę, złapią, to wy będziecie mieć na swoim koncie dobry uczynek. Trzeba wezwać policję – zdecydował ostatecznie, a oni nie mieli wyjścia, musieli się z nim zgodzić.

Pół godziny później na miejscu była ekipa techniczna, która zabezpieczyła znaną dolinę. Góry gruzu na razie nikt nie oglądał. Dwaj oficerowie dowodzący akcją stali i przyglądali się jej w milczeniu, paląc papierosy.

– O, stąd właśnie brałem gruz. – Witczak wskazał miejsce osypiska tuż koło koparki.

– Jak to było? – zapytał aspirant Bury, bo po tej dyskusji o kosmosie wreszcie poczuł się pewniej, gdy przyszło mu rozmawiać o bardziej przyziemnych sprawach.

– Normalnie, wybierałem łycha za łychę i sypałem na wannę. – Operator wskazał niebieski kontener do przewozu gruzu.

– I co zwróciło pana uwagę?

– No jak co? Ta ręka.

– Od razu pan zauważył, że to ręka?

– A skąd. Najpierw to łycha nabrała urobek i jak już miała pełno, to ja się patrzę, a tam coś czarnego, a tam w tym gruzie same szare, znaczy się siporex i zaprawa. Czyli że gruz z wyburzenia jakiejś ściany czy domu, ale takiego niestarego. Bo ze starych to przewagę ma cegła i wtedy gruz jest taki bardziej czerwony, jak stare cegłówki. I w takim gruzie to dużo ciemnego jest, toby może nie dało się zauważyć, a na takiej szarzyźnie to wszystko, co ciemniejsze, to od razu widoczne. No to opuściłem łychę na dół, żeby sprawdzić, co to, bo nieraz w takich gruzach to można znaleźć coś ciekawego.

– Co na przykład? – zainteresował się podkomisarz Gliniecki.

– Nie wiem, kawałki żelaza albo miedzi. Taki metal się odkłada na stertę i później można to sprzedać na złomie. Dodatkowy pieniądź zawsze się przyda.

– I tym razem nie był to metal – odpowiedział mu drugi z policjantów.

– Właśnie. Jak człowiek nie ma szczęścia, to nic nie znajdzie, a ta ręka to same nieszczęścia. Bo po pierwsze to ktoś zabity, znaczy się nieszczęście, które doprowadziło do serii kolejnych nieszczęść, bo cała robota musiała stanąć przez tą biedaczkę.

– Raczej przez tych, którzy ją wyprawili na tamten świat – stwierdził Gliniecki. Bardzo mu się spodobała fachowa analiza rodzaju gruzu, dokonana przez specjalistę w tej dziedzinie.

– I co będzie, panowie, teraz? – zapytał kierownik Sawczuk, który właśnie wyszedł z biurowego kontenera. Musiał tam odbyć telekonferencję ze swoimi przełożonymi i poinformować ich o sytuacji. Stąd to najważniejsze dla niego pytanie o długość procedur.

– Diabli wiedzą, kierowniku. – Podkomisarz wrzucił ramionami. – Jedno jest pewne. Trzeba to wszystko ostrożnie przekopać, bo może będą jeszcze jakieś znaleziska.

– Ja pierdołę, to może i tydzień potrwać.

– Jak się zabierzemy do roboty, przez dwa dni przesiejemy tą górę – ocenił fachowo koparkowy Witczak.

– Nie, to nasi ludzie muszą to przekopać. – Podkomisarz znał zasadę, że do poszukiwań nie powinno się angażować nikogo z zewnątrz, bo może to się skończyć zniszczeniem śladów. Ale, swoją drogą, o jakich to śladach mowa? Jeśli ciało wrzucono do wanny z gruzem i przeleciało przez kruszarkę, to zostało przemielone na miazgę. Trzeba było znaleźć najwięcej, jak się da, fragmentów ludzkich i tyle. A ci faceci od ciężkiego sprzętu mogli się przydać.

– Jak pan chce, ale my wiemy, jak to zrobić. – Sawczuk spojrzał na operatora koparki, a ten uśmiechnął się pod nosem.

– Pewnie, że wiemy, bo w zeszłym roku, jak naszemu koledze zginęła torebka z dokumentami i kluczami do auta, to my pół dnia żeśmy jej w gruzie szukali.

– Przekopaliście wszystko?

– Prawie – potwierdził kierownik. – Zrobiliśmy tak, że z jednej sterty braliśmy jedną łychę, rozsypywaliśmy ją na placu, a czterech chłopca z szypami jeszcze to rozgrzebywało. Jedna łycha to pięć minut roboty. A potem spychacz zgarniał przejrany gruz na drugą stertę. Wszystko żeśmy przerzucili.

– I saszetka się znalazła – domyślił się policjant.

– No znalazła się – stwierdził Witczak. – Tyle że nie w gruzie, ale gdzie indziej. Ten cholerny ćwok zostawił torbę w chacie. Potem przylaźł z nią do roboty, jakby nic się nie stało.

– A samochód? Przecież tam były te, no, kluczyki od samochodu. – Dociekliwy podkomisarz lubił wyjaśnić każdą zagadkę do samego końca.

– On nosił te kluczyki w saszetce, ale do roboty to jeździł tramwajem – przypomniał sobie Sawczuk. – Ale żeśmy baranowi zabrali dwie dniówki, żeby se popamiętał, że za głupotę trzeba płacić.

– A jakby było dwudziestu z tymi szypami? – zapytał naraz ni stąd, ni zowąd Gliniecki.

– Jakby dwudziestu robiło, to taką górę to byśmy dali radę do wieczora dygnać.

– No to trzeba dzwonić na komendę. Niech nam zorganizują czterdziestu młodych do machania łopata. – Oficer klepnął aspiranta Burego w ramię. – Powiedz im, że potrzeba chłopaków do pilnej roboty.

– A po co aż czterdziestu?

– Żeby się co pół godziny zmieniali. Trzeba uważać, żeby młodzież się nie przepracowała. – Powiedziawszy to, spojrzął na górę gruzu i się uśmiechnął. Kiedyś młodzi milicjanci ćwiczyli mięśnie, lejąc demonstrantów na ulicach, a dziś, proszę, będą się szkolić, machając szuflami. Takie czasy.

Rozdział II

Szamotuły

Godzina 15.30

– Samochód jest z Rokietnicy. – Starszy sierżant Patryk Wtorek odłożył słuchawkę telefonu i uśmiechnął się do Anety. Ta skinęła głową i otworzyła notes.

– Adres jakiś podali?

– No, osiedle Kalinowe przy Trakcie Napoleońskim.

– To Napoleon był w Rokietnicy? – zdziwił się Turek. Akurat skończył rozmawiać przez telefon z Zakładem Anatomopatologii w Poznaniu. To tam odwieziono ciała wydobyte z samochodu. Potrzebna była szczegółowa analiza, z którą miejscowy szpital by sobie nie poradził. W Poznaniu byli doskonali fachowcy i można było mieć pewność, że wyjaśnią wszystkie wątpliwości. Biernat zamierzał wziąć udział w sekcji, dlatego Turek ustalił, o której się zacznie. Szefa nie było jednak w pokoju, więc nie miał komu przekazać ustaleń, bo wiedział, że Anecie nie ma co o tym mówić. Ona już na samo słowo „sekcja” robiła się blada jak ściana i za nic w świecie nie pojechałaby oglądać krojenia trupów.

– Pewnie tylko przejeżdżał. – Policjantka nie była specjalną znawczynią historii, ale miała zmysł praktyczny i była doskonałą analityczką. – Jeśli jest tam Trakt Napoleoński, to musi być to jakaś stara droga, która wiodła z Szamotuł przez Rokietnicę do Poznania.

– A czemu tak uważasz? – Turek również nie należał do ekspertów w tej dziedzinie. Najlepszy w tych sprawach był Biernat. On nawet czytał książki historyczne, a poza tym oglądał również programy na tematycznym kanale.

– To wynika z dostępnych danych – zaczęła wyjaśniać tok swojego rozumowania. –

Przede wszystkim Rokietnica i Szamotuły leżą niedaleko siebie. To tylko kilkanaście kilometrów, czyli konno ten dystans można było pokonać w godzinę. Więc jeśli jechał tędy Napoleon, to raczej zatrzymał się w mieście, czyli w Szamotułach, może nawet tu przenocował, a potem wsiadł do powozu i pojechał do Poznania. No i przez tę Rokietnicę przejechał, nawet się nie zatrzymując, bo co mu mogła za atrakcje zaoferować taka dziura. Nie było co tracić czasu na wieś, jeśli pod bokiem było duże miasto, jak Poznań.

– A skąd wiadomo, że jechał z Szamotuł do Poznania, a nie odwrotnie? – Patryk Wtorek nie do końca wiedział, kim był ten Napoleon, ale zainteresowała go kwestia techniczna.

– Może Napoleon jechał z Poznania. – Aneta wzruszyła ramionami. – Ale jeśli z Poznania, to znaczy, że wyjeżdżał z Polski. A on chyba przez Wielkopolskę wjeżdżał... – Tego nie była do końca pewna.

– Co, macie jakiś problem z Napoleonem? – zainteresował się Biernat, który właśnie wrócił ze spotkania z komendantem. Musiał mu zreferować to, czego zdążyli się dowiedzieć nad Jeziorem Pamiątkowskim, czyli na razie niewiele. Chodziło o to, żeby ustalić, co można powiedzieć dziennikarzom, bo już dobijali się do oficera prasowego.

– Z Traktem Napoleońskim – wyjaśniła Aneta. – To tak się nazywa ulica w Rokietnicy i tam jest zarejestrowany samochód, co go wyłowiliśmy. No i tak o tym Napoleonie się

zgadało...

– Że niby co?

– No czy jechał przez Rokietnicę do Szamotuł, czy z Szamotuł do Poznania. Mnie się wydaje, że do Poznania, bo pamiętam, że cesarz wjeżdżał do Wielkopolski z zachodu, chyba z Berlina.

– O, brawo! Nie wiedziałem, że interesujesz się historią. Bardzo mnie to cieszy.

Uśmiechnęła się zadowolona. Nie interesowała się, ale po tych słowach szefa postanowiła, że poczyta coś na ten temat.

– Ale w 1806 roku cesarz wjeżdżał do Poznania od Międzyrzecza przez Pniewy, Bytyń i Tarnowo Podgórne. Marne szanse, żeby zboczył i wjechał do Rokietnicy i tym bardziej do Szamotuł – stwierdził nadkomisarz.

– To kiedy on był w Szamotułach? – zapytał Wtorek. Przecież wszyscy wiedzą, że tu był. Mamy nawet kawiarnię Napoleon.

– W tym właśnie problem. Nie wiadomo, czy w ogóle był. – Biernat usiadł na swoim fotelu za biurkiem i upił łyk zimnej herbaty z ulubionego kubka w kotki. – Na pewno był w Poznaniu przez dwa tygodnie, podczas gdy Wielkopolanie tworzyli polską armię. I podobno, choć to wcale nie jest pewne, właśnie wtedy wybrał się do Szamotuł. Bo miał ochotę tu przyjechać.

– A co tu było ciekawego, że chciał? – zainteresowała się Aneta. – Wtedy musiało to być jeszcze mniejsze miasteczko niż dziś.

– Mniejsze na pewno – zgodził się z nią Biernat. – Ale na zamku był szachista.

– Kto? – To słowo wybudziło Turka z letargu, w jaki zapadł kilka minut temu. Zdarzało mu się od czasu do czasu przymknąć oczy i wtedy momentalnie zasypiał. Jednak za nic w świecie nie przyznałby się, że śpi w pracy. Przyłapany na tym bezruchu twierdził, że w ten sposób koncentruje się przed rozwiązaniem jakiegoś problemu.

– Szachista, czyli najsłynniejszy na świecie robot, który grał w szachy.

– Robot w dziewiętnastym wieku? – Aneta знаła się dość dobrze na urządzeniach mechanicznych, bo wychowała się w warsztacie samochodowym swojego taty. To po nim przejęła zamiłowanie do wszystkich maszyn i urządzeń. Doskonale więc wiedziała, że pierwsze prymitywne roboty zaczęły pojawiać się dopiero w dwudziestym wieku. – To musiał być robot połączony z elektronicznym mózgiem. Nie do wykonania w tamtych czasach.

– I tu masz całkowitą rację. Bo szachista w istocie był oszustwem służącym do nabijania kasy właścicielowi i graczowi, który krył się we wnętrzu sztucznej powłoki ubranej w strój Turka.

– Jak to: Turka? – Starszy aspirant Turek mruknął niezadowolony, od razu wyobrażając sobie jakiegoś szachistę w jego dżinsowej bluzie. Rozbawiony Biernat pokręcił głową.

– Mechaniczny szachista to kukła, wewnątrz której krył się żywy człowiek, ubrany w tradycyjny strój turecki z fezem na głowie. Bonaparte dowiedział się o tym nieprawdopodobnym wynalazku i postanowił go sam wypróbować, rozgrywając z nim partię szachów. Miał wybrać się więc z Poznania do Szamotuł najkrótszą drogą wiodącą przez Rokietnicę. Oczywiście mieszkańcy tej miejscowości dostrzegli cesarski powóz, któremu towarzyszyło wojsko. A kto wie, może i cesarz zatrzymał się tam na chwilę, żeby się

wysikać pod drzewem. Ten przejazd jednak został zapamiętany na tyle, by droga z Rokietnicy na Szamotuły została nazwana Traktem Napoleońskim. No ale dość tego wykładu. Musimy wziąć się do...

– No ale co z tym Turkiem? – Turek naprawdę zainteresował się opowieścią. Zresztą podobnie jak pozostali.

– Nie zostawia się opowieści urwanej w połowie – oburzyła się Aneta.

– No dobra, w telegraficznym skrócie było tak – zaczął Biernat, mówiąc powoli i z namysłem. – Szachista to była koronkowa akcja brytyjskiego wywiadu. Fałszywy robot jeździł po europejskich salonach i zarabiał krocie dla swojego właściciela, który współpracował z Brytyjczykami. Gdy Napoleon wkraczał do Wielkopolski, Anglicy wysłali szachistę do niewielkiej podpoznańskiej miejscowości, żeby tam zwabić cesarza. Ten, dowiedziawszy się o maszynie do gry, chciał cud obejrzyć i przekonać się, czy aby w urządzeniu nie kryje się człowiek. Anglicy wymyślili, że gdy Napoleon usiądzie do partii szachów, oni go wtedy ogłuszą i wsadzą do wnętrza szachisty, i wywiozą w nieznane. W mundur cesarza miał się przebrać uczestniczący w spisku pewien polski ksiądz podobny do Bonapartego. Miał wsiąść do karety i odjechać do Poznania, a porywacze chcieli w tym czasie spokojnie wyjechać z Szamotuł. Na szczęście plan się nie powiódł, bo ksiądz zdradził spiskowców i opowiedział o wszystkim Francuzom. Cesarz został w porę ostrzeżony i zawrócony z drogi gdzieś między Rokietnicą a Szamotułami, kto wie, może jego karete zatrzymano akurat w Pamiątkowie...

– A co się stało z tymi porywaczami? – zapytał Turek.

– Podobno uciekli w ostatniej chwili tunelem wiodącym z zamku do kolegiaty.

– Jak to: tunelem? – Patryk Wtorek aż otworzył usta w pełnym zdumieniu. Znał kolegiatę jak własną kieszeń, bo jeszcze niedawno był tam ministrantem, ale o żadnym tunelu nie słyszał. Zresztą dla Anety i Turka to także była sensacyjna informacja. – Nigdy nie słyszałem, żeby zamek łączył się z kościołem jakimś tunelem...

– Na dzisiaj dosyć tego! – Biernat podniósł ręce, jakby się poddawał. Nie miał zamiaru ciągnąć opowieści. – Jeśli interesuje was ta historia, proszę bardzo, można się przejść do biblioteki i wypożyczyć powieść historyczno-sensacyjną opowiadającą o tych wydarzeniach. Napisał ją Waldemar Łysiak, a jej tytuł to Szachista. Wszystko jest tam opisane ze szczegółami. No a teraz bierzemy się do roboty. – Spojrzał na Wtorka, zapisującego sobie nazwisko autora na kartce. Widać opowieść dowódcy musiała zrobić na nim wielkie wrażenie.

– To gadaj, Patryk, co ci się udało ustalić, oprócz tego, że auto jest z Rokietnicy?

– Melduję, że skoda należy do Marzeny i Marka Waszutów. Nie sprawdziliśmy jeszcze, czy tam mieszkają. I nie wiadomo, czy to są ci, co byli w aucie, bo dokumentów żadnych nie mieli przy sobie. Trzeba by tam pojechać.

– Dobra, możemy jutro...

– Ja mogę dzisiaj. – Aneta weszła w słowo Biernatowi. – I tak jadę do domu, to mogę przejechać przez Rokietnicę. Trochę nadłożę, ale przynajmniej się rozejrzę.

Nadkomisarz pokiwał głową. Wiedział, że Aneta jest osobą niecierpliwą i nie lubi czekać. Poza tym rzeczywiście miała prawie po drodze do tych swoich Dusznik.

Codziennie dojeżdżała do pracy z miejscowości położonej dwadzieścia dziewięć kilometrów od Szamotuł. To tam zaczynała swoją policyjną przygodę na niewielkim posterunku. Jej praca polegała głównie na wpisywaniu raportów starszych kolegów do komputera i przynoszeniu dla nich drożdżówek z pobliskiej piekarni. Nikt wówczas nie przypuszczał, że kariera Anety nabierze zawrotnego tempa. A wszystko dzięki przypadkowi. W Szamotułach zniknął syn miejscowego biznesmena. Oficjalnie nie wszczęto w tej sprawie śledztwa, ale i tak wszyscy wiedzieli, że to porwanie. A Aneta na małej wiejskiej stacji benzynowej złapała trop, błyskawicznie skojarzyła fakty i poszła za śladem jak pies gończy. Z natury nieśmiała i mało przebojowa, musiała się przełamać i spróbować przekazać zebrane przez siebie informacje wyżej. I tu w Szamotułach trafiła do Marty Urbanek, kilka lat starszej od niej funkcjonariuszki, odpowiadającej za kontakty z prasą. Martyna wysłuchała, co Aneta ma do powiedzenia, i już po chwili obie meldowały się u komendanta. Dzięki niej udało się namierzyć miejsce przetrzymywania chłopaka i odbić go z rąk porywaczy³.

– No dobra, Anetka, jedź tam i wywiedz się wszystkiego o tych Waszutach, czy to ich auto...

– Sprawdziłem też w rejestrze skradzionych wozów i nie ma takiego zapisanego – dorzucił jeszcze Wtorek.

– Zadzwoń do szefa posterunku, żeby ci pomógł, jakby co – zaoferował Turek. – Ja go znam. To mój kolega. Nazywa się Domagała. Karol Domagała.

– Nie zaszkodzi, z pewnością nie zaszkodzi – zgodził się z nim Biernat. – A jutro od rana...

– Jutro od rana pan nadkomisarz jedzie do Poznania. Umówiłem sekcję na 9 rano – rzucił zadowolony aspirant. Spojrzał przy tym wymownie na Anetę, która mocno zacisnęła usta. – Może pani podkomisarz miałyby ochotę...

Nie dokończył, bo pani podkomisarz Aneta Nowak wyszła z pokoju.

Poznań

Godzina 16.40

Zielony passat zatrzymał się przed przejściem dla pieszych, do którego zbliżała się młoda kobieta pchająca wózek. Zgrabna brunetka w spódniczce mini spojrzała na wszelki wypadek na kierowcę, a ten uśmiechnął się do niej życzliwie. Skinęła mu głową i ruszyła przed siebie. Z przeciwka nadjeżdżało czarne bmw. Kierowca passata pierwszy dostrzegł zagrożenie. Ten z beemki nie zwalniał. Nawet przyśpieszył, jakby chciał zdążyć, nim kobieta dojdzie do drugiej połowy jezdni. A ona, nieświadoma niebezpieczeństwa, szła przed siebie, wpatrzona nie w ulicę, ale w swoje małe szczęście w wózku.

Przemek Drażkowski wcisnął klakson i jego passat zatrąbił. Zdziwiona mama odwróciła się do niego.

– Stój! – zawołał, wychylając się z samochodu. Kobieta przystanęła zdziwiona, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. I wtedy bmw przejechało przez pasy, dosłownie ocierając się o wózek. Policjant zdążył jeszcze dostrzec uśmiech na twarzy młodego człowieka, który mówił coś do siedzącej obok dziewczyny, po czym samochód odjechał, nabierając prędkości.

Policjant wyskoczył z auta i podbiegł do oszołomionej kobiety.

– Nic się nie stało? – Raczej stwierdził, niż zapytał.

– Pierdolony chuj! – warknęła, patrząc w ślad za odjeżdżającym bmw.

– Mało brakowało.

– Żeby ci pies odgryzł jaja i zeżarł bez musztardy, ty jebańcu! – Pomachała za piratem zaciśniętą drobną pięścią.

– Niech się pani uspokoi, na szczęście nic się nie stało.

– Co, kurwa, się uspokoi, jak on by mi rozjechał właśnie Eryczka!

– Co rozjechał? Jaką ryczkę⁴? – Drązkowski nie rozumiał, o co jej chodzi.

– E-ryczka! Mojego dziecioka by rozjechał i wózek jeszcze, kurwa! Eryczek, nie rycz! Ja pierdołę, idziemy do chaty, bo się, kurwa, zgrzałam z tych nerwów.

Złapała za rączkę wózka, popchnęła go przed sobą w kierunku chodnika i dalej ku nowym blokom, postawionym tu na Podolanach dwa lata temu. Nawet nie pomyślała, by podziękować człowiekowi, który uratował jej dziecko. Ale Przemek nie myślał o podziękowaniach. Najważniejsze, że wszystko dobrze się skończyło. No i jeszcze jedna kwestia była dla niego ważna. Jego nowy, kupiony w internecie wideorejestrator musiał wszystko to zapisać. Piratowi więc się nie upiecz. W domu sprawdzi nagranie, a jutro rano przekaże je chłopakom z drogówki. Bo Przemek był policjantem z pasją, który poszedł do policji z pełnym przekonaniem, że w jej szeregach będzie walczył z ludźmi łamiącymi prawo. Uważał, że takich jak ten – wariatów za kierownicą – trzeba karać jak najsurowiej, bo jak często powtarzał, są to bandyci uzbrojeni nie w pistolety, ale w szybkie samochody, a one są jak broń w nieodpowiedzialnych rękach.

Wsiadł do passata i ruszył ulicą Szarych Szeregów. Nawigacja w telefonie pokazała mu, że powinien teraz skręcić w lewo, w uliczkę wzdłuż baraków. To na samym końcu znajdował się plac z kruszarnią betonu. Niezbyt ciekawe sąsiedztwo dla biur i małych firm, które działały w tych niskich, parterowych zabudowaniach, pomyślał. Jeszcze na dodatek oprócz hałasującego i zgrzytającego przez pół dnia potwora, żywiącego się gruzem, za plecami był tor kolejowy prowadzący z Poznania do Piły. Jakbym musiał tu pracować, to pewnie bym był taki podminowany i wiecznie wkurzony jak ta młoda matka. Spojrzał na chodnik po prawej, na którym w oddali było jeszcze widać oddalającą się sylwetkę kobiety z wózkiem i Eryczkiem w środku.

Wjazd do kruszarni był szeroko otwarty. Na parkingu dostrzegł od razu kilka busów, które przywiozły młodych policjantów z Taborowej. Podjechał bliżej, zastawiając wyjazd jednemu z nich.

– No i gdzie się pchasz, baranie? Nie widzisz, że blokujesz wyjazd? – zawołał chłopak z dwoma belkami na pagonach. Stał oparty o auto i palił papierosa.

Przemek spojrzał na swój samochód, a potem na przestrzeń między nim a policyjnym wozem.

– No rzeczywiście, nie dasz rady wyjechać – stwierdził.

– To jedź pan stąd, bo tu się odbywa policyjna akcja.

– Jak akcja, to ja idę ją sobie zobaczyć, a ty, jak będziesz chciał wyjechać, to będziesz musiał albo podskoczyć z tą swoją furą, albo grzecznie mnie poprosić.

– Co kur...

– I nie przeklinaj, żebyś później nie żałował.

Drażkowski otworzył tylne drzwi i sięgnął po odblaskową kamizelkę z napisem „POLICJA”. Założył ją, skinął głową chłopakowi i ruszył w kierunku grupy policjantów w roboczych mundurach, rozgrzebujących łopatami gruz. Przemek już wiedział, z czym będzie tu miał do czynienia, bo wyjaśnił mu to przez telefon jego kolega, aspirant Bury.

– Słuchaj, znaleźliśmy tu rękę jakiejś dziewczyny. Przemielila ją kruszarka do gruzu i teraz szukamy, czy jeszcze coś się znajdzie.

– Znaczy, że macie jakiś tatuaż? – domyślił się Przemek. – Bo jakbyście nie mieli, tobyście mnie nie zapraszali na oględziny.

– Musisz to sam zobaczyć.

– Co?

– Skórę z tatuażem.

Przemek Drażkowski uchodził w firmie za specjalistę od tatuaży. Stał się nim zupełnie przypadkowo. Wszystko dzięki swojej żonie, która uwielbiała smoki w każdym wydaniu. Gdy po raz pierwszy zobaczył ją nago, okazało się, że ma nie tylko pięknie wytatuowane smoki na ramionach, których cielska schodziły w dół rąk, a zębate paszcze opierały się na wierzchach jej dłoni, o czym już wiedział, ale znalazł też smoka na pośladku i kolejnego na łopatce. Alex powiedziała mu wówczas, że chce jeszcze jednego na piersi, a poza tym, jeśli już mają być ze sobą, to i on powinien mieć swojego dragona. Wcześniej nawet tego nie rozpatrywał, ale skoro podsunęła mu ten pomysł... Zaczął się zastanawiać i w końcu podjął decyzję.

– Zrobię sobie smoka na ramieniu, takiego samego jak ten twój. – Wskazał na tego na prawej ręce. – Niech ten twój tatuażysta zrobi mi lustrzane odbicie i będziemy połączeni smokami.

– Jutro umówię cię z Pawłem. On jest najlepszy – powiedziała bardzo zadowolona.

Poszedł, trochę się obawiając, że to tatuowanie będzie nieprzyjemną i bolesną operacją, ale szybko okazało się, że ten Paweł jest prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Pięknego smoka wydzierał mu w ciągu trzech sesji, a ból wcale nie był taki, jak początkowo sobie wyobrażał. Z radością oglądał w lustrze efekty pracy tatuażysty i z pewnym niepokojem patrzył na przerwy w robocie. Bo Paweł co jakiś czas odkładał urządzenie, gdy w jego niewielkim zakładzie pojawiał się jakiś nowy klient. Zostawiał wtedy Drażkowskiego samego i szedł z klientem na zaplecze, po chwili wracał, a gość wychodził. Z żadnym z nich nie omawiał kwestii związanych z tatuażami. Gdy Drażkowski przyszedł do niego po raz pierwszy z Alex, przez ponad godzinę ustalał szczegóły, a Paweł w tym czasie skrupulatnie obfotografowywał ramię dziewczyny, by zrobić dokładną kopię. Ustalili wtedy jeszcze jeden szczegół, że smoczy łeb nie może, niestety, tak jak u niej pojawiać się na wierzchu dłoni i musi kończyć się na przedramieniu, żeby nie wystawał spod mankietu koszuli, bo głupio by wyglądała taka paszcza wysuwająca spod munduru. Nie zdradził jednak tatuażysty, że jest policjantem. Wolał się takimi rzeczami nie chwalić. I wkrótce okazało się, że dobrze zrobił.

Przez te trzy sesje, gdy powstawał jego smok, do gabinetu na te krótkie rozmowy przyszło szesnastu ludzi. Każdy witał się, pytał grzecznie, czy można się zapisać na tatuaż, znikał z Pawłem na zapleczu i zaraz wychodził. Większość z nich wyglądała dość niechlujnie, co policjanta Drażkowskiego naprowadziło na słuszny trop. Gdy podczas

ostatniego seansu smok był już niemal na ukończeniu, zabrakło mu tylko kolorów na łbie, przyszedł do zakładu brodaty chudzielec z długimi włosami. Przemek nie wytrzymał i zakradł się na zaplecze. Wszedł tam akurat w momencie, gdy chłopak płacił. Na stole leżał woreczek z białym proszkiem.

– Niech pan wraca do pracowni – rzucił Paweł, pewnością siebie maskując zmieszanie. – To nie są pana sprawy.

– Mylisz się, kolego. Sprzedawanie prochów to jak najbardziej moja sprawa.

Sięgnął do kieszeni i wydobyl z niej policyjną blachę. Zatrzymał obu: i handlarza, i klienta. Ten drugi potrzebny mu był do złożenia obciążających tatuazystę zeznań. Narkoman zrobił to z największą ochotą, gdy dowiedział się, że w nagrodę zostanie wypuszczony na wolność i nie dostanie żadnych zarzutów. A Paweł Łapa poszedł siedzieć za handel narkotykami. W jego biurze podczas rewizji natrafiono na prawie pół kilo kokainy. I w ten oto sposób Przemek miał na ręce niedorobionego smoka, ale zyskał na tym, bo nie zapłacił za robotę ani grosza. Za to w swoim wydziale w komendzie miejskiej stał się natychmiast ekspertem od kwestii związanych z tatuażami.

– No co tam macie? – Podszedł do siedzącego na polowym krzeselku Janka Burego. Aspirant w skupieniu przypatrywał się zawartości kuwet rozstawionych na długim blacie rozkładanego, przenośnego stołu.

– O, jesteście! – ucieszył się, usłyszawszy głos kolegi. Odwrócił się do niego zadowolony. Na drugim krzeselku siedział Bartek Drogosz z aparatem fotograficznym zawieszonym na szerokim pasku.

– Porobiłem już dla ciebie fotki – rzucił Bartek na jego widok. – Na nich lepiej widać niż na tym tu. – Wskazał na coś, co wyglądało jak kawał przybrudzonego materiału leżącego w jasnej kuwecie.

– W sumie to mieliśmy szczęście, że tego nie zmieliła maszyna. – Bury był najwyraźniej zadowolony ze znaleziska, mimo że to, co znajdowało się w kilku pojemnikach, sprawiało upiorne wrażenie. Kawałki zgruchotanych kości, skóry i mięśni, w końcu większe fragmenty, czyli dłoń z przedramieniem, od której wszystko się zaczęło, połówka stopy i kawałek łydki z kością piszczelową, wszystko to przypominało dekorację z kiepskiego horroru. – To jest jak teksańska masakra piłą łańcuchową, nie? – rzucił Bury, gdy Przemek zaczął przyglądać się kuwecie wskazanej przez Drogosza. Płat skóry przywierał do kawałka kości. Zapewne był to fragment zgruchotanego ramienia. Na skórze widać było prosty, czarno-biały tatuaż przedstawiający krzyż, zza którego promieniście rozchodziły się kreski będące zapewne graficznym przedstawieniem bijącego od niego światła. Pod spodem widniał łaciński napis LUMEN VERUM.

– I co ty na to? – zapytał Bury.

– Prosty tatuaż. – Przemek wydał pierwszą ekspertyzę. – A napis trzeba by sprawdzić w słowniku, bo łaciny nie znam, ale lumen to pewnie coś ze światłem. A tatuaż bez wartości artystycznej. Raczej symbol jakiś.

– Czyli że co?

– Niedroga sprawa. Takie tatuże pięć na pięć centymetrów to jakieś dwie stówki. Nie miał z tym za dużo roboty ten, co to wykonywał.

– Aha. A wiesz, kto to robił?

– Zwariowałeś? To mógł być każdy. Trzeba się będzie rozpytać, znaczy pochodzić po studiach tatuazu.

– No to przynajmniej już coś wiemy. – Bury się ucieszył. To jak, zajmiesz się tym?

Przemek wzruszył ramionami. Sprawdzanie tatuażowni nie było jakimś skomplikowanym zajęciem, a przez ostatnie dwa lata zdążył poznać już kilka takich miejsc.

– Spoko, dam radę. Jutro zacznę od rana. Może się czegoś uda dowiedzieć. No chyba że ona nie jest z Poznania. Wtedy trzeba będzie wrzucić fotkę na forum tatuazowe i liczyć na szczęście. Wyślij mi te zdjęcia. Ale tylko tatuazy, bez tych wszystkich flaków, bo zbyt wrażliwy jestem. – Wskazał na kuwety ze szczątkami.

– No to, panowie, mamy coś ciekawego. – Do stolika podszedł doktor Pawlicki, anatomopatolog, z kuwetą w rękach.

– Samorodek złota? – zażartował Bury.

– Lepiej, panowie, lepiej. Patrzcie się. – Postawił naczynie na stole. Dwaj śledczy i fotograf pochyłili się nad znaleziskiem.

– Co to jest, doktorze? – zapytał Przemek, patrząc na bezkształtną masę.

– Kawalek szyi i tchawicy.

– No i co w tym takiego ciekawego? – Bury nie dostrzegł w tym fragmencie niczego osobliwego.

– Spójrzcie na tę krawędź. – Lekarz wskazał coś końcówką długopisu. – Równe cięcie – wyjaśnił. – Tego nie rozszarpała kruszarka. To jest cięcie od noża. Ktoś poderznął naszej dziewczynce gardło, zanim trafiła do tej pieprzonej maszyny.

Okolice Dusznik

Godzina 18.20

Biały motocykl Suzuki zwolnił nieco, tak by płynnie zjechać w prawo na stację benzynową. Maszyna podjechała pod dystrybutor paliwa, a prowadząca ją dziewczyna zeskoczyła z fotela. Rozejrzała się, ale nigdzie nie dostrzegła gościa od nalewania. Musiała się więc obsłużyć sama. Zdjęła kask i rękawiczki, po czym sięgnęła po pistolet dystrybutora. W zasadzie nie musiała uzupełniać benzyny, bo miała jeszcze połowę baku, ale robiąc dolewkę, uzasadniała przed samą sobą przyjazd na stację. Właściwy cel był zupełnie inny. Była głodna, więc musiała tu zjechać, żeby zjeść swojego ulubionego hot doga. Nie była jednak typem żarłoka, o czym najlepiej świadczyła jej szczupła sylwetka. Przy wzroście 165 centymetrów ważyła zaledwie pięćdziesiąt kilogramów. Wszystko przez to, że jadła dość nieregularnie i zazwyczaj w pośpiechu. Rano pochłaniała najczęściej owsiankę albo płatki, później kanapkę przygotowaną przez mamę. No chyba że było dużo pracy, wtedy o kanapce zapominała. Moment krytyczny nadchodził późnym popołudniem, gdy wracała do domu, w którym czekał na nią obiad. Często zdarzało się, że gdy dojeżdżała do stacji benzynowej położonej jakieś dziesięć kilometrów przed Dusznikami, zaczynała odczuwać takie ssanie w żołądku, że za nic nie mogła się powstrzymać. Tak właśnie było dzisiaj.

Naląła do pełna i poszła do kasy. Właściciel stacji, łysy jak kolano, otyły sześćdziesięciolatek Benon Szkudlarek, siedział na wysokim fotelu i patrzył w telewizor.

– O, Anetka, co tam sobie życzysz? – Uśmiechnął się, gdy dostrzegł smukłą postać w czarnym motocyklowym kombinezonie.

– Osiem litrów zmieściłam – wyjaśniła. – No i jeszcze niech mi pan da...

– Z kabanosem czy parówką?

– Yyy... niech będzie z kabanosem – odparła z namysłem, tak jakby się naprawdę zastanawiała. A on znów się uśmiechnął, bo doskonale wiedział, co dziewczyna wybierze.

– Cołę weź sobie z lodówki.

– A gdzie jest Romek? – Rozejrzała się, ale pracownika nigdzie nie było widać. To ją trochę zdziwiło, bo chłopak był tu zawsze. Zresztą podobnie jak pan Benek, którego знаła jeszcze z dawnych czasów, ponieważ kolegował się z jej ojcem. Szkudlarek pracował na tej stacji jeszcze za czasów komuny. To wtedy właśnie się poznali, gdy paliwo było na kartki i żeby jeździć, trzeba było kombinować. Więc Benek kombinował i sprzedawał benzynę na lewo, poza kartkowym systemem, swojemu znajomemu mechanikowi, a ten opychał ją klientom. Obu ten biznes się opłacał, bo zyskiem dzielili się sprawiedliwie po połowie. A gdy skończyły się czasy kombinowania i rozpoczął proces transformacji ustrojowej, obaj koledzy stali się nagle z dnia na dzień biznesmenami. Ojciec Anety odszedł z państwowego Polmozbytu, a Szkudlarek CPN, na którym pracował, wziął w ajencję, by po jakimś czasie wykupić stację na własność.

– Romek chory, leży w domu.

– A co mu się stało?

– Diabli go wiedzą. Jakiś przeziębiony czy coś.

– E, jak przeziębienie, to za kilka dni wróci do pracy.

– Dobrze by było, bo tu niby ruch u nas niewielki, ale czasami to człowiek nie wie, za co się chwycić. Ale jak patrzyłem na niego, jak mi tu łąził i churlał przez ostatnie dni, to ja mu powiadam: „Idź ty, Romek, na L-4, bo mi tu klientów tym kaszleniem straszysz”.

– Tak mocno go wzięło?

– No, zasadniczo to przedwcześniej, jak był ostatni raz, to ledwo się na girach trzymał. Kazałem mu iść do lekarza, wziąć jakiś antybiotyk i do łóżka. Teraz pora zdradliwa, jak to wiosną. Niby już słończko przygrzewa, ale jeszcze zimno za dnia, a nocą to nawet przymrozki. To i nic dziwnego, że wiara choruje. I jeszcze nam do kraju zwożą jakiego świrusa z Chin. Jeden gość z Zielonej Góry już go złapał. Ale mówili dziś w telewizji, że następni zarażeni już się dali wykryć. A ten z krzywą gębą, no jak on się nazywa, ten premier...

– Morawiecki.

– No właśnie, to on gadał dziś, że może trzeba będzie zamknąć na dwa tygodnie szkoły i uczelnie wyższe. To znaczy się, że nie jest najlepiej... – Wydobył bułkę z opiekacza i spojrzał na Anetę. – Keczup i musztarda?

– Jak zwykle, panie Benku.

– Jakbym nie wiedział, he, he!

Wcisnął do środka kabanosa i podał jej gotową kanapkę.

– Nie znam się na tym – stwierdziła, wyciągając z plecaka portfel, a z niego kartę płatniczą.

– Na czym się nie znasz?

– Na tych wirusach.

– Ano właśnie, na tym nie trzeba się znać. Wirusy są groźne dla ludzi, jedne mniej, inne więcej. A taki wirus grypy, na przykład, to teraz prawie jest niegroźny, ale kiedyś, zaraz po pierwszej wojnie światowej, to wew całej Europie to zabił sto milionów ludzi. Wiem, co powiadam, bo oglądałem o tym na Discovery film...

– To dawne czasy, dziś medycyna zrobiła takie postępy, że raz-dwa sobie poradzą z tą chorobą – rzuciła uspokajającym tonem, choć wcale nie była taka pewna, czy rzeczywiście tak będzie. Te wszystkie informacje o zachorowaniach, szczególnie we Włoszech, mogły budzić niepokój. No a przecież do Włoch co roku jeździło sporo Polaków na narty. Więc oni mogą stanowić potencjalne źródło zagrożenia dla innych. Myślała o tym, ale nie powiedziała tego na głos. Po co starego Benka denerwować. I tak już był dostatecznie przygnębiony całą tą sytuacją ze swoim pracownikiem. Na szczęście Romek nie jeździł na wakacje do Włoch. A ci właściciele samochodu z Rokietnicy, owszem. Oni mogli pozwolić sobie na takie wakacje. Dowiedziała się tego od ich sąsiadki.

– Dzień dobry, podkomisarz Aneta Nowak z policji. Zna pani swoich sąsiadów z naprzeciwka?

– No, a co?

– Nie ma ich w domu.

– No nie ma. Bo są wyjechani.

– A znacie się dobrze?

– No zasadniczo to się znamy już od czterech lat.

– To może wpuści mnie pani do środka, bo tak na korytarzu to się wcale dobrze nie rozmawia – zaproponowała Aneta. Sąsiadka Waszutów, młoda, może dwudziestopięcioletnia dziewczyna o kasztanowych, krótko obciętych włosach i dość solidnie zbudowanej sylwetce, przewyższała ją o głowę.

– A pani to na pewno jest z policji? – zapytała, nie do końca pewna, czego się może spodziewać po tej rudowłosej dziewczynie, ubranej w strój motocyklistki.

– Proszę bardzo. – Aneta wyciągnęła z kieszeni blachę.

– No dobra, niech pani wchodzi. Możemy pogadać, byle nie za głośno, bo mój Fabianek ogląda telewizję i nie lubi, jak się za głośno gada, jak leci *Psi patrol*. Nie dałam go dziś do przedszkola, bo trochę cherła. Po co go mocniej przeziębiam. Niech posiedzi w chacie i se popatrzy na telewizję.

– To nie musimy przecież rozmawiać tam, gdzie on ogląda...

– W kuchni mam gemelę⁵, bo wie pani, jak to jest z małym dzieciakiem. Ale możemy tam usiąść na chwilę. – Wskazała pomieszczenie na prawo. Aneta weszła do małej kuchenki, w której meble pod zabudowę zapełniały dwie ściany, a do kolejnej, tej pod oknem, przyklejony był stół na dwóch nogach. Na stole rzeczywiście panował niemiłosierny bałagan, tak jakby nie sprzątno tu od tygodnia. Garnki, naczynia i pudełka po jakichś płatkach stanowiły mieszanekę świadczącą dobitnie, że gospodyni jest wyjątkową fleją. Obrazu estetyczno-sanitarnej katastrofy dopełniał dwukomorowy zlew, pełen brudnych naczyń.

– Niech se pani siądzie. – Kobieta wskazała krzesło stojące przy stole. Aneta odsunęła je i zanim usiadła, najpierw spojrzała na siedzisko, czy aby nie jest czymś wysmarowane. Na szczęście było czyste.

– To mówi pani, że pojechali do Włoch na narty?

– No, jakieś dwa tygodnie temu. Chyba dwa tygodnie...

– A wie pani, co zrobili z samochodem?

– Jak co? No samochodem pojechali na narty, nie? Przecież do Włoch się jeździ autem, bo to w górach jest i tam w górach to chyba nie ma lotniska.

– W górach też bywają.

– Jak lotniska w górach? Przecież samolot mógłby w taką górę uderzyć.

– Nieważne. To znaczy, że to nie jest najważniejsze. Chodzi mi tylko o pani sąsiadów, bo musimy coś sprawdzić. Niech mi pani powie, jaki on mają samochód?

– Skodę fabię. Taki sam jak nasz. Tylko że my mamy toyotę. Ale one są do siebie podobne, bo i nasz, i ich są czerwone. A jak tu na parkingu, na dole pod blokiem, stały obok siebie, to raz nawet się pomyliłam i chciałam wsiadać do ich auta, hi, hi!

– Czym się zajmują?

– Kto?

– Pani sąsiedzi.

– A, oni... Marek jest... No on robi, no takie te... No jak to się nazywa, bo zapomniałam. Jak ktoś nie wie, co zrobić z forszą, to on jemu podpowiada, żeby zainwestował tą swoją kasę w fundusz. O właśnie, jest doradcą finansowym. I jemu się daje kasę, i on ją inwestuje w różne akcje i transakcje, i różne tam. I jak się da jemu sto tysięcy, to on po roku daje gwarancję wypłaty, że będzie o dwa tysiące więcej. On mówi, że to lepiej niż mieć na koncie, bo na koncie ma się tylko pół procenta w roku, a on daje aż dwa tysiąki.

– A jego żona?

– Marzena jest fajna. Jak jest w chacie, to czasem do mnie wpada. Zawsze sobie pogadamy, bo ona to ma takie ciekawe rzeczy do powiedzenia. Znaczy się, że ona się zna, bo zajmuje się leczeniem.

– Jest lekarką? – domyśliła się Aneta.

– Mamo, mam, cipsy się skończyły. Mamo, mam, cipsy, daj mi cipsy! – Rozmowę przerwało rozpaczliwe wołanie z głębi mieszkania.

– Już idę, Fabianku. Już ci niosę.

Otworzyła szafkę nad mikrofalą, włożyła rękę do środka i wydobyła z niej wielką pakę chipsów.

– Fabianek najbardziej lubi te serowe – wyjaśniła, wyciągając je z szafki. Uśmiechnęła się i poszła z paczką paszy dla dziecka do pokoju, w którym *psi patrol* ratował właśnie ludzkość przed kolejnym zagrożeniem. Po chwili była już z powrotem w kuchni. Usiadła naprzeciw Anety.

– Fabianek uwielbia ten *Psi patrol*. Nawet powiedział, że chciałby mieć psa. To my się zastanawiamy, że może by mu kupić na urodziny jakiegoś zwierzaka, na przykład chomika, tak na próbę, żeby zobaczyć na takim małym czymś, czy Fabianek się nim będzie

opiekował. Bo większego to szkoda. A jak chomika zameczy i zdechnie, to mniej szkoda, jakby miał królika albo psa. Co nie?

– Zwierzęta to nie zabawki – rzuciła oschle Aneta. – Nie można dziecku pozwalać na dręczenie zwierząt. Nawet chomików.

– Ale przecież chomiki są takie małe, że jakby zdechł, toby się nic nie stało wielkiego.

– Takie małe też cierpią.

– Tak? Niemożliwe! No to może rybki do akwarium. Jak rybka zdechnie, to ona jeszcze pływa, tylko do góry brzuchem. One zasypiają, co nie? Mówi się przecież, że są śnięte. Tak jak psy się usypia, a nie zabija.

Aneta pokręciła głową z niedowierzaniem. Skąd się biorą tacy durni ludzie?, pomyślała, ale nie miała czasu na wyjaśnianie złożoności świata i kwestii właściwego podejścia do zwierząt. Ciekawe, co by powiedziała ta idiotka, gdyby zobaczyła jej psa, który miał trzy łapy. Pewnie takiego kalekę zawiozłaby natychmiast do uśpienia.

– To czym się zajmuje ta sąsiadka Marzena?

– Medycyną alter... aktywną, znaczy alternatywną. Leczy ludzi różnymi suplementami i odchudza ich od razu, znaczy się robi specjalne diety. A do tego jeszcze instaluje odpromienniki, żeby odbijały promieniowanie kosmiczne. No wie pani, takie szkodliwe, co powoduje różne choroby. Jak kto ma takie odpromienniki, to może być spokojny, bo promieniowanie się nie dostanie do domu. One chronią wszystkich, co w mieszkaniu mieszkają, nie tylko od tego promieniowania kosmicznego, ale nawet od tego, co rozpylają samoloty.

– Samoloty coś rozpylają?

– To pani nie widziała? Jak samolot leci, to za nim na niebie taka kreska się robi, nie? No właśnie to są takie środki chemiczne, co rozpylają koncerty farmakologiczne, żeby ludzie chorowali na różne choroby i żeby później od tych koncernów kupowali lekarstwa. To jest sprawdzone naukowo. Jak pani nie wierzy, to niech pani se poczyta w internecie. Na takiej stronie, co się nazywa Naga Prawda. Tam jest cała prawda napisana o koncernach, zatrucaniu wody i o tym, jak Chińczycy zrobili w laboratorium tego wirusa i wysłali do nas. Ale jak kto ma te odpromienniki w chacie, to może się tego wirusa nie bać. Ale inni muszą uważać. Podobno na dworze, jak się wychodzi z domu, to najlepszą ochroną jest czapeczka. Może być nawet zwykła bejsbolówka, tylko że trzeba ją od środka wyłożyć folią aluminiową. Taką kuchenną, srebrną folią...

Aneta pożegnała się ze starym Szkudlarkiem i wyszła ze sklepu na podjazd. Zakładając kask, przypomniała sobie opowieść sąsiadki o promieniowaniu i samolotach rozpylających chemikalia. Spojrzała w górę. Akurat nad jej głową leciał jeden i rozpylał. Na szczęście miała kask, chociaż nie był wyłożony folią.

Skąd się biorą tacy debile?, pomyślała, uruchamiając motocykl.

Poznań

Godzina 20.20

– Jak to, kurwa, możliwe?

– Nie mam zielonego pojęcia. Po prostu wygląda to tak, że film mi się urwał.

– Kiedy?

– Tego nie wiem dokładnie. Tak jakbym coś pamiętał. Takie, wiesz, przebłyski, ale nie całe sceny. Wygląda to tak, jakbyś oglądał film w kinie i nagle zaczęła się psuć ta maszyna do wyświetlania. Na ekranie widzisz jeden obrazek, potem wszystko gaśnie, robi się ciemno i zaraz jest kolejny obraz, i tak kilka razy.

– I co wtedy widzisz? To jest, kurwa, bardzo ważne, więc sobie przypomnij.

Adam Włodarczyk zmrużył oczy, jakby próbował mocniej skupić się na tamtej nocy. Pamiętał rzeczywiście niewiele, ale do pewnego momentu wszystko dokładnie. Potem następowały sekwencje obrazkowe i w końcu to nieszczęsne przebudzenie. Jego kolega, adwokat Michał Słomianny, z którym przyjaźnił się od czasów szkoły podstawowej, w pierwszej chwili nie uwierzył w tę jego opowieść. Ale gdy pokazał mu zdjęcia przesłane przez szantażystę, zaczął analizować sprawę pod kątem szans na wygraną w sprawie o morderstwo. Spotkali się wieczorem w kancelarii Słomiannego, bo o tej porze już w niej nikogo nie było. Mogli więc rozmawiać bez obawy, że ktoś usłyszy, o czym mówią.

– No więc wtedy gdy spotkaliśmy się w tej knajpie, tam na rynku, i wyście już poszli do domu, to pamiętasz, że ja tam zostałem. To znaczy wypłem jeszcze jedno piwo, a potem zrobiłem największą głupotę w moim życiu, bo poszedłem jeszcze do baru...

– No wiem, widziałem, dokąd idziesz, jak wychodziłem...

– Kurwa, ale ze mnie jest kretyn. Jak mogłem się tak wpierdolić?

– Przestań biadolić i mów dalej. Musimy ustalić mapę szczegółów. No więc co się wtedy dalej działo?

– Dalej to przysiadła się do mnie ta laska ze zdjęć. No wiesz, ta zabita...

– No domyślałam się. I co?

– I pamiętam, że z nią rozmawiałem o życiu i w ogóle o różnych sprawach. No i oczywiście jej coś postawiłem, jakiegoś drinka. W sumie była całkiem fajna.

– Więc zaprosiłeś ją do siebie?

– No chyba tak, ale tego właśnie nie pamiętam. To znaczy tak mniej więcej pamiętam, że siedzimy w tej knajpie, a potem idziemy na zewnątrz palić.

– Przecież ty nie palisz?

– No niby nie, ale wiesz, ona paliła, a nie chciałem chyba jej zostawiać samej...

Włodarczyk wstał z głębokiego, pokrytego czarną skórą fotela i podszedł do okna. W dole rozciągała się ulica Młyńska. Jego przyjaciel miał biuro w doskonałej lokalizacji, naprzeciw sądu i tuż obok więzienia. Z okien kancelarii widać było kawał muru i jedną ścianę przynębiającego gmaszyska aresztu śledczego.

– Jak tam jest? – zapytał, wskazując głową szary budynek.

– Ponuro – odparł prawnik.

– Ale chodzi mi o to, czy da się przeżyć. No wiesz...

– Wszędzie da się przeżyć. Tylko po co tam? Nie zastanawiaj się teraz nad tym, bo to nic nam nie da. Na razie cię nikt nie zamyka w więzieniu. Zróbmy wszystko, żebyś tam nie trafił. Dlatego tak ważne jest ułożenie sobie po kolei wszystkich obrazków.

Adam wrócił na fotel i nalał sobie wody mineralnej do szklanki. Wypił trochę, po czym sięgnął po leżące na stole papierosy. Zapalił.

– Widzisz, ja wcale nie palę. To znaczy kiedyś, za dzieciaka, się paliło ćmiki. Ale potem człowiek zmańdrał. A wtedy wyszedłem z nią... Sam rozumiesz. Młoda, fajna laska, która jeszcze na dodatek trochę leci na ciebie. A tam, na zewnątrz pełno młodszych samców, którzy tylko czekają, żeby wyrwać jakąś dziewczynę. To poszedłem z nią zapalić.

– No rozumiem, ale nie interesuje mnie twoja motywacja. Nie interesuje mnie też, o czym rozmawialiście. Mów tylko o tym, co istotne. – Prawnik nie lubił tracić czasu na niepotrzebne dywagacje. – Ostatni moment, który pamiętasz wyraźnie. No wiesz, zanim zaczęły ci się pojawiać te przebłyśki świadomości.

– Jak siedzę przy barze i zamawiam. I wtedy Iga mówi, że ona chce krwawą mary, tak jak ja.

– A jej nazwisko?

– Nazwiska na pewno nie podała. Zresztą po co miałbym pytać o nazwisko?

– No to wiemy, jak wyglądała, i znamy imię. To już jest coś na początek.

– A po co niby to wszystko?

– Mów dalej, co pamiętasz, a na koniec ci powiem, po co to wszystko. No i co w ogóle o tym myślę.

– Przyszły te drinki i ja poszedłem do ubikacji. Potem wróciłem i znów zaczęliśmy rozmawiać...

– I poszliście do ciebie do domu, tak?

– W końcu tam trafiliśmy jakoś. Tylko to już było na tym zerwanym filmie. Bo pamiętam jeszcze knajpę, że siedzimy. Jakiś facet coś chce od Igi, ale ona mu mówi, że ma spadać. Potem jeszcze stoimy na rynku i się całujemy. Kurwa, ja pierdołę, na środku rynku całowałem się z jakąś laską. Przecież to wszyscy mogli zobaczyć. Ktoś mógł zobaczyć i strzelić mi fotkę. Co ja sobie myślałem?

– Raczej nic nie myślałeś. To się zdarza, jak facet zaczyna myśleć kutasem i wyłącza mózg. Mów, co dalej.

– Nie pamiętam drogi do domu. Następny obrazek to już w mieszkaniu jest. Otwieram flaszkę łyśkacza, nalewam jej do szklanki i sam pociągam z butelki. A ona swoim dowodem osobistym formuje na blacie stolika kreskę amfy. I wciąga...

– Dowodem osobistym! Pamiętasz ten dowód wyraźnie?

– Też, rzeczywiście. Ja jej ten dowód wyciągnąłem z ręki. Teraz pamiętam. Ona wciąga kreskę, a ja mówię, że muszę sprawdzić, czy nie jest małolatą, żebym nie został oskarżony o molestowanie dziecka. Tak jej powiedziałem i sprawdziłem, że ma dwadzieścia lat i się nazywa wcale nie Iga, tylko Jadwiga Jaworska...

Prawnik natychmiast zapisał imię i nazwisko w notesie.

– No widzisz, jak pięknie sobie wszystko przypomniałeś. Co potem?

– No pamiętam tyle, że jesteśmy w sypialni, no i wiesz...

– Co wiem?

– Uprawiamy seks. To tylko tak przez chwilę pamiętam. Ale na sto procent ją przeleciałem. I później pamiętam tylko to przebudzenie. Koszmar, kurwa. Zresztą widziałeś

zdjęcia.

– Tak, widziałem... – Prawnik jeszcze coś zanotował, a potem spojrzał uważnie na Adama. – Obudziłeś się, zobaczyłeś zarzniętą dziewczynę i od razu zadzwonił telefon?

– Najpierw poszedłem do kibla, a dopiero potem zapaliłem światło i zobaczyłem ją... i on wtedy zadzwonił.

– Tak jakby czekał na moment, kiedy się obudzisz?

– No prawie tak to wyglądało. Zaraz, czy chcesz powiedzieć, że mnie ktoś cały czas obserwował albo co?

– Jeszcze nie wiem, ale mogło tak być. Zresztą wszystko zaczyna się tu składać w spójną całość.

– Co myślisz?

– Myślę, że ktoś celowo wrobił cię w tę całą historię. A stawka tej prowokacji jest bardzo wysoka. Tu musi chodzić o grubą forszę.

– Przecież ja nie mam forsy. Na koncie mamy odłożone zaledwie sześćdziesiąt tysięcy...

– Nie o twoją forszę chodzi, ale o twoje możliwości. Zostałeś wrobiony w morderstwo, obfotografowany z każdej strony, a zrobił to morderca twoim własnym telefonem.

– Skąd wiesz? – Adam nie dostrzegał jeszcze tego, co dla prawnika było oczywiste.

– Ktoś postanowił, że zrobi interes na kamienicach w Poznaniu, które nie mają uregulowanych praw własności. Te kamienice to przecież ogromny majątek. Więc trzeba tylko mieć dobrych prawników i przychylnych urzędników. Z prawnikami nie kłopot, bo za duże pieniądze przeprowadzą wszystko. Wiem, co mówię. – Adwokat uśmiechnął się lekko pod równo przyszytym czarnym wąsem. – Znam wielu swoich kolegów, którzy potrafią wyczarować coś z niczego. Daliby radę udowodnić, że człowiek, który umarł przed stu laty, przed śmiercią zdążył jeszcze zapisać swoją kamienicę na ciebie, ha, ha!

– Dobrze, że nie jestem prawnikiem.

– Jakbyś był, tobyś się nie szlajał z jakimiś małolatami po mieście. Niestety na ekonomii, widać, nie uczyli was ostrożności zawodowej.

– Nauczyli mnie liczyć i to jest najważniejsze. Jeśli ci gnoje chcieliby mnie mieć na własność, to dobrze trafili, bo rzeczywiście jest tak, że sprzyjający urzędnik może wiele pomóc. Tyle że nie wiedzą, na kogo trafili.

– Już wiedzą. Trafili na ćwoka, który dał się załatwić jak małe dziecko. I cała ta prowokacja poszła im zdecydowanie dobrze. Najpierw podstawili ci panienkę...

– Jak podstawili? Igę? Niemożliwe. Ona nie była podstawiona.

Prawnik z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Chłopie, obudź się wreszcie i popatrz na siebie. Czy ty myślisz, że jesteś jakimś pieprzonym Adonisem, na którego lecą wszystkie laski? Spójrz w lustro. Już nie jesteś wysokim przystojnym blondynem, ale czterdziestoletnim, lekko zgarbionym gościem z nadwagą i sporym brzuchem.

– Z jakim brzuchem? – obruszył się, bo nie uważał się wcale za starzejącego się gościa. Owszem, brzuch mu nieco urósł, ale przecież wcale nie rzucał się w oczy, no i dało się jeszcze go wciągnąć w niektórych sytuacjach.

– Nieważne jest to, co mówię o brzuchu. Istotne jest to, że panienki już na ciebie nie lecą, tak jak to było na studiach.

– Ciekawe...

– No to powiedz, ile lasek w ciągu ostatnich pięciu lat przysiadło się do ciebie w knajpie i zaczęło sympatyczną rozmowę?

– No były takie...

– Ile? Konkretnie!

– Nie pamiętam. Daj spokój. Czy ja muszę wszystko pamiętać?

– Wszystkiego nie musisz, ale takie rzeczy się zapamiętuje. No więc podsumujmy. Pierwsza od dwudziestu lat laska cię podrywa, idziecie do domu, tam się kochacie i wszystko by było pięknie, gdyby nie to, że dziewczyna nad ranem ma poderżnięte gardło. Co więc świadczy o tym, że ktoś zastawił na ciebie sidła? Po pierwsze zerwany film. Znam cię dobrze i wiem, że masz mocną głowę i po paru piwach wypitych w knajpie z nami i drinku film by ci się nie urwał.

– Też o tym pomyślałem. To było dziwne.

– Więc najprawdopodobniej momentem kluczowym było twoje wyjście do kibla. Wracasz i masz już w drinku jakiś narkotyk. To ona ci go wsypała. Później czeka, aż zacznie działać, i wtedy zabiera cię z knajpy. Na środku rynku całuje się z tobą, a ktoś, kto zabezpiecza tę akcję, robi zdjęcia. Tak na wszelki wypadek, jakby się coś później nie udało z kolejnymi elementami prowokacji, to byłoby chociaż coś. Takie zdjęcia przesłane do twojej żony na pewno by się jej nie spodobały. Ale nasi szantażyści chcą mieć pewność, że będziesz z nimi współpracował. Dlatego muszą mieć twardsze argumenty. Idziesz z dziewczyną do łóżka, a oni robią ci fotki, jak już śpisz goły i wesoły. Oczywiście z nią. Taki jest plan. Więc jak już jest po i ty śpisz, ona wpuszcza gościa, który ma zrobić te zdjęcia twoim telefonem. Zdjęcia z twoim udziałem mogłyby być ważnym argumentem w negocjacjach dotyczących Sołtysówki na Głogowskiej. Ale może mógłbyś się nie poddać takiemu szantażowi. Więc jest lepszy sposób. Facet wpuszczony do twojego domu zabija dziewczynę i robi jej zdjęcia. Na razie dostałeś zdjęcia zabitej, ale na pewno mają jeszcze wasze wspólne fotki i ciebie, trzymającego nóż...

– Kurwa.

– No właśnie. Widzisz, jaki piękny plan?

– Ale czemu ją zabili, a nie zrobili tylko tych gołych fotek?

– Bo na czymś im bardzo zależy, znacznie bardziej niż na życiu tej dziewczyny. Potrzebowali czegoś, czym będą mogli schwycić cię za jaja.

– To znaczy wierzysz mi, że to nie ja zrobiłem?

– Wiem, że nie jesteś jakimś pojebem, który byłby zdolny do takiego czegoś.

– Pomożesz mi w takim razie?

– Tak. Pomogę ci. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Chcę kamienicę, najlepiej gdzieś w okolicy Starego Rynku.

– Co? – Włodarczyk był tak zdumiony, że aż otworzył usta, zaniemówiwszy kompletnie.

– Ha, ha, ha! Żartowałem. Nic się nie martw. Wyciągnę cię z kłopotów. Ale musisz zrobić wszystko dokładnie tak, jak powiem. Przemyślę to, ułożę sobie w głowie plan i zrobimy tych skurwysynów na szaro.

Michał Słomianny wstał z kanapy i podszedł do solidnej, dębowej szafy, otworzył ją i wydobyl ze środka butelkę koniaku. Nalał do dwóch kieliszków i wrócił z nimi do stolika. Teraz, gdy już wszystkie kwestie zostały wyjaśnione, mógł się spokojnie napić z kolegą.

Duszniki

Godzina 22.15

Pies wabił się Pies. Nie było to szczególnie wymyślne imię, ale na takie tylko reagował. Chciała mu dać inne, ale próby z Reksem czy Dinem się nie powiodły. Pies przychodził, gdy zawołało się Pies. Na początku, gdy ten inwalida na trzech nogach przypalała się do niej, mówiła do niego w ten sposób, bo liczyła, że od kogoś dowie się, jak nazywał go jego dawny właściciel. Bo Pies miał swojego właściciela, z którym codziennie pokonywał trasę z domu pod sklep spożywczy, gdzie jego pan zasiadał na murku i pił wino albo piwo, w zależności od stanu portfela albo szczodrości przechodniów. Gdy mężczyzna siedział i pił, pies biegał po okolicy, szukając czegoś do jedzenia. Zdarzało się, że trafiał pod furtkę Anety, gdy ta wracała z pracy. Ona wówczas wyciągała swoje niedojedzone kanapki i dokarmała go w tajemnicy przed mamą.

Pies szybko uzależnił się od tego jej jedzenia. Nie wiadomo, w jaki sposób, ale doskonale się orientował, kiedy Aneta wraca do domu ze służby. Czekał zawsze pod bramą wiodącą na podwórko. Ona zatrzymywała motocykl, schodziła na podjazd wyłożony betonowymi trylinkami i wyciągała niejedzony chleb, pilnie obserwowana przez jej współnika w kanapkowym oszustwie. W końcu gdy właściciel zapił się na śmierć i któregoś dnia znaleziono go leżącego w przydrożnym rowie, samotny zwierzak przyszedł do niej. Nie miała serca odprawić psiaka. O schronisku nawet nie pomyślała. Otworzyła przed nim bramę, a on przyjął to jak naturalną kolej rzeczy. Pokuśtykał za nią na ganek, gdzie przygotowała mu prowizoryczne legowisko ze starego koca. I tak pies Pies stał się domownikiem zaznaczającym swoją obecność głośnym szczekaniem, gdy tylko w pobliżu pojawił się jakiś obcy człowiek.

Teraz też siedział na ganku i obserwował wszystko, co działo się przed nim na ulicy, gotowy do obszczekania każdego intruza. Patrzył też uważnie na zaparkowane przy chodniku czarne audi A6. Wewnątrz siedziała jego pani, więc był spokojny, ale i trochę czujny, bo za kierownicą siedział jakiś facet, który niezbyt mu się podobał.

– Dlaczego nie kupisz sobie porządnego psa? – zapytał Adrian.

– A co, ten jest nieporządny? – zdziwiła się, bo pytanie wydało jej się kompletnie idiotyczne.

– No nie, nie o to się rozchodzi. Tylko o to, że pies przed domem to powinien być taki, żeby wszyscy, którzy by chcieli tu wejść bez zezwolenia, wiedzieli, że jak spróbują, to taki pies odgryzie im nogę.

– Mam sporo do czynienia z bandytami na co dzień. Nie potrzebuję psiego bandziora.

– Ja nie mówię o niegrzecznym psie, ale takim szkolonym, co się słucha komend.

– Jak policjant?

– Ty chyba nie jesteś z tych, co się łatwo podporządkowują? – Adrian próbował się jakoś przebić przez jej pancierz, ale gdyby ją znał lepiej, to wiedziałby, że kobieta potrzebuje czasu, by nabrać do kogoś zaufania. Zresztą dziś było już za późno, chciało jej się spać i nie miała ochoty na dalsze pogaduszki.

– W pracy nie mam wyboru. Rozkazy trzeba wykonywać, niekiedy nawet te głupie. Ale w życiu prywatnym to coś zupełnie innego. Tu przydaje się umiejętność negocjacji.

Otworzyła drzwi.

– Dzięki za przejazdkę. Miło było pogadać – skłamała, uśmiechając się przy tym nieszczerze. Nie zauważył tego.

– Poczekaj.

– Co?

Pochylił się, jakby chciał ją pocałować. Odwróciła głowę, nadstawiając policzek po koleżeńsku. Speszony chłopak odsunął się.

– To co z tą kolacją? Może jutro? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Nie wiem, jutro mam służbę też po południu – skłamała. – Może lepiej, żebyśmy się zdzwonili?

– O, super. To jutro zadzwonię – ucieszył się, bo dała mu trochę nadziei. Mimo że wcale nie miała ochoty na kolejne spotkanie.

– Jeszcze raz dzięki i do zobaczenia. – Zatrzasnęła drzwi i poszła do furtki. Czujny Pies natychmiast zerwał się z posłania i wybiegł na chodnik, żeby ją powitać. Zatrzymała się, a on jak zwykle uniósł się na tylnych łapach i tę jedyną przednią oparł na jej udzie. Poczochrała go po głowie, a on zamruczał z rozkoszy.

– No, chodź do domu, bo noce jeszcze są za zimne na spanie na ganku.

Chyba zrozumiał, bo posłusznie poszedł za nią na posłanie w korytarzu. Pies bowiem miał dwie sypialnie: wewnętrzną przy kaloryferze na zimne dni i zewnętrzną – letnią, na ganku, w której sypiał od wiosny aż do jesieni.

– Jestem! – zawołała od progu i zaraz sobie uświadomiła, że to za późna pora na głośne anonsowanie swojego powrotu, bo mama chodziła spać o dziesiątej. Tata za to na pewno jeszcze siedział. On musiał codziennie przed snem obejrzeć *Szkoło kontaktowe* i później *Podsumowanie dnia*. Żył polityką i grzebaniem w silnikach. Mimo że już kilka lat temu zamknął swój warsztat, jeszcze od czasu do czasu reperował stare, wysłużone auta swoich znajomych. Oczywiście pod warunkiem, że nie trzeba było się grzebać w elektronice, bo tego niestety już nie potrafił robić. Był z epoki śrubokrętu i młotka, więc komputery pokładowe to nie była jego bajka.

Zdjęła kurtkę i buty i ruszyła do salonu. Tata siedział przed telewizorem, pochrapując cicho. Podeszła do niego i pocałowała go w czoło. Natychmiast się obudził.

– O, jesteś, Anetka. Jak tam?

– Dobrze, tato. Wszystko w porządku.

– He, he, zawsze mówisz, że wszystko w porządku. Ale ja nie pytam ogólnie, tylko o tego, jak on się nazywa...?

– Adrian.

- A na nazwisko?
- Foryś. Adrian Foryś.
- He, he, Aneta Foryś. Źle nie brzmi.
- No tato...
- Co się dziwisz? Przecież wiesz, jak mama czeka na wnuki.
- No wiem, ale...

Miała trzydzieści trzy lata i jak dotąd zajmowała się przede wszystkim swoją pracą. Owszem, próbowała spotykać się od czasu do czasu z facetami. Ale jakoś niewiele z tego wychodziło. Pierwsze randki z reguły wypadały dobrze, ale do drugich już nie dochodziło. Przekładała terminy w nieskończoność, więc faceci prędzej czy później sobie odpuszczali. Tak właśnie straciła kilka interesujących okazji i już nawet zaczęła myśleć, że być może małżeństwo nie jest jej pisane. W końcu rodzice wzięli sprawę w swoje ręce. Dokładnie mama.

– A pamiętasz tego Adriana od Forysiów, co jego mama jest krawcową? – zapytała jakiś miesiąc temu. – Kiedyś miała duży zakład, ale teraz zamknęła, bo ludzie to już tak niechętnie co szyją, jak wszystko na gotowo można dostać. W domu tylko przeróbki robi dla znajomych.

– No wiem przecież. U Forysiowej miałam przerabianą sukienkę do komunii – przypomniała sobie, pochłaniając poranne płatki z mlekiem.

– Bo ja byłam u niej niedawno, żeby mi poprawiła czerwoną garsonkę, bo się tak porozłaziła pod pachami...

– Trzeba ją wyrzucić i kupić nową.

– Łe, no patrzcie się ludzie, nową i pieniądze wydawać, jak tu za parę groszy można odszykować. Ale o czym to ja mówiłam. Aha, o Forysiowej. To wyobraź sobie, że ten Adrian, jej syn, wrócił z Anglii, bo tam miał jakąś firmę i ją odsprzedał, i odkupił od Mireckiego, tego, co robi okna plastikowe, cały zakład. Cały, ze wszystkim, bo Mirecki powiada, że on już za stary, a jego syn z tej Ameryki to nie chce wracać. No i ten szczun od Forysiów to teraz biznesmen całą gębą. Już na jesień wrócił i firma mu chodzi jak złoto, a Forysiowa powiada, że będzie budował dom. Wielki dom z garażem na dwa auta.

– To niech go mama pozdrowi ode mnie.

– He, he, sama se go pozdrowisz. Bo w niedzielę przyjdą tu na ciasto po obiedzie. Tak żeśmy się z Forysiową ugadały, no i wiesz... se pogadamy. A ty jego znasz jeszcze chyba ze szkoły?

– Tak, trochę go pamiętam. Niech sobie przychodzą. Ja nie mam nic przeciwko.

– Ale będziesz w niedzielę?

– No teraz akurat mam wolne.

– O, widzisz, to bardzo dobrze. Ino żeby ci żadnego dyżuru nie dali. Boby poruta była, jakby przyszli Forysie, a ciebie by nie było.

– He, he, a co to, w swaty przychodzą czy co... – rzuciła żartem i naraz uświadomiła sobie, po co to matka mówi. Ten Adrian Foryś, którego znała jeszcze z podstawówki, dwa

lata starszy od niej chudzielec o jasnych włosach, wrócił do kraju z forszą i teraz pewnie zaczyna się rozglądać za żoną.

– Właśnie sobie przypomniałam, że jednak w niedzielę pracuję.

– E, to nic, przyjdą w sobotę.

– W sobotę też.

Wstała od stołu, by jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– To na przyszły tydzień my się ugadamy! – Dogonił ją jeszcze z kuchni głos mamy, gdy wychodziła z domu na podwórko.

No i mama dopięła swego. Forsysowie przyszedli na słodkie i kawę, a Adrian okazał się całkiem sympatycznym facetem. Wymienili się numerami telefonów, na wszelki wypadek. Zadzwonił następnego dnia i umówili się na spotkanie. Przyjechał po nią do domu z kwiatami, które dał mamie, a potem zabrał ją swoim samochodem, żeby pokazać zakład...

Była przekonana, że pójdą gdzieś na kawę, a on od razu zawiózł ją do fabryki. Wtedy pomyślała, że chłopak żyje swoim biznesowym sukcesem, więc może po prostu jest szczery i chce się przed nią zaprezentować z jak najlepszej strony. Później było już normalnie: kawa, ciastka w Szamotułach, jakieś wspólne zakupy w Poznaniu i naraz znów strzał kulą w płot. Na trzeciej randce, kiedy zastanawiała się, czy nie powinna już się z nim pocałować, zawiózł ją do swoich rodziców. A tam prócz starych Forsysów jego siostra z mężem i z dziećmi, brat z żoną i kolejnymi dziećmi i ona, jako główna atrakcja dnia albo dodatek do obiadu. Bo tym razem mieli pojechać na wspólny obiad. Na pytanie dokąd powiedział, że to niespodzianka. No i rzeczywiście dotrzymał słowa. Tego się nie spodziewała. Wściekła się, bo nie była na to przygotowana. Przywiózł ją do domu na imprezę, jakby już była członkiem rodziny. Uwaga wszystkich skupiła się na niej, więc musiała odpowiadać na idiotyczne pytania o pracę z serii tych najgłupszych, czy się nie boi strzelać z pistoletu.

Wyrwała do końca, grzecznie się pożegnała i poszła do domu. Adrian dotrzymał jej towarzystwa, radosny jak skowronek. I co mu miała powiedzieć, że wkurzył ją tak, jak dawno nikt tego nie zrobił. Chciała mu wyjaśnić, że to wszystko, co zaczynało się dziać między nimi, to chyba jednak nieporozumienie...

I wtedy on powiedział, że ją kocha i całe życie czekał na taką dziewczynę jak ona i że jeśli go lubi choć trochę, to powinna dać mu szansę, bo on zrobi wszystko, żeby była szczęśliwa, i w ogóle to myśli o niej dzień i noc...

Pomyślała wtedy, że wpadła po uszy w coś, czego nie planowała, a takich sytuacji po prostu nie znosiła. Zawsze miała swoje życie pod kontrolą i nie oddawała nigdy inicjatywy komuś innemu. A tu nagle Adrian zaczął organizować jej przyszłość na łonie swojej rodziny. Wytrącona z równowagi tym wyznaniem, powiedziała mu, że musi wszystko przemyśleć, że musi się zastanowić, bo związek to dla niej poważne wyzwanie.

Wziął to za dobrą monetę. Ona myślała, a on był coraz bliżej niej. Zabierał ją na przejażdżki, znowu zakupy, lody... Kilka razy nawet się pocałowali, ale do niczego więcej nie chciała dopuścić. Cały czas rozważała wszystkie za i przeciw. Aż dziś znów zrobił coś takiego, że chyba nareszcie dzięki temu oprzytomniała. Zabrał ją na jakieś puste pole, a potem wyjaśnił z dumą, że to jest właśnie jego działka budowlana i chciałby, żeby mu pomogła wybrać projekt domu.

– To dobry chłopak, tak mi się zdaje. – Z zamyślenia wyrwał ją tata. Odezwał się, bo akurat była przerwa reklamowa.

– Co?

– Ten twój Adrian. Wygląda całkiem ładnie i taki grzeczny.

– Nie mój, tato, nie mój.

Nie chciało jej się wchodzić w dyskusje na temat Adriana, który zaczął ją osaczać cienką pajęczą nitką zależności i rodzinnych układów, a dodatkowo wizją wspólnego domu. Być może to rzeczywiście grzeczny chłopak, tylko czy ona lubiła takich grzecznych prymusów?

Poznań

Godzina 23.50

– No jesteście wreszcie – ucieszyła się na widok Przemka, który jak co dzień przyjechał po nią do pracy.

– A co mam nie być. – Uśmiechnął się, wdrapując się na wysoki stołek. Alex kończyła ustawiać szklanki i talerzyki wyjęte ze zmywarki. Lubiała mieć następnego dnia wszystko przygotowane, a naczynia w pijalni były przecież podstawą.

– Chcesz coś do picia? – zapytała z troską. Widać było, że jest zmęczony.

– W sumie piwa bym się napił. A pojedziesz do domu?

– Jasne. – Sięgnęła do lodówki, wydobyla z niej butelkę pszenicznego paulanera i zaraz naalała mu do wysokiej szklanki. – Miałeś ciężki dzień?

Machnął ręką, sięgając po piwo.

– Takie tam paskudztwo.

– Co się stało?

– Nie chcesz wiedzieć. Mówię ci, gówniana sprawa.

– Przemek, jak nie chcesz, to nie gadaj. Ale ja wiem, że paskudztwo trzeba z siebie rzucić, żeby nie przyłgnęło na dobre.

W zasadzie to chciał jej powiedzieć i tylko zastanawiał się jak. Była wrażliwą osobą i bał się, że może później mieć nocne koszmary. Choć z drugiej strony, nawet najstraszniejsze sceny z Gry o tron nie robiły na niej wrażenia. Nie była z tych, co się boją oglądać filmową makabrę. Ale życie to co innego.

Rozejrzał się, jakby się obawiał, że ktoś może ich podsłuchać. Ale w knajpie nie było już nikogo, kto by mógł usłyszeć, jak policjant dzieli się ze swoją żoną tajemnicą służbową. Na wszelki wypadek pochylił się nieco nad blatem kontuaru, a głos ściszył do teatralnego szeptu.

– Znaleźliśmy dziś zwłoki kobiety. Chyba młodej.

– Czemu „chyba”? To nie widać było, czy młoda, czy stara?

– No właśnie że nic nie widać. Jej wiek będzie musiał dopiero ocenić zimny doktor.

– Kto? – zdziwiła się, bo takiego określenia jeszcze nie słyszała.

– No ten, co to zajmuje się zwłokami.

– A, anatomopatolog – stwierdziła, a teraz on się zdziwił, bo nie przypuszczał, że Alex może posługiwać się tak fachową terminologią.

– No co się patrzysz jak szpak w pipę? Myślisz, że ja się nie znam na procedurach związanych z sekcją zwłok? Przecież oglądam seriale kryminalne. Dziś każde dziecko wie, kto wykonuje sekcję.

– No chyba że tak, bo niby to nie jest takie oczywiste. – Pociągnął łyk piwa ze szklanki.

– Czyli że zwłoki są w kiepskim stanie – domyśliła się Alex.

Pokiwał głową.

– Takiej masakry jeszcze nie widziałem. One są dosłownie rozłożone na czynniki pierwsze.

– Ktoś je pociął?

– Nie, gorzej. Wrzucił do kruszarki gruzu. To znaczy obsługa tej kruszarki wrzuciła nieświadomie razem z gruzem do kruszarki. Wiesz, taka maszyna, która rozdrabnia gruz porozbiórkowy.

– Oh my God! – jęknęła. Spojrzał na nią z obawą, czy aby przypadkiem ta informacja nie zrobiła na niej zbyt wielkiego wrażenia, ale Alex nie wyglądała na przestraszoną. Raczej na zainteresowaną.

– Ale masakra! Ktoś miał niezły pomysł na pozbycie się zwłok. Ale chyba za bardzo ich nie rozdrobnił, skoro żeście je znaleźli.

– Robotnicy znaleźli rękę i zawiadomili nas, a potem trzeba było cały gruz przebrać, kawałek po kawałku.

– Znaleźliście resztę?

– No, w sumie kilkadziesiąt kawałków. Teraz poszło to do Zakładu Medycyny Sądowej na Świąteczkiego. Niech oni tam spróbują ułożyć te puzzle.

– To znaczy, że nic o tej biedaczce nie wiecie?

– Na tę chwilę nic. Nie wiadomo, kim jest i dlaczego zginęła. Będzie trzeba sprawdzić wszystkie zgłoszenia o zaginionych ludziach z ostatnich dni.

– A kiedy zginęła?

– Nie wiadomo. Ale te fragmenty nie były jeszcze w fazie rozkładu. No wiesz, o czym mówię.

– To znaczy, że przed kilkoma dniami musiała zostać zabita albo...

– Albo co? – Przemek spojrział na swoją żonę z lekkim politowaniem. Co tam mogła wymyślić? To sprawy, na których wcale się nie znała, ale przecież nie powie jej, że jest głupia, bo się obrazi. Niech jej się zdaje, że pomaga rozwiązać zagadkę...

– Albo mogła zostać zabita, kiedy były największe mrozy, czyli może nawet w styczniu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– No coś ty, Alex. Jakby ktoś ją załatwił dwa miesiące temu, to te zwłoki by śmierdziały tak, że bym dziesięciu minut tam nie wytrzymał. A smrodu wcale nie było. No może lekki...

– A kiedy zaczęły się w tym roku mrozy?

– No w styczniu chyba.

– W styczniu, pamiętam, jak trzeba było sól sypać przed wejściem do knajpy, żeby se wiara nie połamala girów. A kiedy się skończyły i zaczęło robić się ciepło?

– W zeszłym tygodniu dopiero...

– No widzisz, więc mogła leżeć zamarznięta od stycznia albo od lutego.

– Łe, przecież by ktoś ją zauważył. – Przemek nie chciał się zbyt łatwo dać przekonać.

– No pewnie, że by ją zauważył. Oczywiście jakby leżała na chodniku, toby ludzie raz-dwa zobaczyli, że leży tam ciało. Ale ona mogła leżeć zasypana gruzem w kontenerze. Bo chyba do kruszarni gruz trafia w takich kontenerach, no... w tych... wannach na gruz, co je zostawia się pod domami, gdzie robią remont. Mam rację?

Natychmiast przypomniał sobie równy rząd kontenerów na gruz stojących na placu, tam gdzie przeszukiwali stertę mielonego betonu.

– No teoretycznie tak... – Nie chciał dać za wygraną, ale w tym, co mówiła Alex, był pewien sens. Rzeczywiście mogło być tak, że dziewczyna zginęła zimą i przeleżała w kontenerze zmrożona na kość dwa miesiące. A teraz, w ostatnich dniach, trafiła do kruszarki. – W zasadzie to można by przyjąć taką hipotezę.

– No widzisz? Warto ze mną rozmawiać. Zawsze mi wszyscy mówili, że mam umiejętność analitycznego myślenia.

– Może powinnaś zostać policjantką? – rzucił, bo już dawno zauważył, że ona w rozbieraniu wszystkich drobnych spraw na atomy nie ma sobie równych. On nie zauważał wielu rzeczy, podczas gdy Alex widziała wszystko. Dlatego postanowił, że poradzi się jej jeszcze w jednej kwestii.

– Ja do policji się nie nadaję. Wiesz, że jak miałam dziewiętnaście lat, to mnie przymknęli na całą noc?

– Żartujesz? – Ciągle potrafiła go zaskoczyć.

– No tak, zatrzymali mnie z jedną taką kumpelką, co już nie pamiętam nawet, jak ma na imię, ale mówiliśmy na nią Osa. Tyle że nie wiem dlaczego. Nie, zaraz, wiem, bo ona się chyba Osowska nazywała. Zresztą nieważne. Zatrzymał nas patrol, takich dwóch szczonów⁶, bo żeśmy się chichrały jak głupie pod sklepem na Wodnej. Pod Żabką piłyśmy sobie browary, a do tego jeszcze byłyśmy trochę ujarane. No to nas zgarnęli za niewinność i wsadzili na noc, a następnego dnia to nawet nas nikt nie przesłuchał, tylko żeśmy zostały jeszcze raz spisane i wypuścili nas do domu. W sumie fajne przeżycie obudzić się w celi.

Przemek pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Całe szczęście, żeście się nie szarpały, boby was jeszcze mogli oskarżyć o napaść na funkcjonariusza.

– Jak żeśmy się nie szarpały? Pewnie, że się nie dałyśmy tak łatwo wsadzić do suki, ale byłyśmy dla nich za słabe. Wrzucili mnie jak worek pyrów i tyle.

– O ja pierdziele. To ty masz w zasadzie kryminalną przeszłość.

– No prawie – zgodziła się z nim, uśmiechając się, jakby zrobiła mu jakiegoś psikusa.

– Może jeszcze o czymś powinienem wiedzieć? – powiedział niby obojętnym tonem, ale wiadomośc, że Alex siedziała w areszcie, zrobiła na nim już i tak odpowiednie wrażenie.

– No coś ty, Przemek! – Podeszła do niego i poczochnęła go po głowie. – Co ty se myślisz, że ja byłam jakąś penerą⁷? Gdyby nie te ćwoki w mundurach, to nic by się nie

wydarzyło i poszłabym grzecznie spać do domu. A tak wyspałam się w celi.

Nie miał powodów, by jej nie wierzyć. W końcu młodzi ludzie popełniają błędy i wchodzą w konflikt z prawem. Dla jednych to się kończy lepiej, a dla innych gorzej. On sam jako nastolatek został złapany na przechodzeniu przez pasy na czerwonym świetle, ale na szczęście nie musiał płacić kary, bo zgodnie z instrukcją swojego ojca Teofila nie przyjął mandatu, a ojciec potem załatwił, co trzeba.

Sięgnął do kieszeni bluzy i wydobył z niej telefon.

– Mam taką sprawę z tatuażem.

– Co, jednak chcesz sobie zrobić smoka na plecach? – zapytała z nadzieją, bo od jakiegoś czasu namawiała go, żeby przyozdobił się nieco z tyłu. Jego łopatki podobno idealnie nadawały się na podstawę do smoczych skrzydeł.

– Nie, na razie mam dość tatuaży – stwierdził, przypominając sobie akcję ze swoim jedynym, jak dotąd, smokiem, zakończoną aresztowaniem tatuażysty. – Popatrz tutaj. – Otworzył w telefonie zdjęcie, które zrobił podczas oględzin.

– Co to jest? – zapytała z ciekawością.

– Tatuaż.

– No widzę, że nie reklama proszku do prania. Ale o co się rozchodzi?

– Wielkość tak, jak widzisz. – Wskazał na czarno-białą kratkę z podziałką centymetrową, którą umieszcza się obok fotografowanego przedmiotu, by nie było żadnych wątpliwości co do ich rzeczywistych wymiarów. Krzyż z promieniami i łacińskim napisem miał prawie pięć centymetrów wysokości, a szerokość całego obrazka była porównywalna.

– Z czego jest ten tatuaż?

– Z ramienia najprawdopodobniej.

– To od tej laski z kruszarki?

– No.

– Zachował się całkiem niezniszczony.

– Maszyna równo zdarła akurat ten płat skóry. A to oznacza, że mamy szczęście. I co sądzisz o tym rysunku?

– Nic nadzwyczajnego. Proste dzierganie bez żadnych uduźwień. Nie ma wcale koloru.

– Czyli że co?

– Do zrobienia za jakieś cztery, pięć stówek.

– To samo powiedziałem chłopakom. Ale przypatrz się jeszcze dokładniej, może coś zauważysz.

Wzruszyła ramionami.

– Taki tatuaż to żadna sztuka. W zasadzie to mógłby go wykonać każdy, nawet początkujący dziergacz, ale...

– Popatrz na brzegi. – Powiększyła fotografię najbardziej, jak się dało.

– No widzę. I co? – Nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Popatrz uważnie. One są niemal idealnie wykreślone. Rysunek nie staje się miękkim i niewyraźnym na krawędziach, tam gdzie się kończy tusz.

– Czyli że dobrze zrobiony?

– Dokładnie w tym rzecz. Jeśli taką robotę robi ktoś niedoświadczony, to niekoniecznie jest w stanie poradzić sobie z ostrym zakończeniem krawędzi napisu czy znaku. A ten sobie poradził.

– Fachura.

– To właśnie mówię. Gość zna się na rzeczy. A co ważniejsze, przykłada się do takich dupereli. To bardzo dobrze o nim świadczy.

– Wiesz, o kogo może chodzić?

– Nie mam pojęcia, który to może być. Kilku jest takich w Poznaniu.

– No to przynajmniej nie kilkudziesięciu.

– Ale najlepszego z nich wszystkich znasz dobrze.

– Nie, proszę cię! – Od razu domyślił się, o kogo chodzi.

– Tak, właśnie, Przemus. To gość, którego wsadziłeś za prochy.

Starszy aspirant Przemek Drązkowski uśmiechnął się pod nosem jak przedszkolak złapany na sikaniu do doniczki z kwiatkiem. No trudno, pomyślał, nie zawsze w pracy musi być łatwo, miło i przyjemnie. Niekiedy można bowiem natrafić na mur niechęci ze strony informatora. Ale dobry policjant jest w stanie poradzić sobie z takim problemem.

Rozdział III

Szamotuły

Czwartek

12 marca

Godzina 8.15

...Rektor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu podjął decyzję o zawieszeniu zajęć na wszystkich kierunkach do odwołania. Podobne zarządzenia wprowadzają także rektorzy innych poznańskich uczelni. Około południa ma odbyć się konferencja prasowa premiera Mateusza Morawieckiego i ministra zdrowia Macieja Szumowskiego, na której najprawdopodobniej zostanie przekazana decyzja o zamknięciu placówek przedszkolnych i szkół w całym kraju...

– Słyszałaś, Aneta? – zapytał Patryk Wtorek, wskazując na niewielkie tranzystorowe radyjko ustawione na parapecie okiennym.

– Co? – Uniosła głowę znad komputera i spojrzała na chłopaka. Siedział za biurkiem Turka i sprawdzał numery telefonów. Biernat kazał mu od rana dzwonić w różne miejsca. Wszystko dlatego, że wieczorem Aneta przekazała mu wiadomość, że ci, którzy byli w aucie, nie muszą wcale być tymi, do których należał samochód.

– Nie wiem, skąd wiem. Mam jakieś przecucie – stwierdziła niezbyt pewnym głosem.

– Boże, co ja z tobą mam. – Biernat jak zwykle odwołał się do czynnika najwyższego, udając, że wpada w rozpacz. Jednak przez ten czas, kiedy wspólnie pracowali, nauczył się już, że raczej nie powinno się lekceważyć tych przecuć Anety. Ona miała nosa i momentalnie intuicyjnie wyczuwała właściwy trop. – Musisz mnie przekonać – zastrzegł.

Siedziała z telefonem w dłoni na swoim łóżku, wpatrzona w ciemności za oknem. Sama nie była przekonana, więc jak miałyby przekonać Biernata. Ale może właśnie dlatego zadzwoniła do niego mimo dość późnej pory. Mogła sobie na to pozwolić, bo wiedziała, że zostanie wysłuchana. Tym bardziej że Biernat od dłuższego czasu już nie pił alkoholu, więc nawet w środku nocy jego analityczny mózg gotowy był do działania.

– Oni wyjechali na wakacje – powiedziała do niego, ale tak jakby mówiła sama do siebie, zastanawiając się nad każdym słowem.

– Kto?

– Ci Waszutowie, właściciele tej skody utopionej.

– Czy to znaczy, że jeśli wyjechali na wakacje, to nie mogli zostać zabici?

– No właśnie mi tu coś nie pasuje.

– Ale co?

– Kurczę, jeszcze tego nie wiem. Na pewno nie ma ich w domu.

– Poczekaj, mówisz, że kiedy wyjechali?

– Podobno jakieś dwa tygodnie temu. Ale dokładnie kiedy, sąsiadka nie wiedziała.

– To jak dwa tygodnie, a dziś mamy środę, to pewnie do końca tygodnia powinni wrócić – domyślił się nadkomisarz. – Dobra, niech ci będzie, moja strata. Od rana posadź Wtorka za biurkiem i niech wszystkiego się dowie o tych Waszutach. Niech sprawdzi, gdzie pracują, no wiesz, co i jak, i sprawdźcie mi, kiedy mają wrócić. Ale nadal nie wiem, czemu uważasz, że to nie oni byli w tym samochodzie.

– Tego nie wiem do końca, ale ta sąsiadka powiedziała mi, że ich córka ma cztery latka, tak jak jej Fabianek, i że też jest brunetką. I mówiła, że jak idą razem, to wyglądają jak brat i siostra...

– Czyli?

– Czyli podczas sekcji sprawdźcie od razu to dziecko. Ja mu się nie przyjrzałam zbyt dokładnie, ale myślę, że ono ma ciemne włosy. Tak, wiem, po tym, jak ciała były od dłuższego czasu w wodzie, to może tylko wrażenie. Ale na wrażeniu nieraz trzeba się...

– Anetka, sprawdzę. A wy sprawdźcie tych Waszutów. Jak przyjadę z Poznania, chcę o nich wiedzieć wszystko.

I dlatego właśnie, przez to jej bliżej nieokreślone przecucie, Wtorek miał po kolei obdzwonić miejsca, które od rana wyszukiwała Aneta. W wyszukiwarce wpisała nazwisko Waszuta i od razu wyskoczyło jej kilka informacji. Przede wszystkim o Marzenie, która zajmowała się układaniem diet i doradztwem energetycznym. Jej reklamy można było znaleźć na stronach kilku poradni dietetycznych w Poznaniu. Po kolei podawała więc Patrykowi numery telefonów do tych punktów, żeby zadzwonił i dokładnie wypytał o kobietę.

Jeśli chodzi o męża, to śladów jego działalności było znacznie mniej. Znalazła tylko jeden kontakt, do firmy zajmującej się udzielaniem szybkich kredytów. Tu postanowiła zadzwonić sama, bo doszła do wniosku, że z taką instytucją Patryk może sobie nie poradzić.

Podobne decyzje co do zamknięcia na najbliższe dwa tygodnie uczelni podjęli też rektorzy Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu oraz szeregu innych wyższych uczelni w kraju. Rzecznik rządu twierdzi, że na te decyzje rząd nie ma wpływu, bo uczelnie cieszą się suwerennością, więc rektorzy sami...

– Co słyszałam? – zapytała Aneta.

– No jak co? – zdziwił się Wtorek. – O tym, że przez tego wirusa zamykają szkoły i wszystkie uczelnie, i w ogóle...

– I bardzo słusznie robią.

– Jak słusznie?

– No, Patryk, przecież to oczywiste. Wirus rozprzestrzenia się drogą kropelkową. Jest z nim tak jak z grypą. Wystarczy, że ja będę miała grypę, a ty będziesz siedział ze mną w pokoju i ja na przykład kichnę, to już jesteś załatwiony.

– No ale przecież w szkołach jest więcej dzieciaków.

– W tym rzecz, jeden kichnie i wszyscy zarażeni.

– A w kościołach?

– Tak samo.

– Ale kościołów nie zamykają.

– Bo tam wiernych chroni modlitwa. – Wzruszyła ramionami. Nie miała teraz czasu na analizowanie zawłości życia religijnego rodaków. Dla niej najważniejsi byli ci Waszutowie. Jeszcze wczoraj, gdy tylko wyszła od tej niezbyt rozgarniętej sąsiadki, natychmiast spróbowała do nich zadzwonić, bo dziewczyna zapisała jej ich numery telefonów. Jednak obie komórki milczały, informując, że właściciele są poza zasięgiem. Ale co najistotniejsze odzywały się po polsku, a przecież wiadomo, że jak właściciel telefonu jest za granicą, to w przypadku braku możliwości połączenia się z numerem odpowiada sieć komórkowa w obcym języku. A to mogło oznaczać, że Waszutowie nie byli we Włoszech. Mogli być więc tymi ludźmi znalezionymi w samochodzie. Ale Aneta ciągle miała wątpliwości. I dlatego czekała na telefon od Biernata, który by je rozwiął. Bo może niepotrzebnie się zastanawia i zabici ludzie to ci, do których należy auto, a ona ma tylko jakieś przywidzenia i halucynacje.

– Dodzwoniłeś się gdzieś? – postanowiła uciąć kwestie epidemiczne i skierować Wtorka na właściwe tory.

– No tak, do tej pierwszej poradni, co się nazywa Jaglane Łąki. Taka pani mnie poinformowała, że pani doktor Waszuta będzie w poniedziałek, bo jest na urlopie we Włoszech. No to znaczy się, że chyba już wszystko wiemy.

– Nie, Patryk. Dzwon do kolejnych.

– A po co? – zdziwił się. W końcu ustalił już, co trzeba.

– Dzwon i pytaj, gdzie jest pani Waszuta i kiedy będzie przyjmować.

– Ale...

– Żadne ale. Dzwonisz, aż na coś natrafisz.

Spojrzał w górę, szukając zmiłowania, ale niezbyt czysty sufit pokoju policyjnego w żaden sposób nie mógł okazać mu pomocy. Chcąc nie chcąc, wykręcił kolejny numer. Aneta tymczasem sięgnęła po słuchawkę swojego telefonu, by zadzwonić do firmy Mentor, która prócz szybkich kredytów oferowała fachowe doradztwo inwestycyjne. Na liście doradców widniało nazwisko Marka Waszuty.

Dzień dobry, dodzwoniliście się państwo do platformy doradczej firmy Mentor. W trosce o państwa bezpieczeństwo, a także dbając o komfort naszych klientów, informujemy, że rozmowy z naszymi doradcami są nagrywane. Jeśli nie wyrażasz zgody na nagrywanie, wciśnij jeden. W takim wypadku połączenie zostanie przerwane. Jeśli chcesz udzielić nam zgody na nagrywanie, wciśnij zero. W tym wypadku przekierujemy cię do naszego doradcy.

Wcisnęła zero.

Gratulujemy doskonałego wyboru. Już za chwilę połączy się z tobą nasz doradca. Najpierw jednak poprosimy o określenie celu rozmowy. Jeśli chcesz otrzymać błyskawiczną pożyczkę na niezwykle korzystnych warunkach, wciśnij jeden. Jeśli chcesz zainwestować swoją gotówkę i potrzebujesz fachowej pomocy, wciśnij dwa. Jeśli chcesz korzystnie sprzedać swój używany samochód albo mieszkanie czy inną nieruchomość, wciśnij trzy. Jeśli chcesz skonsolidować swoje kredyty w jeden

o niezwykle korzystnym oprocentowaniu, wciśnij cztery. Jeśli chciałbyś pomnożyć swój majątek w bardzo szybki i korzystny sposób, wciśnij pięć. Jeśli szukasz niezwykle taniej i atrakcyjnej oferty wyjazdu na zagraniczne wakacje, wciśnij sześć. Jeśli nic nie wciśnąłeś, to znaczy, że nie interesują cię nasze oferty i nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa. W związku z tym za chwilę zostanie przerwana.

Przestraszyła się, że ją rozłączą, więc szybko wcisnęła jedynekę.

Bardzo dziękujemy za wybór tematu rozmowy. Pozwoli nam to maksymalnie skrócić czas oczekiwania na udzielenie kredytu. Prosimy jeszcze o chwilę cierpliwości i zaraz rozmowę podejmie nasz konsultant. Jeśli interesuje cię kredyt chwilowy do dwóch tysięcy złotych, wciśnij jeden, jeśli do pięciu tysięcy, wciśnij dwa. Jeśli do dziesięciu tysięcy i więcej, wciśnij trzy. Jeśli nic nie wciśnąłeś, to znaczy, że nie interesują cię nasze oferty i nasza rozmowa jest bezprzedmiotowa. W związku z tym za chwilę zostanie przerwana.

Tym razem wybrała trójkę.

Bardzo dziękujemy za wybór tematu rozmowy. Pozwoli nam to maksymalnie skrócić czas oczekiwania na udzielenie kredytu. Prosimy jeszcze o chwilę cierpliwości i zaraz rozmowę podejmie nasz konsultant. Jeśli jesteś osobą niepracującą, wciśnij jeden. Jeśli jesteś osobą pracującą, wciśnij dwa. Jeśli jesteś emerytem lub rencistą, wciśnij trzy. Jeśli jesteś rolnikiem, wciśnij cztery.

Nauczona doświadczeniem od razu kliknęła jedynekę. Musiała porozmawiać z żywym człowiekiem, a nie jakimś cholernym komputerem...

– Dzień dobry, z tej strony konsultant finansowy Jan Kowalski – odezwał się ktoś pewnym i do tego jeszcze radosnym głosem. – Z kim mam przyjemność?

– Nareszcie – westchnęła z ulgą. – Aneta Nowak mówi.

– Dzień dobry, pani Aneto. Bardzo się cieszę, że wybrała pani naszą firmę doradczą-pożyczkową. Pomożemy wybrać dla pani spersonalizowany produkt finansowy, który zapewni pani maksimum satysfakcji. Dzięki naszemu produktowi będzie pani mogła niemal natychmiast otrzymać tak potrzebny zastrzyk gotówki. Wystarczy tylko odrobina formalności, bo te dla dobra naszych klientów ograniczamy do niezbędnego minimum. Dlatego gdy tylko przedstawię pani ofertę, będziemy mogli przystąpić do formalności. By otrzymać tak potrzebne pani pieniądze, nie musi pani niczego podpisywać. Wystarczy, że wyrazi pani ustną zgodę na przesłanie pieniędzy, a nasz system od razu przejdzie do sporządzania przelewu na pani konto i jeszcze dziś będzie się pani mogła cieszyć tak potrzebną pani gotówką. A w ciągu najbliższych trzech dni kurierem na wskazany przez panią adres przyjedzie umowa, którą wówczas pani podpisze, a kurier zabierze ją natychmiast, aby nie kłopotać pani niepotrzebnymi kwestiami związanymi z wysyłką. Czy zgadza się pani, by na pani konto jeszcze dziś wpłynęła kwota dwunastu tysięcy złotych?

– Ale ja...

– Tak, tak, wiem, że wybrała pani opcję do dziesięciu tysięcy, ale właśnie w tej chwili wygrała pani od nas dodatkowo dwa tysiące złotych w związku z wiosenną promocją naszej złotej linii kredytowej. Więc otrzymuje pani świetnie oprocentowany kredyt w wysokości

dziesięciu tysięcy złotych i dodatkowo dwa tysiące jako bonus, czyli premię dla naszych najlepszych klientów. W związku z tym chciałem zapytać, czy wyraża pani zgodę na to, by jeszcze dziś na pani koncie znalazło się dwanaście tysięcy złotych?

– Ale jakie jest oprocentowanie?

– Na to pytanie odpowiem dopiero wtedy, gdy zgodzi się pani na wzięcie kredytu. To oczywiście formalność, ale bez tego nie możemy przejść ani o krok dalej. Więc proszę odpowiedzieć tylko tak lub nie na pytanie, które teraz zadam. Czy wyraża pani zgodę na to, by jeszcze dziś na pani koncie znalazło się dwanaście tysięcy złotych?

– Tak.

– Świetnie, w takim razie mamy to już za sobą. Pożyczka jest oprocentowana bardzo nisko, bo tylko dwadzieścia procent w skali rocznej. A to oznacza, że w ciągu roku będzie pani spłacać dodatkowo tylko dwadzieścia procent od dziesięciu tysięcy złotych. Pieniądze znajdą się na pani koncie jeszcze dziś po przesłaniu na nasze konto opłaty manipulacyjnej w wysokości dziesięciu procent całej kwoty pożyczki.

– Co?

– To bardzo proste, szanowna pani. By uzyskać jeszcze dziś kwotę dwunastu tysięcy, robi pani przelew na nasze konto w wysokości tysiąca dwustu złotych tytułem gwarancji spłaty kredytu, a gdy do nas dojdą pieniądze od pani, my natychmiast na pani konto odsyłamy kwotę kredytu w wysokości omawianej wcześniej kwoty dwunastu tysięcy złotych. Czy zgadza się pani na to, żeby jeszcze dziś wpłynęła na pani konto pożyczka?

– Tak – odpowiedziała, coraz bardziej zaintrygowana.

– Proszę więc zapisać sobie numer naszego konta, na który powinna pani wysłać jak najszybciej kwotę gwarancyjną. Im szybciej to pani zrobi, tym szybciej na pani koncie pojawi się przelew zwrotny...

Przerwała rozmowę. Wiedziała już wszystko, co powinna wiedzieć, a nawet więcej. I w tym momencie odezwała się jej komórka. Dzwonił Biernat.

Poznań

Godzina 9:10

– Ile zniknęło?

– Dokładnie nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– No wiesz, to jest ta kasetka na tajne wydatki?

– Jakie tajne?

– Oj, Przemek, nie bądź dzieckiem. To twój tata, jak jeszcze pilnował wszystkiego, pokazał mi tę kasetkę w biurku. Taka zwykła metalowa kasetka na kluczyk. Prosta w obsłudze i niezbyt dobrze zabezpieczona. No musiałeś ją widzieć. Przykręcona do ścianki biurka, żeby nikt jej nie włożył do torby i nie wyniósł.

– A, ta przykręcona, to wiem. To ty tam trzymałaś jakieś pieniądze?

– No pewnie. Te wszystkie lewe, co je mieliśmy...

– Cicho! – syknął do słuchawki i natychmiast rozejrzał się wokół, czy aby przypadkiem nikt nie podsłuchuje. Ale żaden z pozostałych trzech kolegów dzielących z nim biuro nie sprawiał wrażenia zainteresowanego jego prywatną rozmową. Dlatego na wszelki wypadek dodał głośno i wyraźnie:

– No, Alex, kochanie, masz całkowitą rację. To mów, w czym rzecz, bo wiesz, że ja za chwilę zaczynam odprawę.

– Coś ty zgłupiał, Przemek, czy jak?

– Tak, kochanie, zgadzam się z tobą w całej rozciągłości.

– A, rozumiem. Nie możesz gadać, bo masz ludzi obok siebie.

– Pewnie, że cię Kocham.

– No dobra, to już ci mówię dokładnie, co się stało. Rano, jak przyszedłam, to przyjechał dostawca tego spirytusu z Wolsztyna.

– Co?

– Słuchaj i nie gadaj.

– Tak, Alex.

– Z Wolsztyna bierzemy spirytus prosto z gorzelnii po stówce za pięciolitrowy baniak. Przywiózł mi dwadzieścia takich baniaków. Raz na dwa miesiące bierzemy ten spirytus. To jeszcze stara sprawa, co ją załatwiał twój tata. To znaczy ten dostawca jest jego znajomym. Ten spirytus rozcieńcza się wodą i robi się z tego czystą wódkę do drinków. Procentowo wychodzi idealnie, bo tak w granicach czterdzieści do pięćdziesięciu procent.

– A kto to robi? – zapytał coraz bardziej zdruzgotany Przemek. Nagle bowiem okazało się, że jego ojciec, ale też i żona prowadzili na szeroką skalę lewe interesy, zasilając szarą strefę, a on, właściciel knajpy, nic o tym nie wiedział. A gdyby ktoś to skontrolował? Przecież to mogło zniszczyć i zakończyć jego karierę w policji.

– Jak kto? Oczywiście, że ja. Dziewczyn w takie sprawy się nie angażuje, bo mogłyby jeszcze coś wypaplać.

– A gdzie to robisz?

– Jak gdzie? Przecież to proste. Nie widziałeś tej beczki z kranikiem? Tej takiej dębowej, co stoi w magazynku w kącie na prawo, zaraz jak się wchodzi.

– No widziałem.

– To w niej trzymamy spirytus do drinków. Znaczący już rozrobioną naszą wódkę gastronomiczną. I jak ten facet z Wolsztyna przywiezie te spirytusy, to ja zawsze wlewam je do beczki i zalewam wodą w takich samych proporcjach. I do tego dodaję trochę zaprawy, znaczący esencji rumowej, i w ten sposób powstaje nasz słynny wkład do drinków...

– Myślałem, że to kupujemy...

– Oj, Przemusiu, ja nawet ci o tym nie mówiłam, bo myślałam, że to wszystko wiesz. A to znaczy, że twój tata chyba nie chciał ci wkładać na barki ciężaru świadomości jego lewych interesów.

– Tobie powiedział... – rzucił z lekkim żalem w głosie.

– Oj, Przemek, przecież wiesz, że w ostatnim czasie to ja dla niego byłam jak jego prawa i lewa ręka. Wszystko robiłam w knajpie. Zresztą tak jak teraz.

Pokiwał głową. Miała całkowitą rację i nie było się co obrażać na rzeczywistość. Tata Teofil ufał jej bezgranicznie, bo chyba dostrzegł w niej osobę podobną do samego siebie. Dziewczyna wychowała się w kamienicy na pobliskich Rybakach, w miejscu, w którym nie rodzili się intelektualiści i artyści, lecz potencjalni przestępcy lub gliniarze. Tu wszyscy już od dziecka musieli umieć kombinować i robili to najlepiej, jak mogli. Alex miała sporo szczęścia, bo dostała w darze od Boga pewność siebie, podszytą silnym charakterem. Do tego była ładną i zgrabną dziewczyną. Mogła więc, jak niektóre jej koleżanki, wybrać drogę łatwej kariery i zacząć się oddawać za pieniądze, robiąc na tym poważną kasę. Mogła też, jak większość dziewczyn, poderwać rokującego chłopaka i złapać go na ciężę. Śluby nastoletnich dziewczyn z początkującymi biznesmenami, którzy w końcu okazywali się zwykłymi juchciarzami⁸, były tu zjawiskiem całkowicie normalnym i powszechnie akceptowanym. Ona jednak wybrała zupełnie inną ścieżkę. Już w szkole średniej, a chodziła do technikum gastronomicznego, trafiła na praktyki do pijalni starego Olkiewicza. On natychmiast dostrzegł ten szelmowski błysk w jej oczach. Po praktykach zatrudnił ją na stałe, wprowadzając w szczegóły swoich lewych interesików. I w ten oto sposób Alex niepostrzeżenie przejęła kierowniczą rolę w interesie Olkiewicza ojca, a potem, gdy niespodziewanie pojawił się Przemek, zawładnęła też niepodzielnie jego sercem. Bo Przemek w życiu knajpy i Alex, ale również w życiu swojego ojca, znalazł się całkowicie nieoczekiwanie. Chłopak był przekonany, że jego ojcem był kolejarz Drążkowski, który krótko po jego urodzeniu zginął w wypadku. Ale w końcu matka zdradziła mu tajemnicę, którą ukrywała przez lata. Wyjawiała mu, że jego prawdziwym tatą był ich dobry znajomy, wuja Teofil Olkiewicz. Ale najciekawsze było to, że nie tylko Przemek żył w niewiedzy. Milicjant Teofil Olkiewicz również nie miał zielonego pojęcia, że tuż obok niego rośnie jego własny syn. Gdy matka wyznała im obu prawdę, konsternacja i niedowierzanie błyskawicznie zamieniły się w prawdziwą radość. Teofil naraz stał się dumnym ojcem młodzieńca, a Przemek dostał to, o czym marzył przez całe życie, czyli ojcowskie wsparcie. Jego materialnym przejawem było przepisanie na syna pijalni wódek. Jednak, jak widać, samo notarialne potwierdzenie własności nie czyniło jeszcze z posiadacza właściciela pełną gębą. Bo tak naprawdę knajpa była własnością Alex, której determinacja w dążeniu do celu sprawiła, że z potencjalnej, comiesięcznej poczwórnej beneficjentki 500+ stała się, dzięki swoim podatkom, sponsorką tej jałmużny.

– Wiem, Alex, wiem dobrze. – Przemek kochał ją bezwarunkowo i mimo miłosnego zaślepienia potrafił jednak trzeźwo dostrzec zalety swojej bizneswoman. – No ale gadaj, co z kasetką?

– No to w tej kasetce zawsze jest parę tysięcy...

– Co?

– No taki fundusz, na ekstrawydatki. Nie na żadne ciuchy czy kosmetyki, ale na działanie firmy w sytuacjach ekstremalnych.

– Czyli jakich?

– No jak komuś trzeba dać w łapę. Na przykład na kontroli sanepidu... no wiesz.

Wiedział. Właśnie zrozumiał, że jego żona prowadzi szemrany biznes i kto wie, czy jak tak dalej pójdzie, niedługo nie zacznie współpracować z mafią.

– To ile mogło tam być?

– Wiesz, tego nie wiem do końca, bo ja tylko tam dokładam i stamtąd wyciągam. Ważne, żeby było jakieś pięć, sześć tysięcy.

Wypuścił powietrze z sykiem.

– Przemuś, to są pieniądze, których nie ma zasadniczo. Więc się nie denerwuj, bo straty nie ma. Jest tylko problem taki, że forsa zniknęła, skrzyneczka ma rozwalony zamek, i ta Marianna też zniknęła. Paula mówi, że nie ma po niej śladu. Tak jakby wyjechała za granicę albo gdzieś. Podobno ze swojego pokoju zabrała wszystko. No i w takim razie to raczej ona zgarnęła nam kasę.

– Przemo, idziemy na operatywkę! – zawołał aspirant Bury, wstając ze swojego fotela. Drążkowski kiwnął mu głową.

– Alex, kochanie, muszę już lecieć. Odezwę się później.

– Pa, smoku. I nie martw się, bo kasa to nie wszystko.

No niby miała rację. Pieniądze nie są najważniejsze. Ważne jest wzajemne zaufanie, a jej mógł ufać, o tym był przekonany. Tyle że naraz okazało się, że o jej interesach niewiele wiedział. Musi z nią o tym koniecznie porozmawiać. W końcu to on jest szefem knajpy... ale czy aby na pewno?

Odłożył słuchawkę telefonu, podniósł się zza biurka, z blatu zgarnął jeszcze notes i długopis i tak przygotowany poszedł za Buryem.

– Jak się ma młodą i ładną żonę, to człowiek nie da rady się nagadać w łóżku, co nie? – Kolega szturchnął go łokciem w bok.

– Prawda, że do roboty łóżka nie zabierzesz – zgodził się z nim Przemek. – Ale twojej przecież nic nie brakuje.

– Pewnie, że nie, ale wiesz, po kilku latach już następuje zmęczenie materiału. Od czasu, jak się urodziła Zosia, to Ola już jakby mniej ma chęci.

– To sobie znajdź kochankę – zażartował.

– Myślałem już o tym, ale to się nie opłaca.

– Co?

– Kochanka. Musisz do takiej dojechać, spędzić z nią kilka godzin w tygodniu, zabrać od czasu do czasu do dobrej knajpy, no i kupować jakieś prezenty. A czy ja mam na to czas i pieniądze? Kochanki są przereklamowane, bracie.

Weszli do niewielkiej salki konferencyjnej, w której stoły ustawiono w podkowę. Siedziało przy nich już kilka osób, wszystkie z ich wydziału. Podkomisarz Gliniecki od rana wydawał ludziom polecenia i przydzielał robotę, i w ten sposób tworzył się zespół śledczy. Teraz jeszcze trzeba było wspólnie doprecyzować zadania i grupa mogła przystąpić do działania. Było to więc normalne, powiedziec by można, rutynowe spotkanie, więc nikt nie spodziewał się żadnych niespodzianek. Ludzie rozmawiali ze sobą, przekomarzali się i żartowali, jak to zwykle bywa między osobami, które dobrze się znają. Aspirant Marta Krzywicka jak zwykle otworzyła okno, nie pytając nikogo o zdanie. Podkomisarz Artur Wojciechowski natychmiast określił jej działanie jako sabotaż mający na celu wpuszczenie do środka zarazy covidowej, która ma ich wszystkich wytruć, na co starszy aspirant Igor Tkaczuk stwierdził, że jego już żadna cholera nie weźmie, bo od tygodnia ma taki cholerny katar, aż nie może oddychać, po czym demonstracyjnie wydmuchał nos w jednorazową chusteczkę. Sierżant Ela Górna poparła koleżankę, twierdząc, że świeże powietrze najlepiej radzi sobie z bakteriami, na co najstarszy z całej grupy, aspirant sztabowy Olek Nowacki, zareagował śmiechem, a potem starą prawdą, że od smrodu jeszcze nikt nie umarł, a od

mrozów cała armia pod Stalingradem. Krzywicka już miała na końcu języka ciętą odpowiedź, ale naraz uświadomiła sobie, że nie ma pewności, jaka armia pod tym Stalingradem zamarzyła, niemiecka czy radziecka. Na jej szczęście od konieczności wygłoszenia riposty uchroniło ją wejście do sali długowłosego komisarza Glinieckiego. Za nim wkroczył jakiś człowiek w cywilu, którego twarz nikomu nie powiedziała niczego. Nikomu prócz Przemka. On go znał od dawna. Facet był około pięćdziesiątki, przy tym miał smukłą, wysportowaną sylwetkę, twarz pozbawioną zarostu, a włosy trudno powiedzieć, jakiego koloru, bo nie dość, że były krótko obcięte, to jeszcze mocno przyprószone siwizną. W sumie na pierwszy rzut oka wyglądał sympatycznie, ale w jego ruchach można było wyczuć zdecydowanie i pewność siebie.

– Dzień dobry, zaczynamy operatywkę w sprawie o kryptonimie, nie Kotlet Mielony, jak proponował kolega Bury, nie Mielonka Turystyczna, jak proponował kolega Wojciechowski, nie nawet Pies Zmielony z Budą, jak by chciał kolega Tkaczuk. Nasz poranny quiz na kryptonim sprawy wygrał kolega Drązkowski, proponując prostą i jakże wymowną nazwę, nawiązującą do wczorajszego znaleziska i tatuażu na skórze denatki, czyli lumen verum, co znaczy światło prawdy. Zostawiamy nazwę łacińską w nadziei, że niektórzy z was dzięki temu podciągną się nieco z języków obcych. I w związku z tym zwycięzca jak zwykle nie otrzyma w nagrodę kombiwaru i kombinerek, ale ma prawo odezwać się dziś pierwszy i podzielić się ze wszystkimi swoimi przemyśleniami, które, wierzę, są głębokie i odkrywcze.

Przemek uśmiechnął się krzywo. Rzucił ten kryptonim na odczepnego, licząc, że nikt nie zaakceptuje łacińskiej nazwy, a tu proszę. Glinieckiemu się spodobała i masz ci los. Musi podzielić się przemyśleniami. Tyle że on nie miał żadnych przemyśleń prócz tego, co mu podsunęła wczoraj Alex. To był jakiś pomysł...

– W sprawie tatuażu już zacząłem wstępne poszukiwania i mam nawet wytypowanego autora. Ale o tym powiem, gdy będę miał więcej pewności. A co do całej sprawy, to chciałem powiedzieć, że zastanowiła mnie liczba równych cięć, które poćwiartowały ciało denatki, mimo że kruszarka powinna poszarpać ciało, a tymczasem większość nacięć była równa, powiedzieć by można nawet – precyzyjna.

– Badałeś pod mikroskopem? – rzucił kpiącym tonem Janek Bury.

– Nie, nie w tym rzecz. To zrobi zimny doktor. Ja tylko mówię o pewnej prawidłowości, jeśli chodzi o cięcia. Sporo rozszarpanych elementów, ale dużo równych przecięć. Więc pomyślałem, że ciało, które rozdrobniła kruszarka, mogło być zamrożone na kość.

– No coś ty, Przemek, przecież jest ciepło. – Gliniecki pokręcił głową. – Myślisz, że ktoś trzymał je w lodówce...

– Nie, myślę, że ta osoba mogła zostać zamordowana w styczniu, lutym i do tej pory leżeć w kontenerze pod warstwą gruzu. Jeśli tkanka i kości są zamrożone, to nie da się ich tak łatwo poszarpać. Łatwiej je pociąć, więc kruszarka cięła kawałek po kawałku, okrajając je jak nóż do kebaba.

– Przemek ma rację – poparła go Marta Krzywicka. – Jeśli chcesz pokroić idealnie równe paski mięsa, najlepiej je wcześniej zamrozić.

– To bardzo ciekawe spostrzeżenie – stwierdził cywil, który przysłuchiwał się naradzie. Zadowolony Drązkowski skinął mu głową.

– A właśnie, nie przedstawiłem państwu pana inspektora. – Gliniecki odwrócił się za siebie i skinął głową gościowi. – Inspektor Mariusz Błaszowski od dziś jest pełniącym obowiązki szefa naszego wydziału.

Poznań

Godzina 9.40

Biernat nie lubił prosektorium. Tak naprawdę to nie lubił widoku trupów, a ich rozcinania i grzebania się we wnętrznościach szczerze nienawidził. Ale zdawał sobie dobrze sprawę, że jako oficer śledczy musi mieć wiadomości z pierwszej ręki i najlepiej, jeśli są one potwierdzone przez niego samego. Dlatego nigdy nie uchylał się od tego przykrego obowiązku i za każdym razem, gdy tego wymagało śledztwo, jeździł do Poznania, by uczestniczyć w tym przykrym widowisku. Kiedyś było mu zdecydowanie łatwiej, bo przed rozpoczęciem sekcji wypijał ćwiartkę wódki, którą przywoził ze sobą w metalowej piersiówce. Alkohol, takie miał przynajmniej wrażenie, zabijał część przykrych zapachów. Jednak teraz jako kompletny abstynent nawet nie pomyślał o jakimś wspomagaczu. Co innego Turek. Ten gołnął sobie małąkę przed wejściem do instytutu i najwyraźniej rozluźniony siedział na krzeselku z gazetą w dłoni, zagłębiając się w lekturze informacji sportowych. Biernat tymczasem układał sobie w głowie wszystkie dane, które dotąd udało im się zebrać. Mieli więc trzy ciała, dwojga dorosłych i jednego dziecka. Samochód wyciągnięty z wody był zarejestrowany na nazwisko Waszuta, małżeństwa mieszkającego w Rokietnicy na osiedlu Kalinowym. Jeśli w aucie znalazły się te trzy osoby, to z dużą dozą prawdopodobieństwa można było zakładać, że są to właściciele tego auta. Co zaś się tyczy okoliczności, to oboje dorośli zostali zabici strzałem w głowę. Siedząca na miejscu pasażera kobieta otrzymała postrzał w prawą skroń, a mężczyzna za kierownicą w lewą. Dziecko zapięte na foteliku z tyłu nie miało wyraźnych ran. Oznaczało to, że ktoś dokonał egzekucji na jej rodzicach, a dziewczynka być może żyła, gdy samochód wpadał do jeziora.

Doszedłszy do tego miejsca w swoich rozważaniach, poczuł, jak ze złości i niemocy włosy na karku zaczynają mu stawać dęba. Jeśliby w tej chwili dopadł tych, którzy to zrobili, marny byłby ich los.

No właśnie, tych, a nie tego. Samochód, którym jechała rodzina, został przez kogoś zatrzymany. Wyobraził sobie, jak na polnej drodze z Pamiątkowa do Rokietnicy jakieś auto zajechało drogę czerwonej skodzie. Mężczyzna prowadzący skodę zatrzymuje wóz. Z tego auta przed nim wysiada dwóch facetów. Podchodzą do skody, a kierowca opuszcza szybę. Dochodzi do wymiany zdań. Najprawdopodobniej kłócą się ze sobą. Być może dziecko zaczyna płakać. Naraz ten, który stoi obok kierowcy, wyciąga pistolet i oddaje strzał z bliska. Głowa mężczyzny eksploduje. Kobieta krzyczy, dziecko też. Ten z drugiej strony strzela do niej. Przerażone dziecko milknie. A ci dwaj spychają samochód z drogi i pchają go w kierunku jeziora. Pada śnieg i mimo że jest wieczór, doskonale widać białą taflę lodu pokrywającego wodną toń. Przez ostatnie dni było ciepło, więc lód jest bardzo kruchy. Na wszelki wypadek jeden z nich wchodzi na powierzchnię, żeby sprawdzić, jak jest w rzeczywistości. Po chwili wraca. Auto zostaje wepchnięte na taflę. Przez chwilę stoją i palą papierosy, patrząc na to, co dzieje się z samochodem. Skoda trwa w swoim ostatnim miejscu postoju. Naraz słychać trzask, samochód chwieje się. Ze środka auta dobiega krzyk przerażonego dziecka...

– Ja pierdołę, co za chuje!

– Co? – Turek w pierwszym momencie nie rozumiał tego, co powiedział Biernat. Nie żeby ten mówił niewyraźnie. Po prostu przekleństwo w ustach nadkomisarza brzmiało dość niewiarygodnie. Jednak gdy spojrzał na twarz szefa, zrozumiał, że ten naprawdę jest zirytowany.

– Spokojnie, ci lekarze się zawsze spóźniają. Nie śpieszą się, bo nikogo nie uratują...

Biernat machnął ręką.

– Nie o lekarzy mi się rozchodzi.

– A o kogo?

– O tych, co zabili tych tam. – Wskazał na drzwi wiodące do prosektorium.

– A, to prawda. Powiem ci, że jak ja se pomyślę, że oni musieli z pełnym rozmysłem utopić to dziecko, to aż mnie diabli biorą. I w takich sytuacjach sobie myślę, że takich gnoi to nawet lepiej nie wsadzać do więzienia, tylko na miejscu ich załatwiać. Powiedzmy, przy próbie zatrzymania, jak gnój stawia opór, a ty go bierzesz na muszkę... – złożył dłoń jak do wystrzału, zrobił skupioną minę, mrużąc przy tym jedno oko, i pociągnął za spust – bang! I bandycki łeb odstrzelony.

– Też, a co z twoim magnum? – Biernat przypomniał sobie rewolwer Turka, na który ten wydał kupę kasy i nawet zabrał go kilka razy na akcję. Ale gdy zobaczył podwładnego kowboja z tym gnatem w dłoni, zrobił mu piekielną awanturę i kazał wrócić do broni służbowej.

– Czy ty wiesz, barani łbie, że jakbyś tym jakiegoś bandziora trafił w rękę, to mu odpadnie razem z barkiem?

– No wiem, ale ja wcale nie chciałem strzelać. Tylko tak wziąłem dla szpanu magnuma, żeby wiesz, wierze zaimponować.

– Ty nikomu nie imponuj, ale noś broń służbową!

No i Turek został zmuszony do schowania swojego imponującego magnum do kasy pancernej. Szybko jednak pocieszył się bronią jak najbardziej służbową, czyli polskim rewolwerem Gward, który w latach dziewięćdziesiątych wszedł na uzbrojenie w policji i w straży granicznej, dość szybko jednak został wyparty przez nowocześniejsze pistolety. Ale nieco ponad tysiąc sztuk rozeszło się błyskawicznie między funkcjonariuszami, którzy, podobnie jak Turek, lubili bębenkowce.

Niewielkich rozmiarów krótkolufowy rewolwer mieścił się idealnie w kaburze podramiennej, więc niezależnie od pogody Turek nosił dżinsową kurtkę, pod którą krył się jego skarb. Zapytany przez Biernata, wy dobył rewolwer.

– Proszę bardzo, oto jest dowód rzeczowy – powiedział zadowolony.

– Schowaj tę pukawkę, bo jeszcze kogoś odstrzelisz.

– Bardzo słuszna uwaga, panie nadkomisarzu – poparł go stojący w otwartych drzwiach lekarz. Doktor Mielczarek nie przepadał za bronią. Wystarczyło, że dość często zdarzało mu się oceniać skutki jej użycia. Turek natychmiast schował splotkę do kabury.

– Przepraszam, doktorze, ale mój szef chciał zobaczyć tę pukawkę... – zaczął tłumaczyć się zupełnie niepotrzebnie, bo Mielczarek już zniknął wewnątrz korytarzyka prowadzącego

do miejsca, gdzie żaden z policjantów nie miał specjalnej ochoty się znaleźć. Poszli jednak za nim. Jeszcze kilka lat temu ciągle śmierdziało tu lizolem, starym linoleum i dusznym, słodkawym zapachem rozkładających się tkanek. Od jakiegoś czasu było inaczej. Klimatyzacja i wyciągi powietrzne wysysały wszystkie wyciechy niemal natychmiast. A do konserwacji podłóg i wszystkich elementów wyposażenia używano płynu o jakimś owocowym zapachu.

– Panowie dostarczyli nam trzyosobową rodzinę.

– Wyłowioną z wody – dorzucił Biernat.

– I całe nasze szczęście, bo ta zimna woda ich zakonserwowała. To znaczy powstrzymała rozkład, który w normalnych warunkach byłby bardzo szybki. Co prawda już się dobrały do nich wszelkie pływające stwory, ale jeszcze nie na tyle mocno, żebyśmy nie mogli stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, w jaki sposób zginęły.

– Znaczą się to już chyba jasne, doktorze.

– Jasne to będzie, jak się przekonamy. Na razie przygotowaliśmy dla panów zwłoki kobiety, bo są znacznie ciekawsze niż mężczyzny – wskazał na stół, na którym leżało nagie ciało – ale najpierw poproszę panów o założenie naszych niezwykle eleganckich strojów wizytowych.

Obaj policjanci dość sprawnie założyli na siebie jednoczęściowe, jednorazowe kombinezony i czepki.

– Maseczki proponuję również. – Lekarz wskazał na paczkę z zielonymi maskami zakrywającymi usta i nos. – Trzeba się przyzwyczajać, panowie, bo już niedługo, gdy epidemia na dobre się u nas rozgości, będziemy wszyscy chodzić w tych niezwykle twarzowych ozdobach od rana do wieczora.

– No to ja wykituję, jak nic. – Biernat najwyraźniej nie był zadowolony.

– Nie lubi pan masek?

– Jestem alergikiem. Mam ciągle katar i w ogóle.

– To znaczy, że pan powinien stale w takiej maseczce chodzić. Alergia to przecież nic innego jak efekt walki organizmu z obojętnymi substancjami, które ten organizm pomyłkowo bierze ze wrogie elementy i broni się przed nimi rozpaczliwie.

– A co mi niby da maseczka?

– Mniej alergenów w układzie oddechowym i mniej walki z samym sobą. Niech pan sobie poczyta o tym w necie. No ale do dzieła. Zacznijmy robotę, bo im szybciej się z nią uporamy, to szybciej będziecie mogli sobie stąd pójść. Myślę, że wszystkiego dowiemy się już z pierwszych oględzin.

Lekarz podszedł do ciała kobiety i stanął z tyłu za jej głową. Biernat zatrzymał się przy jej stopach. Turek na wszelki wypadek usiadł na krześle przy ścianie, żeby zachować bezpieczny dystans.

– Mamy tutaj kobietę, lat około dwudziestu pięciu do trzydziestu, o ciemnych włosach. Na prawym ramieniu ma wytatuowany krzyż i jakieś promienie, a pod spodem napis „lumen verum”. Zresztą dokładnie taki sam tatuaż ma mężczyzna. Ale wracając do niej, od razu rzuca się w oczy rana postrzałowa w prawej skroni. Nie widać natomiast otworu wylotowego.

– Kula przeszła przez szybę samochodową i to mogło spowolnić jej impet – wyjaśnił Biernat.

– Jeśli tak się stało, to dzięki tej szybce kula utkwiała w głowie i zaraz ją znajdziemy. Ale mamy tu jeszcze jedną niespodziankę, na którą panowie wcześniej pewnie nie zwrócili uwagi, gdy wydobywano samochód z wody. Otóż nasza kobieta została postrzelona dwukrotnie. Proszę spojrzeć tu.

Przesunął się nieco i stanął na wysokości lewej piersi. Turek natychmiast poderwał się z krzesła i podszedł z zaciekawiony.

– Proszę spojrzeć tutaj. Pomiędzy ramieniem a piersią jest druga rana wlotowa. – Wskazał ją czubkiem nożyczek. – Istnieje duże prawdopodobieństwo, że już ten postrzał był śmiertelny i strzał w głowę był zupełnie niepotrzebny.

– Zaraz, zaraz... – Biernat zaczął znów układać sobie w głowie obraz sytuacji. – Chce pan powiedzieć, że zabiła ich jedna kula?

– Jak jedna? – Turek był autentycznie zdziwiony. – Przecież ten facet dostał w głowę...

– To by się zgadzało. – Lekarz uśmiechnął się pod maską ochronną, o czym świadczyły zmarszczki przy oczach. – O ile zdążyłem się zorientować, oglądając wstępnie zwłoki mężczyzny, to on zainkasował postrzał niemalże z przyłożenia. Morderca dotknął lufą jego skroni i pociągnął za spust. Zrobił to z pozycji stojącej, podczas gdy mężczyzna siedział. Kula weszła więc pod kątem, przeszła przez głowę, wyrrywając kawał czaszki i mózgu, a potem trafiła dokładnie tu. – Wskazał jeszcze raz na otwór przy piersi kobiety. Macie więc panowie szczęście, bo za chwilę wydobędziemy oba pociski i będziecie mogli, panowie, zidentyfikować broń.

– Jak się znajdzie – wyburczał pod nosem Turek, który zawsze doszukiwał się dziury w całym.

– To jest świetna informacja, panie doktorze. Ale zanim zaczniesz pan... – Biernat przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – operację, to chciałbym poprosić o jeszcze jedną rzecz. To drobiazg, ale bardzo istotny dla naszego śledztwa. Moja podwładna czeka na nią i dlatego muszę jej przekazać... – Dopiero teraz przypomniał sobie o Anecie.

– W czym problem?

– Chodzi o tę dziewczynkę. Muszę sprawdzić, jaki ma kolor włosów.

– Nie widzę problemu.

Chwilę potem Biernat wyjął z kieszeni komórkę i wybrał numer Anety. Odebrała po pierwszym sygnale.

Rokietnica

Godzina 11.30

Chłodny wiatr wiał od zachodu, przelatując nad zieloną połącią placu gminnych festynów, który na co dzień służył miejscowym psom za toaletę. Dalej wpływał pomiędzy dwupiętrowe blokowisko osiedla Kalinowego. Tam, w ciasnych korytarzach pomiędzy budynkami, nabierał rozpędu i z impetem rzucał się na chodniki i skwerki, zabierając wszystko to, co zostawili po sobie mieszkańcy, którym nie chciało się wyrzucać śmieci do przepełnionych pojemników. Kolorowe papierki wirowały radośnie w powietrzu, budząc

zachwyty dzieci z przedszkola na parterze bloku, niezamkniętego jeszcze pomimo obostrzeń. Prywatne przedszkole korzystało z nieszczelności epidemiologicznych przepisów, które pozwalały takim placówkom na pewną elastyczność. Pracujący rodzice musieli w końcu coś zrobić ze swoimi pociechami. Te mogły teraz, stojąc przy wielkim oknie, oglądać wietrzny taniec na osiedlowym rynečku.

Mali obserwatorzy stracili zainteresowanie śmieciowym spektaklem w chwili, gdy na placu na wprost ich okna podjechał biały motocykl. Prowadząca go dziewczyna zeskoczyła z fotela, ustawiła maszynę pomiędzy dwoma zaparkowanymi samochodami i zdjąwszy kask, włożyła go do plecaka. Była ubrana w czarny, motocyklowy kombinezon, ale przyjechała tu służbowo, więc na wszelki wypadek nałożyła na głowę bejsbolówkę z orzełkiem, a na ramiona narzuciła jaskrawożółtą kamizelkę z napisem „POLICJA”. Obserwujące ją dzieci pomachały do niej radośnie. Uśmiechnęła się i też im pomachała, a potem zrobiła małą minę, na co przedszkolaki odpowiedziały własnymi minami strasznych stworów.

– Pani komisarz chyba lubi dzieci – usłyszała głos za swoimi plecami.

– A co, nie wolno? – odpowiedziała zadziornie, jednocześnie się odwracając. Za nią stał solidnie zbudowany policjant ubrany w czarny połowy mundur. Na pagonach miał dwie gwiazdki nadziane na rożen, był więc aspirantem albo, jak mówiło się w policji, podwójnym szaszłykiem.

– Wolno, wolno. – Wyciągnął w jej kierunku wielką łapę, w której jej dłoń wyglądała, jakby należała do pięciolatki. – Kobiety uśmiechające się do dzieci nie są podejrzane. Co innego faceci.

– Każdy facet musi być od razu pedofilem?

– Od razu nie, ale jakby się kręcił przy przedszkolu, to zaraz bym sobie go zapisał do notesu. Bo o dzieci trzeba dbać.

– Tu się akurat z panem zgodzę. Domyślam się, że pan aspirant Domagała?

– Karol jestem.

Skinęła głową. Też lubiła chodzenie na skróty, więc nigdy nie robiła ceregieli z przechodzeniem na ty. Tym bardziej że ten gość był kumplem Turka. Podobnie jak jej kolega z Szamotuł mógł być po czterdziestce. Tyle że był od niego przynajmniej o głowę wyższy i znacznie grubszy. Baloniasty brzuch świadczył o zamiłowaniu do dobrego jedzenia, popijanego piwem w solidnych ilościach.

– Aneta. Szymon Turek bardzo dobrze się o tobie wyrażał.

– Niechby spróbował mówić źle. Co tam u tego starego ochlapusa słyszeć? Ciągłe tak narzeka?

– Taki już jego urok. Na początku, jak żeśmy się poznali, to, powiem szczerze, nawet mnie to wkurzało, ale zdążyłam się przyzwyczaić.

– Stara pierdoła z tego Turka, ale w sumie to dobry chłop. Jakby tak z niego zeskrobać te wszystkie chropowatości, to się okaże, że zostanie samo dobro. No ale nie o Turku mamy do pogadania, tylko o czymś chyba innym.

– Chodźmy tutaj. – Wskazała na budynek na wprost, ten, w którym na dolnej kondygnacji zamiast sklepu czy zakładu usługowego zagnieździło się przedszkole o wdzięcznej nazwie Mumula. Tak przynajmniej głosił podpis pod siedzącą na taborecie białą krową w kropki bordo, naklejoną na szybie przedszkolnego okna. – To tu mieszkają

albo być może mieszkali właściciele samochodu, który wyłowiliśmy z Jeziora Pamiątkowskiego.

– No Szymon mi nadmieniał. Rozumiem, że nie żyją?

– Po dwóch tygodniach w wodzie to raczej pewne.

– No tak, oczywista oczywistość. Ale zasadniczo to ja dalej nie wiem, w czym rzecz.

– Zaraz się przekonasz. Chodź! – Machnęła na policjanta, a sama wspięła się po kilku stopniach do drzwi prowadzących na korytarz. Odszukała odpowiedni guzik domofonu i natychmiast go przycisnęła.

– No! – odezwał się kobiecy głos.

– Dzień dobry, pani Olgo, z tej strony...

– Cicho, Fabianek, kurwa, bo mamusia nic nie słyszy. Co?

– Pani Olgo, tu Aneta Nowak z policji.

– Fabianek, zamknij się do cholery, bo nie będziesz oglądał dziś Psiego patrola. Co?

– Policja! – krzyknęła Aneta i natychmiast rozległo się brzęczenie zwalniającej blokadę.

– To jakaś patologia? – domyślił się Domagała, człapiąc po schodach.

– Nie, normalna rodzina. Niższa klasa średnia – rzuciła za siebie.

– Bo u nas nienotowani. Trzeba zapamiętać ten adres.

– Nie warto. Nic złego nie robią. A dziecko wygląda na zadbane. Zresztą zobaczysz. Matka jest nieogarem i fleją, ale raczej nie bije Fabianka.

– Krzyki i przekleństwa to też agresja – próbował postawić na swoim.

– Zobaczysz, że nie jest najgorzej – stwierdziła, stając pod drzwiami. Nie musiała pukać. Matka Fabianka natychmiast otworzyła. Na widok Anety na jej twarzy pojawił się uśmiech, który momentalnie zamienił się w wyraz nieufności, gdy zobaczyła z tyłu wielkiego jak szafa policjanta.

– Możemy wejść? – zapytała Aneta.

– Chcecie mnie aresztować? – rzuciła Olga.

– Nie ma za co. – Aneta się uśmiechnęła. Chciała zrobić na dziewczynie jak najlepsze wrażenie. Na tym właśnie opierał się jej plan. Ona musiała sama jej zaproponować wejście do mieszkania naprzeciwko. Aneta nie miała przecież nakazu przeszukania i jak na razie prokurator nie wydałby go, bo nie było uzasadnionego powodu. Osoby znalezione w aucie nie zostały jak dotąd zidentyfikowane, więc nie było podstawy prawnej. Jednak ona nie lubiła czekać z założonymi rękoma. Po porannym telefonie od Biernata poczuła, że musi natychmiast zacząć działać.

– Anetka, tu Darek mówi – usłyszała głos nadkomisarza i jego sapiący oddech.

– Jestem, co tam? – zapytała zniecierpliwiona.

– No powiem ci, że ja naprawdę nie wiem, skąd się to u ciebie bierze.

– Niby że co?

– Jak to się nazywa... szósty zmysł, a może intuicja.

– Może być, co chcesz, tylko jaki jest efekt?

- Cholera, miałas rację.
- Co?
- Dziewczynka jest, znaczy się była, blondynką.

Aneta z sykiem wciągnęła powietrze.

- Ej, połknął cię Lord Vader?
- Nie, ale to wszystko przez ciebie.
- Że jak?
- Przez tego podmienionego szachistę od Napoleona.
- Co ty bredzisz, dziewczyno?

– To był ten impuls. Dlatego że opowiedziałeś nam tę historię, zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, żeby w aucie byli nie ci, którzy mieli być.

– Dobra, później mi to wszystko wytłumaczysz. Muszę wracać na sekcję.

Wprowadziła ich do największego pokoju, w którym naprzeciw narożnikowej kanapy i fotela z tego samego kompletu stała owalna ława o szklanym blacie, a na wprost zawieszono wielki telewizor. Fabianek, ubrany w majtki i luźną koszulkę, leżał na kanapie, przywalony wielką paką chipsów. Rozgniecione chrupki i paluszki walały się na podłodze, na wysmarowanym jakąś mazią blacie ławy poniewierały się puste opakowania po słodyczach i kilka butelek po coli. W telewizorze leciała bajka. Tym razem nie był to *Psi patrol*.

- Fabianek, idź się bawić do swojego pokoju – zarządziła matka.
- Nie. Ja pacę!
- Teraz mamusia będzie rozmawiać z policją.
- Spojrzał zdziwiony na dwójkę gości.
- Ja chcę telewizor paceć!
- Koniec gadania!

Wzięła do ręki pilot i wyłączyła bajkę. Fabianek popatrzył zdziwiony na matkę, usta wygięły mu się w grymasie rozpaczki, pociągnął nosem, jakby zaraz miał się rozpłakać, i w geście protestu założył sobie na głowę opakowanie od chipsów.

– No to Fabianek się obraził. Teraz zaśnie, taki jest wkuty. Proszę siadać. – Olga wskazała na fotel i kanapę. – To co się stało? – spytała, sadowiac się na pufie.

– Musimy sprawdzić, czy pani sąsiedzi żyją.

– A czemu by mieli nie żyć? Hi, hi, hi! Co się miało niby stać? Lawina ich przysypała czy jak?

– Musimy wiedzieć, jak wyglądają.

– No normalnie. Jak mają wyglądać?

– Potrzebne mi są ich zdjęcia, więc pomyślałam, że ma pani jakieś fotki z nimi.

– No może gdzieś mam. Ale to raczej mój mąż ma w swoim telefonie. Ja nie robię zdjęć zasadniczo na imprezkach...

– Dlatego, żeby pani nie myślała, że to jakaś ściema, poprosiłam pana komendanta posterunku policji w Rokietnicy, żeby poświadczył, że jestem z policji i że prowadzę

śledztwo...

– Rzeczywiście, pani podkomisarz prowadzi śledztwo w sprawie morderstwa trzech osób – odezwał się siedzący w głębokim fotelu Domagała.

– Morderstwa? I oni by mieli być zamordowani, hi, hi! Waszuty siedzą se we Włoszech i piją bombardino na stoku. Ale będą jaja, jak wrócą i im to opowiem, że policja myślała, że są zabici. Ale zaraz, jak mówicie zdjęcia, to przecież u nich w mieszkaniu są ich albumy. A ja mam klucze do nich. Chodźcie ze mną, to se ich zobaczycie na tych fotkach. Tak nawet lepiej niż z telefonu, bo oni to te zdjęcia dają do wywołania u fotografa. Tacy są staroświeccy, hi, hi!

Poderwała się z pufa, podeszła do Fabianka i zdjęła mu z głowy opakowanie po chipsach. Chłopiec spał w najlepszej.

– No dobra, możemy iść, bo on teraz pół godziny prześni – wyjaśniła, wychodząc na klatkę. Mieszkanie Waszutów było dokładnie na wprost. Olga włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

Już od progu rzucał się w oczy nieprawdopodobny bałagan. Buty i kurtki leżały porozrzucane na podłodze. Dalej nie było wcale lepiej. Wszędzie wałały się części garderoby, tak jakby ktoś je w pośpiechu rozrzucił, czegoś szukając.

– Marzena to trochę jest syfiara – próbowała usprawiedliwić koleżankę Olga. Ale Aneta miała w nosie to, jaki stosunek do porządków domowych ma gospodyni.

– Widzisz to, co ja? – zapytała Domagałę.

– To wygląda jak pośpieszna ewakuacja, a nie wyjazd na narty – stwierdził policjant.

Weszli do salonu. Tu było jakby trochę mniej nabałaganione, ale nikt nie powiedziałby, że w tym pokoju panuje porządek. Na stoliku przed telewizorem stały puszki po piwie, szklanki i wypełniona po brzegi popielniczka.

– Co za syf! – jęknęła Olga, która sama miała poważne problemy z utrzymaniem porządku w swoim mieszkaniu. – Te pety to mogli przynajmniej wyrzucić. Ja je wywalę, bo nie da się na to patrzeć...

– Niech pani niczego nie rusza! – rzucił tonem nieznoszącym sprzeciwu Domagała.

– Ale ja tylko...

– Wiem, chce pani dobrze, ale jeśli potwierdzi się najgorsza wersja, to mieszkanie będzie musiała przeszukać ekipa techniczna.

– Gdzie są te albumy? – zapytała Aneta.

– W sypialni mają półkę.

Olga wskazała drzwi do pokoju i ruszyła przodem.

– Który może być najnowszy? – zapytała policjantka, spoglądając na równy rząd dziesięciu albumów.

– Ten ostatni, taki zielony, jest z wakacji, jak byli w Turcji.

Chciała go wziąć do ręki, ale Aneta ją powstrzymała. Szybko założyła jednorazowe rękawiczki, a album wrzuciła do foliowej torebki. Nie obejrzała zdjęć. Miała na to czas. Domagała zabrał w tym czasie ze stołu dwie szklanki, a do woreczka wrzucił kilka niedopałków. Mieli już wszystko, co w tej chwili było im potrzebne.

Poznań

Godzina 14.30

– Dzień dobry. Proszę bardzo. To jest karta, ale dziś przede wszystkim polecamy naszą specjalność, kaczkę z pyzami i modrą kapustą, a jeśli ktoś lubi, to może na pierwsze danie czernina... – Młoda kelnerka ubrana w czerwony fartuszek uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy zębów, spiętych klamrami drutów ortodontycznych. Na pewno za jakiś czas będzie uśmiechać się do klientów promiennie, świecąc równymi ząbkami. Ale na razie musi się nacierpieć, pomyślał dyrektor Włodarczyk, sięgając po menu.

– Z zamówieniem jeszcze się wstrzymam, bo czekam na znajomego. Ale jakby pani mogła mi dać coś dobrego do picia.

– Dobra jest lemoniada. Sami robimy z wody i soku pomarańczowego, cytrynowego i jeszcze owoców jakichś, jak na przykład maliny mrożone i te, no, świętojanki⁹.

– Jak ze świętojanek, to może być.

Kelnerka dygnęła i poszła do bufetu zamówić picie. On tymczasem rozejrzał się po wnętrzu. Było tu całkiem sympatycznie. Ciemne, drewniane ławy z podłużnymi stołami ustawiono rzędem pod ścianą, na środku okrągłe stoły, a po drugiej stronie drewniany bufet. Ściany pokrywała czerwona cegła, sufit przecinały solidne belki. Niezbyt nachalne, ciepłe światło nad stolikami robiło przyjemną atmosferę.

Nigdy nie był w tej knajpie na Morasku, choć słyszał o niej nie raz. Słyszał z dobrej kuchni, ale przede wszystkim ze świetnej kaczką, którą od razu zaproponowała mu kelnerka. Może to i dobry pomysł spróbować tego specjału, zastanawiał się, choć nie czuł głodu. Od tej rozmowy z księdzem stracił apetyt i tak naprawdę chęć do życia. Choć jego stary kumpel Michał Słomianny przekonywał, że nie ma takiego gówna, z którego nie potrafiłby go wyciągnąć, jednak on podchodził do tych zapewnień sceptycznie. Bał się, że jego życie za chwilę rozsypie się na milion kawałków, on straci pracę, rodzinę i jeszcze na domiar złego pójdzie siedzieć. A więzienia bał się jak ognia. Kiedyś w młodości trafił na czterdzieści osiem godzin do aresztu podczas jakiejś ulicznej zadymy po meczu Lecha. Był oddanym kibicem poznańskiej drużyny i jak każdy młody idiota marzył o tym, żeby spuścić manto wrogom swojego klubu. Nie pobił jednak żadnego kibica Legii, choć starcie koło Dworca Zachodniego było ostre. On nie podszedł nawet do walczącego tłumu, tylko obserwował wszystko z bezpiecznej odległości. I właśnie dlatego gliniarze zgarnęli go bez wysiłku i potrzeby zwarcia z najbardziej agresywnymi kibolami. Tych woleli unikać, a żeby mieć wynik statystyczny, łapali tych, którzy nie pchali się do walki. Wsadzili go do celi razem z trzema facetami, którzy nie byli miłośnikami futbolu. Jeden stary i śmierdzący włóczęga nie był zainteresowany niczym prócz spania i jedzenia. Dwaj pozostali, jak się szybko okazało, starzy więzienni wyjadacze, od razu zainteresowali się gładkim chłopaczkiem. Przez dwie noce gwałcili go na zmianę. Jeden trzymał go za ręce i wciskał mu głowę między swoje nogi, a drugi brał go od tyłu.

Po dwóch dniach wyszedł z aresztu bez jakichkolwiek zarzutów, za to z rozerwanym odbytem. Wtedy zmienił się całkowicie jego stosunek do świata. Przestał kibicować Lechowi i wziął się za naukę. Skończył studia, zaliczając przy tym każdą panienkę, która mu się nawinęła pod rękę. Nie związał się jednak z żadną na dłużej, bo największą przyjemność sprawiało mu zdobywanie i porzucanie dziewczyn. Może podświadomie mścił się w ten sposób za to upokorzenie, którego sam doświadczył. Aż wreszcie spotkał Ewę, w której zakochał się do szaleństwa. Posągowa blondynka, wyglądająca jak germańska bogini,

wyciosana w marmurze przez nazistowskiego rzeźbiarza, sprawiła, że zmienił się całkowicie. Przystał myśleć o przelotnych podbojach. Po pół roku znajomości wzięli ślub...

Byli ze sobą prawie piętnaście lat, mieli czternastoletnią córkę i ośmioletniego syna. Przez ten czas zdradził Ewę zaledwie kilka razy i zawsze to były zdrady jednorazowe, bez jakiegokolwiek zaangażowania. Takie jak ta ostatnia z panią spotkaną przez przypadek w barze. Tylko że żadna z tych przygód nie zakończyła się morderstwem. Teraz miał wrażenie, że doszedł do jakiejś absurdalnej granicy, za którą nie ma już normalnego, uczciwego życia, ale zaczyna się koszmar więzienia...

– O, jesteś już! – Z zamyślenia wyrwał go głos kolegi. Spojrzał w górę. Słomianny nie był sam.

– Tak, bałem się, że będą korki, to ruszyłem trochę wcześniej...

– A to jest pan Arkadiusz Mazurek, o którym ci mówiłem.

– Dzień dobry – przywitał się, jednocześnie badając gościa uważnym spojrzeniem. Dobrze zbudowany, choć nieco już sflaczały facet po pięćdziesiątce wyglądał niezbyt świeżo. Na brązowej marynarce widać było kilka ciemniejszych plam. Koszulę mocno opinającą się na okazałym brzuchu miał wymiętą, a krawat krzywo zawiązany. Wyraźny brak włosów na czubku głowy nadrabiał długością tych na skroniach, które dawno nie widziały szamponu.

– Mazurek to znana firma! He, he, he! – Zadowolony z siebie gość usiadł naprzeciwko, cały czas się uśmiechając. – My odkrywamy wszystkie tajemnice. Jak nas wynajmie żona, to mąż musi się już bać albo na obrót – mówił szybko, nieco piskliwym głosem. Adam aż się skrzywił, bo nie przepadał za zbyt hałaśliwymi ludźmi. – Na pewno słyszał pan o nas, Mazurek-Spy. To na naszym rynku prawdziwa marka. Mieliśmy nawet wykupione reklamy w radiu Merkury. Pamięta pan na pewno. Jak to leciało? O tak: „Mazurek-Spy dochodzi zawsze do prawdy!”. Pamięta pan, nie? Wszyscy mówili, że reklama pierwszorzędna, a jak było to słówko „dochodzi”, to tam w tle było takie krótkie jęknienie, jakby jakaś kobitka właśnie... no wie pan, he, he, he! – Mówiąc to, oblizał usta, a ręką zaciśniętą w pięść poruszał w przód i tył. – Dobrze, nie? Na pewno pan słyszał.

– Nie, nie słyszałem – rzucił oschłym tonem Włodarczyk. – Mazurek natychmiast pogrzebał swoją jedyną szansę na to, by zrobić dobre pierwsze wrażenie. Zresztą drugie też nie było dobre.

– Nie słucha pan Merkurego? Jak to? Przecież my tu w Poznaniu mamy tylko jedno swoje własne radio. Takiego radia trzeba słuchać, żeby wiedzieć, co się dzieje w okolicy. Ja na ten przykład tylko Merkurego słucham w samochodzie.

– Myślałem, że to radio zmieniło nazwę na Radio Poznań.

– He, he, he! Jeden pies pogrzebany. Jak się nazywa, to w kij dmuchał. Dla mnie to Merkury i koniec.

– Pan Mazurek jest lokalnym patriotą – próbował rozładować atmosferę pomysłodawca sprowadzenia go na spotkanie, adwokat Słomianny.

– He, he! Pewnie, że patriotą poznański. Ja tu przyjechałem jeszcze w latach osiemdziesiątych z Mrągowa. A bezpośrednio to ze Szczytna, bo ja jeszcze się załapałem na służbę w MO. Ale zacząłem służbę i komuna zaraz upadła. He, he! Ja się śmieję, że upadła, bo ja zacząłem jej bronić, he, he!

– Pan Mazurek był oficerem śledczym. A jak odszedł na emeryturę, to założył firmę detektywistyczną.

– Mazurek-Spy! – dodał były policjant.

– I właśnie dlatego postanowiłem, że powinniśmy zaufać niezwykle bogatemu doświadczonemu śledczemu pana Mazurka, żeby on zebrał informacje na temat szantażysty i poprosił go, by zechciał skończyć swoją przestępczą działalność.

– Się posmaruje, się pojedzie, he, he! My w naszej firmie stawiamy na najwyższą jakość. A nasze usługi są na najwyższym poziomie dyskrecji. Ani pary z gęby. Obowiązuje nas etyka zawodowa, więc może się pan nic nie obawiać, że ktokolwiek się dowie o tej zarzęniętej paniencie...

– Kurwa mać! Zamknij się, pan, do jasnej cholery! – warknął Adam.

– Spokojnie, panie dyrektorze, to przecież nie Sowa i Przyjaciele. Tu nikt nie nagrywa pod stołem. O, popatrzcie się, panowie, tutaj nic nie ma, żadnych podsłuchów o...

Podniósł dzbanek z kwiatkiem do góry, przechylił go i wylał całą wodę na biały obrus.

– O, pardonsik. Nie wiedziałem, że jest tam woda. Kelner! Proszę szybko obrus nam zmienić, bo się rozlało z dzbanka. Swoją drogą, to kto to widział, żeby na stole stawiać dzbanek z wodą do sztucznego kwiatka.

Chwycił tulipana i oderwał mu główkę. Płatki posypały się na stół.

– O, nie był sztuczny... – zdziwił się.

– Sztuczne to badziew. Nadają się do baru z zapiekankami – burknęła kelnerka. Zwinęła mokry obrus i po chwili rozłożyła świeży.

– Czy panowie już coś wybrali, bo ja polecam kaczkę.

– Jak najbardziej może być dla mnie, bo dawno nie jadłem – ucieszył się Mazurek. – A że kaczka lubi pływać, he, he, to ja poproszę jeszcze piwo i seteczkę czystej. Tylko żeby była zimna, wódka oczywiście, nie kaczka, he, he!

Pozostali dwaj uczestnicy biesiady również zamówili kaczkę. Żaden jednak nie miał ochoty na alkohol. Mazurkowi wcale to nie przeszkadzało. Gdy kelnerka przyniosła napoje, pierwszą pięćdziesiątkę wypił natychmiast, a kolejną popił tę pierwszą. Wypiwszy, zatarł ręce i spojrzał na Słomiannego.

– To jak pan, panie Michale szanowny, wyobraża sobie moją rolę? Znaczy się, co mam robić, żeby zarobić?

– Sprawa będzie dość prosta, ale rozumie pan, że to robota bardzo delikatna i dlatego potrzebujemy do niej prawdziwego fachowca.

– He, he! Mazurek-Spy dochodzi zawsze do prawdy! Czyli co ma być wysłedzone?

– Szantażysta. Musimy go wziąć pod lupę. To, jak powiedziałem, delikatna sprawa. Wiemy, że mojego przyjaciela wrobiono w to morderstwo.

– He, he! Niejednego wrobionego się wsadzało.

– Właśnie o to chodzi, żebyśmy udowodnili, że za morderstwem stoją szantażyści, a nie mój przyjaciel.

– Spoko, da się zrobić. Pytanie tylko, za ile?

– A jak pan uważa? – zapytał Adam.

– Panie szanowny dyrektorze, powiedzmy, że w ciągu kilku dni dostarczymy panu dowody na pana niewinność. Dowody będą w postaci nagrania na taśmie filmowej zeznań, całkowicie dobrowolnych zeznań dodam, osoby, która postanowiła lekkomyślnie pana zaszantażować.

– Jak pan chce zdobyć takie nagranie? – Adam był autentycznie zdumiony. Do tej pory wyobrażał sobie, że ten gadatliwy cymbał to kompletna porażka detektywistyczna, po której może się co najwyżej spodziewać, że zakradnie się pod łóżko szantażysty, by zrobić mu zdjęcie, jak ten całuje się z jakimś ministrantem. A tu się okazuje, że facet zamierzał zrobić coś, o co nigdy by go nie posądził.

– Panie dyrektorze, my w naszej branży mamy różne sposoby, żeby zmiękczyć skałę. Powiem panu tylko, że naszemu księdzu-szantażyście, o którym mi pan mecenas już powiedział, nie będzie miło. Oglądał pan ten film o psach? Zaraz, jak on się nazywał, ten z Lindą?

– Psy – podrzucił mu Słomianny.

– O właśnie Psy o psach, he, he! To tam był taki tekst, że jeden gość się pyta drugiego, czy ten trzeci będzie gadał, a ten drugi mówi, że z akumulatorem na jajach to jeszcze nikt nie skłamał, he, he, he!

– Czyli chce pan...

– Co ja chcę, to nic nie powiedziałem, a panowie nic nie słyszeli. Dlatego teraz tylko musimy określić warunki, bo jak panowie wiedzą, skuteczność nie bierze się z waty, ale z sałaty, he, he, he! – Powiedziawszy to, detektyw potarł kciukiem o palec wskazujący.

– Na ile pan wycenia swoją pracę? – zapytał adwokat.

– Nie mogę wziąć stawki dziennej, bo nie wiadomo, ile dni mi sprawa zajmie. W związku z tym policzymy się w ten sposób, że pan dyrektor zapłaci mi zaliczkę w wysokości, bagatela, pięć tysięcy do rączki...

– Ile? – Adam był autentycznie zdumiony. Gdy Michał powiedział, że trzeba wynająć detektywa, pomyślał, że taka usługa może kosztować jakieś dwa, trzy tysiące. A ten tu mówi dopiero o zaliczce.

– Zaliczka to oczywiście od razu. Zawsze tak jest, że biorę najpierw dziesięć procent, a resztę po wykonaniu roboty. Na pewno nie przyjdę po jakąś drugą zaliczkę i tak dalej... Proszę się nie martwić, dyrektorze, nie będzie naciąganych kosztów i kilometrówek.

Miał się nie martwić? Nie martwił się, on był zdruzgotany. Na wspólnym konczie mieli wraz z żoną niecałe sześćdziesiąt tysięcy. Jeśli temu gościowi będzie musiał w sumie zapłacić pięćdziesiąt, to jak wytłumaczy to Ewie? To będzie całkowita katastrofa, gdy ogołoci konto.

Dwie kelnerki przyniosły talerze z pięknie przyrumienionymi nóżkami kaczki, pyzami w ciemnym sosie i podstawki z modrą kapustą. Gdy Adam poczuł zapach mięsa, odezwała mu się w brzuchu prawdziwa orkiestra dęta. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest głodny.

– To zrobimy tak – adwokat wziął sprawy w swoje ręce – Adam musi umówić się z księdzem. A wtedy pan Mazurek wkroczy do akcji.

– He, he, he! Akcji-srakcji – podsumował plan zadowolony z siebie detektyw, a potem oblizał uwalane kaczym tłuszczem palce.

Szamotyły

Godzina 16.30

Drewniany stół piknikowy, na nim plastikowe talerzyki, jednorazowe kubki, kartoniki z sokami i miska z sałatką. Na talerzach niedojedzone resztki grillowych przysmaków. Za stołem uśmiechnięta brunetka w zielonym T-shircie. Na oko jakieś trzydzieści lat. Na jej kolanach siedzi dziewczynka wyglądająca jak jej młodszy klon. Wrażenie potęgują identyczne fryzury. I mama, i córka mają czarne włosy splecione w dwa warkocze. Na prawo od nich uśmiechnięty mężczyzna, obcięty na zero, z długą brodą i wąsami. W dłoni trzyma puszkę piwa. Wszyscy troje spoglądają w obiektyw aparatu fotograficznego. Są radośni, a w ich oczach widać szczęście. Rodzina odpoczywa gdzieś na pikniku po trudach powszedniej orki i codziennego oszukiwania ludzi. On sprzedaje naiwnym pieniądze, za które ci chcą kupić odrobinę szczęścia, ale zamiast tego tracą swoje oszczędności. Ona proponuje swoim klientom przemianę i ochronę przed nieistniejącymi zagrożeniami. Oboje handlują ułudą i wykorzystują ludzką naiwność.

Zamknęła album i spojrzała przez okno. Zrobiło się pogodnie, a wiatr, który wiał jeszcze przed godziną, ustał zupełnie. Gdy wróciła do komendy z Rokietnicy, Wtorek był już gotowy do wyjścia. Zrobił dokładnie to, co mu kazała, czyli obdzwonił wszystkie poradnie, gdzie, według danych internetowych, przyjmowała Marzena Waszuta.

- Czekałem na ciebie – powitał ją z tajemniczym uśmiechem.
- Masz minę, jakbyś coś zbroił.
- Nie, nie. – Machnął ręką. – Nic nie zrobiłem. Znaczy się wszystko dobrze jest.
- Ale masz jakąś sensację?

Pokiwał głową.

- No to gadaj, bo za chwilę wyskoczysz ze skóry.

Zdjęła motocyklową kurtkę i powiesiła ją na wieszaku stojącym w kącie pokoju.

- Tak jak kazałaś, zadzwoniłem do wszystkich tych poradni dla grubasów.
- Poradni dietetycznych – poprawiła go.
- Jak zwał, tak zwał. W każdym razie wszędzie dzwoniłem i się rozpytałem.
- Jako policjant dzwoniłeś czy jako zainteresowany?
- Aneta, czy ty mnie masz za głupka? Jasne, że jako potencjalny klient, co się chce tam umówić na wizytę.

- To dobrze. I co w takim razie ustaliłeś, potencjalny kliencie?

– Dzwoniłem tam i mówiłem najpierw, że chcę się z panią doktor spotkać, znaczy się umówić w sprawie promieniowania. I w każdej odpowiedzi mi, że w tej chwili pani doktor Waszuta jest na nartach we Włoszech i że możliwość umówienia wizyty jest dopiero w przyszłym tygodniu albo za dwa. No to ja się pytałem dalej o to, jak wygląda taka terapia promieniami. A oni na to, że nie wiedzą, bo to doktorka sama robi z klientami i się można tego dowiedzieć dopiero na sesji, znaczy na takim spotkaniu. Czyli nic się nie dowiedziałem poza tym, co żeśmy już wiedzieli.

- Ale chowasz coś w zanadru? – Spojrzała mu w oczy i natychmiast dostrzegła w nich skrywane podniecenie.

– To będzie teraz najlepsze.

– Mów! – ponagliła go. Patryk uśmiechnął się.

– W jednej poradni, jak się przedstawiłem, to mówię „dzień dobry, mówi Patryk Wtorek, czy ja mógłbym...”.

W tym momencie rozległ się dzwonek telefonu komórkowego. Aneta spojrzała na wiszącą kurtkę.

– Sorki, zobaczę tylko, kto tam...

Podeszła do wieszaka i wydobyła z niego telefon. Adrian Foryś, odczytała na wyświetlaczu. Zupełnie o nim zapomniała. Powiedziała mu, że może do niej zadzwonić po południu. No i było popołudnie. Chłopak dotrzymywał słowa.

– Muszę odebrać – rzuciła w kierunku Patryka i wyszła z telefonem na korytarz.

– Halo.

– Cześć, piękna.

– Cześć, Adrian. Wiesz, jestem w pracy jeszcze, więc z tej kolacji to raczej nic nie będzie dzisiaj – wyrzuciła szybko z siebie to wytłumaczenie, żeby od razu ustawić się w lepszej pozycji negocjacyjnej. Bała się pójść z nim, bo nie poukładała sobie jeszcze wszystkiego w głowie. Nie miała żadnej pewności, czy ten facet jest tym, z którym powinna się spotykać. Niby wszystko z nim było w porządku, przystojny, inteligentny i do tego jeszcze wpatrzony w nią jak w obrazek. No i pochodził z porządnej rodziny. Przy tych wszystkich zaletach był niezależny finansowo. Aneta nigdy nie oceniała ludzi poprzez pryzmat ich zamożności, ale w tym wypadku był to niewątpliwy atut, który świadczył o tym, że Adrian jest człowiekiem obrotnym i potrafi zadbać o swoje sprawy. A to oznaczało również, że powinien umieć zadbać o rodzinę...

Boże, o czym ja myślę?, zganiła samą siebie. Nie mam teraz czasu na takie pierdoły. Tam czeka Patryk z jakąś rewelacją dotyczącą śledztwa, a ja właśnie zakładam rodzinę z Adrianem.

– Łe, no to super, bo ja ogólnie chciałem ci powiedzieć, że się nie wyrobię dzisiaj.

– Z czym się nie wyrobisz?

– No z moją furą. Wiesz, muszę ją wysprzątać, tak żeby była jak nowa, a na to jest potrzebne trochę czasu.

– No tak, rozumiem. Ale dlaczego musisz ją wysprzątać? – zadała pytanie i zaraz tego pożałowała. Gdyby nie zapytała, rozmowa by się skończyła i mogłaby pójść do Patryka.

– No, Anetuś, przecież ci mówiłem.

– Nie jestem Anetuś.

– Nie? To znaczy jak?

– Aneta, normalnie.

– Anetka byłoby ładniej.

– Anetka mówią do mnie rodzice.

– He, he. Rozumiem, że jeszcze nie jestem na tyle blisko.

– To powiedz mi, co mówiłeś, bo nie pamiętam. – Wolą wrócić do pytania niż rozmawiać o skracaniu dystansu.

– No ogólnie chodzi o to, że mam odebrać niedługo ten nowy samochód Audi A7. Wysłałem ci przecież ten teledysk z autem, żebyś sobie obejrzała. Widziałaś?

– Tak – skłamała. Zapomniała otworzyć tego maila.

– No to właśnie w sobotę jadę odbierać auto do Poznania, a to moje muszę zostawić u dilerka. Wezmą w rozliczeniu. No i dziś sprzątam je, żeby lśniło w środku. Wiesz ogólnie, o co chodzi. Żeby jak najwięcej za niego wyciągnąć. A widziałaś, że jest w świetnym stanie i w ogóle...

– Przepraszam, Adrian, ale mam właśnie ważną sprawę do załatwienia i nie bardzo mogę rozmawiać...

– No weź przestań. Przecież w żadnej robocie nie jest tak, żeby przez chwilę nie dało się pogadać.

– Może u ciebie w firmie, ale tu jest inaczej. Muszę kończyć.

– Tak, rozumiem. Ale poczekaj, Anetuś. No ja sobie pomyślałem, że jak nie możemy iść do knajpy na kolację, to może byś wpadła do mnie. Wiesz, jak będę go pucował, a ty sobie posiedzisz. No rozumiesz, pogadamy i mogłabyś po drodze wjechać po kebaba dla nas. Wiesz, taki piknik przy samochodzie...

– Adrian, przepraszam, ale nie mam czasu i z pikniku raczej nic nie wyjdzie, bo nie wiem, o której wrócę. Zdzwonimy się później.

– Okej, piękna. Będę dzwonił...

– Cześć.

Przerwała połączenie. Poczwała, że jest jej duszno. Rozpięła polar pod szyją, ale to nic nie pomogło. Problemem nie był brak powietrza i dobrze o tym wiedziała. Chodziło o to, że przez chwilę poczuła się tak, jak ktoś zamknięty w windzie uwiecznionej między piętami, z której nie można się w żaden sposób wydostać.

Wróciła do pokoju.

– Przepraszam, Patryk. Musiałam pogadać.

– Co, narzeczony dzwonił?

– Daj spokój.

– No nie musisz się przede mną kryć. Myślisz, że ja nie widzę, jak poleciałś na korytarz z telefonem w ręce, jakby się paliło? A teraz wracasz z rumieńcami na twarzy. Zakochanie to przecież nic złego. Co, motyle w brzuchu latają, nie?

– Patryk, walnij się jakąś deską w łeb. Albo jak chcesz, to ja cię walnę.

– Ej, daj spokój. Co się obrażasz zaraz? Wyluzuj z tym złym humorem.

– Kobiety nie mają złego humoru, ale co najwyżej obniżoną tolerancję na głupotę.

– A, już rozumiem. Przepraszam. Źle odczytałem sygnały. To znaczy, że jesteś na wkurwie, bo się z tym swoim Adrianem pokłóciłaś.

– Skąd wiesz, że ma na imię Adrian?

– No coś tam przez drzwi było słyhać. Ale nie podsłuchiwałem. Harcerskie słowo.

Było gorzej, niż myślała. Adrian zamykał ją w windzie, a ten tu Patryk zaraz wszystko rozgada.

– Dobra, Adrian do mnie dzwonił. Ale to nie mój chłopak i dlatego proszę bardzo, panie starszy sierżancie, o niepieprzenie głupot i zajęcie się robotą. To na czym skończyliśmy?

– A właśnie, na tej ostatniej poradni. – Mina Patryka świadczyła wyraźnie, że już zapomniał o Adrianie, bo to, co chciał powiedzieć, było sto razy ciekawsze. – I ja się przedstawiam, a tu z drugiej strony słyszę, że tam po drugiej stronie jest cicho. A potem odzywa się dziewczyna i mówi, że się nazywa Olka Andruszkiewicz i że chodziła ze mną do klasy w podstawówce i potem w gimnazjum. No to się ucieszyłem. Bo wiesz, jak to się gada ze znajomymi, zupełnie inaczej niż z obcymi. To ja jej mówię, że chciałem się umówić na wizytę u tej lekarki Waszutowej, bo dużo o niej słyszałem, a ona zaczyna się śmiać. I mówi, że mnie chyba pogięło, bo ona to nie jest żadna lekarka, tylko oszustka, co wciska ludziom kit. To ja się pytam, o co chodzi z tym kitem, a Olka mówi, że to jest biznes z odpromiennikami. No to ja jej gadam, że ja właśnie w sprawie tego promieniowania kosmicznego, co jest szkodliwe, i tak dalej. A Olka, że jestem głupi, bo żadnego promieniowania nie ma, i że odpromienniki robi jeden gość spod Wroniek, co używa do tego starych anten satelitarnych, maluje je na srebrno, spawa nóżki i wkręca w sam środek zwykłą żaróweczkę od latarki, a z tyłu doczepia pojemnik na baterię. I ten odpromiennik nic nie robi, tylko stoi gdzieś w domu, a durnie włączają tą żaróweczkę i myślą, że ich chroni przed promieniowaniem. Ale kretynów jest dużo, więc kupują ten badziew za dwa i pół tysiąka za sztukę, szczególnie teraz, bo ona jeszcze zwęszyła interes i mówi, że te odpromienniki zabijają też wirusa, tego covid.

– No to nieźle się spisałeś, Patryk – pochwaliła go Aneta.

– Ale to jeszcze nie koniec. – Głos Patryka wyrwał ją z zamyślenia.

– Co mówisz?

– To, że ona podała mi namiary na tę babkę.

– Jakie namiary?

– He, he, na Facebooka. Powiedziała, że sam sobie mogę z nią pogadać na fejsie, jak mi nie szkoda czasu, i się samemu przekonać, że to jest oszustka. No i podała mi stronę, co się nazywa Naga Prawda. A tam był link do otwartej grupy na fejsie. No to wszedłem tam i zadałem pytanie o ten odpromiennik, że niby się boję promieniowania... Mówię ci, tam są same świry, co noszą bejsbolówki wyłożone od środka folią aluminiową, bo to chroni przed promieniami i tym wirusem.

– I co się stało?

– Odezwała się do mnie na priv.

– Kto?

– Marzena Waszuta. Mam całą rozmowę na swoim Messengerze, więc możesz zobaczyć. Normalnie żywa Waszutowa wyjaśniła mi, że doskonale trafiłem, bo ona pomoże mi we wszystkim, i że nie muszę się już bać promieniowania, i od razu dała mi radę, żebym sobie czapkę wymościł folią. Ja pierdzielę, masakra... No i jeszcze jedna informacja. Znalazłem na fejsie grupę ludzi poszkodowanych przez doradcę finansowego Marka Waszutę. Jadą go tam równo. Piszą, że inwestował ich kasę i nikt z nich nie dostał ani grosza z tej inwestycji. Czyli gość ich normalnie orznął. Z tego, co tam piszą, to będzie tej kasy, którą im gwizdnął, kilka baniek. Wiara chce go podawać do sądu, ale kilku gości jest tak wściekłych, że pisze, że trzeba go zajebać...

Leżący na blacie biurka telefon zawibrował. Aneta wzięła go do ręki. To przyszedł SMS:

czesc piękna widziałem ze nie otworzyłas jeszcze mojego majla z filmikiem musisz to zobaczyć zadzwonie wieczorem pa Anetuś.

Patryk poszedł do domu godzinę temu. A ona włączyła komputer, jednak nie po to, żeby obejrzeć filmik z autem Adriana. Od razu weszła na stronę Naga Prawda. Czytanie tak ją wciągnęło, że nawet nie zauważyła, kiedy za oknem zrobiło się szaro. Trzeba by wracać do domu, żeby zająć jeszcze za dnia, pomyślała. I wtedy przyszła kolejna wiadomość:

jakbys się namyslila to dla mnie kebab wieprzowy.

Rozdział IV

Poznań

Godzina 17.50

– O, jesteś wreszcie! – Mariusz Blaszkowski wstał z za swojego nowego biurka, kiedy Przemek wszedł do pokoju. Drażkowski rzadko bywał w pokoju szefa wydziału. W zasadzie dotychczas zdarzyło mu się to dwa razy i za każdym razem po to, by przyjąć ochrzan. Ale tym razem było inaczej. Nowy szef wezwał go po to, żeby pogadać. Nie zdradził kolegom, że zna dobrze Blaszkowskiego, choć to, że został pochwalony podczas porannej operatywki, nie przeszło bez echa i od razu zrodziło pewne domysły.

– Też, Drażek, a ty masz jakieś specjalne chody u tego nowego? – zapytał Bury, gdy wrócili po zebraniu do pokoju.

– Nie, no wiem tylko, kto to jest, i tyle...

– Ale nie gadaj. – Gliniecki też był ciekawy tej nowej postaci. – To gość z Poznania czy jakiś spadochroniarz?

– Z Poznania – przyznał Przemek.

– A gdzie wcześniej robił? – Bury lubił mieć pełne spektrum wiedzy na każdy temat. Szczególnie jeśli dotyczyła ona kwestii personalnych w wydziale, a nawet w całej komendzie przy Szylinga.

– Pracował w wojewódzkiej i był zastępcą szefa dochodzeniowo-śledczego. O tym szefie to żeście słyszeli na pewno, bo to chyba najbardziej znany szkieł z czasów końca PRL-u i później już normalnych czasów.

– Zaraz, zaraz, jak on się nazywał? – próbował przypomnieć sobie Gliniecki, czochojąc długą grzywę.

– Marcinkowski, a dokładnie Alfred Marcinkowski. To facet legenda w Poznaniu. Ma na koncie wszystkie najtrudniejsze sprawy z lat osiemdziesiątych. Przede wszystkim tę najważniejszą, co ją śledziła cała Polska, znaczy tę, jak złodzieje ukradli srebrny sarkofag świętego Wojciecha z Gniezna w osiemdziesiątym szóstym roku. A oprócz tego jeszcze sprawę kradzieży i ostrzelania samochodu z pensją dla pracowników Ceglorza w osiemdziesiątym drugim, a potem w osiemdziesiątym trzecim sprawę wykopywania zwłok na poznańskich cmentarzach, czyli kryptonim Nekrofil... A, i jeszcze jedną, z osiemdziesiątego piątego, Łowcy głów, znaczy gościa, co obcinał głowy kobietom¹⁰.

Obaj koledzy spojrzeli na niego, jakby właśnie oświadczył im, że mówi biegle w obcym języku i co więcej, przemówił do nich po rosyjsku. Nigdy wcześniej nie chwalił się swoją wiedzą historyczną ani nawet jakimś szczególnym zainteresowaniem historią policji, a tu, proszę, informacje jak z podręcznika dla oficerów śledczych.

– Też, skąd ty to wszystko wiesz o tym Marcinkowskim? – zapytał Gliniecki.

– No wiesz, coś mi się obilo o uszy.

– Ten Marcinkowski to znany gość. – Naraz przypomniał sobie coś Bury. – On jest tak znany, że przecież ma nawet swoją ulicę w Poznaniu. Byle komu nazwy się nie daje, nie?

– Prawda – zgodził się z nim podkomisarz. – Żeby mieć ulicę, to musiał się nieźle zasłużyć. I to ulicę w samym centrum. Bo takim mniej zasłużonym nadają nazwy od ich nazwisk gdzieś na nowych dzielnicach.

– Ale ten Marcinkowski, co ma ulicę w Poznaniu, to nie jest Alfred, tylko Karol.

– To pewnie w takim razie jego ojciec. – Buremu spodobała się ta uliczna teoria i nie chciał łatwo z niej zrezygnować. – Albo nawet dziadek. A to znaczy się, że Marcinkowski z dobrej rodziny pochodzi.

– A ten Blaszkowski to co? – Gliniecki przypomniał sobie o nowym szefie.

– Nie ma ulicy Blaszkowskiego w Poznaniu. – Bury zdecydowanie pokręcił głową. Znał miasto jak własną kieszeń i takiej ulicy sobie nie przypominał.

– Jak, kuźwa, ma mieć ulicę? – Gliniecki palnął się otwartą dłonią w czoło. – Przecież on jest za młody na to, żeby się tak zasłużyć. No, Drażek, powiedz sam, czy ktoś by dał takiemu młodemu ulicę? Ile on może mieć lat, co?

– Po pięćdziesiątce jest... – stwierdził z wahaniem, bo dokładnie nie wiedział. – Na pewno zaczynał pracę jeszcze w czasach, gdy w komendzie wojewódzkiej pracował mój ojciec, Teofil Olkiewicz.

– To znaczy, że ten Blaszkowski ma dobrą przeszłość – stwierdził aspirant Bury.

– Fachowiec znaczy, skoro był u tego Marcinkowskiego. – Podkomisarz Gliniecki zgodził się ze swoim kolegą i spojrzał wymownie na Przemka, czekając na potwierdzenie swojej opinii.

– U Marcinkowskiego byli sami fachowcy. Żadnej polityki, tylko ciężka robota. Zresztą wszyscy wiedzieli, że nie trafia do tego wydziału nikt z przypadku, bo szef sam sobie dobierał ludzi.

– To dobrze o nim świadczy. Nikt nie lubi, jak polityka wpierdala się w policyjną robotę. – Gliniecki wiedział, co mówi, bo od kilku lat to właśnie politycy stali za większością kadrowych zmian na dowódczych stanowiskach.

– U Błachy nie będzie żadnej polityki. Przekonacie się – rzucił Drażkowski, sięgając po telefon. Musiał zadzwonić do żony, bo miała mu wysłać adres Marianny, która zniknęła z ich forszą. Postanowił, że po pracy pojedzie do niej, żeby wyjaśnić sprawę, i ewentualnie poprosi grzecznie, by zechciała zwrócić to, co jej się przykleiło do rąk.

– Cześć, Alex, miałaś mi przysłać namiary naszej złodziejki.

– Tak, przepraszam, ale mam dziś urwanie głowy.

– Co, taki ruch?

– Ruch normalny, ale jestem sama w knajpie.

– Jak sama? A Paula ma urlop?

– Nie, skąd. Nie dawałam jej urlopu. Siedzi w domu przeziębiona. Zadzwoniła do mnie i powiedziała, że nie przyjdzie, bo ledwo żyje. Mówię ci, gadała takim zachrypniętym głosem, jakby wypięła zimne piwo na mrozie. No i podała mi ten adres i powiedziała jeszcze, że telefon Mary jest wyłączony, ale kilka razy logował się do sieci.

– A skąd to wie? – Przemek natychmiast się zainteresował tą informacją, bo to przynajmniej był jakiś konkret. Dziewczyna się ukrywała, więc wyłączała telefon, ale młodzi ludzie praktycznie nie funkcjonują bez komórek, więc musiała wchodzić do sieci co jakiś czas pewnie po to, żeby odebrać wiadomości i sprawdzić fejsa.

– No normalnie, wyświetlały się jej powiadomienia, że osoba, do której dzwoniła, jest już osiągalna. No taki SMS przychodzi z powiadomieniem. Ale jak próbowała dzwonić, to już była informacja, że jest poza zasięgiem lub ma wyłączony telefon.

– To wygląda tak, jakby otwierała komórkę tylko na chwilę, żeby coś sprawdzić, i zaraz ją wyłączała.

– Szukała pewnie jakichś numerów i przesyłała je na swoją nową komórkę – domyśliła się Alex.

– Skąd wiesz?

– No jak skąd? Ja bym tak zrobiła.

– Jesteś praktyczna do bólu.

– Domyślna i inteligentna. I dlatego właśnie mnie kochasz.

– Wyślij mi tego SMS-a z adresem, bo niedługo będę wychodził z pracy, to do niej pojedę.

Wysłała, ale on nie pojechał od razu, tak jak sobie zaplanował. Gdy był już prawie gotowy do wyjścia, odezwał się na jego biurku telefon. Wzywano go do nowego szefa.

Poprzedni szef wydziału spotykał się z podwładnymi najczęściej na operatywkach i naradach, ale indywidualne rozmowy nie były w jego stylu. Komisarz Iwaniec sprawiał wrażenie człowieka, który bał się ludzi. Nie miał w grupie żadnego oparcia w postaci jakichś starych znajomości. Był tu ciałem obcym, więc nic dziwnego, że się nie sprawdził. Przyjechał z Kalisza, przywieziony w teczce przez nowego komendanta miejskiego, gdzie jak szybko ustalili jego nowi podwładni, nie wyróżniał się kompletnie niczym. Był policyjnym urzędnikiem w przewencji, a tu miał organizować robotę najlepszym śledczym w Poznaniu. Na pierwszym zebraniu zapowiedział, że aby było lepiej, trzeba wprowadzić pewne zmiany i że on przygotuje samodzielnie grafik dyżurów, by maksymalnie wykorzystać potencjał ludzki i niczego nie zmarnować. Więc zaczął zmieniać coś, co dotąd funkcjonowało idealnie, bo grafik powstawał dzięki zeszytowi, do którego poszczególni pracownicy wpisywali swoje zastrzeżenia, typu: „w środy i piątki muszę odbierać dziecko z przedszkola o 15, bo żona ma popołudniowy dyżur w szpitalu, proszę więc o dyżury poranne”.

Od razu zdelegalizował zeszyt i zaczął przydzielać dyżury według własnego klucza, czyli po uważaniu. Na szczęście życie samo weryfikuje idiotów u władzy i ich kretyńskie pomysły. Ludzie szybko zorientowali się, że nie ma co walczyć z racjonalizatorem, i zaczęli zamieniać się na własną rękę. I w tej sytuacji niemal nigdy nazwiska tych, którzy mieli dyżur w danym momencie, nie pokrywały się z grafikami.

– Co według ciebie trzeba by zmienić na samym początku? – zapytał Błaszowski, przywitawszy się z synem swojego dawnego kolegi.

– Najpierw trzeba przywrócić zeszyt skarg i wniosków.

– Taki jak dawniej wisiał w każdym sklepie, w którym można było nakablować na nieuprzejmą sprzedawczynię?

– Nie, tak się u nas nazywał zeszyt, w którym wpisywaliśmy się, kiedy kto może mieć dyżur, a kiedy nie. Wiesz, takie wnioski, żeby nie komplikować życia rodzinnego.

– A, rozumiem. A kto robił grafik dyżurów?

– Szef, znaczy Iwaniec robił.

– Aha, to dobra, przywracamy zeszyt, a grafik będzie robić... Kto jest najbardziej ogarnięty, jeśli chodzi o papierologię?

– Aspirant Marta Krzywicka. Ona lubi tabelki i wykresy, w ogóle ten cały statystyczny syf.

– Nada się?

– Ona będzie zachwycona.

– No to załatwione. Coś jeszcze jest do zmiany?

– Jasne, daj nam wszystkim podwyżki.

Błaszkowski uśmiechnął się pod równo przyciętym wąsem. Od pewnego czasu nosił też niewielką brodę. Doszedł do wniosku, że taki hiszpański zarost doda mu nieco powagi, bo w gruncie rzeczy mimo swoich pięćdziesięciu czterech lat nadal wyglądał dość młodo. A teraz gdy obejmował funkcję szefa wydziału, chciał robić na ludziach poważne wrażenie.

– Podwyżki będą w maju. Tak słyszałem. Ale ile nam dadzą więcej, to nie wiem.

– Zawsze się grosz przyda. A tak w ogóle to witaj na pokładzie. Mam nadzieję, że teraz będzie tylko lepiej.

– Zobaczymy.

Mariusz wstał z za biurka i Przemek też poderwał się z krzesła. Uścisnęli sobie dłonie, mocno i zdecydowanie, tak jak to robią ludzie, którzy dawno się nie widzieli.

– A co słyhać u ojca? – zapytał jeszcze Błaszkowski.

– Tata ciągle narzeka, że mu lekarze nie pozwalają pić. A mama mówi, że już swoje wypił. Na szczęście w tej Toskanii, gdzie siedzą od roku, wina są całkiem dobre, a rozrabiane z wodą dodają człowiekowi mocy, a nie odbierają siły jak wódka.

– Kłaniaj się Teofilowi ode mnie, jak będziesz z nim rozmawiał.

Duszniki

Godzina 18.30

Dzień dobry, ja chciałam zapytać o te odpromienniki i w ogóle, napisała na komunikatorze. Przez chwilę nic się nie działo, zaczęła więc przeglądać informacje na portalu. Coraz więcej było tych mówiących o zagrożeniu covidowym. Zamykały się uniwersytety, szkoły i przedszkola. Czegoś takiego jeszcze nigdy u nas nie było, więc czytało się to jak relacje z innego, dalekiego świata. Tymczasem liczba zakażonych w kraju rosła z każdym dniem.

Dzień dobry. A co panią konkretnie interesuje?, odpisała kobieta, podpisana jako *dr Marzena Waszuta*. Aneta miała swoje konto, ale nie pod własnym nazwiskiem. Jako policjantka wolała być osobą anonimową, by nikt, z kim miała do czynienia w swojej pracy,

nie mógł jej odnaleźć w necie. Dlatego stworzyła profil jako Nowaneta. Może niezbyt oryginalnie, ale zestawienie się jej spodobało. Zamiast fotografii twarzy na profilowym ustawiła zdjęcie pyska swojego Psa. Miała kilkadziesiąt znajomych osób, większość z nich to byli ludzie z jej szkoły z Dusznik. Profil wyglądał więc całkiem zwyczajnie, dzięki niemu mogła odezwać się do Waszutowej, która nie miała najmniejszej szansy na rozszyfrowanie jej policyjnej profesji.

Ja czytałam o tych truciznach, co na nas leją z samolotów koncerty farmaceutyczne.

A gdzie pani czytała o tym?

No jak gdzie, na tej stronie, co się nazywa Naga Prawda. Tam zresztą jest link do pani doktor, żeby się odzywać na fejsie...

No tak, to dobra droga, żeby dojść do prawdy.

Jakiej prawdy?

Aneta postanowiła, że będzie udawać osobę niezbyt lotną, by kobieta mogła jej jak najwięcej wytłumaczyć. Potem zrobi screeny rozmowy i wyśle do Biernata. A jutro wspólnie zadecydują, co zrobić dalej.

Prawdy o życiu i tym niesprawiedliwym świecie, w którym wszyscy żyjemy.

Aha. Ale ja chcę tylko odpromieniować to promieniowanie i to, co zsypują z samolotów.

To dwie różne sprawy. Nasze odpromienniki chronią nas w domach przed szkodliwym promieniowaniem słonecznym i ziemskim jednocześnie. One oba mogą człowieka zabić. Nawet zdarza się tak ludziom we śnie, kładą się do łóżka i rano już nie wstają.

To straszne. Słyszałam już o takich przypadkach, że ludzie umierają we własnych łóżkach i nawet nie wiedzą, że umierają. Nie wiedziałam tylko, że to od tego.

A od czego, droga pani? Oczywiście, że od tego. Dlatego włączony odpromiennik odpromieniowuje te złe promieniowania i człowiek jest bezpieczny.

A na dworze?

Tu już jest trochę gorzej, bo tam nie ma naszych odpromienników, ale najlepiej chodzić w czapeczce futbolówce i wykladać ją od środka folią aluminiową.

Łe, to już se zrobiłam taką czapkę. Bo czytałam o niej na stronie u was. Od razu się zabezpieczyłam. A te odpromienniki to drogie?

Dwa i pół tysiąca.

O ku...

Ale jest jeszcze opcja zniżki pięćdziesięcioprocentowej dla członków naszego stowarzyszenia Lumen Verum.

Że co?

Lumen to światło, a verum to prawda. Światło Prawdy to nasza grupa dyskusyjna, w której rozmawiamy o wszystkim, co nas dotyka, co nam niszczy życie i co zrobić, żeby znaleźć własną ścieżkę rozwoju duchowego.

He, he, to taka ścieżka jak w Kung Fu Panda?

Tak, no właśnie o to chodzi, o samorozwój i samodoskonałość. Dochodzimy do niej dzięki medytacjom. Odrzucamy brud tego świata i kroczymy ścieżką ku spotkaniu ze Stwórcą.

O to zajebiście. To ja bym chciała się zapisać i wziąć tą antenę ze zniżką. To gdzie się można zapisać?

Zgłosić się można u mnie, ale zapisanie się do nas nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać. My unikamy ludzi, którzy nie mają silnej motywacji. Chodzi o to, by przyjmować tylko zdecydowanych...

Jestem zdecydowana.

I takich, którzy pójdą z nami ścieżką światła, a nie takich, którzy chcą taniej kupić odpromiennik. A pani wie, że on też zabija bakterie tej chińskiej zarazy? To naprawdę w dzisiejszych czasach idealne rozwiązanie naszych problemów.

To ja w takim razie naprawdę chcę się bez żadnej ściemy zapisać, bo chciałabym na te medytacje...

Odezwiemy się wkrótce. Prześlę pani wszystkie informacje...

Aneta jeszcze przez chwilę wpatrywała się w okienko komunikatora, ale rozmowa zakończyła się definitywnie. Szkoda, pomyślała, bo zaczęło ją to nawet bawić. I rzeczywiście mogło się wydawać zabawne, gdyby nie świadomość, że to, co robi ta kobieta, to naciąganie naiwniaków. I wtedy przyszedł SMS. Spojrzała na wyświetlacz. Wiadomość wysłał Adrian:

cześć piękna jak kwiatki

Bardzo ładne, dziękuję.

Tymi kwiatami naprawdę ją zaskoczył. Dawno od nikogo nie dostała kwiatów. Na urodziny owszem, od Biernata bukiet i od taty również. A tu proszę, piękny bukiet zupełnie bez okazji. No może z okazji niezjedzenia hot doga, pomyślała i uśmiechnęła się do swoich myśli, bo przypomniało się jej, jaką wewnętrzną walkę musiała dziś stoczyć. Gdy przejeżdżała koło stacji benzynowej, już chciała zwolnić, bo jak zwykle poczuła głód na myśl o swoim przysmaku. Naraz uświadomiła sobie jednak, że w domu na kolację będzie bigos. Najlepszy na świecie, bo nikt nie potrafił tak zrobić bigosu jak mama. Przygotowywała go ze słodkiej i kwaśnej kapusty z dodatkiem powideł śliwkowych, dobrej kielbasy i mięsa wieprzowego pokrojonego w kostki jak do gulaszu.

Aneta była osobą niezbyt przywiązującą wagę do jedzenia, ale bigos był jednym z nielicznych kulinarnych wyjątków, o którym śmiało mogła powiedzieć, że to jej ulubione

danie. Jego zapach, rozchodzący się po całym domu, sprawił, że poczuła ssanie w żołądku. Nie zjadła w pracy niczego, prócz jednej kanapki przygotowanej rano przez mamę. Drugą, wyschniętą po całym dniu poniewierania się w plecaku, z największą przyjemnością zjadł Pies, który jak zwykle wybiegł dziewczynie na spotkanie. Teraz w domu nie odstępował jej na krok. Poszedł z nią do pokoju, gdzie zrzuciła motocyklowe ciuchy. Przez chwilę stała przy szafie, zastanawiając się, co na siebie włożyć, ale doszła do wniosku, że nie musi to być nic wystrzałowego, bo przecież nie wychodzi z domu na randkę. Właśnie... Adrian miał dzwonić. Tak przynajmniej zapowiedział. Ale chyba zejdzie mu trochę przy myciu samochodu. I dobrze, niech myje. Samochód powinien być czysty, ale ona niekoniecznie miała ochotę na uczestniczenie w roli widza w procesie polerowania blachy. Powinien się bardziej postarać, jeśli chce, by coś więcej między nimi się wydarzyło.

I całe szczęście, że nie pojechałam do niego z tym kebabem, przypomniała sobie ostatniego SMS-a. Piknik przy aucie z kebabem w dłoni. Nie przepadała za tym specjałem. Samo mięso nawet było dobre, ale te wszystkie sosy, którymi je polewano, wypływające na boki przy każdym ugryzieniu, smarujące brodę, policzki i palce, a niekiedy kapiące na wszystko, na co da się skapnąć, doprowadzały ją do szału. Kiedy jadła kebaba, miała wrażenie, że on żyje własnym życiem i robi wszystko, żeby ją zaatakować. Nie, zdecydowanie kebab to nie była jej bajka. Co innego hot dogi, no i oczywiście ten najlepszy na świecie bigos.

– Anetuś, przyjdiesz zaraz, bo już będzie dobry do jedzenia! – zawołała mama z kuchni.

– Tak, zaraz, wskoczę tylko na chwilę pod prysznic...

– No to szybko, bo mi tu tata wyżera już z garnka!

Aneta chwyciła wiśniową sukienkę z lekkim dekoltem, taką z serii „grzeczna uczennica”. Lubiła ten kolor, bo dobrze harmonizował z jej rudymi włosami. Poszła do łazienki, a Pies oczywiście potupał za nią. Kąpiel zajęła jej pięć minut, kolejne dziesięć suszenie włosów. Gdy weszła do kuchni, mama rozkładała właśnie na stole talerze i sztucce. Ale najbardziej widocznym elementem wystroju był wielki bukiet kwiatów w kryształowym wazonie.

– Trzydzieści trzy róże – powiedział zadowolony tata, widząc, jakie wrażenie zrobił na niej bukiet.

– A co to za okazja? – Była autentycznie zdziwiona. Nie miała przecież ani imienin, ani urodzin.

– Okazja to ja nie wiem – mama podeszła do stołu z miską wypełnioną smakowicie pachnącym bigosem – ale jak kto zakochany, to pewnie daje kwiaty.

– A to tata ci dał? – domyśliła się.

– Ady tam zaraz tata. Tata to kwiotków mi nie kupił już ze dwadzieścia lat.

– O, nieprawda – obruszył się ojciec. – A od kogo żeś dostała tego, no, jak on się nazywa... storczyka czy jakoś tak, w zeszłym roku to było, jak w Biedzie była promocja.

– Zaraz, to co jest z tymi kwiatami? – zapytała zdezorientowana Aneta.

– Jak co? Adrian ci przyniósł. Powiedziałam, że cię nie ma i żeby później przyszedł, jak już będziesz w domu, ale on powiada, że musi samochód umyć i kwiotki dla ciebie. I że tam jest wszystko napisane. O tutej. – Wskazała na kartkę doczepioną do bukietu. Aneta obróciła wazon do siebie i zajrzała do środka.

– Jest w ciebie zapatrzony jak w obrazek – stwierdziła mama, nakładając jej bigosu.

– A dlaczego akurat dał mi trzydzieści trzy róże? – W jej głowie zapaliła się czerwona lampka. – Tyle mam lat, więc on mi chciał przypomnieć...

– O czym? – zdziwił się ojciec, który ostrożnie wsuwał sobie w usta widelec z gorącą kapustą.

– Jak o czym? Przecież to jasne. On mi mówi, że już jestem stara i nikogo sobie nie znajdzie, więc chce pokazać, jaki jest dobry, że się mną zainteresował.

– Oj, Anetuś, czy ty sobie zawsze musisz wszystko tłumaczyć i rozkładać na części, tak jak tata te swoje stare graty?

Mama miała rację. Ona zawsze doszukiwała się w postępowaniu ludzi drugiego dna, szukała punktu zaczepienia, żeby złapać kogoś na jakiejś niekonsekwencji. To chyba zawodowe zboczenie, pomyślała, zła na samą siebie.

Mama wreszcie usiadła, chwyciła kromkę chleba i zaczęła ją smarować masłem. Za dużo tego masła, Aneta ciągle jej to powtarzała, a mama i tak robiła swoje.

– Wiesz, mam, ja już tak mam, że gdzieś tak idą te moje myśli nieoczywistymi ścieżkami.

– Za mądra ta nasza Anetka dla niego – odezwał się tata z pełnymi ustami.

– Ale się tam akurat znasz – ofuknęła go mama. – Chłopak grzeczny, majątny, ino mu żony i dzieciaków brakuje. No co, źle mówię, Anetuś?

– Bardzo dobry bigos, mam. Naprawdę, najlepszy na świecie.

Adrian odezwał się znowu.

Umyłem już samochód może gdzieś skoczymy na przejazdke?

Przez chwilę zastanawiała się, co powinna odpowiedzieć, i naraz palce same wystukały wiadomość:

Wiesz, może to dobry pomysł.

Postanowiła spróbować go trochę lepiej poznać. Właściwie nic o nim nie wiedziała. Jakie książki czyta, jakie lubi filmy, czy woli Zakopane czy Karpacz, a może nie lubi gór, tylko morze...

Szykuj się piękna bo będę za 20 min.

Za pół godziny, muszę się ubrać itd.

Spojrzała na ekran komputera. Już miała go wyłączyć, gdy naraz dostrzegła informację o nowej wiadomości w Messengerze. Otworzyła komunikator. Pisała do niej Marzena Waszuta.

Pani Aneto, mam dobrą informację. Jeśli pani chce, to możemy się spotkać już jutro. Nasz Przewodnik duchowy zamyka nową grupę i zgodził się porozmawiać jeszcze z panią. Ma więc pani niebywałe szczęście, bo jest szansa dołączyć do ludzi wybranych, którzy na otwarcie nowej grupy dyskusyjnej czekali od trzech

miesiący. A pani, jeśli oczywiście przekona Przewodnika, całą drogę wstępną może przejść już w jeden dzień.

Ale gdzie, ja nie mam pojęcia, gdzie jesteście?, zapytała natychmiast Aneta, czując, że wchodzi na jakąś ekscytującą ścieżkę, może nie przemiany duchowej, ale na pewno śledczej obserwacji uczestniczącej.

Niedaleko od Dusznik, w Szamotułach mamy spotkanie. Zapraszam jutro na 13.00, pani Aneto.

O, już mnie rozszyfrowali, stwierdziła z uznaniem. Przejrzeli mojego fejsa i wywnioskowali, że jestem z Dusznik, skoro mam tylu znajomych stąd.

Ok, postaram się być.

Proszę nie zmarnować tej szansy.

Spoko.

Wyłączyła komputer, analizując tę rozmowę ze sprzedawczynią odpromienników. Miała nieodparte wrażenie, że to jest jakiś grubszy szwindel i w związku z tym czuła pewien rodzaj ekscytacji czy nawet podniecenia. Coś się zaczęło dziać...

Telefon zapiszczał. Spojrzała na wyświetlacz. Wiadomość od Adriana.

Cze piękna podjechałem możesz wychodzić.

Poznań

Godzina 20.50

Kurier przywiózł mu ją po południu. Na szczęście żony nie było w domu. Pojechała na zakupy. I to go uratowało. Na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby to ona otworzyła, oblał go zimny pot. Tak samo jak w chwili, gdy sam otworzył przesyłkę. Zwykła paczka w kartonie, nie większa niż pudełko od butów. Zdziwił się, bo zaadresowana była na jego nazwisko, a przecież niczego ostatnio nie zamawiał. Kurier też niczego nie wiedział. Nadawcą był jakiś Jan Nowak. Nie znał żadnego Jana Nowaka. Mimo to odebrał paczkę. Położył ją na stole w kuchni i zaraz zabrał się do otwierania. Szybko uporał się z taśmą, którą karton był szczelnie oklejony, i odciął papierowe wieczko.

– Ja pierdole! – zaklął głośno, zajrzawszy do środka. Wewnątrz była jeszcze jedna paczka, mniejsza, obłożona bąbelkową folią. Gdy ją zdjął, zrobiło mu się słabo. Papier, którym tę paczkę owinięto, nie był zwykłym papierem pakowym. To był wydruk zdjęcia, które znał doskonale. Na samym wierzchu widać było głowę martwej dziewczyny z poderżniętym gardłem.

Drżącymi rękoma rozerwał opakowanie. Ze środka wysypał się pokaźny plik banknotów dwustuzłotowych. Nie zwrócił jednak na nie większej uwagi. Najważniejsze było zdjęcie. Chwycił je i zaczął drzeć na małe kawałki. Gdy już to zrobił, wrzucił wszystko do metalowej miski. Przez chwilę szukał zapalek. Znalazł w szufladzie starą zapalniczkę. Podpalił papier. Zgniecione kawałki nie chciały się zająć. W barku miał butelkę spirytusu do przerobienia na domową cytrynowkę. Wyciągnął flaszkę i polał strzępy. Płomień wystrzelił w górę. Patrzył jak zaczarowany na dowód zbrodni, który z każdą sekundą przekształcał się

w czarnoszary popiół. Wziął do ręki widelec i pogrzebał nim na wszelki wypadek w spalenisku. Wszystko się wypaliło. Poszedł więc do ubikacji i spuścił popiół w muszli klozetowej.

Dopiero teraz zaczął na zimno analizować sytuację. Spalenie zdjęcia odbywało się pod wpływem impulsu, ale też strachu. Ewa mogła przecież wrócić lada moment. Zaczął więc działać już w bardziej przemyślany sposób. Najpierw otworzył okno kuchenne, żeby pozbyć się swądu spalonego papieru, a miskę wymył starannie w zlewie. Potem zajął się pieniędzmi. Włożył je do foliowej torby i schował do szafki w przedpokoju, tam gdzie trzymał narzędzia. Ewa nigdy do niej nie zaglądała, więc na razie taka kryjówka musiała wystarczyć. W końcu zabrał się za niszczenie kartonu, w którym przyszły pieniądze. Porwał go na drobne części, a dmuchaną folię poprzebijał, żeby zmniejszyć jej objętość. Wszystko to wrzucił na dno śmietnika i przysypał wydobytymi na wierzch odpadkami. Rozejrzał się. Nigdzie nie było widać żadnych śladów. Odetchnął z ulgą. Jednak nie był jeszcze spokojny. Sens tego, co wydarzyło się przed chwilą, właśnie zaczął do niego docierać. Dostał pieniądze. Całą masę. Nie potrafił oszacować na oko, ile tego było. Może jakieś sto tysięcy. Nie, sto to by było, gdyby to były banknoty stułotowe, a to była harmonijka nowych dwustułotówek. Boże, mogło być tego nawet i z dwieście tysięcy.

Co miał z tym zrobić? Przepakować do innego pudełka i pójść na policję. Zaraz by zauważyli, że nie było to oryginalne opakowanie... Nie mógł im przecież pokazać zdjęcia z zarżniętą dziewczyną. Teraz jestem w podwójnie mrocznej dupie, myślał, bo ci, co mi przysłali kasę, uważają, że jestem im coś winien. Założyli mi dwie pętle na szyi, szantaż z wrobieniem w morderstwo i do tego jeszcze łapówkę, że niby teraz jestem już przez nich kupiony. Mogę się natychmiast powiesić, bo z tej matni za nic nie wyjdę.

Usłyszał dzwonek telefonu. Rozejrzał się. Komórka leżała na blacie kuchennym. Podniósł ją i wcisnął zielony przycisk. Zrobił to, mimo że numer był nieznanym.

– Halo – mruknął niezbyt przyjemnym głosem, przekonany, że ktoś próbuje mu coś sprzedać.

– Dzień dobry, panie Adamie – odpowiedział mu miły aksamitny głos.

– To ksiądz?

– Benedykt Poniedziałki do usług.

– Kurwa, moglibyście sobie darować takie tanie sztuczki – warknął do słuchawki.

– Pan wybaczy, ale nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

– Jak o co? O tę kasę. Po co mi wysyłaliście te pieniądze?

– Jakie pieniądze, bo nadal nie rozumiem.

– Paczka przysłana kurierem, nadana przez Jana Nowaka, zawierała banknoty i...

– Ach, ta paczka – przypomniał sobie ksiądz.

– To jednak wie pan, o co chodzi?

– No tak, oczywiście, ale nie zrozumiałem na początku, bo był pan taki zirytowany. A przecież zupełnie niepotrzebnie, drogi panie. Przecież ja telefonuję do pana tylko z przyjacielskiej troski. Chciałem się dowiedzieć, czy aby na pewno przesyłka dotarła i czy jest pan zadowolony z jej zawartości. Myślę, że to godziwa zaliczka za pańską nieocenioną pomoc w odzyskaniu przez nas należnego nam mienia. Wie pan, że bez pana niewiele byśmy mogli zdziałać...

– Jak mam być zadowolony, jeśli forsa przychodzi w takim opakowaniu?
– W jakim, gdyż przyznam się, że nie bardzo rozumiem?
– Zawinięta w zdjęcie, znaczy wydruk zdjęcia.
– Jakie zdjęcie?
– Jak jakie? Niech pan nie udaje.
– Niech ksiądz nie udaje – poprawił go łagodnym tonem. – Więc o jakie zdjęcie chodzi?
– No zdjęcie, jedno z tych, co pan... znaczy ksiądz mi przesłał.
– Och! Niemożliwe.
– A jednak. A jakby to trafiło do rąk mojej żony, byłbym skończony. Chcecie mnie całkowicie załatwić?

– Drogi panie Adamie, przecież pan wie, jak ważną postacią jest pan dla naszych planów. Pierwsza kamienica przetrze szlaki, a później już pójdzie z górki, dlatego pan jest osobą kluczową. Nie chcemy, by pan się czuł niekomfortowo, dlatego właśnie otrzymał pan zaliczkę...

– Zaraz, jak to pierwsza kamienica?

– Pierwsza jest Sołtysówka, ale mamy jeszcze niepodważalne prawa do kilku innych kamienic w Poznaniu. Więc mam nadzieję, że z pana pomocą uda nam się je odzyskać. A to oznacza i dla pana poważne zyski.

– To na jaką cholere wysyłacie mi te zdjęcia?

– Och, drogi panie Adamie, to przecież zwyczajne niedopatrzenie i chyba niepotrzebna nadgorliwość kogoś z naszych ludzi. Ale sprawdzę, który to pakował, i obiecuję, że zostanie przykładowo ukarany.

– A co mnie jego ukaranie obchodzi? Ja nie chcę takich niespodzianek więcej. Proszę mi nic nie przysyłać.

– Jak pan sobie życzy. Oczywiście rozumiem doskonale, że odczuwa pan pewien dyskomfort po tym niefortunnym zajściu. To się więcej nie powtórzy. Żeby uniknąć takich przykrych sytuacji, proponuję, żeby spotkał się pan z naszym przedstawicielem prawnym. Omówicie panowie wszystkie kwestie dotyczące współpracy oraz otwarcia i utrzymania bezpiecznych kanałów przekazu informacji. Powiedzmy jutro w południe. Może być? Oczywiście nie w pańskim biurze, ale w jakimś neutralnym miejscu. Informację o tym, gdzie odbędzie się spotkanie, otrzyma pan SMS-em. Zatem spokojnego wieczoru panu życzę.

Ksiądz przerwał połączenie, nie czekając na odpowiedź. Adam odłożył telefon na stół. Poszedł do barku, wyciągnął butelkę whisky i nalał ją do szklanki. Od razu upił pokaźny łyk. I naraz uświadomił sobie, że to jest ta szansa, na którą czekał detektyw. Jutro spotka się z gościem od tego pierdolonego księdza i wszystko to będzie się działo na oczach Mazurka. A ten natychmiast weźmie się do roboty. Tak, to było rozwiązanie najlepsze z możliwych. Niech ten były gliniarz doberze im się do dupy i jeśli trzeba, pozabija ich wszystkich. Może mu za to zapłacić...

Spojrzał w kierunku drzwi do przedpokoju, tam gdzie była szafka na liczniki i narzędzia.

– Ha, ha, ha! – Zaczął się głośno śmiać, bo myśl, która mu przysłała do głowy, wydała mu się bardzo zabawna. Zapłaci Mazurkowi, żeby ich wszystkich zajął, ich własnymi

pieniężmi. Ale się chuje zdziwią...

Chwycił do ręki telefon i szybko wybrał numer Słomiannego. Ten odebrał niemal natychmiast.

– Co tam, Adam?

– Zadzwoił do mnie ksiądz.

– Umówiłeś się na jakieś spotkanie?

– On sam chciał się umówić. Znaczy nie osobiście. Ma jutro w południe na spotkanie przysłać swojego prawnika czy kogoś tam.

– Gdzie się macie spotkać?

– Tego jeszcze nie powiedział. Powiedział tylko, że lokalizację dostanę SMS-em.

– Dobra, to znaczy, że Mazurek musi być pod parą i czekać na sygnał.

– No właśnie. Najlepiej, jakby przed południem siedział już w samochodzie gdzieś przed urzędem miejskim. Wiesz, żeby mógł szybko zareagować, jak wyjdę z biura.

– W porządku, tak mu powiem. W takim razie, jak tylko dostaniesz wiadomość, od razu prześlij ją do Mazurka i daj też mu znać, czy idziesz pieszo, czy jedziesz autem, żeby wiedział, co robić. No, rozumiesz?

– Co mam nie rozumieć? W każdym razie będę się poruszał wolno, żeby mnie nie zgubił.

– Spokojna głowa, da sobie radę. W końcu to profesjonalista.

– Który robi wrażenie brudnego szmaciarza.

– Takiemu szmaciarzowi łatwiej wtopić się w naszą byle jaką rzeczywistość.

– To znaczy, że on specjalnie ubiera się w lumpeksie?

– Diabli go wiedzą. Zresztą co ciebie obchodzi wygląd tego faceta? Ty myśl o tym, żeby on był skuteczny.

– Cały czas o tym myślę...

– No dobra, to jutro w takim razie może uda się rozwiązać twój problem. Trzymaj się...

– Poczekaj, to jeszcze nie wszystko.

– Co?

– Przysłali mi paczkę. Kurier mi przyniósł.

– Tak?

– To była paczka z forszą i zdjęciem tej dziewczyny z podejrzanym gardłem.

– O, kurwa!

– Też tak pomyślałem, ale mam pomysł.

– Już się boję.

– Nie, nic nadzwyczajnego. Pomyślałem tylko, że z tej forsy właśnie zapłacę detektywowi Mazurkowi za to, że ich zajebie. Fajny plan, co?

– Ile jest tej forsy?

– Nie liczyłem, ale tak na oko może być z dwieście tysięcy.

– Mają gest, skurwysyny.

– Powiedział, że to zaliczka.

– Kurier?

– Nie, ksiądz. Bo to było tak, że dostałem paczkę, spaliłem to zdjęcie, podarłem karton, a pieniądze schowałem, żeby Ewa czasami się o nich nie dowiedziała. A jak już się ogarnąłem, to zadzwonił ksiądz. No i powiedział, że to zaliczka i że Sołtysówka to dopiero początek, bo oni mają prawa jeszcze do innych kamienic, i że ja też dobrze zarobię.

– Ja pierdołę, to się robi z tego gruba afera.

– Tak gruba jak moja łapówka...

– Grubsza. I dlatego zastanawiam się, czy nie powinniśmy poinformować o tym wszystkim policji.

– No coś ty, nie żartuj. Przecież mnie wsadzą.

– Trzeba to tak zorganizować, żebyś został świadkiem koronnym albo jakoś tak... Muszę to przemyśleć. W każdym razie jedno jest pewne, jutro sprawy w swoje ręce musi wziąć Mazurek. Zobaczmy, jaki będzie efekt jego działań, a potem podejmiemy decyzję.

– I bardzo dobrze... Stary, muszę kończyć, bo Ewa idzie...

Wyłączył telefon w chwili, gdy drzwi od mieszkania otworzyły się.

– Adam, jesteś w domu? – zawołała od drzwi.

– Tato, jesteśmy, byliśmy na obiedzie i kolacji w... – usłyszał głos czternastoletniej Marty.

– Tato, byliśmy w McDonalddie na big macu z frytkami i colą! – przekrzyczał siostrę wyraźnie zadowolony ośmiolatek Dawid.

Ja pierdołę, mam to wszystko stracić przez jeden głupi błąd. Nie dam tym gnojom żadnej szansy, przeleciało mu przez głowę. Zdał sobie sprawę, że to śmiertelna rozgrywka, w której musi zwyciężyć za wszelką cenę. Dlatego postanowił zadzwonić jeszcze dziś do Mazurka i powiedzieć mu, że da mu całą forszę, którą dostał, tylko niech po tych skurwysynach nie pozostanie żaden ślad.

Poznań

Godzina 23.00

Zaparkował samochód na Kwiatowej. O tej porze nie było większego problemu z miejscem. Knajpy się zamykały, a i ludzi chodzących po deptaku na Półwiejskiej było jakby trochę mniej. Może to przez ten pieprzony wirus, myślał, spoglądając na opustoszałą przestrzeń. Na ławkach siedziało tylko kilkoro młodych ludzi, którzy dopijali ostatnie puszki piwa kupione w pobliskiej Żabce. Nigdzie w oddali nie było widać patrolu policyjnego, więc mimo zakazu picia w miejscach publicznych mogli spokojnie delektować się najtańszymi browarami bez obawy, że dostaną mandat. Przemek pomyślał, że gdyby był w mundurze, to ci młodzi natychmiast uciekliby w popłochu. Ale on od dwóch lat, czyli od chwili, gdy przeniesiono go z komendy Nowe Miasto do miejskiej, mógł ubierać się w cywilne ciuchy. Pracownicy dochodzeniówki zwyczajowo nie nosili mundurów, bo tak było im wygodniej. Tym bardziej że podczas działań operacyjnych często musieli wtapiać się w tłum. W mundurze byłoby to niemożliwe.

Ruszył w kierunku swojej pijalni, która o tej porze w środku tygodnia właśnie się zamykała. Na zewnątrz wychodziła grupka czterech chłopaków wyglądających na

studentów. Przystanął, by ich przepuścić. Nie zwrócili na niego najmniejszej uwagi, pochłonięci swoimi sprawami.

– Ja zostaję w Poznaniu. Po co mam jechać do chaty... – rzucił za siebie pierwszy z wychodzących, chłopak w czerwonej kurtce i wełnianej czapce.

– Ja chyba też. Po cholere mam jechać do Piły, jak to tylko dwa tygodnie wolnego. Potem nam każą wracać na zajęcia – zgodził się z nim niski brodac z bejsbolówce.

– Nie byłbym taki pewny, że to tylko dwa tygodnie – stwierdził trzeci, ogolony na łyso chłopak, zakładając sobie workowatą torbę na ramię. – To w końcu epidemia. Widzieliście ten film z Dustinem Hoffmanem?

– Wszystkich nas ta zaraza wykończy. – Szczupły dryblas, zamykający grupę, był w kasandrycznym nastroju. – Wyginieemy jak dinozaury. Naruszyliśmy równowagę świata i teraz za to zapłacimy, mówię wam...

Gdy przeszli, chwycił otwarte skrzydło drzwi i wszedł do środka. Na stolikach zostało sporo brudnego szkła. Alex stała za barem i układała wyjęte ze zmywarki naczynia. Zazwyczaj przyjeżdżał po nią później, ale dziś umówili się, że będzie zaraz po zamknięciu, żeby jej pomóc posprzątać. Choroba Pauliny i zniknięcie Marianny spowodowały prawdziwą katastrofę. Alex wyglądała na wykończoną. Uśmiechnęła się jednak na jego widok. Teraz dopiero dostrzegł, że w knajpie był jeszcze jeden gość. Długowłose brodac z brodą splecioną w dwa warkoczyki siedział w bocznej części baru. Pochylony nad szklanką z jakimś drinkiem przeglądał kolorowe czasopismo. Nie wyglądał na zasiedziałego pijaka. Raczej na kogoś, kto zwyczajnie stracił rachubę czasu. Facet miał na wierzchu dłoni tatuaż, który być może był znacznie większy, ale dalej skrywał się pod rękawem swetra.

– Dobrze, że jesteś, bo Maksym za chwilę będzie musiał uciekać.

– Tak, a to dlaczego? – zapytał zupełnie bez sensu, bo przecież nic go nie obchodziło, że jakiś wytatuowany brodac musi już sobie pójść.

– Jutro od rana mam dużo roboty, więc muszę się wyspać – wyjaśnił Maksym, uśmiechając się przyjaźnie. Zeskoczył ze stołka, podszedł do Przemka i uściśnął mu dłoń, biorąc ją w dwie swoje.

– Alex dużo mi o tobie opowiadała. Cieszę się, że mogę cię poznać, bracie.

Jaki, kuźwa, bracie?, chciał powiedzieć, ale zaraz ugryzł się w język. Alex może się wkurzyć. Z jakiegoś powodu mu o nim opowiadała. A przecież ona nie gada z byle kim. Pewnie poznała go w jakimś salonie tatuaży i zaimponował jej swoim smokiem albo innym obrazkiem. No i teraz postanowiła zaprezentować obiekt swojej fascynacji. Albo... Przypomniał mu się jego smok na prawej ręce i zupełnie czysta skóra na ręce lewej. Ona przyprowadziła tu tatuażystę, żeby ten obgadał z nim projekt drugiego smoka. Nie, stanowczo nie mógł się na to zgodzić. Miał serdecznie dość tego dziergania, wbijania igieł, sączących się ran i szczypania pod prysznicem. W końcu nie był jakimś średniowiecznym ascetą, żeby dobrowolnie wystawiać się na tortury. Tym razem będzie twardy i powie... że na razie nie będzie się tatuował, bo... nie ma czasu i jest bardzo zajęty w pracy przy niezwykle skomplikowanym śledztwie.

– Zaprosiłam Maksa, bo on jest w Poznaniu najlepszym tatuażystą. To jest prawdziwy mistrz. Mówię ci, robi tak jak nikt inny. To jest prawdziwy artysta, więc na sesję trzeba czekać u niego kilka miesięcy. Ale efekty są nadzwyczajne...

– No, Alex, nie przesadzaj. Kilku kolegów też gra w pierwszej lidze.

- Bez fałszywej skromności. Jesteś mistrz, a inni mogliby ci buty czyścić.
- No cóż, z kobietami się nie dyskutuje, jeśli ma się ochotę dożyć starości. – Powiedziawszy to, mistrz dotknął prawą ręką piersi na wysokości serca i skłonił się lekko.
- Dyskutuje czy nie, ale ja na tatuaż nie mam teraz czasu.
- Przemek, nie idzie o ciebie, tylko o mnie.
- Aha! – odetchnął z ulgą. – Już rozumiem. Bo wiesz, ja teraz zabiegany jestem. Mam tyle roboty, że nie wiem, gdzie ręce włożyć. Nie dałbym rady. Może w przyszłym roku...
- I o twoją robotę też się rozchodzi.
- W jakim sensie?
- W takim, że pokaż zdjęcia.
- Jakie? – Przemek nie od razu zrozumiał, ale w końcu połączył tatuażystę ze zdjęciami tatuażu i wyszło mu, że facet może pomóc. – Ano tak. Kolega jest ekspertem.
- Jest jak cholera. Zna wszystkie techniki i, co najważniejsze, tych, co te techniki wykorzystują.
- Bez przesady, Alex, coś tam wiem, ale żeby zaraz wszystko.
- I do tego jest jeszcze skromny.

Skromny facet wzruszył ramionami, po czym wspiął się na stołek.

– No dawaj, Przemek, bo jak mówią, ciasto pieniądz.

– Chyba czas – poprawił go.

– Hi, hi, hi. Przecież o tym mówię.

Drażkowski usiadł obok specjalisty od tatuażu. Wydobył telefon i wszedł w aplikację przechowującą zdjęcia. Gdy znalazł odpowiednie, zatrzymał się i nieco je powiększył, po czym podsunął Maksowi. Ten pochylił głowę i przez chwilę się wpatrywał z zaciekawieniem, by zaraz rozciągnąć fotografię do granic możliwości, do pojawienia się niewyraźnych pikseli. W tę kiepsko widoczną siatkę patrzył przez kilka minut, przesuając obraz to w prawo, to w lewo, w dół i górę. Spoglądał na te kropki, jakby szukał jakiegoś tropu. Przemek pomyślał nawet, że facet przypomina psa obwąchującego każde przydrożne drzewo. W końcu przejechał palcem po ekranie, zamykając zdjęcie.

– I co, zauważyłeś coś niezwykłego czy w ogóle coś? – zapytał policjant, wyraźnie zainteresowany metodą. Pomyślał nawet, że następnym razem, gdy będą go prosili w wydziale o jakąś szybką ekspertyzę, zrobi zdjęcie i będzie je tak analizował jak ten Maks.

– No jest tu kilka informacji, które da się z tego obrazka wyczytać. Ale zacznijmy w takim razie od samego początku. Od maszynki. Oboje macie tatuaże, więc wiecie, że jest to przyjemne uczucie, jak na waszej skórze powstaje rysunek.

– Superzajebicie jest – zgodziła się z nim Alex. Przemek pokiwał głową, bo głupio mu było zaprzeczyć. W końcu musiał robić dobrą minę do złej gry, skoro był policyjnym ekspertem od tatuażu, a tu miał bezpłatną lekcję, której udzielał mu podobno najlepszy spec w Poznaniu.

– Mamy trzy rodzaje maszynek, a właściwie pistoletów do tatuażu, czyli obrotowe, zwojowe i pneumatyczne. Ja lubię pracować obrotowymi. Ich sposób działania jest łatwy do zrozumienia. Ruch obrotowy silniczka zmienia się w ruch liniowy w igle. No i teraz igły, bo one są najważniejsze. Mamy różne rodzaje. Od precyzyjnej pojedynczej przez trzy-, pięcio-

do dziewięcioigłowych maszynek, w których igły są ułożone na okręgu i wychodzą z pojedynczego statywu. Igły wbijają się w skórę na minimalną głębokość i po tych igłach spływa atrament, który dostaje się pod skórę i barwi przekłute miejsce. Więc tak jak mówiłem, lubię pracować maszynką obrotową, bo jest przede wszystkim lekka. Nie męczy się tak ręka i daje bardziej delikatny rysunek. I tak właśnie musiało być w przypadku tego tatuażu z krzyżem. Promienie rozchodzące się na nim w środku są mocne i wyraziste, ale boki mają rozmyte. A odwrotnie jest z krzyżem, bo jego wnętrze jest potraktowane lżej niż brzegi. Czyli mamy tu proces odwrócony. Ktoś tworzył więc rysunek lekką maszynką obrotową wyposażoną w igłę o pięciu ostrzach. Napis jest twardy i wyrazisty, zrobiony jednym zdecydowanym ostrzem bez rozmydeń.

– I co to wszystko oznacza? – zapytał Przemek, który już był lekko znudzony tą teorią.

– Oznacza to, że ten tatuaż mimo jego niepozorności, wydawałoby się, niezbyt wyszukanej kompozycji zrobił doskonały fachowiec.

– Czyli kto?

Maks wzruszył ramionami.

– Jest w Poznaniu kilku.

– Ale jakbyś miał obstawiać.

– Nie wiem, nie jestem hazardzistą. Gdyby był większy, to można by było poszukać na nim podpisu. Najlepsi artyści podpisują się na swoich dziełach jak malarze malujący na płótnie. Tatuaż to też w końcu sztuka.

– Sztuka prawdziwa, bo łącząca obraz na stałe z człowiekiem – wyrwało się Alex, bardzo entuzjastycznie przyjmującej każde słowo mistrza.

– No ale gdyby trzeba obstawić – upierał się Przemek szukający konkretów.

– Jest dokładnie trzech, którzy mają taką rękę. Ale moim zdaniem to jest robota Pawła Łapy z Łazarza.

Przemek z sykiem wypuścił powietrze. Miał przecucie, że tak właśnie będzie, i rzeczywiście się sprawdziło. Najgorsza ze wszystkich możliwości się spełniła. Maks wytypował jedyne tatuażystę na świecie, który miał powody, żeby się do Przemka nawet nie odezwać. Co gorsza siedział w więzieniu, a tam trudno raczej kogoś przymusić do gadania. Szybkie lanie najczęściej rozwiązywało języki. W pokoju przesłuchań jednak niczego takiego nie dało się zrobić, bo był tam monitoring.

– A dlaczego typujesz akurat jego? – zapytał jeszcze dla porządku. Za chwilę chciał wysłać wiadomość do Blachy z informacją, że ma gościa, który zrobił tatuaż na skórze nieboszczki, i musi jechać do Wronek. Dlatego potrzebował konkretów, a nie tylko przecucia.

– Bo ja ich do niego wysłałem.

– Kogo?

– No tych z tej fundacji.

– Zaraz, co ty mówisz?

– Byli u mnie jakieś dwa lata temu z takiej fundacji czy czegoś takiego, jakiś Lumen albo jakoś tak, i chcieli zamówić hurtem dwadzieścia czy trzydzieści takich małych tatuaży. Teraz sobie właśnie przypomniałem, że to miały być jakieś krzyże z promieniami. Ale im powiedziałem, że na takie duperele nie mam czasu, i odesłałem ich do Łapy właśnie.

U niego zawsze było krucho z forszą, więc nawet dzwonił do mnie z podziękowaniem, że mu narailem robotę, bo za nich wszystkich, tych zakonników czy kogoś tam, to wziął jakieś sześć tysięcy. W każdym razie obiecał mi postawić za to flaszkę łyskacza, ale do dzisiaj się nie zjawił.

– I szybko się nie zjawi – mruknął Przemek. – Gość siedzi we Wronkach.

– Przemek niechcący go wsadził – próbowała go wytłumaczyć Alex, ale tak naprawdę nikogo to nie obchodziło. Nikt nie przejął się losem artysty-narkomana.

– To co, Alex, już wybrałaś rysunek? – zapytał Maks, zmieniając temat. Od razu pokiwała głową.

– Będzie zajebisty.

– Co wybrałaś? – zapytał Przemek.

– Chodź, pokażę ci.

Położyła na blacie komórkę i po chwili otworzyła na ekranie jakieś zdjęcie. Przemek spojrział na nie zdziwiony. Przedstawiało czerwoną różę z zieloną łądygą i listkami, a nad nią napis PORTA AD PARADISUM.

– Ładne, ale o co tu chodzi? – zapytał, spoglądając na uśmiechającą się tajemniczo Alex.

– Ten napis wskazuje bramę do raju – pośpieszył z wyjaśnieniem tatuażysta.

– Aha, rozumiem, a gdzie go chcesz sobie zrobić? Gdzie on ma być, znaczy w którym miejscu?

– No tu, Przemuś. Specjalnie dla ciebie właśnie tu. – Poklepała się lekko poniżej brzucha.

– O ja pierdziele – jęknął.

– Będzie zajebisty – ucieszyła się, widząc jego reakcję. – Zobaczysz.

Spojrział na uśmiechniętego brodacza wzrokiem straszego smoka bazyliuszka. Gdyby potrafił, w tej chwili zionąłby na niego ogniem z paszczy. Potem popatrzył na radosną minę Alex i od razu zrozumiał, że nie potrafi jej niczego odmówić.

– Okej, ale pod warunkiem, że będę przy tym dzierganiu!

Duszniki

Godzina 23.50

– Nie śpisz jeszcze?

– Nie.

– Nie przeszkadzam?

– Nie, no coś ty.

– Sorry, że tak późno się odzywam.

– Nic nie szkodzi. Dopiero się położyłam do łóżka. Jeszcze miałam czytać.

– Co czytasz?

– Nowego Cobena.

– Nowego, nie wiedziałem, że coś wyszło. Ja mam opóźnienia w kryminałach. Dopiero zacznę trylogię Larssona.

– Co? Larssona? Masakra, to nowość, ale sprzed kilkunastu lat, hi, hi! Zaraz, przecież to ja ci pożyczyłam tę całą trylogię. Jeszcze jej nie przeczytałeś?

– Jakoś tak wyszło. Ale powiedz, Anetko, co u ciebie?

– Nic nadzwyczajnego. W Szamotułach ostatnio się dużo dzieje. Wyciągnęliśmy z Pamiątkowskiego samochód z trzema trupami. Kobieta, mężczyzna i dziecko. Oni zastrzeleni, a dziecko utopione.

– Ja pierdziele, dziewczyno, ja nie pytam o robotę.

– A o co?

– O ciebie.

– A... po staremu. Jakoś się powoli kręci. Czyli normalnie.

– Czyli jak?

– Wiesz, od jakiegoś czasu z kimś się spotykam.

– Uff.

– Co syczysz?

– Nareszcie. Myślałem już, że złożyłaś śluby czystości.

– Nie żyję w celibacie, jeśli to masz na myśli.

– I bardzo dobrze. Co to za facet?

– Przystojny, zaradny, ma własną firmę produkującą okna, podoba się moim rodzicom...

– A tobie?

– No... tak. W zasadzie... tak. Jeszcze mu się przyglądam. Ale mówi rozsądnie, zachowuje się racjonalnie, no i ładnie pachnie.

Woda, której używał, miała korzenny zapach, przywodzący na myśl dalekie obce kraje. Zamknęła oczy i przez chwilę czuła się tak, jakby płynęła łodzią przez rzekę zagubioną wśród zielonych drzew. Do tego jeszcze ta delikatna muzyka płynąca z samochodowych głośników.

Naraz jednostajny dźwięk silnika zmienił ton. Spojrzała na Adriana. Ten uśmiechnął się zadowolony.

– Co robisz? – zapytała trochę zdziwiona.

– Zaraz będzie parking.

– Ano tak – przypomniała sobie. Znała przecież doskonale tę okolicę, bo każdą z tych dróg i drózek zjeździła na pierwszej swojej motorynce, gdy była jeszcze nastolatką.

– Wiesz, Anetuś, chciałem... No wiesz...

– Wiem, chciałeś porozmawiać – pomogła mu.

– No właśnie.

Auto zatrzymało się. Adrian wyłączył silnik. Odpięli pasy.

– Chcesz wyjść? – Wskazał głową na parkingową połąć, w której nie było nikogo prócz nich.

Nie odpowiedziała. Otworzyła drzwi i wyskoczyła na zewnątrz. Ruszyła wolno w kierunku błyszczącej w świetle księżyca tafli jeziora. Zatrzymała się nad brzegiem,

wpatrzona w wodę, w której odbijały się gwiazdy. Podszedł do niej. Poczuela jego oddech na sobie. Delikatnie położył ręce na jej biodrach. Zadrżała, ale nie z zimna. Poczuela lekki dreszcz podniecenia. Pocałował ją w policzek, naznaczając ją tą delikatną wonią wody toaletowej. Pomyślała nawet, że nie zna jej nazwy, ale nie to w tej chwili było istotne. Była przekonana, że bardzo chce, że potrzebuje właśnie teraz tej bliskości, że warto spróbować postawić stopę na tym nieznanym, nieodkrytym jeszcze łądzie.

– Kocham cię, Anetuś. Tak bardzo cię kocham.

Był w niej naprawdę zakochany? Czuela to przecież, gdy patrzył na nią jak kościelna babcia w święty obrazek. Na tym można coś już budować. Na razie nie mogła mu odpowiedzieć, że czuje to samo, ale była przekonana, że trzeba dać mu szansę. W końcu jest taki przystojny i na pewno nie jest pierwszym lepszym facetem, któremu się odda tylko dlatego, że akurat ma ochotę na seks.

Odwróciła się do niego. Pochylił się i przywarł do niej ustami. Poczuela jego język na swoich wargach. Otworzyła się przed nim i odwzajemniła pocałunek. Ręce zsunęły się na jej napięte pośladki, by po chwili unieść ją w górę. Chwytiła go mocno za kark, a on poniół ją do samochodu. Nawet nie zorientowała się, kiedy znaleźli się na tylnej kanapie. Zaczęli oboje zdejmować ubrania, a on wykorzystywał każdy moment, gdy odsłaniała kolejne fragmenty ciała, by napawać się jej nagością, dotykać i całować. Ona przyjmowała pieśszczoty, mruczając z zadowoleniem jak kotka głaskana przez swojego właściciela. Prężyła się i rozluźniała, gdy wchodził językiem w to najdelikatniejsze miejsce, a gdy przestawał, czekała na to, co zaproponuje. Chciała, by ją poprowadził, wsłuchał się w nią, by oboje znaleźli wspólny rytm, jak dwoje muzyków grających ze sobą w duecie i reagujących natychmiast na dźwięki wydawane przez instrument partnera. Gdy wszedł w nią, poczuela, że za chwilę wyrosną jej skrzydła i razem uniosą się nad autem, parkingiem, lasem i jeziorem, i poszybują gdzieś w przestrzeń, w której dwoje ludzi staje się doskonałą jednością...

– Anetuś, jesteś zajebista. Och, za-je-bi-sta...!

Przestał zwracać na nią uwagę. Słuchał tylko samego siebie, tak jakby ona przestała istnieć, a liczyło się tylko jego spełnienie.

– Anetuś, o Jezuuuuu.

Koniec. Opadł wyczerpany na nią. Przez chwilę leżał, mocno ją obejmując. Oddychała szybko, jak zawodniczka, która jeszcze przed sekundą biegła w wyścigu długodystansowym, ale okazało się w trakcie, że to sprint, który zakończył się nie na mecie, ale daleko przed nią.

– Anetuś, jesteś zajebista. Kocham cię. Jak ci było?

– Fajnie – skłamała.

– To super. Wiedziałem, że jesteś świetna. Od razu to wyczułem. Już dawno chciałem cię poznać bliżej. Ale wydawałaś mi się taka niedostępna. No wiesz, taka inna w tym policyjnym mundurze.

– Kiedy to było?

– Zanim pojechałem do Anglii. Wtedy byłaś jeszcze na posterunku w Dusznikach, a nie w Szamotułach.

– Trzeba było spróbować.

– Jakoś byłem taki onieśmielony. – Mówiąc to, cały czas gładził ją po piersi. Ten dotyk był przyjemny i miała wrażenie, że to wstęp do czegoś, co na pewno nastąpi za chwilę.

W końcu ten pierwszy raz nie był wcale najgorszy. To pewnie kwestia tego, że nie znają jeszcze wzajemnie swoich ciał. Nie mieli przecież kiedy się ich nauczyć. Wiadomo, że pierwszy naleśnik idzie do śmietnika, ale drugi jest znacznie lepszy, nie mówiąc już o kolejnych.

Uniósł się na łokciu i spojrzał na nią z góry, podpierając głowę dłonią.

– Ale ty piękna jesteś, Anetuś. I masz taką delikatną skórę. A ja jaki jestem?

Przez moment zastanawiała się, co powiedzieć.

– Masz w sobie dużo energii, no i jesteś całkiem nieźle zbudowany.

– He, he! Dwa albo trzy razy w tygodniu chodzę na siłkę. Wiesz, trzeba trzymać kondycję, żeby mieć na wszystko pałera.

– Co to za zapach?

– W sensie?

– Czym pachniesz?

– Podoba ci się?

– Tak, jest bardzo... hm... pociągający.

– He, he, he. Nie wiem. Zapomniałem, dopiero kupiłem przedwczoraj, jak byłem w Poznaniu. Szukałem czegoś, bo ten stary mi się skończył. To wziąłem to. Taka żółta woda z nakładaną nakrętką. Jak ona się nazywa? Tak jak miała na imię moja ciotka... No, Roma. Ciotka Roma.

– Bardzo intensywny w oddziaływaniu. Rzeczywiście ma w sobie coś z Rzymu.

– Rzymu? Czemu akurat Rzymu? A już wiem. Mówiłaś, że byłaś we Włoszech. Ja bym też chętnie pojechał, ale na razie to nie mam czasu.

– Bo Roma to jest po łacinie...

– O, kurczę – przerwał jej. – Ale już późno, a obiecałem tacie, że jeszcze dzisiaj pogadamy, bo coś chciał mi pokazać w projekcie domu, co by trzeba rozwiązać inaczej. Wiesz, ojciec się zna na budowlance, bo był murarzem, ale teraz już nie daje rady z bolącymi plecami. Mówi, że w naszym domu to on wszystkiego dopilnuje, żeby żaden murarz niczego nie spierdzielił. Musimy lecieć, bo on wcześniej chodzi spać. – Mówiąc to, zaczął zakładać bokserki. Naraz uświadomiła sobie, że jest zupełnie naga. Położyła rękę na piersiach, a brzuch przykryła wiśniową sukienką...

– No to jak gość ładnie pachnie, to już coś. – W tonie Mariusza wyczuła lekką ironię. Ale nie było w niej złośliwości. Znali się od lat, a Aneta miała wrażenie, że właściwie od zawsze. Blaszkowski był oficerem wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy wojewódzkiej w Poznaniu, który w 2011 roku przyjechał do Szamotuł nadzorować śledztwo w sprawie porwania syna szamotulskiego biznesmena. To właśnie wtedy dostrzegł w niej nieprzeciętną inteligencję połączoną ze świetną intuicją. Krótko po zakończeniu sprawy ówczesny szef wydziału, Alfred Marcinkowski, zaprosił ją na rozmowę. Słyszała sporo o Marcinkowskim, bo facet był w Poznaniu legendą. Wiedziała, że dostanie się do jego zespołu graniczyło niemal z cudem. A on zwyczajnie sam wyszedł z propozycją. Ale gdyby nie Blacha, pewnie nie zwróciłby na nią uwagi. Przez kilka lat pracy w Poznaniu bardzo się ze sobą zaprzyjaźnili. A gdy przyszedł czas, że Aneta poszła na studia do Szczytna, dzwonili

do siebie regularnie. Mariusz mówił jej, co dzieje się w firmie, a ona opowiadała mu o szkole, o koleżankach, kolegach i w końcu o kolejnych miłosnych zawodach. Bo do facetów, mimo niewątpliwej urody, jakoś nie miała szczęścia. Miała wrażenie, że traci przy bliższym poznaniu, gdy oni zdają sobie sprawę, że jest od nich mądrzejsza. Jej potrzebny był ktoś, kto umiałby ją w całości zaakceptować, kto potrafiłby nie tylko docenić jej urodę, ale i umysł, kto otwierałby przed nią nowe horyzonty i stawiał kolejne wyzwania...

– Zapach to dobry pierwszy sygnał. Później przychodzą następne.

– W jego wypadku rozumiem, że już przyszedł.

– Oj, Mariusz, daj spokój, proszę. Zaufaj mi. Przecież ciągle powtarzasz, że mam nieprawdopodobną intuicję.

– I mogę to powtórzyć jeszcze pięćset razy, jeśli będzie trzeba.

– No to moja intuicja mówi mi, że może coś z tego będzie – powiedziała głośno i wyraźnie, a on mimo to od razu wyczuł jakąś nutkę niepewności w jej głosie.

– Na twoją intuicję śledczą postawiłbym wszystkie pieniądze. Ale jeśli chodzi o te kwestie babsko-faceckie, to już nie byłbym taki pewny.

– Jezuuu, no dobrze. – Gdyby mógł ją teraz widzieć, zobaczyłby, jak przewraca oczami. Zupełnie jak mała dziewczynka złapana na kłamstwie. – Masz rację. Nie jestem pewna, czy to jest właściwy facet. Jak zwykle miotam się w domysłach i rozbieram każdy element na czynniki pierwsze. Niby wszystko jest w porządku, jest we mnie zakochany, mówi mi o tym, obsypuje mnie kwiatami, zachwycają się nim moi rodzice, dzwoni do mnie pięć razy dziennie, przedstawił mnie swojej rodzinie i do tego jeszcze zabrał mnie na działkę, na której chce postawić „nasz” dom. Rozumiesz, powiedział „nasz” i chce, żebym z nim przeanalizowała projekt.

– Okej, fajnie, słyszę już w oddali pierwsze takty marsza weselnego Mendelssohna.

– Nie kpij, proszę.

– Absolutnie nie ma w tym żadnej drwiny. Jedynie lekki obłoczek radości, że być może pani podkomisarz ma szansę stanąć na ślubnym kobiercu, a ja będę miał okazję upić się na weselu.

– Do wesela jeszcze bardzo daleko, bo na razie to faza początkowa. No wiesz, ja się zastanawiam, a on działa i ciągle gdzieś jest przy mnie, jak nie na żywo, to w telefonie, w SMS-ie.

– Rozumiem, taka delikatna pajęczynka, która otacza cię coraz bardziej i bardziej, aż w końcu nie będziesz miała siły się z niej wyrwać.

– Hmm. Kurczę, dobrze to powiedziałaś. Tak, chyba coś w tym jest. A jak mnie już oplecie skutecznie, to mnie przykuje do tego domu...

– I dlatego twój stary kumpel Mario zawsze znajduje się w odpowiednim czasie w odpowiednim miejscu.

– Chcesz mnie uwolnić z pajęczyny?

– Chcę cię porwać.

– Mówże jaśniej.

– Zostałem dziś szefem dochodzeniówki w komendzie miejskiej w Poznaniu.

– O ja pierdykam. Blacha, świetnie, gratki, kurczę, ale super!

– Kompletuję zespół. Komendant dał mi wolną rękę w doborze ludzi. Więc dzwonię, żeby zapytać, czy mogę na ciebie liczyć?

Nie odpowiedziała. Przymknęła oczy, by zebrać myśli. I wtedy zobaczyła nad sobą uśmiechniętą, zadowoloną z siebie twarz Adriana.

– Zawsze możesz na mnie liczyć.

– Tak myślałem. No to śpij dobrze. Jutro się odezwę w kwestiach formalnych.

– Dzięki, Mariusz. Do jutra.

Przerwała połączenie. Już chciała odłożyć telefon, gdy dostrzegła informację o nowej wiadomości.

Otworzyła ją. To Adrian przesłał jej rząd serduszek z dopiskiem na końcu.

Jesteś najlepszą laska z jaką byłem.

Po tych słowach jeszcze rząd uśmiechniętych buziek.

Nie odpisała. Poczula się paskudnie. Jak pijana dziewczyna, którą przeleciał jakiś obcy facet na imprezie.

Rokietnica

Godzina 23.55

Pies kręcił się w kółko, nie mogąc znaleźć sobie odpowiedniego miejsca do załatwienia potrzeby. Jego pani patrzyła na niego zniecierpliwiona, ale nie poganiała zwierzęcia. Wiedziała, że Dżeki musi się dobrze nabiegać, zanim coś z siebie wycisnie. Potrzebował komfortu, o który wcale nie było tu łatwo. Jak na każdym osiedlu trawniki i skwerki były obsikane przez jakąś setkę psów mieszkających w okolicznych blokach. Nic dziwnego, skoro późnym wieczorem na ostatni spacer wychodziło się koło domu, na najbliższą zieloną łąkę.

Radna gminna Jolanta Grzyb, właścicielka psa rasy polski kudłacz podwórkowy, od siedmiu lat, czyli od chwili, gdy wprowadziła się do bloku na osiedlu Kalinowym w Rokietnicy, walczyła z właścicielami, którzy nie sprzątaję po swoich psach. Robiła to tak skutecznie, że dziś mało kto ośmieliłby się zostawić jakąś „większą” pamiątkę po swoim pupilu. Właściciele psów woleli nie zadzierać z bezkompromisową kobietą, która w ostatnich wyborach dosłownie wjechała do miejscowej rady gminy, miażdżąc swoich przeciwników. Ludziom spodobało się jej hasło wyborcze „Czyste trawniki w Rokietnicy”. Dzięki niej na osiedlu stały teraz specjalne śmietniki na psie kupy. Na zasikaną trawę jednak nic nie mogła poradzić.

Dzięki wreszcie zatrzymał się, wypiął tyłek i zaczął robić swoje, obserwowany uważnie przez panią. Radna Jolanta wyciągnęła z paczki papierosa i przypaliła go sobie zapalniczką. Zaciągnęła się głęboko i rozejrzała dookoła. Osiedle pogrążone było już we śnie. Tylko w niektórych oknach paliły się jeszcze światła. Ale to nic dziwnego, że ludzie chodzili tu wcześniej spać. Większość pracowała w Poznaniu, a tu przyjeżdżali odpocząć. Rokietnica, mała podpoznańska wioska, w ostatnich latach zaczęła zmieniać się w noclegownię dla metropolii. Tu bowiem można było kupić tanie mieszkanie w niskich blokach albo segment w szeregowcu, dający namiastkę domu z ogródkiem za cenę klitki w bloku w Poznaniu.

Boom zaczął się, gdy wieś połączono z miastem czterema pasami nowoczesnej obwodnicy, dzięki której do centrum dojeżdżało się w pół godziny, czyli znacznie wygodniej i szybciej niż z peryferyjnych dzielnic Poznania.

Naraz jej spojrzenie przyciągnęło coś dziwnego. W wąskiej uliczce pomiędzy domami, mniej więcej na wysokości wejścia do osiedlowej apteki, stał zaparkowany samochód ciężarowy. Tylna plandeka wozu była podwinięta, a wewnątrz paliło się światło. Na chodniku widać było jakichś ludzi, którzy coś nosili do samochodu, a stojący na pacy mężczyzna odbierał od nich te przedmioty.

– Co jest, do cholery. Wyprowadzka o północy? – powiedziała do siebie zdziwiona radna. Spoglądała w tamtym kierunku, ale uwijający się przy aucie nie mieli szansy jej dostrzec, bo oddzielały ją od nich dwa rzędy aut. W dodatku kobieta stała między domami w nieoświetlonym zaułku. Naliczyła pięciu mężczyzn. Czterej znosili meble i kartony, a jeden układał to wszystko na pacy. Ubrani byli w jednoczęściowe kombinezony, tak jak przystało na pracowników firmy przeprowadzkowej. Ale przeprowadzki robiło się zazwyczaj w dzień, a nie w nocy.

Może zaczęli po południu i się nie wyrobili?, zastanawiała się. Albo jeden samochód już wywieźli, a teraz po resztę przyjechał drugi. Nie, to niemożliwe. W tych blokach nie ma wielkich mieszkań. Tu całe wyposażenie wszystkich pokoi i kuchni można było zmieścić do średniej wielkości ciężarówki. Przypomniała sobie, jak w ubiegłym roku jej sąsiedzi Jabłońscy robili przeprowadzkę po tym, jak kupili pół bliźniaka w Cerekwicy. Wydawało się, że mają tyle gratów, że nie da się ich wywieźć na jeden raz. Ale pomylili się. Przyjechali goście od przeprowadzek, spakowali wszystkie rzeczy do dużych kartonów, potem znieśli meble i naraz okazało się, że to wszystko nie zapełniło nawet połowy dostawczaka. To znaczy, że ci dopiero rozpoczęli przeprowadzkę. Czyli mogą to być złodzieje udający firmę od wynoszenia mebli, domyśliła się radna. – Ja was tu, gnoje, zaraz załatwię – powiedziała sama do siebie, sięgając po telefon. Szybko znalazła numer swojego dobrego znajomego, szefa miejscowego posterunku.

– Halo, Karol, nie śpisz? Świetnie. Słuchaj, bo właśnie...

Odpowiedziało jej ziewnięcie.

– Ja pierdykam, jasne, że nie śpię. Siedzę w chacie, trzymam w ręce telefon i czekam, czy aby radna Jola nie zadzwoni do mnie z jakąś sprawą. Bo jeśli dzwonicz w sprawie tego przejścia dla pieszych koło szkoły, to ci powiem, kurna, że na razie nic się nie...

– Karol, słuchaj mnie uważnie i nie gadaj bez potrzeby. Jestem na Kalinowym. Wysłałam z Dżekim wieczorem.

– Tak, rozumiem, z Dżekim. To jakiś Amerykanin?

– Jaki Amerykanin?

– Dżeki. Taki kowboj Dżek był w jakimś filmie. Dżek to po naszymu Jacek.

– Co ty pieprzysz?

– Spytaj się go. Niech sam ci powie.

– Kto?

– Ten Amerykanin, co jest z tobą.

– Tu nie ma żadnego cholernego Amerykanina.

– Jak nie ma? Przecież sama mówiłaś, że jesteś na Kalinowym z Amerykaninem Dżekiem. To twoje własne słowa. Przecież sobie nic nie wymyśliłem.

– No przecież Dżeki to mój pies.

– Jaki pies?

– Mój własny.

– A ten, co przez niego wszyscy muszą zbierać kupy po trawnikach i jeszcze...

– Karol, zamknij się i posłuchaj. Na Kalinowym stoi ciężarówka do przewozu mebli.

– Meblowóz.

– Może być meblowóz. Mam to w nosie.

– Ciężarówka do przewozu mebli nazywa się właśnie...

– Ja pierdołę, nie przerywaj mi. Goście z tej ciężarówki... meblowozu, wynoszą meble.

– Ktoś się wprowadza po nocy. Ciekawe.

– Nie, ci z tego meblowozu, znaczy ci, co nim przyjechali, wynoszą graty z mieszkania. Wynoszą je i pakują na ciężarówkę.

– Na meblo... Jak pakują meble? O tej porze? Przecież jest cisza nocna. A, rozumiem, lokatorzy się skarżą, że hałasują. Co za debile. O tej porze się już nie hałasuje, bo ludzie chcą...

– Wynoszą meble i wszystkie graty w środku nocy. Mówi ci to coś?

– No pewnie. Hałasowanie w środku nocy jest surowo zabronione.

– Karol, oni nie robią zwykłej przeprowadzki. Oni obrabiają mieszkanie.

– Co?

– Okradają. Trzeba ich powstrzymać.

– Zaraz, jak to okradają?

– Normalnie. Kradną pod osłoną nocy.

– Które mieszkanie? Może by trzeba zapytać właścicieli.

– Nie widzę żadnego właściciela. Widzę za to pięciu gości w uniformach roboczych, jak znoszą wszystko, co się da wynieść z mieszkania na pierwszym piętrze w bloku nad przedszkolem Mumula.

– Zaraz, nad Mumulą?

– No dokładnie.

– A z której strony klatki schodowej?

– Z... no światła w mieszkaniu się palą z prawej, nie, z lewej. To od strony apteki.

– O, kurwa. To mieszkanie Waszutów.

– Znasz ich? – zdziwiła się.

– Nie znam. Ale ich nie ma. Znaczy nie ma ich w domu, bo wyjechali. Ktoś im robi chatę. Już lecę. Jola, zatrzymaj ich. Już jadę. Za pięć minut będę!

– Ale jak mam zatrzymać?

– Nie wiem. Zrób coś. Ty masz zawsze zajebiste pomysły. Takie jak z tym zbieraniem psich kup.

– O co ci chodzi?

– Zatrzymaj ich do mojego przyjazdu!

Jeszcze przez chwilę stała z telefonem przy uchu, ale po drugiej stronie była cisza. Policjant rozłączył się definitywnie. No i co teraz miała zrobić? Nic nie przychodziło jej do głowy. Przecież nie podejdzie do nich i nie poprosi, żeby poczekali jeszcze przez pięć minut, aż przyjedzie policja. No chyba żeby narobić rabanu na całą okolicę?

Naraz wpadła jej do głowy błyskotliwa myśl. Taka, która przyjść może tylko radnej gminnej uskrzydłonej poczuciem społecznej misji. Szarpnęła smycz i Dżeki, puszysty, włochaty kundel, który dotąd spokojnie obwąchiwał wszystkie obsikane miejsca na trawnikach, podbiegł do niej. Wzięła go na ręce i szybkim krokiem ruszyła ku swojemu zaparkowanemu pod blokiem oplowi. Na szczęście w kieszeni miała klucz od auta, bo był doczepiony do pęku domowych kluczy. Otworzyła drzwi pilotem, wsadziła psa na tylne siedzenie i sama usiadła za kierownicą. Spojrzała w lusterko wsteczne. Złodzieje kończyli chyba pakowanie. Tragarze przynosili pojedyncze, niewielkie przedmioty. To mogło znaczyć, że mieszkanie zostało już wyczyszczone.

Będę blokować ich od apteki, ty zajeżdżaj od ryneczku.

Napisała jeszcze wiadomość do policjanta, włączyła silnik i ruszyła na wstecznym. Objechanie dwóch niewielkich bloków zajęło jej minutę. Po chwili była już na wjeździe prowadzącym w kierunku ciężarówki. W światłach swojego auta dostrzegła szoferkę mercedesa z dużym napisem DUDA-TRANS.

– No to, panie Duda, zaraz pan się przekona, co znaczy wejść na wrogi teren.

Wcisnęła gaz i podjechała do samego kresu możliwości, zatrzymując się jakieś pół metra od maski dostawczaka. Wtedy wyłączyła silnik i wcisnęła klakson. Przeciągły sygnał sprawił, że w oknach domów zaczęły zapalać się światła. Dwaj faceci w kombinezonach ruszyli w kierunku auta radnej. Ta wyskoczyła z samochodu, wzięła się pod boki i krzyknęła w ich kierunku:

– Co to za porządki, do cholery jasnej?! Kto to widział po nocy robić przeprowadzkę? Ludzie chcą spać. Całe osiedle się skarży na hałasy!

– Brawo, pani radna! – zawołał jakiś facet z okna na pierwszym piętrze z budynku po prawej stronie. – Za nic mają ludzi, skurwysyny jedne!

– Ja już im godzinę temu mówiłem, że mają być cicho. Ale w dupie ludzi mają – poparł go sąsiad z naprzeciwka, który wyszedł właśnie na balkon.

– Hałasują jak powaleni. A ja jutro na siódmą do pracy, muszę wstać o piątej trzydzieści – poskarżyła się kobieta z drugiego piętra. – Na policję by ich podać, żeby im mandat przyfanzolili. Jak zapłacą pięć stów, to im się odechce nocnych hałasów.

– No i co, ludzi macie w dupie? Tak to jest, jak się przyjmuje za dużo zamówień i nie idzie się wyrobić. – Wyciągnęła oskarżycielsko palec w kierunku tragarzy.

– My już jedziemy. Niech pani przestawi to auto – rzucił napakowany osiłek w wełnianej czapce.

– Najpierw podacie mi numer do szefa waszej firmy. Złożę na was skargę.

– Niech im pani nie daruje, pani radna! Z nami w ogóle nie chcieli gadać – zawołał ten z drugiego piętra. Spojrzała w górę. Coraz więcej światła zapalało się w oknach na

balkonach. Ludzie wychylali się, zaciekawieni awanturą na dole. W końcu była to jakaś niecodzienna atrakcja dla tych, którzy emocje czerpali tylko z Netflixa.

– Bierz się, babo, z tym autem, bo ci zaraz przeryjemy maskę! – zagroził jej nieco niższy, ale równie napakowany kompan tego pierwszego. Radna nie wiedziała, czy mówiąc o masce, ma na myśli tę samochodową, czy chodzi o jej twarz. Na wszelki wypadek postanowiła jednak dać im do zrozumienia, że poczuła się zagrożona.

– Ludzie, słyszycie? Do bicia chcą się brać! Na radną gminną chcecie rękę podnieść? Na samorządowca sprawującego mandat i interweniującego w imieniu mieszkańców! Bić mnie chcą! Ludzie, ratunku!

– Nie drzyj się, pizdo głupia, bo ci naprawdę przyjebię! – Kierowca ruszył w jej kierunku, ale zaraz przystanął, gdy zdał sobie sprawę, że coś dziwnego dzieje się za jego plecami. Naraz na ścianach bloków wykwitły spływające po nich niebieskobiałe światła. Tragarze jak na komendę odwrócili się. Migające lampy znajdowały się na dachu radiowozu, który zamknął uliczkę od strony placu nazywanego przez mieszkańców ryneczkiem. W tej samej chwili drugi radiowóz zatrzymał się za plecami radnej. Ta, bardzo zadowolona ze wspólnej samorządowo-policyjnej akcji, założyła ręce nad brzuchem i stanęła w lekkim rozkroku jak wódz zwycięskiej armii, który za chwilę przyjmie kapitulację wroga.

– Stać, nie ruszać się! – zawołał któryś z policjantów.

– Ryjem do ziemi. Gleba! Wszyscy gleba i łapy na plecy! – Rozpoznała podniecony głos Domagały.

Zdążył z odsieczą jak Sobieski pod Wiedniem, pomyślała Jolanta. Uwielbiała historyczne porównania, które jej, jako nauczycielce historii w szkole podstawowej, przychodziły bardzo łatwo.

– He, he! Mamy ich wszystkich. – Aspirant Karol Domagała, uśmiechnięty od ucha do ucha, zatrzymał się przed kobietą. – Zaraz nam tu wszystko wyśpiewają jak na spowiedzi świętej. – Policjant pomachał w kierunku leżących wielką pięścią. – Odechce się skurwysynom okradania ludzi w nocy.

– Brawo, panie komendancie! – zawołała kobieta z pierwszego piętra. – Z takimi gnojami trzeba ostro.

– Właśnie! Takich, co nie przestrzegają prawa, trzeba łapać za mordę i walić jak w kaczy kuper – stwierdził ten z balkonu.

– Co z nimi, panie aspirancie? – zapytał sierżant, wysiadając z radiowozu, który zatrzymał się przy aucie radnej.

– Wszystkich w obręczkach do Szamotuł. U nas się, jebańcy, nie pomieszczą.

– A ciężarówka?

– Ciężarówkę ja sam odstawię. Pani radna, dziękuję za ofiarność i odwagę.

– Drobnostka, hi, hi. Najważniejsze, że się wszystko udało.

– Też tak myślę.

Domagała wydobyl z kieszeni kurtki telefon, szybko sprawdził ostatnie połączenia i odnalazł wśród nich tę policjantkę z Szamotuł. Niech się dziewczyna ucieszy, pomyślał, i szybko wklepał krótką wiadomość:

Pięciu gości złapanych przed chwilą na likwidowaniu mieszkania Waszutów w Rokietnicy. Specjalnie dla pani podkomisarz w prezencie odstawiam ich na komendę w Szamotułach. Będziemy mieli co robić od rana

Rozdział V

Szamotuły

Piątek

13 marca

Godzina 8.30

– Nazwisko?

– Ptaszarek.

– Imię?

– Roman.

– Rok urodzenia?

– Siedemdziesiąty ósmy.

– Karany?

– Tak.

– Za co?

– Artykuł dwieście siedemdziesiąt dziewięć kk.

– O, proszę – ucieszył się aspirant Domagała. – Widzi pani komisarz, jaki przyjemny gość nam wpadł w łapy. Ile żeś odsiedział?

– Trójkę.

– Za co tak dokładnie?

– Za niewinność. Kilka sklepów RTV. Nic wielkiego.

– Jak żeś je robił?

– Na żółwika – wyjaśnił złodziej, zwijając dłoń w pięść i posuwając ją do przodu.

– A to tyś jest z tych gości, co to w dwa tysiące trzecim byli przyskrzynieni w Wągrowcu? – Aspirant przypomniał sobie słynną sprawę, kiedy to policja na gorącym uczynku złapała grupę czterech złodziei wjeżdżających nocą do sklepów radiowo-telewizyjnych przez wystawową szybę rozpędzonym dostawczakiem. W środku ładowali towar i uciekali po chwili z paką wyładowaną po brzegi sprzętem elektronicznym. Obrobili w ten sposób kilkanaście sklepów w dawnym województwie pilskim i w końcu wpadli przez przypadek, bo nie zauważyli, że przy ulicy, na której był wybrany przez nich sklep, stał policyjny radiowóz. Gdy wdarli się do środka przez sklepową szybę, policjanci podjechali na miejsce, zablokowali wyjazd ciężarówce i najspokojniej w świecie zakuli złodziei w kajdanki.

– Myślałem, że za takie ładne rozpierduchy należy się więcej – stwierdził, spoglądając na Anetę. Dziewczyna wyglądała trochę tak, jakby była nieobecna. Niby przysłuchiwała się, ale co chwila myśli ulatywały jej gdzieś w przestrzeń, ponad dach komendy, i płynęły do tego miejsca, w którym była wczoraj. Czy to Adrian się nie sprawdził, czy to może ona popełniła jakiś błąd. Może po prostu nie potrafiła mu dać do zrozumienia, czego oczekuje, a on

zwyczajnie nie umiał odczytać dobrze jej sygnałów. Może wystarczy tylko z nim pogadać, wyjaśnić mu, że seks to nie jest gra do jednej bramki, że powinien przynieść radość, satysfakcję i spełnienie obojgu, nie tylko jemu. Ale przecież to jest dorosły facet. Musiał mieć w swoim życiu już jakieś kobiety. Zresztą sam o tym napisał w tym SMS-ie. To chyba było dla niej najbardziej upokarzające. Jest najlepsza spośród tych, z którymi był. Co to miało, do cholery, znaczyć? Pieprzony penetrator intymnych przestrzeni chwali się swoimi podbojami. A jakby mu tak odpisać, że ma najzgrabniejsze pośladki spośród tych, które przyciskała do siebie? Ciekawe, jak by się poczuł, cymbał.

Uśmiechnęła się do swoich myśli.

– Widzisz, Ptaszarek, jak rozbawiłeś panią komisarz swoją historią. Ja bym nawet powiedział, że urzekła mnie twoja historia, gdyby nie to, że już stary jestem gliniarz i z niejednego garnka groch jadłem. I nikt mi nie powie, że czarne jest czarne, a białe jest białe, jak ja swoim nosem wyczuwam na odległość gościa, co pierdoli głupoty. Dobrze mówię, pani komisarz?

Pokiwała głową na wszelki wypadek, bo nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi Domagała. Uciekła z tego pokoju prosto w objęcia Adriana. Do rzeczywistości przywołał ją krzyk aspiranta.

– Co ty mi tu pierdzielisz, Ptaszarek? Ty myślisz, że ja jestem jakiś niedorozgarnięty, czy jak, i że taki zasraniec jak ty weźmie mnie na lewe sanki? Uważaj, chłopie, bo mnie się już cierpliwość do ciebie powoli wykańcza i ja tobie powiem, że nawet mi się już nie chce z tobą gadać. Bo ja takich zasranych krętaczy to raczej nie lubię. A jak się skończy moje zniecierpliwienie, to ja se stąd pójdę i zostawię cię pani komisarz. I jeśli se myślisz, że to dla ciebie lepiej, to się grubo mylisz. Bo jak ona cię weźmie w obroty, to już po tobie. Co nie, pani komisarz?

Znów skinęła głową. Cały czas była nieobecna i reagowała tylko na niektóre słowa aspiranta. Gdy mówił „pani komisarz”, stawała się czujna.

– Może pani komisarz ma cię załatwić na cacy? A to nie byle kto, bo nie zwykły szkieł, ale policjantka i prawniczka jeszcze na dodatek. I już niejednego zasrańca takiego jak ty wsadziła. A wiesz ty, ćwoku pierdolony, co jest najgorsze dla takich jak ty? Najgorsze jest to, że każdy taki jebaniec myśli, że ma przed sobą grzeczną dziewczynkę. A nie dość, że ona cię załatwi paragrafami, to jeszcze cię tak wrobi, że będziesz siedział do końca swoich dni. Prawda, pani komisarz?

– Prawda – potwierdziła i znów jej myśli powędrowały do Adriana. Po raz kolejny zobaczyła ten jego uśmiech. Swoją drogą on się cały czas uśmiechał. Kto się ciągle śmieje? Albo jakiś głupek, albo człowiek obdarzony nieprawdopodobnym poczuciem humoru. Ale jakoś nie zauważyła, żeby był szczególnie dowcipny. Bo jeśli dowcipny miał być ten nocny SMS... Naraz uśmiech Adriana zniknął, a myśli skrzyły gdzieś w bok, zgrabnie omijając audi A7. Na ich drodze stanął jej dawny szef i mentor Mariusz. Zobaczyła jego poważną twarz i spojrzenie wbite w jakieś akta. Jak zwykle wodził palcem po tekście, żeby maksymalnie skupić się na treści, i po cichu odczytywał zdania, które wydały mu się szczególnie istotne. Podniósł głowę i spojrzał na nią, a potem uśmiechnął się jak zwykle, gdy przychodziła do niego z jakąś sprawą niecierpiącą zwłoki. Mogłaby się założyć, że powie zaraz: „No co tam, Anetka?”.

– No co tam... Ptaszarek, namyśliłeś się?

– Pierdol się, ćwoku.

– No dobra, Ptaszerek, sam żeś chciał. Pani komisarz, to ja tego smutnego wała oddaję pani, bo po dobroci nic się z niego nie wydobędzie. Z takimi gnojami tylko siłą można, bo oni innego języka nie znają.

Wstał od stołu i ruszył w kierunku okna. Gdy znalazł się obok zatrzymanego, nagle zatoczył się, tak jakby stracił równowagę. Oparł się o stół i gwałtownie przybliżył do Ptaszarka. Ten spróbował się odsunąć, ale na niewiele się to zdało. Głowa policjanta z impetem uderzyła w jego nos. Mężczyzna próbował się poderwać, ale Domagała był cwanym gliniarzem. Złapał go za koszulkę i szarpnął ku sobie.

– Ratunku, kurwa, skoczył na mnie! – zawołał pełnym przerażenia głosem policjant i pociągnął złodzieja za sobą. Przewrócił się na plecy, a Ptaszerek poleciał za nim, przygniatając go swoim ciężarem. Aneta natychmiast poderwała się z krzesła i podbiegła do drzwi. Zaczęła walić w nie, krzycząc przy tym jak najgłośniej:

– Ratunku, ratunku! Pomocy, bo go zabije!

Tymczasem Domagała siedział okrakiem na zatrzymanym i lał go, ile wlezie, po gębie.

Drzwi otworzyły się i do środka wpadło dwóch młodych policjantów. Na widok tego, co dzieje się na podłodze, stanęli, nie bardzo wiedząc, co robić.

– No co, nie widzicie, że zatrzymany zaatakował policjanta? – odezwał się zza ich pleców Turek, który wszedł spokojnie do środka, tak jakby przed chwilą zupełnie przypadkiem przechodził korytarzem.

– Weźcie gnoja i polejcie mu mordę wodą, a później przyprowadźcie go z powrotem – polecił Domagała. – Mam wrażenie, że teraz będzie rozmowniejszy po tym, jak mu dopiszemy artykuł dwieście dwadzieścia trzy za czynną napaść na funkcjonariusza.

– No i co mamy? – zapytał Turek, siadając u szczytu stołu, na miejscu, które jeszcze niedawno zajmował zatrzymany.

– Napadł na mnie – wyjaśnił Domagała. Turek uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– A bo to co ktoś mówi? – Turek spojrział na Anetę. – Pani komisarz zaświadczy chyba, jakby co?

Skinęła głową. Nareszcie zaczęła wracać do śledztwa, a nie zajmować się sobą i pierdołami. Była zła, że dała się ponieść emocjom i przez pierwsze pół godziny była całkowicie nieobecna. Tę jej pozorną nieobecność Domagała wziął za przyzwolenie i postanowił zmiękczyć przesłuchiwanego. No i właśnie dlatego musiała zareagować tak, jak zareagowała. Stała się współniczką aspiranta, gdy ten dosłownie wziął sprawy w swoje ręce. Nie mogła go teraz przecież wystawić do wiatru, bo facet jej zaufał. No i efektem tego była obita gęba Ptaszarka. Nie żeby jej było żal tego bandziora, ale czuła, że tak nie powinno się robić. Choć zmiękczenie zastosowane przez Domagałę za chwilę mogło się okazać skuteczne.

– No to na ten moment mamy tego tam – aspirant zaczął wyjaśniać swojemu koledze – co się okazał recydywą, bo już za włamanie do sklepów odbębnił trójkę. Teraz mamy na niego trzymanie, bo można mu przywalić za wszystko nawet do dychy. Dobry adwokat zmniejszy mu do piątki i wyjdzie po trzech, ale możemy go jeszcze włożyć do pedalskiej celi w areszcie.

– A może on to lubi? – Turek zrobił oblesną minę.

– Mało prawdopodobne. Na przedramieniu ma tatuaż z gołą dupą... znaczy się chciałem powiedzieć... – spojrzał zmieszany na Anetę – z kobietą w negliżu.

– Spoko, nie od dziś jestem w policji – stwierdziła. Jeszcze kilka lat temu powiedziałyby od razu Domagale, co myśli o takich szowinistycznych określeniach. Wtedy gdy pracowała w komendzie wojewódzkiej, miała chęci i energię, żeby walczyć z seksistowskimi zachowaniami, które były niemal codziennością, szczególnie wśród starszych kolegów. Oni każdą młodą dziewczynę, zaczynając pracę w policji, traktowali jako obiekt niewybrednych docinków i beznadziejnych żartów. Sama nie raz doświadczyła takich paskudnych zachowań, obleśnych, niemal bezpośrednich propozycji czy w końcu niby przypadkowych prób dotykania, poklepywania czy głaskania. Pchanie się z łapami szybko się skończyło, kiedy to jeden sierżant położył rękę na jej tyłku i bardzo szybko tego pożałował. Obróciła się błyskawicznie i zanim ten zdążył zrozumieć, co się dzieje, chwyciła go za dłoń, założyła mu blokadę na łokieć i szarpnęła. Rozległ się nieprzyjemny trzask i ręka została wykręcona. Na nieszczęście sierżanta erotomana świadkami zajścia było kilku kolegów i żaden z nich nie miał zamiaru kryć faceta. Tydzień później sierżant został wysłany na wcześniejszą emeryturę, bo akurat się okazało, że nabrał do niej uprawnień. Po tym incydencie nikt w komendzie nie próbował już pchać się z łapami do Anety.

– Może dla niepoznaki ta golizna? – Aneta nie знаła się na tatuażach.

– Pedaly nie robią sobie gołych bab, ale raczej jakieś symbole siły, jak węże czy smoki. Takie tam główna – wyjaśnił jej Turek, który już niejedno w swoim policyjnym życiu widział. – To jaki konkretnie mamy w końcu? – zapytał jeszcze, bo Biernat czekał na górze na informacje.

– Na razie tyle, że bandziory są w puszcze, auto Duda-Trans jest kradzione, a oni mieli klucze od chaty – zameldował Domagała.

– I to jest najważniejsza informacja – ucieszyła się Aneta, bo już wiedziała, co zrobić, żeby skłonić Ptaszarka do mówienia. Gdy pięć minut potem posadzono go naprzeciw niej, nawet zrobiło jej się go żal, bo gęba bandyty wyglądała jak niedzielny kotlet schabowy tuż przed zanurzeniem w jajku i bułce tartej.

– To co, panie Ptaszark, idziemy na maksa? – zapytała, uśmiechając się złowieszczo.

– Pierdol się – warknął. – Bez adwokata nic nie powiem.

– A masz jakiegoś adwokata? – zadrwił Domagała. – Bo takiego z urzędu to możesz dostać najwcześniej jutro, a do tego czasu jeszcze możesz przejechać kilka razy ryjem po śliskiej podłodze, a później wpaść na pogawędkę do celi z najtwardszymi cwelami w Szamotułach.

– Chuj ci w dupę.

– Mnie? Nie sądzę, ale tobie jeszcze dzisiaj. Mogę ci to obiecać, że w ciągu...

– Panie aspirancie, spokojnie – przerwała mu z uśmiechem Aneta. – Jestem przekonana, że pan Ptaszark jako człowiek inteligentny zrozumie, w jakim jest położeniu, i zaraz zacznie z nami grzecznie rozmawiać.

– Wal się.

– No dobrze, to co ja mówiłam? – Otworzyła teczkę i zajrzała do środka, jakby szukała w niej jakiegoś konkretnego. Nic tam nie było, ale ona nauczyła się już dawno od Blaszkowskiego, że takie teatralne gesty robią wrażenie na przesłuchiwanym. – O, właśnie o to chodziło. Klucze do mieszkania Waszutów. Mieliście klucze do mieszkania.

– Mieliliśmy i nic wam do tego. To była przeprowadzka na zlecenie. Trzy dni temu dali mi klucze.

– Kto dał? Czyje to było zlecenie?

– Właściciele, kurwa, a kogo?

– No i właśnie w tym jest problem, panie Ptaszarek. Bo właściciele niczego nie mogli zlecić.

– Zlecili i chuj.

– Nie mogli, bo ich samochód z trzema ciałami wyłowiliśmy z jeziora. Zostali zamordowani dwa tygodnie temu, więc przed trzema dniami nie mogli panu dać kluczy. Wydaje mi się wielce prawdopodobne, że klucze wziął pan od nich, kiedy jeszcze żyli. Czyli wziął pan klucze, a potem ich zamordował. A to oznacza, panie Ptaszarek, że wygrał pan dzisiejszy konkurs na mordercę tygodnia. Dwoje dorosłych i jedno dziecko. Brawo, panie Ptaszarek. W najlepszym razie wyjdzie pan na wolność za jakieś sto dwadzieścia lat. Oczywiście jeśli dożyje tego sędziwego wieku. – Mówiąc to, Aneta patrzyła na bandziora, który z każdym wypowiedzianym przez nią słowem stawał się coraz bledszy. I wtedy zawibrował jej telefon. Wyjęła go z kieszeni kurtki.

Cze piękna, nie masz ochoty się przeleciec?

Nie miała ochoty. Na pewno nie na spotkanie z Adrianem.

Poznań

Godzina 9.40

Miał dziś przyjść do pracy dopiero po południu, więc teraz postanowił dokończyć to, co zaczął poprzedniego dnia, i nic z tego nie wyszło. Wczoraj pojechał do mieszkania, w którym pokój wynajmowała jego zaginiona pracownica, ale nikogo nie zastał. Paula, druga z dziewczyn, które pomagały Alex w knajpie, wyjaśniła mu dokładnie, co to za miejsce.

– Szef wie, to jest taki kołchoz.

– Co? – Znał nazwę, ale nie bardzo mu pasowała do mieszkania w bloku.

– No kołchoz, to tak się dawniej mówiło na taką chatę, gdzie mieszka kilka osób legalnie, a do tego śpi jeszcze kilka więcej. Teraz to się mówi squat.

– Aaaa, taka komuna. – Zrozumiał wreszcie, o co chodzi dziewczynie.

– No właśnie. To jest czteropokojowe mieszkanie w wieżowcu na Śmiałego, tym, co stoi najbliżej ulicy. Ale trzeba zajechać tam od podwórka. No i mieszkanie jest na dziewiątym piętrze, zaraz jak się wyjdzie z windy, to po lewej stronie. No i normalnie to tam jest pełno wiary, ale jak jest rok akademicki. Tyle że teraz może tam nie być nikogo, bo jak ogłosili zarazę, to ludzie pewnie pojechali do chaty.

I rzeczywiście nikogo nie zastał. Miał jednak nadzieję, że nie wszyscy uciekli z Poznania i być może wieczorem świętowali niespodziewane wakacje, drinkując w pubach. Dlatego postanowił spróbować szczęścia dziś rano. W zasadzie to nawet sam nie był pewny, czego

tam szuka. Bo chyba nie spodziewał się znaleźć Marianny. Skoro zwinęła kasę, to znaczy, że musiała bryknąć gdzieś dalej. Nie po to kradła, żeby teraz siedzieć w pokoju i liczyć ukradzione banknoty. Raczej miał nadzieję, że któryś z lokatorów powie mu o niej coś prywatnego, na przykład czy ma chłopaka, z którym mogła uciec. Bo Paula tego nie wiedziała. To było dość dziwne, skoro dziewczyny spędzały ze sobą dużo czasu. Przecież musiały rozmawiać o swoich prywatnych sprawach.

– Ja bynajmniej od pół roku nie widziałam jej z żadnym facetem – wyjaśniła dziewczyna. – Znaczący się od czasu, jak zerwała z tym Gracjanem. Taki palant to był i jeszcze do tego to imię miał takie tragiczne. No ale ona z nim zerwała, bo on ją puścił kantem i zostawił dla jakiejś gówniary z liceum. I od tego czasu to nie miała żadnego stałego, tylko jakieś przypadkowe stosunki.

– Jakie stosunki? – Przemek nie miał właściwego rozeznania w młodzieżowych relacjach, choć wydawało mu się, że jest jeszcze całkiem młodym człowiekiem.

– No jak, nie wie szef, co to są stosunki? Jak dziewczyna nie ma chłopaka na stałe, to od czasu do czasu bzyknie się z jakimś obcym facetem na imprezce albo na ławce, tak żeby nie zwariować.

– Ano, to rozumiem – wybąkał, trochę zmieszany otwartością Pauli. Te stosunki na ławce wydały mu się trochę dziwne, a właściwie niestosowne, no ale przecież to nie była jego sprawa. On nie był z obyczajówki, ale dochodzeniówki. Służbowo interesowały go tylko przestępstwa większego kalibru. Dlatego ta kwestia kradzieży wydawała mu się kompletną błahostką i wcale by się nią nie zajmował, gdyby nie to, że dotyczyła jego samego.

Wjechał na dziewiąte piętro i podszedł do drzwi wskazanych przez Paulę. Nacisnął przycisk dzwonka i zaraz uświadomił sobie, że robił to już wczoraj i nic nie wskórał, bo dzwonek nie zadziałał. Chciał zapukać, gdy naraz z głębi mieszkania usłyszał dzwoniący telefon. Zamarł w bezruchu. Po chwili usłyszał głośno i wyraźnie głos:

– No co jest, kurwa? – odezwał się jakiś facet. Przemek natychmiast przyłożył ucho do drzwi. Jak to w blokach, nie były zbyt solidne. Nikt nie pomyślał, żeby je wzmocnić, obijając blachą. W końcu było to mieszkanie na wynajem, więc właściciel nie miał zamiaru ponosić niepotrzebnych kosztów.

– Kurwa, stary, czekamy na towar jak na pierwszą komunię, a ty, kurwa, gdzieś jeździsz.

– Pewnie, że mam siano. Co ty se myślisz, że jesteśmy jakieś piździelce i bym cię ciągnął do chaty, jakbym nie miał czym zapłacić?

– Tak jak mówiłem, bierzemy osiem działek i gotówka do rączki. To za ile będziesz? Tak, nic się nie zmieniło. Dziewiąte piętro. No dobra, to czekamy, bo nam się już flaki zaczynają wywracać na drugą stronę. Piętnaście minut to jakoś się da przeżyć. A stary, jeszcze jest prośba, wzięłyś w sklepie na dole dwa czteropaki browca? Najtańszego, jaki jest, no wiesz, żeby na sucho nie brać. Z zimnym leszkiem lepszy odjazd.

Ja ci zaraz dam, gnoju, zimnego leszka, pomyślał Drażkowski i już chciał wejść do środka. Ale w ostatniej chwili jego dłoń zawisała nad klamką. Przecież drzwi na pewno były zamknięte od wewnątrz. Tylko by narobił hałasu, a ten gość zamawiający dragi wszystkiego by się wyparł, no i dostawca mógłby zwać gdzie pieprz rośnie. A przecież wystarczyło cierpliwie poczekać. Stanąc sobie gdzieś w kącie, przyczaić się i ruszyć wtedy, kiedy ten ze środka otworzy drzwi.

Rozejrzał się. Korytarz, na którym stał, za chwilę skręcał w lewo. Poszedł więc tam i schował się za zakrętem. Wyjął z kurtki telefon, żeby poczytać, co ciekawego wydarzyło się w świecie. Ale wiadomości ze świata były podobne do tych z Polski. Wszędzie pisano o epidemii, a nawet o pandemii, bo wirus rozprzestrzenił się błyskawicznie i docierał do najdalszych zakątków globu. Tylko u nas było bezpiecznie. Minister, ten facet z podkrążonymi z niewyspania oczyma, mówił, że jest spokój, mamy niewiele przypadków zachorowań, a nawet jeśli będzie ich więcej, to władze są już na to przygotowane i służba zdrowia również, więc nie trzeba się martwić, bo na szczęście już dawno byliśmy gotowi na najgorsze scenariusze. I nawet jak ktoś zachoruje, to znajdzie najlepszą opiekę medyczną w naszych szpitalach i dla każdego chorego wystarczy respiratorów...

– A pan co tak tu sterczy? – zapytała starsza kobieta, uchylając lekko drzwi naprzeciwko. Przez szparę dostrzegł tylko jej nos w okularach i połę różowej podomki. Tego mu tylko brakowało, wścibskiej baby, która wszystko musi wiedzieć.

– Ja z administracji – skłamał, żeby osłabić jej czujność.

– Łe, z administracji? No to czemu pan nie dzwoni?

– Gdzie niby mam dzwonić?

– No jak gdzie, do mnie. Przecież ja czekam już dwa tygodnie, jak ktoś zez tyj administracji przyjdzie do mnie w sprawie nieszczelności, co się zrobiła w oknie. No chodź pan, zajrzyj pan w to okno, co ja nie dam rady domknąć. Szmaty jakieś musiałam włożyć, bo jak wiatr jest, to wieje tak, że aż gwizda. Powiadam panu, że żyć tu nie idzie. No chodź pan do środka. Sam pan zobaczysz. Na własne oczy się pan przekonasz...

Zaczęła szarpać się z łańcuchem, który widocznie się zaklinował, bo drzwi nie chciały się otworzyć.

– Niech pani się nie szarpie. Ja do okien nic nie mam.

– Jak nie? A do czego pan jest?

– Ja jestem... – Rozejrzał się, szukając jakiegoś pomysłu. Naraz jego spojrzenie zatrzymało się na odrapanej ścianie popisanej sprayem i pisakami. – Ja jestem od malowania ścian – skłamał bez zająknięcia. – Będzie się ściany malowało, bo jest brud i syf dodatkowo.

Kobieta wreszcie uporała się z łańcuchem. Otworzyła szerzej drzwi i wyszła na korytarz. Wyglądała jak zmęczony życiem, chudy marabut ubrany w zbyt obszerny szlafrok. Głowę przykrywał jej plastikowy czepek w różę, który miał zapewne za zadanie utrzymywać w należytym porządku idealnie ułożoną trwałą. Spojrzała na Przemka przez swoje okulary w szylkretowych oprawkach, a potem chudym palcem wskazała na najbliższy napis.

– Kto to widział, żeby takie świństwa pisać na ścianach. Że też im ręka nie uschnie.

Przemek popatrzył we wskazane miejsce. Rzeczywiście, artysta nie zabłysnął intelektem, tworząc swoje dzieło:

Jebać gołe baby.

Pod napisem widać było nieudolnie narysowaną kobietę o ponadprzeciętnych kształtach. Wyglądała prawie jak neolityczna Wenus z wielkimi piersiami, ogromnym tyłkiem i małą głową. Od swojej starszej poprzedniczki różniła się tylko tym, że nie miała nóg. Ale w końcu po co gołej babie nogi?

– Rzeczywiście, niezbyt to ładne – stwierdził Przemek. – Niech pani idzie do domu, ja sobie zrobię dokumentację zdjęciową, a potem się to zgłosi do malowania.

– A okno?

– Co okno?

– Się zgłosi też? Bo jak już pan zgłasza malowanie, to za jednym zamachem można by okno też nareperować. Ja się nazywam Kledzikowa Aurelia. Niech se pan gdzie zapisze, że okno u mnie nieszczelne i wieje...

– Pani Kledzikowa, dobrze, zgłoszę, ale niech mi pani da spokojnie zdjęcia porobić, bo nie mam czasu na pierdoły. Jeszcze inne piętra muszę obskoczyć i zobaczyć, czy aby tam nie jest podobnie.

– Wszędzie, panie, syf, kiła i mogiła. My z sąsiadką Wieczorkową z piątego piętra jeździły już windą i sprawdzały...

Usłyszał, że winda zatrzymała się na piętrze i drzwi się otworzyły.

– Tą samą windą my jechały, jak wtedy była u mnie Wieczorkowa...

Zostawił ją samą i podszedł do końca korytarza. Ostrożnie wyjrzał zza rogu. Jakiś krótko obcięty facet ze skórzaną torbą, przewieszoną przez pierś, podszedł do drzwi, przed którymi jeszcze niedawno stał Przemek. To musiał być ten oczekiwany diler. Zapukał do drzwi, a ze środka odpowiedział mu jakiś głos. Tego, co mówił, nie dało się zrozumieć, za to bez problemu dotarł do niego sens słów wypowiedzianych przez dostawcę.

– Dalej, kurwa, otwieraj, bo ja nie mam czasu na pierdolenie.

– I widzi pan administrator, że tu sodomia i gomoria się wyprawiają. – Kledzikowa, stanąwszy za nim, zaczęła dźgać go swoim kościstym palcem w plecy. – Bo one tu łążą tak przez cały dzień i noc. Ja nawet bym policję zawezwała, bo te szuszwole szczają na klatce, ino że ja nie mam telefonu, bo mi administracja nie założyła...

Zignorował jej opowieść. Gdy tylko usłyszał, że drzwi się otwierają, ruszył biegiem. W chwili, w której dopadł do wejścia, diler akurat przekraczał próg mieszkania. Przemek wiedział, że musi wykorzystać zaskoczenie. Niewiele się namyślając, pchnął chłopaka na stojącego wewnątrz młodzieńca ubranego w bokserki i koszulkę. Obaj runęli na podłogę, zanim w ogóle zdążyli się zdziwić. Policjant błyskawicznie ocenił, że gospodarz nie stanowi większego zagrożenia, więc na wszelki wypadek kopnął go w brzuch, żeby pozbawić go chęci do stawiania oporu. Drugi kopniak trafił w bok handlarza narkotyków. Ten natychmiast zwinął się w kłębek, reagując jak najbardziej prawidłowo na zagrożenie. Musiał mieć doświadczenie w przyjmowaniu razów.

– Co jest, kurwa?! – zawołał ten w gaciach, kiedy już złapał oddech. – Ratunku! – krzyknął jeszcze na wszelki wypadek i spojrzał ze strachem na napastnika. – Kurwa mać, pojebało cię, gościu?

– Zamknij ryj! – Przemek pogroził mu zaciśniętą pięścią, a potem pochylił się nad dilerem. Przyklęknął, przygniatając go kolanem do podłogi. Złapał chłopaka za prawy, a potem lewy nadgarstek, przytrzymał obie ręce na plecach i związał je za pomocą plastikowej trytki. Zawsze kilka takich doskonałych kajdanek nosił ze sobą na wszelki wypadek. Już nie raz się przydały. – Leżysz ryjem do ziemi i ani mru-mru. Zrozumiano? – powiedział, nachyliwszy się nad handlarzem. – Odezwiesz się dopiero, jak cię o coś pytam. A teraz ty – spojrzał groźnie na gospodarza – ty mi powiedz, gdzie jest Marianna Buczek.

– Kto?

– Twoja współlokatorka Marianna albo inaczej Mary.

– Nie mam pojęcia. Co mnie ta pizda obchodzi? Pytajcie się jej współspaczki.

– Kogo?

– No tej, co z nią mieszka w pokoju, tej Nikoli. Nikola, chodź no tu, bo tu jakiś pojeb chce coś od tej pierdolonej Marianny! – zawołał w kierunku pokoju za swoimi plecami. Przemek przez szybę dostrzegł tam jakiś ruch, zaraz potem drzwi się otworzyły i stanęła w nich naga dziewczyna, ubrana tylko w białe majtki. Ale jej widok wcale nie należał do przyjemnych. Wręcz przeciwnie. Wszystko przez oksydowany rewolwer, który trzymała w ręce. Nim Przemek zdążył pomyśleć, jak zareagować, wycelowała w niego broń, chwytając ją oburącz tak fachowo, jakby robiła to na strzelnicy. A potem zaczęła przyciskać spust raz za razem. Huk wystrzałów wypłynął z mieszkania i poniósł się po pustych przestrzeniach korytarzy i klatek schodowych. Ale nikt z mieszkańców nie zwrócił na nie uwagi. W końcu w tak wielkim, szesnastopiętrowym budynku hałas remontowy był szarą codziennością.

Szamotyły

Godzina 11.05

– To są fotografie tych topielców, obrobione przez grafika komputerowego. – Biernat rzucił na stół wydruki.

Aneta położyła na blacie album z wakacji zabrany z mieszkania Waszutów i zaczęła wyciągać z niego zdjęcia. Ułożyła je w równym rzędzie, jedno za drugim. Tymczasem Turek pochylił się nad wydrukami i również zaczął je układać. W ten sposób obok siebie pojawiły się dwie rzeczywistości. Na jednych obrazkach szczęśliwi, uśmiechnięci ludzie, na tych drugich martwe, potwornie wyglądające twarze, które z dużą pieczołowitością próbował odtworzyć grafik.

– Może i jest jakieś podobieństwo – stwierdził Biernat, przyglądając się uważnie. – Ale głowy bym nie dał. – Kolor włosów się niby zgadza. Znaczy u niej się zgadza, bo u faceta nie wiadomo. – Postukał palcem w wydruk przedstawiający łysego faceta. – Ten tu łysy też. – Mówiąc to, wpatrywał się w rodzinne zdjęcie wakacyjne.

– Ciekawe, czy wyłysiał naturalnie, znaczy się od choroby jakiejś? – Turek podrapał się po swojej dość gęstej czuprynie.

– Albo raczej się ogolił. – Aneta przejechała palcem po łysinie, tak jakby zdjęcie mogło odpowiedzieć na pytanie, czy jest naturalna, czy uzyskana za pomocą maszynki do golenia.

– Ale co myślicie na temat rysów twarzy? – Biernat już wyrobił sobie zdanie, ale wołał jeszcze skonsultować to z podwładnymi. – Patryk, gadaj! – Popatrzył zachęcająco na najmłodszego członka zespołu. Od dawna stosował zasadę, że każdy po kolei wygłaszał swoje zdanie na poruszany podczas narady temat. Na początek zawsze głos zabierała osoba najniższa stopniem. Biernatowi chodziło o szczerą wypowiedź, więc Wtorek musiał wykazać się samodzielnym myśleniem, a nie przytakiwaniem i powielaniem opinii bardziej doświadczonych kolegów, jeśli ci mówili przed nim.

– No, według mnie, to tak na pierwszy rzut oka się nie da od razu stwierdzić...

– Ja nie chcę, żebyś od razu stwierdzał, tylko powiedz, co czujesz – przywołał go do porządku dowódca. Nie lubił, jak ktoś uciekał od precyzyjnej odpowiedzi.

– No to ja myślę, że to są oni właśnie – rzucił z wyraźną ulgą.

– Dlaczego tak sądzisz? – No bo ona jest brunetką i ma taki prosty nos jak ta zabita.

– A facet? – ciągnął dalej Biernat.

– Facet jakby trochę inny.

– Czyli że jak?

– Ten nieboszczyk trochę jakby bardziej okrągłą głowę ma niż ten tu nad morzem.

– Dobra, Aneta, co myślisz? – Miała wyższą rangę niż Turek, ale on miał specjalne względy i Biernat uważał, że przez prawo zasiedzenia i staż w wydziale należy mu się głos tuż przed nim samym.

– To kto inny – stwierdziła bez wahania.

– Twarze są zniekształcone przez leżenie w wodzie. – Biernat miał wątpliwości i wołał od razu o nich powiedzieć Anecie, żeby spróbowała je rozwiązać.

– No przecież widać, że to inni ludzie są. – Od początku tak uważała. – Dziecko ma inny kolor włosów, ojciec nie ma ich w ogóle i tylko kolor kobiety się zgadza. To nie są według mnie Waszutowie.

– Ktoś ich podmienił, tak jak ci, którzy chcieli porwać Napoleona i wsadzić go do szachisty-robota. Wsadzili ich do samochodu i wywieźli nad jezioro i tam dokonali egzekucji. – Patryk przypomniał sobie opowieść o próbie porwania cesarza, która mocno zapadła mu w pamięć.

– Facet siedział za kierownicą – zauważył Turek. – Przecież go tam nie przesadzili.

– Oni uciekali skądś. – Aneta miała już pewne wyobrażenie całej tej historii. – Uciekali boczną drogą, żeby nikt ich nie dopadł, i jednak się nie udało. Zostali zatrzymani i zastrzeleni. W aucie nie znaleziono jak dotąd niczego, co mogłoby pomóc w ich identyfikacji. Żadnych dokumentów, kart... Ale nie są to Waszutowie.

– No właśnie, bo ta Waszutowa się odzywa na fejsie – przypomniał sobie Patryk.

– Oczywiście pod warunkiem, że to jest ona, a nie ktoś, kto się pod nią podszywa – odezwał się w końcu Turek. – Ja myślę, że szukamy za daleko i niepotrzebnie się wygłupiamy. Ci ludzie zostali zabici w samochodzie. Znaczący w swoim samochodzie i tyle. A my idziemy jakimś śladem, bo Anecie coś się wydaje. To są ci właściciele auta i tyle.

– No dobra. Kto to jest, przekonamy się w najbliższym czasie, jak sprawdzimy próbki DNA. Jutro, może pojutrze, powinniśmy mieć wyniki badań, wtedy będziemy mądrzejsi. A co mówią nasi włamywacze? – zapytał aspiranta Domagałę. Ten podniósł się z krzesła, jak uczeń wywołany do odpowiedzi.

– Mówią, że są niewinni, i się zastanawiają nad swoim losem. – Zadowolony spojrzął na Anetę. – Pani komisarz zasunęła temu jednemu podejrzenie o potrójne morderstwo i facet zbladł jak sprane gacie. No i ma teraz czas na przemyślenie swojego życia. Musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy lepiej gadać, czy może iść w zaparte i rznąć głupa, aż sami się dowiemy, co i jak.

– No dobra, czyli na razie nic nie mamy – podsumował Biernat. – To znaczy, że mamy wsadzonych kilku gości, którzy obrobili mieszkanie, i być może oni doprowadzą nas do

kogoś, kto stoi za tą zbrodnią. No chyba że to są właśnie ci czyściciele, wtedy sprawę mielibyśmy zamkniętą. Bo na zdrowy rozum wszystko wskazuje na tych złodziei. Zabili właściciele mieszkania i teraz okradają ich chatę.

– Nie zgadzam się – Aneta pokręciła głową – za proste to jest.

– Co? – Biernat spojrział na nią zaciekawiony. Znał ją doskonale i wiedział, że nie da się jej zadowolić byle czym. Ale zdawał sobie też sprawę, że jego rozumowanie, choć logiczne, było dalekie od ideału.

– Za prosty wniosek z właściwych przesłanek.

– Mów.

– Idzie o to, że na logikę rzecz biorąc, wszystko się zgadza. Mogli zabić tych ludzi, wziąć klucze od mieszkania i pojechać opróżnić chatę. Ale zastanówcie się, dlaczego dla obrobienia chaty, wcale nie jakiejś bogatej i pełnej antyków, ale zwykłego mieszkania w bloku wypełnionego meblami z firmy Badziew zabiliby trójkę ludzi? To nie jest motyw. Dla czegoś takiego się nie zabija. Więc myślę, że było inaczej. Ta trójka zginęła z jakiegoś konkretnego powodu, który nie miał nic wspólnego z mieszkaniem. Zginęli ludzie, którzy nie są jego właścicielami. Ale ktoś chciał, żebyśmy tak pomyśleli. Jeśli poleżeliby tam jeszcze jakiś czas, to wydobylibyśmy z wody same kości albo nic byśmy nie wyciągnęli. To nie Waszutowie zginęli, ale ktoś, kto miał ich zastąpić.

Biernat zdjął okulary i zaczął je przecierać jednorazową chusteczką. Przez chwilę wszyscy czekali, aż zakończy to czyszczenie. Gdy uznał, że już nadają się do użytku, założył je na nos i spojrział na Turka.

– Pokaż im tatuaże – polecił. Turek skinął głową, po czym z zielonej teczki wydobył kilka kartek. Rozkładał je powoli, świadom tego, że pozostali obserwują każdy jego ruch.

– Co to jest? – Aneta w końcu nie wytrzymała.

– To są fotografie tatuaży, które mieli zrobione na prawych ramionach ci zabici. I on, i ona mają takie same.

– Co to znaczy „lumen verum”? – Turek nie miał najmniejszego pojęcia o łacinie.

– Światło prawdy – przetłumaczyła Aneta, która nie знаła dobrze tego języka, ale na studiach prawniczych poznała sporo łacińskich zwrotów i sentencji. – A te kreski odchodzące od krzyża wyglądają jak promienie. Czyli mamy światło prawdy wychodzące od krzyża. A to może oznaczać jakąś kościelną organizację.

– W necie jest tylko coś po angielsku o tym „lumenie”. – Patryk już zdążył wygooglować łaciński napis.

– Musimy to zdokumentować – zdecydował Biernat. – Anetka, dałabyś radę?

– Pewnie. – Uśmiechnęła się. – Poszperam wieczorem na spokojnie i wyślę ci...

– Nie musisz nic wysyłać. Wystarczy, że jutro rano powiesz nam, co ustaliłaś. Dobrze by było się też z kimś od tatuaży porozumieć. U nas nikt dziarami się nie interesuje specjalnie. Ale może w Poznaniu mają kogoś. No wiesz, żeby nam pomogli ustalić, co to za symbole i kto takie coś robi. Bo może dzięki temu dokądś dojdziemy. To co, zadzwoń może do Poznania...

– Musimy pogadać. Jutro rano nie będę mogła...

– Nie, a rozumiem, sobota. Miałaś mieć wolne?

Pokręciła głową.

– Musimy pogadać – powtórzyła, a do Biernata dotarło, że ma mu coś ważnego do powiedzenia.

– Dobra, to w takim razie chodź do mnie. A wy – popatrzyl na Wtorka i Turka – wy bierzcie się do roboty.

– A ja jestem jeszcze potrzebny? – Domagała podniósł się z krzesła. – Bobym musiał do Rokietnicy już jechać. Tam moje chłopaki czekają na wytyczne.

– Jasne, panie aspirancie. Niech pan jedzie – zgodził się Biernat. – A przesłuchanie kolejne na kiedy ustaliliście?

– Jutro o dziewiątej zaczynamy.

Nadkomisarz popatrzyl na Anetę. Ta skinęła szybko głową i spuściła wzrok. On to natychmiast zauważył. Coś było nie tak.

– No, to po przesłuchaniu będzie pan tak uprzejmy i wpadnie do mnie, żeby się podzielić wrażeniami. A ty, Anetka, chodź teraz do mnie, powiesz, co ci leży na wątrobie.

Przeszli na drugą stronę korytarza. Tam Biernat miał swój mikroskopijny gabinet, gdzie ledwie mieściły się szafa, biurko i malutki stolik, do którego udało się jeszcze przytulić cztery krzesła. Nie przepadał za tym pokojem i większość czasu spędzał w swoim dawnym biurze, w którym urzędowali teraz jego ludzie. Tam czuł się jak u siebie. Tutaj jakby siedział na cudzym miejscu.

Wszedł pierwszy i zaraz opadł na fotel za biurkiem, którego blat naznaczony był wieloletnią działalnością urzędniczą wielu milicjantów i później policjantów. Aneta tymczasem usiadła na pierwszym z brzegu krzesle, tak jakby przygotowywała się do pośpiesznej ewakuacji.

– No dalej, wyrzuć to z siebie, bo zaraz zemdlejesz z wrażenia.

– E, nie... – Zastanawiała się, jak zacząć, kreśląc swoim zwyczajem palcem na blacie stołu niewidzialne koła. Zawsze tak robiła, gdy temat, który chciała poruszyć, był dla niej niewygodny. Biernat uśmiechnął się pod nosem. Znał ją doskonale i wiedział, co się dzieje. – Dzwonił do mnie Blacha – wyrzuciła w końcu z siebie.

– O, a co u niego?

– Właśnie dzwonił, bo... No powiedział mi, że... – Podniosła wzrok i spojrzała w oczy Biernatowi jak mała dziewczynka, która boi się wyznać prawdę o tym, że przed chwilą podarła się jej ilustracja w książce.

– Że jesteś mu potrzebna w Poznaniu – domyślił się.

– Został właśnie szefem wydziału w komendzie miejskiej.

– I chce cię u siebie?

Pokiwała głową.

– Wcale mu się nie dziwię. W końcu kto by cię nie chciał?

– Myśmy pracowali razem, no wiesz...

– Wiem, co mam nie wiedzieć. I nawet to rozumiem.

– Rozumiesz...

– A co ja nie widzę, że się tu dusisz? Dziewczyno, Szamotuły to piękne miasteczko, ale miasteczko, nie miasto. Ono jest dobre dla takich starych pierdzieli jak ja czy Turek. My stąd już nigdzie się nie wyrwiemy, bo i nawet nie mamy na to najmniejszej ochoty. Wiadomo, że starych drzew się nie przesadza. Ale co innego z młodymi, które jeszcze nie zapuściły korzeni. Wiedziałem, że prędzej czy później stąd odfruniesz. Bo ty, Anetka, jesteś za dobra na nasze zadupie. Tam wreszcie rozwiniesz skrzydła. A my tu powolutku będziemy robić swoje.

– Dziękuję. Kochany jesteś.

– Taki już los starego pierdziela, że może być tylko na starość „kochany”.

– Nie mów tak. Nie jesteś starym pierdzielem.

– Dobra, dobra, Anetka. – Machnął ręką zniecierpliwiony. – Nie ma o czym gadać. Błaszowski cię potrzebuje, to jedź do Poznania omówić wszystko. A ja tu dopilnuję naszych spraw.

– Dziękuję. A jak już tam będę, to pogadam z moim znajomym. Jest tam taki Przemek Drążkowski, który zna się na tatuażach. Może coś mi wyjaśni.

Biernat zdjął z nosa okulary, odłożył je na biurko, sięgnął po chusteczkę i przetarł nią oczy.

– Coś dziś, cholera, mocno pyli – powiedział, spoglądając w okno.

Nic nie pyliło. Od rana padał deszcz.

Poznań

Godzina 11.25

Czasami trzeba mieć trochę szczęścia w życiu, pomyślał Przemek Drążkowski, spoglądając na leżącą na podłodze dziewczynę, której odebrał rewolwer, a potem spiął jej ręce plastikową trytką. Oceniał, że jest nawet ładna, a i cycki ma niczego sobie... Ale po tym stwierdzeniu od razu stanęły mu przed oczyma piersi Alex, które były najpiękniejsze na świecie, i te należące do niedoszłej zabójczynie przestały go interesować.

– Gdyby to był prawdziwy gnat z prawdziwymi kulami, już bym nie żył – stwierdził, przyglądając się pięknemu, sześciostrażłowemu rewolwerowi Major Eagle. Na szczęście dla niego był to rewolwer hukowy, którym mocno go nastraszyła. Gdyby trzymała w rękach prawdziwą broń, nie miałby najmniejszych szans. Z takiej odległości któraś z kul musiałaby go trafić. Ale widać dziś miał swój szczęśliwy dzień.

– I bardzo dobrze by było – stwierdził chłopak w bokserkach.

– Zamknij się, gnoju – warknął i na wszelki wypadek kopnął go w bok. Bez złości. Ot tak, zwyczajnie, żeby sobie gówniarz nie pozwalał na zbyt wiele. Potem podszedł do dziewczyny, uklęknął tuż przy niej i odwrócił twarzą do siebie.

– Słuchaj, Nikola, żeby nie było nieporozumień. Ja od ciebie nic nie chcę. Tylko interesuje mnie twoja koleżanka z pokoju. Gdzie ona jest? Gdzie jest Marianna?

– W dupie – odparła dziewczyna. Miała ładną twarz, obsypaną drobnymi piegami na nosie i policzkach, a do tego idealnie równe, białe zęby. Nie wyglądała na zniszczoną życiem narkomankę. Pewne było jednak, że była pod wpływem jakichś prochów. Źrenice jej

brązowych oczu były nienaturalnie powiększone, a usta spierzchnięte. – Chcesz mnie bzyknąć? – zapytała, uśmiechając się zalotnie.

– Chcę się dowiedzieć, gdzie jest Marianna.

– Marianna nie jest taka dobra w łóżku jak ja. Chodź do pokoju, zrobię ci lodzika.

– Gdzie jest Marianna?

– W dupie ją mam. Ta dziwka się wyprowadziła.

– Dokąd?

– Chodź do łóżka. Wyruchaj mnie. Tak mi się chce bardzo, że aż mnie swędzi.

– Ostatni raz pytam, gdzie jest twoja współlokatorka?

– W piździe. Ty gnoju, odwal się ode mnie. Co, palisz się na mnie, świnió? Myślisz, że bym ci dała dupy? Nic z tego. Za stary jesteś dla mnie. Stary, zwiędły fiut!

– Co ona brała? – zapytał diler, który leżał na podłodze, tak jak mu nakazał.

– Nie wiem, chuj mnie to obchodzi. Pewnie jakiegoś mózgojeba, bo inaczej by tak nie świrowała.

– Chcesz mnie przelecieć? – wróciła do poprzedniego wątku. – Chodź do mojego pokoju... Wszystkim wam mogę obciągnąć za pięć dych. Potrzebuję pięć dyszek. Dokąd idziesz? Zabierz mnie ze sobą, please...

Przemek ruszył w kierunku otwartych drzwi, zza których wyszła przed chwilą dziewczyna. Nie spodziewał się niczego specjalnego, ale jeśli już udało mu się tu dostać, to musiał się rozejrzeć.

– Ty, chodź tu ze mną. – Wskazał na gospodarza.

– Gdzie mam iść?

– Ze mną do pokoju. Żeby nie było, że policja coś ukradła. Muszę mieć świadka.

– Jaka, kurwa, policja?

– Ja jestem policja. Rozumiesz?

– Policja? Ja pierdolę. Odkąd to policja napada spokojnych ludzi w ich mieszkaniu? Zaraz złożę skargę...

– Zamknij się i chodź ze mną. A jak jeszcze coś powiesz niepotrzebnie, to dostaniesz w ryj. Rozumiesz? Jak ci właściwie na imię?

– Mi... Oliwier.

– No ładnie. To słuchaj, Oliwier, nic nie mówisz niepytany. Tylko odpowiadasz na moje pytania. Jasne?

Chłopak pokiwał głową.

– To teraz wstawaj i chodź ze mną. A wy tu leżcie sobie spokojnie.

Oliwier wszedł pierwszy i usiadł na rozgrzewanym łóżku, po drodze sięgając po paczkę lm-ów leżącą na podłodze. Zapalił papierosa i wydmuchał kłąb dymu w kierunku stojącego w drzwiach policjanta. Ten nie zwrócił najmniejszej uwagi na ten niemy protest. Za to bardzo uważnie zaczął lustrować pomieszczenie. Na prawo i lewo od drzwi stały tapicerowane łóżka ze skrzyniami na pościel pod spodem. Prócz tego biurko pod oknem, na wprost szafa ubraniowa i regał na książki bez książek, który dopełniał reszty. Meble dość mocno zużyte, zapewne pamiętające jeszcze czasy taśm VHS i gummy do zucia turbo.

W sumie standard akademikowy lat dziewięćdziesiątych, wzbogacony o miniwieżę na parapecie i laptop na biurku. Na podłodze, przykrytej szaroburym dywanikiem, zalegały porozrzucane sterty ubrań.

– To jest łóżko Marianny? – zapytał Drązkowski, wskazując na to po prawej, pozbawione pościeli.

– Nigdy z nią nie spałem – odpowiedział Oliwier.

– Nie pytam cię, czy spałeś, czy nie, tylko czy to jest jej wyrko?

– No chyba jest. Znaczy się było. Bo ona się wyniosła i powiedziała, że ma dość życia w tym jebanym mieście.

– Więc jednak coś pamiętasz na jej temat.

– Nikola by wiedziała więcej, ale się pan z nią nie dogada na razie. Trzeba by ją było na jakiś detoks wziąć, bo ćpa już drugi tydzień. Nic nie je, tylko ćpa. Za chwilę wyciągnie kopyta.

– Auuu! Weźcie mnie stąd. Ja chcę do łóżka. Zimno mi! – usłyszeli jęki z korytarza.

– To się da załatwić. Teraz mów, co wiesz na temat Marianny.

Chłopak wzruszył ramionami, a potem poprawił długą grzywkę, opadającą mu na czoło.

– Mieszka tu od zeszłego roku. Znaczy od zeszłego roku akademickiego. Wtedy się sprowadziła, tak samo jak ta Nikola. – Wskazał głową na korytarz.

– A co studiuje Marianna?

– Mówiła, że psychologię. Ale ona w ogóle już nie jest na studiach. Skreślili ją. Ostatnio chodziła tylko do roboty. Bo ona pracowała na Półwiejskiej w pijalni wódek... Niech się tam pan o nią spyta. Oni najlepiej będą wiedzieć.

– Już się spytałem – stwierdził Przemek cierpkim tonem. Zrobiło mu się głupio przed samym sobą. Dziewczyna pracowała u niego półtora roku, a on nawet nie wiedział, co studiuje. Prawda, że knajpą zajmowała się Alex. On całkowicie odpuścił sprawy związane z prowadzeniem lokalu i wszystkim, co niezbędne do jego funkcjonowania. Sprawami kadrowymi też nie był zainteresowany i jak się właśnie okazało, to był błąd. Bo to właśnie on jako policjant z dużym doświadczeniem powinien sprawdzać kandydatki na pracownice. Może gdyby się przyjrzał jej uważniej, udałoby się zapobiec tej kradzieży i... no właśnie: kradzieży i zniknięciu dziewczyny. Bo w całej tej sprawie wszystko zaczynało wyglądać coraz dziwniej. Dopiero w tej chwili zrozumiał, że może to coś poważniejszego niż tylko obrobienie skrzynki z pieniędzmi w jego knajpie. Może ta dziewczyna wpadła w jakieś poważne kłopoty i dlatego postanowiła zniknąć. A w tle tych kłopotów mogły pojawić się narkotyki... Być może potrzebowała pomocy.

– No to niech oni panu powiedzą, że była dziwna. Czasem nie było z nią kontaktu przez dwa dni. Wcale do nikogo się nie odzywała. Może miała coś z garem. Niech pan się zapyta tej Nikoli, jak już zacznie kontaktować.

– A ona to co? Też nie studiuje?

– Nie wiem. Ostatnio siedzi cały czas w chacie i tylko grzeje. Miała kasę jeszcze do wczoraj, ale dziś jej się chyba skończyła. Ja zresztą nie wiem.

– Czy ona, znaczy się Nikola, czy ona się... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – prostytuuje?

– Czy się puszcza za kasę? – Chłopak pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Nie, za kasę to nic nie wiem. Ona jest trochę zgrywuska, może dlatego gadała o tym obciążaniu za pięć dych. Ale za kasę to raczej dupy nie dawała. Tylko tak zwyczajnie, po koleżeńsku, jak miała ochotę, to się z kimś bzyknęła. Ale ze mną to już dawno nie. Ostatni raz to będzie w zeszłym tygodniu. Wie pan, każdy ma swoje potrzeby. Bo ona chłopaka na stałe to nie miała raczej już dawno.

– A Marianna?

– Ona była raczej świętojebliwa. Modliła się codziennie, ale piła i jarała jak każdy. I przyćpała też od czasu do czasu. Ale dupy nie dawała.

– To dokąd się mogła wynieść? Pojechała do rodziców? Bo ona chyba z Wroniek pochodziła? – Drązkowski przypomniał sobie, że kiedyś mówiła o świętach we Wronkach i że z mieszkania jej starych widać więzienie.

– Nie, do starych raczej nie jechała, boby ją zajebali za te studia.

– Za co?

– No za to, że ją skreślili. To pan nie wie, jak jest? Ona się bała starym o tym powiedzieć, że ją wypieprzyli. I dlatego chciała zarobić kasę i się reaktywować. Ale tak gadała w listopadzie, jak ją skreślili. A potem to już nic nie gadała, tylko się modliła. Pojechała ją.

Naraz w drzwiach pokoju stanęła Nikola. Ręce miała cały czas spięte z tyłu, ale mimo to udało się jej jakoś wstać. Spojrzała zdziwiona na dwóch mężczyzn siedzących w jej pokoju.

– Co wy tu robicie?

– No nic... siedzimy, nie widzisz? – odpowiedział Oliwier.

– Coś mi się stało, Oli. Nie mogę ruszać rękami. Boli mnie z tyłu. Tak jakbym miała związane. Oli, pomóż mi...

Z oczu zaczęły jej płynąć łzy. Wyglądała jak mała, przerażona dziewczynka, która nie ma pojęcia, co dzieje się wokół. Przemek natychmiast zrozumiał, że w tej chwili raczej nie stanowi dla nikogo zagrożenia. Podeszedł do niej, odwrócił, złapał plastikową obejmę i szybko przeciął ją szczyrykiem. Chwycił jej nadgarstki i zaczął lekko masować.

– Daj jej jakąś bluzę albo koszulę – zakomenderował. Oliwier podeszedł do szafy. Wydobył z niej różową kangurkę i włożył dziewczynie przez głowę. Ta była zupełnie obojętna i dawała sobą kierować, jakby była z gumy. Ubrana położyli do łóżka i przykryli kocem. Zwinęła się w kłębek i zamknęła oczy, mruczając przy tym jak zadowolona kotka.

– Oli, kocham cię – powiedziała.

– Też cię kocham, myszko. – Oliwier nachylił się i pocałował ją w czoło.

Coś tu było najwyraźniej nie tak z wzajemnymi stosunkami, pomyślał Przemek, przyglądając się tej rozczulającej scenie. Naraz jego uwagę przykuło coś, co znajdowało się za zagłówkiem łóżka należącego do jego byłej kelnerki. Podeszedł tam i spojrzał w dół. Między ścianą a płytą zagłówka stała reklamówka wypełniona jakimiś papierami. Sięgnął po nią i zaczął w niej grzebać. Na pierwszy rzut oka nic nadzwyczajnego. Kartki, może notatki i kilka czasopism. Wyciągnął je ze środka i zaczął rozkładać na biurku.

– To jakieś szpargały Marianny – stwierdził Oliwier. – Ona się interesowała tym ezoterycznym gównem i w ogóle takimi pojebanymi teoriami.

– „Gwiazdy Prawdy”, „Odkrywcy Przyszłości”, „Naga Prawda”... To rzeczywiście jakiś chłam. – Przemek zgodził się z chłopakiem. – Obie się tym interesowały?

Oliwier pokręcił głową.

– Tylko Marianna. Nikola się interesuje tylko imprezowaniem i niczym innym.

Już chciał wrzucić tę stertę gazetowego badziewia z powrotem do reklamówki, gdy naraz między kolorowymi papierami dostrzegł jakieś białe kartki. Pomyślał, że to notatki z uczelni, ale na wszelki wypadek, niemal odruchowo, wydobyl je na wierzch. I wtedy poczuł, że włosy na karku podnoszą mu się jak zrywający się z krzesel policjanci, gdy do pokoju wejdzie niespodziewanie generał.

– Co to, kurwa, jest? – powiedział sam do siebie.

– A to ten obciachowy tatuaż – wyjaśnił Oliwier, spoglądając na kartkę zza pleców Przemka. Na białym tle ktoś nieporadnie wyrysował krzyż, zza którego wychodziły promieniście kreski. Nawet jeśli było to przypadkowe podobieństwo do tatuażu, który znał już doskonale, to napis pod spodem rozwiewał wszystkie wątpliwości.

– „Lumen verum” to znaczy się światło prawdy – wyjaśnił chłopak. Zrobiła sobie taką dziarę w zeszłym miesiącu. I na takie gówno wydała pięć stów. Co za idiotka. Masakra.

Poznań

Godzina 11.30

Telefon zapiszczał dwukrotnie. Adam Włodarczyk przysunął go ku sobie. Od rana czekał na tego SMS-a i z każdą chwilą, która przybliżała go do godziny spotkania, był coraz bardziej zdenerwowany. Miał się zobaczyć z jakimś prawnikiem i wyjaśnić wszelkie kwestie techniczne. To znaczy, że oni traktowali go już jako swojego człowieka, który wykona każde ich polecenie. Niedoczekanie. Nie wiedzą tylko, gnoje, że on wcale się nie poddał i zamierza teraz przejść do kontrataku. Zdziwią się, gdy będą gliniarz Mazurek dobierze im się do dupy. Spojrzał na wyświetlacz. Wiadomość wysłano z nieznanego numeru.

12.00 bar Avanti Stary Rynek.

Szybko ją skopiował i przesłał Mazurkowi. Ten odpowiedział niemal natychmiast.

Jestem w pobliżu. Nie martw się pan. Mazurek-Spy jak zawsze na miejscu. Będę informował w razie czego. Daj pan znać, jak gość będzie wychodził z knajpy.

Włożył telefon do kieszeni marynarki i wyszedł z pokoju.

– Pani Andżeliko, jakby co, to wyszedłem na jakąś godzinkę w pilnych sprawach – poinformował sekretarkę.

– Jasne, panie dyrektorze. A jakby co, to jest pan pod telefonem czy poza zasięgiem?

– Łączymy tylko rozmowy z prezydentem. – Uśmiechnął się znacząco.

– Z prezydentem Dudą oczywiście – zażartowała.

– Z Dudą? Czyżbyśmy mieli w Poznaniu jakiegoś nowego prezydenta? – odpowiedział w podobnie żartobliwym tonie i wyszedł z sekretariatu na przestronny, sklepiony korytarz urzędu. Pięć minut później był już na Starym Rynku. W barze nie było zbyt wielkiego ruchu. Wysokie stoliki, do których dostawiono równie wysokie, na stałe osadzone w podłodze

taborety, sugerowały klientom, że nie mają się rozsiadać. To bar, w którym nikt nie delektował się wykwintnym jedzeniem. Tu pochłaniało się porcję spaghetti bolognese albo lasagne, popijało colą i leciało dalej. Ludzie jedli w pośpiechu, przełykając makaron i nieszczerólnie zastanawiając się nad smakiem sosu bolońskiego, który był tu taki sam od zawsze.

Rozejrzał się po sali. Nie zauważył nikogo, kto przypominałby prawnika. Sami młodzi ludzie i starsze osoby. Żadnego zadowolonego z siebie pracownika kancelarii w ciemnym garniturze, pod krawatem i z teczką ze skóry w dłoni. Obrzuciwszy ludzi uważnym spojrzeniem, stwierdził, że nie ma co stać tak na środku. Postanowił usiąść. Akurat w tym momencie jedyny niski stolik w knajpie, stojący pod oknem podłużny, czteroosobowy stół, się zwolnił. Babcia posprzątała niedojedzone resztki po dwójce wnucząt. Zgarnęła wszystko na tacę i zaniósła do pojemnika na odpadki. Dzieci w tym czasie wstały i ruszyły ku drzwiom. Od razu skorzystał z okazji. Ten stolik miał swoje zalety. Można stąd było obserwować, co dzieje się na chodniku przed knajpą, czyli kontrolować, kto wchodzi i wychodzi, no i poza tym raczej było mało prawdopodobne, by ktoś się do niego przysiadł. O ile te wysokie stoły traktowane były przez wszystkich jak miejsca w tramwaju, czyli zajmowało się to, które było wolne, to ten niski dawał jakieś wrażenie luksusu i intymności. Usiadł, wpatrując się w widok za oknem.

– Lubi pan spaghetti bolognese? – Z zamyślenia wyrwał go czyjś głos. Odwrócił się za siebie. Przy stoliku stał długowłosy facet ubrany w postrzępione džinsy i amerykańską wojskową kurtkę khaki. W rękach trzymał czerwoną tacę zastawioną jedzeniem.

– Tu jest zajęte – rzucił Adam niezbyt przyjaznym tonem.

– Wszystkie cztery? – zdziwił się hipis.

– Zajęte, powiedziałem.

– Ale chyba dla mnie. Kupiłem dla pana bolognese, bo nie wiedziałem, który makaron pan lubi, a ten to tutaj podstawa wyżywienia.

– Panie, daj pan sobie spokój. Nie mam czasu na pogaduchy. Stolik jest zajęty, a ja czekam na kogoś, z kim jestem umówiony.

– Ze mną jest pan umówiony, panie dyrektorze.

Długowłosy postawił tacę na stole.

– W zestawie jest jeszcze cola i to coś z jajkiem. To się nazywa tu przekąska z jajkiem. Kiedyś się nazywała antipasti, ale już dawno o tym zapomnieli.

Adam patrzył na niego w zdumieniu. Facet wyglądał, jakby właśnie wyrwał się z anarchistycznego squatu. W swoim wyglądzie nie miał absolutnie niczego, co by mogło sugerować, że jest prawnikiem. No może poza jedną cechą. Gadał jak prawdziwa papuga.

– To pan jest...

– Tak, pełnomocnikiem mojego klienta, który polecił mi się z panem spotkać. Nie musimy tracić czasu na zbędne wstępy, bo o ile wiem, już pan zapoznał się z meritum sprawy.

– Poniekąd.

– Ale niechże pan je, bo makaron stygnie. Z interesami jeszcze zdążymy. Jedzenie w tej chwili jest najważniejsze. Zimne do niczego się nie nadaje.

Adam chwycił plastikowy widelec i nawinął sobie nieco makaronu. Dawno tu nie zaglądał. A kiedyś bywał regularnie. Podczas studiów często tu jadał, bo było tanio i w miarę smacznie. Za niewielkie pieniądze można było napełnić żołądek i zapomnieć o głodzie na ładnych kilka godzin.

– Lubię tu przychodzić – stwierdził adwokat. – Ilekroć jestem w Poznaniu, to zawsze tu wpadam. Wie pan, taki sentyment jeszcze z czasów studenckich. Wtedy spaghetti z Avanti nie raz ratowało życie.

– Też tu przychodziłem w czasie studiów.

– No proszę. Całe pokolenia studentów wychowały się na makaronie ze Starego Rynku.

– Może wreszcie mi pan powie, co pan dla mnie ma. Ja wyszedłem tylko na chwilę z pracy. Rozumie pan, zaraz będę musiał wracać...

– Interesów nie robi się przy pustym żołądku – stwierdził prawnik, wpychając sobie pokąźną porcję do ust i popijając obficie colą. – Niech pan to zapamięta. Pusty żołądek sprawia, że człowiek zapomina o szczegółach i łatwo się rozprasza. – A pan nie je? Nie smakuje panu?

– Przejdźmy do rzeczy. – Adam odsunął od siebie niedojedzoną porcję.

– Jak pan nie je, to trudno. Ja nie mam w zwyczaju marnować jedzenia. Zwłaszcza jeśli za nie zapłaciłem.

Przysunął do siebie plastikowe, jednorazowe korytko z makaronem. Po chwili pojemnik był pusty. Hipis dopił napój do końca, potem beknął i wreszcie uśmiechnął się zadowolony. Włodarczyk poczuł, że robi mu się niedobrze. Gdyby to był jakiś jego partner biznesowy, wstałby i wyszedł z knajpy. Ale nie mógł nic zrobić. Musiał czekać, aż ten obrzydliwy typ przejdzie do sprawy, nawet jeśli miał tu jeszcze przy tym stole pierdnąć albo zwrócić zjedzony przed chwilą makaron.

– No dobrze. To w takim razie możemy przejść do interesów. – Wytarł sobie usta serwetką, zostawiając na niej czerwone plamy od sosu. Zmiętą rzucił na tacę, odsunął ją na bok, a na blat stołu położył torbę przypominającą marynarski worek. Rozsupłał go, zajrzał do środka i po chwili wydobył opasłą teczkę. Podał ją Adamowi.

– Co w niej jest?

– Kserokopie wszystkich dokumentów niezbędnych w procesie odzyskiwania Sołtysówki wraz z całą przynależną do niej działką. Dokumenty oryginalne są zdeponowane w banku i zostaną wydane dopiero na polecenie sądu w trakcie rozprawy. Pismo w sprawie żądania zwrotu nieruchomości powinno wpłynąć na pańskie biurko jutro. Proszę więc o szybkie sporządzenie ekspertyzy prawnej, z której jasno wyniknie, że kamienica nie będzie podlegała zwrotowi. Jednak w ekspertyzie musi być wyraźny błąd prawny. Czyli na przykład nie może podlegać zwrotowi ze względu na dekret Bieruta albo coś takiego. Coś, co łatwo będzie podważyć.

– I na czymś takim chce pan oprzeć całe postępowanie roszczeniowe. Na błędzie formalnym?

– Cóż, każdy orze, jak może, panie dyrektorze. Wewnątrz teczki ma pan zapisane moje namiary, e-mail i numer telefonu. Może pan w ważnych kwestiach dzwonić, kiedy tylko pan będzie miał ochotę. No to cóż. Mam nadzieję, że nasze wspólne interesy będą się układać jak najlepiej. Do zobaczenia.

Wstał i ukloniwszy się lekko, zaraz wyszedł z baru. Włodarczyk natychmiast wydobył z kieszeni telefon, żeby dać znać Mazurkowi.

– Nie trzeba – rzucił uśmiechnięty od ucha do ucha detektyw, mijając go w pośpiechu. Jak się okazało, siedział przez cały czas w knajpie i obserwował ich spotkanie. Adam nawet nie zauważył, kiedy wślizgnął się do środka. Widać był lepszym śledczym, niż można było przypuszczać. Właśnie ruszał tropem długowłosego.

Godzina 12.50

Biały motocykl Suzuki wjechał na betonowy podjazd domu kultury. Budynek pochodził z lat sześćdziesiątych, więc wyglądał jak zestaw dwóch pudełek sklejonych ze sobą i postawionych wśród drzew rosnących wzdłuż ulicy. Niedawno go odnowiono, ale nowe kolory wyglądały niezbyt ciekawie. Odcienie zieleni połączone z połacią burej nijakości świadczyły o niezbyt imponującym wyrafinowaniu artysty albo kiepskim guście inwestora.

Aneta zdjęła kask i zeskoczyła z fotela. Ustawiła maszynę na bocznej łyżce i ze zdumieniem spojrzała w prawo. Tam na wielkiej ścianie był dotąd wizerunek tańczącej pary w strojach szamotulskich. Tak była do niego przyzwyczajona, że w zasadzie nawet go nie zauważała. Był tu zawsze, od czasów, gdy jeszcze w szkole podstawowej tata przywiózł ją po raz pierwszy na próbę zespołu folklorystycznego, którym kierowała charyzmatyczna kierowniczka Janina Foltynowa. Jej Szamotuły to był kiedyś jeden z najważniejszych i najlepszych wokalnno-tanecznych zespołów folklorystycznych w Polsce, a przynależność do niego dla młodych ludzi była prawdziwą nobilitacją. Otwierała drogę do dorosłych karier scenicznych, bo pozwalała poznać podstawy sztuki estradowej, w której koordynacja ruchowa połączona z występami wokalnymi stanowiły wstęp do świata sztuki.

Ojciec zapisał Anetę po tym, jak zobaczyła występ Szamotulaków na dożynkach w Opalenicy. Z miejsca zapagnęła zostać jedną z tancerek i rodzice nie mieli wyjścia. Na eliminacyjnych przesłuchaniach okazało się, że ma taneczne zdolności, więc przyjęto ją natychmiast. W zespole tańczyła przez całą podstawówkę i później aż do połowy liceum, kiedy to połamano ją na motocyklu. Nogę udało się wyleczyć, pęknięta w trzech miejscach kość piszczelowa się zrosła, ale kilka miesięcy bez prób i występów zrobiło swoje. Na jej miejsce od razu pojawiły się chętne następczynie, bo jak wiadomo show must go on. A ona miała jeszcze przed sobą kilka miesięcy rehabilitacji. Nie wróciła już do Szamotul, bo po maturze poszła do pracy w policji. Często jednak myślała o tamtych dawnych czasach, kiedy to z zapałem oddawała się tanecznej pasji.

Patrzyła teraz na ścianę domu kultury ze zdumieniem. Szamotulska para zniknęła, zamalowana szarą farbą. Artysta stworzył mural w nowoczesnym stylu, kompilację napisów i znaków graficznych, które miały zapewne symbolizować szeroką kulturalną ofertę ośrodka kultury, ale nie oddawały ducha tego miejsca. Może dlatego, że już go tu nie było?, pomyślała, upinając włosy w koński ogon. Normalnie założyłaby swoją policyjną bejsbolówkę, ale przyjechała tu przecież incognito. Musiała wyglądać jak stuprocentowy cywil. Strój motocyklowy nadawał się do tego idealnie.

– Ładna suczka – usłyszała za sobą męski głos. Odwróciła się. Dwa metry od niej stał uśmiechnięty facet, ubrany w dżinsy i czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Na głowie miał

szary kaszkiet, spod którego wychodziły kosmyki jasnych włosów. Twarz miał starannie wygoloną, a niebieskie oczy wpatrywały się wcale nie w nią, ale w jej biały motocykl.

– Stara już jest – rzuciła trochę na odczepnego w obronie swojego cacka. To, że było już wiekowe, nie miało większego znaczenia. Jej tata całą zimę przygotowywał maszynę do tych kilku ciepłych miesięcy, kiedy Anetka wyjedzie na szosę. Kiedyś i ona z zapalonym grzebalem przy tych wszystkich rozbiieranych na czynniki pierwsze częściach, ale ostatnio nie miała już na to tyle czasu, co dawniej.

Mężczyzna nie zraził się obojętną odpowiedzią. Zrobił krok do przodu i pochylił się nieco, spoglądając uważnie na silnik.

– Suzuki GSXR 750 K8. Rocznik... bym powiedział dwa dziesięć.

– Zna się pan na motocyklach – stwierdziła z nutką podziwu w głosie.

– Raczej na tych starszych modelach, znaczy na weteranach. Mam taką wojenną beemkę, którą sam doprowadziłem do stanu używalności.

– Jeździ?

– No, a jak? – Uśmiechnął się zadowolony. – Ale jak mam czas, to zawsze coś przy niej pogrzebię.

– No taka maszyna wymaga czasu i... tej, no, presji... – Specjalnie pasję zastąpiła podobnym, ale błędnym słówkiem. Poczuli, że nie powinna być zbyt inteligentna przy tym gościu. – Przepraszam, ale muszę już iść... – Wskazała ruchem głowy wejście do domu kultury.

– A ja też tam akurat idę. Prowadzi tu pani jakieś zajęcia?

Wzruszyła ramionami.

– To raczej ze mną będą prowadzić. Mam się tu coś nauczyć.

Wyciągnął rękę, przepuszczając ją przodem. Weszli do obszernego holu. Aneta przystanęła na chwilę, rozglądając się ze zdziwieniem. Miejsce zmieniło się całkowicie od czasu, gdy była tu po raz ostatni. Zniknęły gablotki z dziecięcymi pracami plastycznymi, a zastąpiła je sterylna jasność odmalowanych ścian bez ozdób. Pomyślała, że ten przedsiwzięty idealnie nadawałby się na poczekalnię kostnicy. Nie miał bowiem w sobie niczego, co zachęcałoby do odwiedzin.

– To dokąd pani idzie? – zapytał ją miłośnik starych motocykli.

– Mam tu spotkanie na trzynastą, ale muszę sprawdzić jeszcze. – Wyciągnęła z kieszeni telefon i szybko weszła w skrzynkę odbiorczą. SMS-a dostała dziś rano.

Zapraszamy na spotkanie z Przewodnikiem Nathanem. Dziś o 13 w SZOK Szamotoły w sprawie przyjęcia do nowej grupy dyskusyjnej. Proszę zabrać dowód osobisty w kwestii dopełnienia formalności.

– Cholera, nie napisali, w jakim pokoju mam być.

– A z kim to spotkanie?

– Z jakimś, hi, hi, Nathanem.

– No to już wszystko jasne. – Mężczyzna zdjął kaszkiet i otarł wierzchem dłoni czoło. Nie wyglądał na spoconego. Raczej zrobił to odruchowo, jakby właśnie wszedł do środka

z deszczu. Nie padało już co najmniej od godziny. Czyli pod tym uśmiechem kryła się lekka niepewność.

– Zna go pan?

– Tak jakby. Zapraszam tu na lewo, pani Aneto. – Wskazał korytarz, który kiedyś prowadził do sal plastycznych. Teraz mieściły się tam jakieś biura, o czym świadczyły liczne tabliczki z nazwami instytucji, nadrukowanymi na przezroczystym plastiku. – Kiedyś były tu pracownie dla dzieci – wyjaśnił, jak przewodnik oprowadzający wycieczkę po starym zamku. – Ale dyrekcja doszła do wniosku, że skoro chętnych do uczestnictwa jest coraz mniej, to trzeba coś zrobić z pustymi pomieszczeniami i przerobiono je na biura do wynajęcia. No i w ten sposób my mogliśmy wydzierżawić tu swoje pomieszczenia.

– My?

– No my, czyli badacze struktury świata albo inaczej ci, których się tak łatwo nie da oszukać.

Przystanął przy drzwiach, nacisnął klamkę i znów zrobił ten zapraszający gest ręką. Weszła do środka, do niewielkiej poczekalni, takiej jak w ośrodku zdrowia, gdzie pod ścianami stoją plastikowe krzesła, a nad nimi wiszą kolorowe plakaty w antyramach. Te tutaj mówiły o zagrożeniach, z jakimi spotyka się współczesny człowiek. Plakat na wprost wejścia przedstawiał szklaną strzykawkę, płaczące przerażone dziecko, a napis rozwiewał wszelkie wątpliwości tych, którzy przed wejściem tutaj mogli jeszcze je mieć: „Szczepionki to największe oszustwo w historii ludzkości. Wywołują autyzm i choroby psychiczne”.

– Pani pozwoli tu, na lewo. – Wskazał otwarte szeroko drzwi.

– To znaczy się, że pan jest ten Nathan? – zapytała, choć już dawno się domyśliła, z kim ma do czynienia. Zaczęła szybko analizować, czy aby nie wydała się za mądra przy pierwszym kontakcie i w ten sposób nie pozbawiła się szansy na dotarcie do grupy. A przecież był to, jak na razie, jedyny sposób, by odpowiedzieć na pytanie, o co chodzi z tymi Waszutami. Czy żyją, czy może ktoś się pod nich podszywa. Teraz musiała zdobyć zaufanie tego blondyna.

– Proszę, niech pani siada. – Wskazał jej skórzaną sofę. Sam usiadł obok, na fotelu. – Naprawdę mam na imię Mirek. Ale Nathan bardziej pasuje do tego, co robię.

– A co pan robi?

– He, he, he! Jak to, nie wie pani?

– No chyba nie do końca wiem.

– Otwieram oczy niedowiarkom.

– Tym miśkiem? – Nie wytrzymała. Musiała to powiedzieć, usłyszawszy kwestię z kultowego filmu. Ale on nie załapał, o co chodzi. Jednak nie był tak bystry, jak sam się sobie wydawał.

– Jakim miśkiem?

– Nie, no tak mi się skojarzyło.

– Co to za skojarzenie?

– A, nic. – Machnęła dłonią. – W aucie mam taką maskotkę misia i mi się skojarzyło, bo ma takie wielkie oczy, znaczy szeroko otwarte. Tak mi się nieraz kojarzy. Albo oczy szeroko zamknięte, jak w tej piosence...

Nathan uśmiechnął się, kiwając głową. Zrozumiał, że ma do czynienia z idiotką. A ona domyśliła się, że kupił jej wersję. Czyli zrobiła to, co powinna, dała mu możliwość łatwego przekonania jej do jego racji. Nie musiał się więc specjalnie wysilać.

– A tak w ogóle to ta doktorka mi powiedziała, że pan ma jakąś grupę i że ją pan zamyka, i że mam szczęście, bo jak chcę, to mogę dołączyć. Bo ja bynajmniej uważam, że żyjemy w takich czasach, że ciągle nam coś gadają i człowiek musi się niezłe nagłówkować, jak te oszustwa odsiać od plew.

– O to właśnie chodzi. Dlatego na naszej stronie Naga Prawda ujawniamy te wszystkie świństwa, które nam robią ci, co rządzą.

– Kaczyński – rzuciła szybko, jakby chciała się pochwalić swoją polityczną wiedzą.

– Tak jest, Kaczyński, ale nie tylko on. To także Tusk.

– Jak? – Zrobiła zdziwioną minę. – Przecież Tusk i Kaczyński się nie lubią.

– Mogą się nie lubić, ale w tej kwestii działają razem. Oni dwaj, Merkel, Putin i Trump to wszystko jeden wielki spisek polityków, którzy chcą rządzić światem. Chodzi im o to, żeby ciemny lud wszystko kupił, co oni mu wmawiają. I dlatego trzeba z nimi walczyć.

– Jak walczyć, he, he? Mamy do nich strzelać?

Nathan zrobił zatroskaną minę.

– Najlepiej by było ich wszystkich wystrzelać. Ale tak się nie da. Więc na razie trzeba walczyć najskuteczniej, jak się da. Bronią, której nie potrafią pokonać.

– Bombą atomową? – zdziwiła się idiotka, którą odgrywała Aneta.

– Nie, skąd! – Gwałtownie pokręcił głową. – Żadnej przemocy. Broń, której się boją najbardziej, to prawda. Dlatego tworzymy właśnie nasze grupy ludzi, którzy są zdeterminowani, żeby walczyć z tym politycznym układem, który chce doprowadzić do zniewolenia wszystkich.

– Jak chcą ich, znaczy nas, zniewolić?

– No poprzez kłamstwa. Okłamują nas ciągle. Nie mówią nam nic o promieniowaniu kosmicznym zabijającym więcej ludzi rocznie niż wszystkie choroby razem wzięte. Ludzie kładą się spać i już nie wstają rano, bo są tak napromieniowani...

– Słyszałam o tym.

– No właśnie, ale to jeszcze nie koniec. Rozpylanie trujących areozoli przez samoloty największych linii lotniczych. Widzi pani codziennie nad głową te smugi. To przecież trucizny, które rozpylają, żeby ludzie chorowali jak najwięcej i jak najwięcej kupowali lekarstw.

– Ja już nie wychodzę z domu, jak widzę takie paskudztwo na niebie. Siedzę i czekam, aż przeleci i się rozejdzie w powietrzu.

– I bardzo słusznie – pochwalił ją. – Trzeba być ostrożnym. Ale to jest to, z czym walczymy na co dzień. A teraz jeszcze szykują największe oszustwo na świecie. Mówią nam, że jakiś koronawirus nas chce zaatakować. A to nieprawda. Chodzi tylko o kasę.

– Jak to, nie ma tego wirusa?

– Ściema, tylko po to, żebyśmy kupowali lekarstwa. To jest taka sama choroba jak grypa. Ciągłe się zarażamy i jakoś żyjemy. Chociaż co roku na grypę umierają dziesiątki tysięcy

ludzi. I tu jest tak samo. Chcą nam wmówić, że to jest jakieś szczególne niebezpieczeństwo, a to całkowita bzdura.

– Czyli że nie trzeba się tego bać?

– Absolutnie nie trzeba. Trzeba mieć to w nosie i mówić o tym otwarcie. Bo nic nam nie zagraża. I wie pani, po co to wszystko? Po to, żeby przestraszyć ludzi fałszywą epidemią, a później co zrobić?

– Sprzedać lekarstwo?

– Brawo, jest pani bardzo bystra.

Uśmiechnęła się, zadowolona z pochwały.

– Za kilka miesięcy, jak już się to szaleństwo rozkręci na cały świat, wtedy Amerykanie wynajdą szczepionki i będą je rozprowadzać na całym świecie, no i zarabiać miliardy. Dlatego musimy o tym głośno mówić, żeby jak najmniej ludzi dało się zrobić w konia.

– Jak mamy o tym mówić?

– Właśnie dlatego tworzymy grupy wojowników prawdy. I pani może się w tej grupie doskonale odnaleźć wśród osób, które myślą podobnie. Jak to robić, dowie się pani już jutro. Jutro zaczynamy szkolenie. To sobota, więc ludzie mają wolny czas...

– Ale ja muszę być rano w Poznaniu...

Pochylił się do niej i naraz położył rękę na jej kolanie. Spojrzał jej prosto w oczy, jednocześnie robiąc poważną minę.

– Nic nie jest tak ważne, jak nasza walka o prawdę, droga pani Aneto.

Zmrużył oczy i pokiwał głową. Gdyby była tą głupią gęsią, za którą ją uważał, już powinna przyjąć wszystkie jego argumenty. Musiała więc dalej brnąć w tę rolę.

– O której będzie to szkolenie?

– Wszystkie informacje dostanie pani jeszcze dziś SMS-em. Zaczniemy rano o dziewiątej. A tymczasem witam panią wśród wojowników prawdy.

Rozdział VI

Poznań

Godzina 13.40

Mało brakowało, a nie miałyby szansy tutaj dojechać. I co by wtedy powiedział temu dyrektorkowi z urzędu? Że Mazurek-Spy nie dał rady z prostą kwestią śledzenia jakiegoś długowłosego szmaciarza? Przecież to by zniszczyło jego dobrą reputację zawodową, którą budował przez te wszystkie lata po odejściu z policji. I teraz w jednej chwili mogło wszystko się zawalić i doprowadzić do straty kontraktu i dużych pieniędzy. Wszystko przez kobietę, która nie miała pojęcia o robocie, a za wszelką cenę chciała być przydatna. Owszem, przydawała się w kuchni przy gotowaniu, chociaż nie potrafiła tego robić zbyt dobrze. Mazurek uważał nawet, że gotuje paskudnie, ponieważ jest pozbawiona całkowicie poczucia smaku i wyrafinowania, jakim charakteryzować się powinna porządna kucharka. Kompletnie nie znała się na przyprawach, o proporcjach nie wspominając.

– Ile to jest szklanka, Areczku? Bo tu podają w szklankach zamiast w gramach.

– Co za durnie. Kto dziś pije w szklankach. W kubkach by mogli podawać, a nie w szklankach.

– Ale podają w szklankach. To ile to jest jedna szklanka?

– Ćwiartka.

– Czyli ile?

– Jedna czwarta litra.

– Ale to nie rozchodzi się o litry, tylko o mąkę.

– I co z tego?

– No mąka jest w proszku, głuptasie, i nie da się jej przelać, nie?

– Ale można przesypać. Czyli szklankę masz napełnić do pełna i będziesz miała wtedy ćwierć litra, czyli 250 gramów.

– To nie mogłeś od razu, że to chodziło o gramy?

Od dawna, czyli od pięciu lat, odkąd byli ze sobą, próbował ją edukować, ale Alicja była odporna na wiedzę. Nie szło jej też pranie i prasowanie, więc Mazurek mówił, że spokojnie mogłaby się zapisać do fejsowej grupy Chujowa Pani Domu. Jednak z tym też byłby pewien kłopot, bo nie obsługiwała komputera. Była już po pięćdziesiątce i jakoś nie zdążyła się nauczyć tych wszystkich nowości w telefonie i tablecie. Miała za to kilka zalet, które sprawiały, że Mazurek mógł przeżyć przypalone i przesolone kotlety. Jego Alicja miała wielkie cycki, a w łóżku była demonem seksu. W zasadzie, gdyby to było możliwe, wcale nie wychodziliby z łóżka, bo stale miała ochotę na igraszki. Na szczęście on od czasu do czasu musiał chodzić do pracy. Jako prywatny detektyw zajmował się śledzeniem niewiernych małżonków i w zasadzie niczym innym. Zleceń miał niezbyt dużo. Dwa, a niekiedy trzy w miesiącu. Za każde, niezależnie od wyniku, brał około dwóch tysięcy złotych. Wystarczało to na potrzeby policyjnego emeryta i wdowy erotomanki.

Takiej sprawy, jak ta zlecona mu przez Słomiannego, nie miał jeszcze nigdy. Owszem, ten adwokat, którego znał jeszcze z dawnych policyjnych czasów, dawał mu od czasu do czasu jakieś nietypowe, ekstrapłatne zlecenie, gdzie trzeba było przycisnąć nieuczciwego kontrahenta, łamiąc mu ręce albo nogi w zależności od życzenia klienta. Ale to wszystko były drobiazgi wobec najnowszego zadania, w którym mógł wreszcie pokazać, na co naprawdę go stać. Musiał więc zrobić wszystko, by zleceniodawca był zadowolony, a wszelkie spreparowane przeciw niemu dowody zniknęły. Trzeba było tylko dotrzeć do drugiej strony, czyli do bandziorów, którzy szantażowali dyrektorka. A jedynym sposobem było śledzenie tego gościa, który właśnie wsiadał na miejski rower. Mazurek był przerażony. Jeśli facet mu odjedzie, to on zostanie tu na placu Wolności sam ze zszarganą reputacją.

– Gdzie ty jesteś, do cholery? – warknął do telefonu. Słuchawkę miał wpiętą w ucho, a aparat trzymał w wewnętrznej kieszeni marynarki. Alicja, z którą się połączył, stanowiła jego ubezpieczenie samochodowe. W razie czego miała błyskawicznie podjechać i zabrać go do auta.

– No jak gdzie? No przecież jadę – odpowiedział mu spokojny kobiecy głos. Alicja zawsze dziwiła się jego irytacji.

– Ale gdzie jesteś?

– No niedaleko od placu. Jestem w tej chwili, no... jestem tutaj, na Solnej.

– W którym miejscu?

– Stoję w korku przed aresztem na Młyńskiej jeszcze. Bo blisko rynku nie było miejsca do zaparkowania, to wyjechałam na Solną, a potem zawróciłam i wjechałam w ten korek. A teraz stoję... No tu, gdzie po lewej jest taki ładny nowy budynek, ale nie wiem, co tam jest w tym budynku.

– Kurwa, prokuratura. On mi zaraz spierdoli!

– Nie denerwuj się, Areczku. Twoja lwiczka już jedzie do ciebie. Jak chcesz, zaraz się odprężymy w aucie. Co, chcesz, mój tygrysku?

– O ja pierdolę, on jedzie już, kurwa, po mnie...

– Mrauu! Areczku już skręcam! Jaki ty jesteś groźny. Boję się ciebie, ty mój pogromco...

– Jest hulajnoga. Biorę hulajnogę, lwiczko, znaczy się, Alicja, kurwa, czy możesz przestać, bo zaraz eksploduję, ja pierdolę, kurwa!

– Eksploduj we mnie, mój lwie!

– Jedź w Marcinkowskiego i obserwuj moje położenie w telefonie. Nie rozłączaj się.

– Rozłączyć się z tobą? Nigdy w życiu. Nikt nie potrafi tak...

– Lwiczko, Ala, przestań, bo muszę się skupić. Jak się odpala tę gównianą hulajnogę?

– O, ty pierdolony chuju!

– Alicja, co ty...?

– To nie do ciebie, tygrysku. Jakiś jebaniec wyjechał mi z tej, no, 23 Lutego. Mało mnie nie rozjechał. No i co się drzesz, jebańcu cholerny? Wypierdalaj, pókim dobra, bo jak wyjdę z wozu, to wyjdę z siebie i ci zaraz michę tak wyklepię, że cię rodzona żona nie pozna, cwelu pierdolony. Już, ale mi ciągnę stąd, pókim dobra!

– Alicja, nie krzycz na niego. On miał pierwszeństwo.

– Jak pierwszeństwo? Co ty pierdolisz, tygrysku...

– Alicja, ja nie mam czasu na ksiuty, bo się muszę skupić na robocie. Jak mi facet zniknie, to stracimy tyle kasy...

– Jedź, zaraz będę koło ciebie.

Nie jeździł hulajnogą od dzieciństwa. Na szczęście nie zapomniał, jak się to robi, a opanowanie gazu w tym nowoczesnym urządzeniu nie sprawiło mu większych trudności. Ruszył akurat w chwili, gdy jego obiekt dojeżdżał chodnikiem do budynku Arkadii. Jeszcze chwila i nie byłoby po nim śladu, bo zbliżał się do skrzyżowania z ulicą Ratajczaka. Na szczęście udało mu się pojechać na tyle szybko, by nie stracić z oczu charakterystycznej sylwetki z przewieszoną przez ramię wielką, workowatą torbą. Długowłosa minął Teatr Polski i na wysokości Okrągłaka skręcił w Gwarną.

– Alicja, dojeżdżam do Świętego Marcina – zameldował, gdy rowerzysta skręcił w prawo.

– Widzę cię, mój tygrysku, na lokalizacji. Ja jestem niżej, na Ratajczaka, i za chwilę będę skręcać w prawo, jak zacznie się Alfa.

– Alfa. Już zapomniałem, że to były domy handlowe.

– Domy Towarowe Centrum, kochanie. Tu można było zdobyć wszystko, co nieosiągalne gdzie indziej. Nieraz tu chodziłam na zakupy...

– Słuchaj, on chyba jedzie do dworca kolejowego. Możliwe, że zaparkował na dworcowym parkingu samochod. Więc się pośpiesz.

– Na skrzydłach bym za tobą poleciała, gdybym je miała, jak gąska ze Śląska...

– Przejeżdża na drugą stronę ulicy na pasach przy Zamku. Mam go dość blisko.

– Byleby nie za blisko, Areczku. Blisko może być tylko twoja lwiczka, mrauu. Już bym chciała, żebyśmy byli w naszej jaskini.

– Mijam Akademię Muzyczną.

– Wsiadłabym na ciebie i zaczęłaby się najpiękniejsza muzyka pod słońcem...

– Mówiłem, że jedzie do dworca. Gdzie jesteś?

– Na tobie. Nie czujesz? Ja czuję ciebie doskonale. Och, mój kochany.

– Alicja, gdzie jesteś, do cholery?

– Już pędzę do ciebie. Koło uniwersytetu jestem za minutkę. Mrauu!

Długowłosa zostawił rower na chodnikowym stojaku i ruszył pieszo w głąb ulicy wiodącej do głównego dworca. Mazurek był tuż za nim. Miał dużo szczęścia, bo cała jego akcja mogła zakończyć się fatalnie, gdyby nie operator hulajnóg, który zaczął rozstawiać je w mieście w chwili, gdy tylko zrobiło się ciepło. Hulajnoga uratowała więc jego dzisiejszą akcję.

– No co tak stoisz, tygrysku, wskakuj do środka. Gorąca dziewczyna czeka na ciebie.

Uśmiechnął się na widok swojej kobiety. Była niesamowita. Co prawda gotować nie umiała, ale te jej łóżkowe pomysły sprawiały, że czuł się jak młodzieniec.

Nie zdążył jeszcze zapiąć pasów, kiedy poczuł jej dłoń na swoim kroczu.

– Zwariowałaś? Przecież ja pracuję.

– Ale praca też może być przyjemna, prawda?

– Jedź, bo go zgubimy.

– Który to? – Spojrzała w głąb ulicy.

– Ten z długimi włosami.

– Aha. No dobra. Skoro on jest ważniejszy od moich gorących warg.

– Nie jest ważniejszy, ale dzięki niemu zarobię tyle kasy, że przez pół roku nie będziemy musieli wychodzić z łóżka.

– Ha, ha! Jeśli tak, no to co mam powiedzieć, tygrysku. Mrauu!

Biały opel astra ruszył powoli wzdłuż chodnika. Mniej więcej na wysokości Dworca Letniego długowłose zatrzymał się i zaczął przeszukiwać kieszenie kurtki.

– Szuka kluczyków – zorientował się detektyw. – Zatrzymaj wóz – polecił swojej kobiecie. Ta natychmiast zajechała na wolne miejsce parkingowe. Obserwowany tymczasem znalazł to, czego szukał. Otworzył volkswagena garbusa, wskoczył do środka i zaraz przyłożył do ucha telefon.

– Co teraz? – zapytała Alicja.

– Muszę za nim jechać. A ty idź na zakupy do galerii. Nie możesz jechać ze mną. Za bardzo mnie rozpraszasz. Wiesz przecież.

– Wiem, wiem, tygrysku. Ale jak wrócisz do domku, ja już będę na ciebie czekała w łóżeczku i wiesz, co zrobię wtedy?

– Wiem, zjesz mnie na kolację, hmm.

– Pod warunkiem, że mnie posolisz i popieprzysz.

– Idź już, bo facet zaraz ruszy...

– Przecież jeszcze rozmawia. Pewnie umawia się z jakąś laseczką na małe co nieco.

– Kochanie, idź już, proszę, bo zaraz...

Nie zdążył dokończyć. Sprawna dłoń Alicji błyskawicznie poradziła sobie z rozparkiem jego spodni. Nim się zorientował, jej głowa opadła w dół, a usta pochwytyły go i wciągnęły do środka. Jęknął głośno, ale nie zamknął oczu. Rozkosz rozkoszą, a praca pracą. Musiał widzieć cały czas swój obiekt obserwacji.

Nim długowłose skończył rozmawiać, Alicja zdążyła już poprawić makijaż, wysiąść z auta, by wolnym krokiem, kołysząc biodrami, oddalić się i zniknąć pod mostem Dworcowym. Detektyw Mazurek tymczasem, odprężony i wyluzowany, palił sobie najspokojniej w świecie papierosa, gotowy do dalszej akcji. Przyszła mu do głowy nawet pewna refleksja, co nader rzadko mu się zdarzało, gdyż był typem czynu, a nie górnolotnych myśli. Pomyślał więc, że życie potrafi być piękne.

Poznań

Godzina 14.10

– Nie mogłaś się już doczekać? – Mariusz Blaszkowski wstał zza biurka na jej widok. Spojrzała na niego, a potem na gabinet. Spodziewała się, że będzie to piękny salon, a tymczasem było to nic nadzwyczajnego. Porządnie odnowione ściany dawnego budynku koszarowego lśniły czystością. Szerokie nowoczesne biurko, stół konferencyjny i kącik wypoczynkowy z kanapą i dwoma fotelami. Taki standard korporacyjny, pomyślała.

– Mogłam, ale musiałam, znaczy się nie miałam wyjścia i musiałam się pojawić dzisiaj – wytłumaczyła nieco pokrętnie. – Jutro od rana mam pilną robotę. Wiesz, jak jest w śledztwie. I dlatego wolałam pogadać wcześniej.

Uśmiechnął się. Znał ją doskonale i od razu wyczuł to charakterystyczne dla niej zmieszanie. Co ciekawe, w sytuacjach kryzysowych w pracy, potrafiła wykazać się najwyższym profesjonalizmem, nie okazując śladu niepewności czy zakłopotania. Zazwyczaj szła do przodu jak taran, nie oglądając się na nic, byleby tylko dotrzeć do celu. Jednak w kwestiach dotyczących jej osobiście nadal w głębi była tą nieśmiałą, młodą policjantką z prowincjonalnego komisariatu w Dusznikach.

Podszedł do niej, położył jej ręce na ramionach, spojrzął w oczy, a potem przyciągnął do siebie i ucałował w oba policzki.

– Dobrze cię znów zobaczyć, Anetka. – Był wyraźnie zadowolony z tego, że ma ją koło siebie.

– Cieszę się, że o mnie pomyślałeś.

– A o kim miałem pomyśleć? – Wskazał ręką na stół i dostawione do niego krzesła.

– Siadaj. Napijesz się czegoś. Kawa, herbata...

– Herbata, najlepiej owocowa.

– Nie ma sprawy. Usiądź.

Podszedł do drzwi, otworzył je i zajrzał do sekretariatu.

– Pani Druzjanno, czy byłyby pani tak uprzejma i zaparzyła nam dwie herbaty owocowe? – poprosił.

Zaraz wrócił do stołu i usiadł naprzeciwko Anety.

– Co to za imię Druzjanna?

– Imię jak imię. Co za różnica?

– Pierwsze słyszę.

– Bardzo miła dziewczyna. Ma licencjat z bezpieczeństwa państwa czy coś takiego.

– Ładna – zauważyła.

– No oczywiście, że ładna. Mam patrzeć przez cały dzień na brzydką sekretarkę?

– No wiesz co, nie podejrzewałam cię o takie instrumentalne traktowanie...

– Ej, spokojnie, Aneta. Wyluzuj. Czy znamy się od tygodnia? Dobrze wiesz, że nie można mnie podejrzewać o jakiegokolwiek zapędy seksistowskie. Dziewczyna jest ładna i tyle.

– Przepraszam, masz rację – przyznała. – Może jestem trochę przemęczona. A poza tym miałam dziś ciężki dzień. Musiałam pogadać z Biernatem. A wiesz, że to nie jest prosta sprawa powiedzieć komuś takiemu jak on, że muszę go zostawić.

– Zmartwił się?

– Udawał, że nie, ale znasz go.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła dwudziestokilkuletnia blondynka o lekko zaokrąglonych kształtach, ubrana w zieloną sukienkę i narzuconą na nią brązową marynarkę. Na tacy, którą niosła, stały dwa porcelanowe czajniczki i dwie filiżanki. Dziewczyna miała sympatyczny uśmiech, a Aneta na jej widok poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Natychmiast jednak zdała sobie sprawę, że było ono całkowicie irracjonalne. Bo przecież nic ją

z Mariuszem nie łączyło. Owszem, znali się od dawna, szanowali się i zwyczajnie po ludzku lubili. Niemniej jednak Druzjanna zirytowała ją samym faktem, że tu była...

Sekretarka postawiła filiżankę i czajniczki, skinęła głową swojemu nowemu szefowi i wyszła z pokoju.

– To bardzo miła dziewczyna, a przy tym, jak zdążyłem zauważyć, bardzo fachowa.

– No tak, ty przecież zawsze otaczasz się fachowymi ludźmi.

– Czego ty jesteś najlepszym przykładem – stwierdził, uśmiechając się pod nosem. Przynął do siebie stojącą na stole cukiernicę. Jak zwykle posłodził czterema łyżeczkami i zamknął naczynie. Teraz Aneta się uśmiechnęła. Nie podał jej cukiernicy, więc pamiętał, że nie słodzi, i to jej sprawiło przyjemność.

– I dlatego właśnie chcę, żebyś do mnie przeszła.

– Z mojej strony nie ma żadnych przeszkód.

– Czyli nie ma o czym mówić. A o Biernata się nie martw. To stary wyjadacz. On sobie doskonale poradzi.

– Nie w tym rzecz. Nie wiem, czy ci mówiłam, ale ja nie mam etatu w Szamotułach.

– Nie? – zdziwił się, unosząc wysoko brwi. – To znaczy, że formalnie jesteś jeszcze w wojewódzkiej? – domyślił się natychmiast.

Pokiwała głową.

– Barszczak mnie oddelegował. Czyli jestem cały czas w wydziale dochodzeniowo-śledczym kierowanym przez Marjańskiego.

Błaszkowski pokręcił głową, robiąc przy tym skwaszoną minę.

– Taki cymbał na takim miejscu. *O tempora, o mores!* – Marjańskiego znał jeszcze z końca lat osiemdziesiątych, z czasów, gdy ten nie miał na koncie żadnych sukcesów śledczych, ale za to chwalił się wszystkim, że jest pisarzem, choć jakoś nikt nie widział napisanej przez niego książki. Przyszedł do wydziału, którym kierował pułkownik Alfred Marcinkowski w 1987 roku, podczas śledztwa dotyczącego podwójnego morderstwa w poznańskim hotelu Polonez¹¹. Nikt go specjalnie tam nie potrzebował. Przypadek sprawił, że jako oficer dyżurny w komendzie miejskiej pojechał na miejsce zbrodni i gdy dochodzenie przejęła wojewódzka, został niejako wchłonięty przez nurt śledztwa wraz ze wszystkimi szczegółami sprawy, z którą na pewno sam by sobie nie poradził. Śledztwo prowadził wtedy kapitan Brodziak, a Marjański zajmował się zbieraniem dla niego informacji. Okazał się w tych sprawach na tyle przydatny, że Marcinkowski postanowił go zatrzymać u siebie, bo facet całkiem sprawnie radził sobie z protokołami i aktami, czyli tym wszystkim, za czym nie przepadał żaden śledczy z prawdziwego zdarzenia. A Marjański lubił papiery i pisanie. Napisał w końcu powieść milicyjną, której głównym bohaterem był porucznik Teodor Markiewicz, wzorowany na Teofilu Olkiewiczu, jednej z najbarwniejszych postaci w ich wydziale. Miała się ukazać w serii niebieskich zeszytów *Ewa wzywa 07*, tak przynajmniej sam twierdził. Podobno wydawnictwo obiecało druk w 1990 roku. Ale niestety na drodze literackiego debiutu stanęła wielka polityka. Rok przed ukazaniem się powieści PRL skończył się definitywnie, a nowe władze nie były zainteresowane propagowaniem idei nieomyślnej Milicji Obywatelskiej i gloryfikowaniem jej ideowych funkcjonariuszy. Marjański, który w swojej powieści wychwalał zalety socjalistycznej ojczyzny, w chwili gdy socjalizm szczył i zdechł, odkrył w sobie głębokie pokłady dumy narodowej. Co więcej, odkrył też głęboką wiarę, która dotąd była tłamszona

przez opresyjny socjalistyczny system. Stał się jednym z tych, którzy najgłośniej nawoływali do rozliczenia komunistycznej przeszłości i postawienia przed sądami sprzedawczyków i sługusów Moskwy. Niewiele osiągnął, bo mało kto go chciał słuchać. Ale okazało się, że jego wystąpienia na zebraniach zostały zapamiętane. Zapamiętali je ci, którzy w pewnym momencie zaczęli w szeregach, już wówczas policyjnych, szukać ideowych patriotów. I w ten oto sposób dawny ideowy komunista Marjański stał się jednym z budowniczych nowej rzeczywistości.

– Nie ma się co obrażać na rzeczywistość. – Aneta nie znała Marjańskiego tak dobrze jak Mariusz. I dlatego miała nadzieję, że ten nie będzie miał nic przeciwko jej przeniesieniu. – Chyba nie powinni mi robić problemów?

Mariusz machnął ręką.

– Z Szamotułami byłoby o wiele łatwiej. Po prostu by się ciebie stamtąd przeniosło i tyle. A z wojewódzką to nigdy nie wiadomo. Na szczęście Barszczak cię nie lubi po tym, jak mu wywaliłaś prawdę między oczy, i w tym widzę szansę.

– Jak to?

– Trzeba, żeby Marjański się ciebie pozbył.

Przez chwilę patrzyła na niego z niedowierzaniem. Ale gdy dostrzegła iskiereki w jego oczach, zrozumiała, że Blacha wymyślił właśnie jakąś szatańską intrygę.

– Teoretycznie sprawy mają się tak, że mogę do zespołu dobrać prawie każdego, kogo sobie tylko wymyślę. Mowa o jakichś pięciu, sześciu osobach, bo tyle mam wolnych etatów, które mogę obsadzić ludźmi z komisariatów podległych komendzie miejskiej. Potrzebni mi są ludzie z doświadczeniem, którzy pracują już w komisariatach, a nie nowi po szkole. Z wojewódzkiej też bym mógł kogoś wyciągnąć, ale tylko pod warunkiem, żeby to się opłaciło Marjańskiemu. No to trzeba zrobić tak, żeby mu się to opłaciło.

– Czyli jak?

– Trzeba odkupić od niego martwą duszę.

– Co? Jaką duszę?

– Nie czytałaś Gogola?

– Jakiego Gogola?

– No tak. – Uśmiechnął się pod nosem z rezygnacją. – Czego was uczą w tych szkołach? Mikołaj Gogol, rosyjski klasyk...

– A, ten od *Ożenku* czy *Rewizora* – przypomniała sobie tytuły, które wpadły jej w ucho dawno temu, chyba jeszcze w czasach licealnych, kiedy przygotowywała się do olimpiady z języka rosyjskiego. Wtedy nauczycielka uczniom startującym w etapie wojewódzkim, a było ich w szkole kilkoro, zorganizowała seans, na którym puszczała fragmenty spektakli teatralnych, między innymi według Gogola.

– Doskonale! No więc Gogol napisał też *Martwe dusze*. To opowieść o pewnym kombinatorze, który skupował od właścicieli ziemskich chłopów. W Rosji carskiej chłop był własnością pana. To w zasadzie niewolnictwo było. A ten kupował po okazjnej cenie nieboszczyków. Nie ciała, ale jak byśmy to dziś powiedzieli, dane osobowe.

– Czyli że chcesz mnie kupić?

– Ha, ha! Jakbym mógł, tobym już dawno kupił cię na własność, szkoda, że tego nie zrobiłem, ha, ha!

– Co... co powiedziałaś?

– No nie obrażaj się zaraz. To był żart.

– Nie, nie obrażam się... – Wcale się nie obrażała. Poczwała się dość dziwnie. Miała wrażenie, że Mariusz palnął coś, co mu się wymknęło, a o czym mógł wcześniej pomyśleć. Oczywiście, że nie o kupowanie mu chodziło. Usłyszała coś, co najprawdopodobniej kryło się między wierszami. Powiedział, że już dawno, że jakby mógł i że mu szkoda, że tego nie zrobił. Czyżby on czegoś żałował? Przecież nigdy dotąd nie dał jakiegos sygnału, że jest nią zainteresowany. Zawsze traktował ją jak koleżankę i zawodową partnerkę. Wiedziała dobrze, że ceni jej fachowość i zaangażowanie, a przy tym jeszcze chyba trochę podziwiał jej intuicję. Nie raz zresztą mówił o tym głośno, ale nie widziała... Zaraz, czy aby na pewno nie widziała? Czy aby na pewno? A to, że rozmawiali niemal codziennie? Gdy pracowali ze sobą w Poznaniu, spotykali się w firmie, a wieczorami rozmawiali przez telefon. Gdy poszła do szkoły oficerskiej, rozmowy stały się rzadsze, ale przecież i tak rozmawiała z nim co chwilę. Dzwoniła do niego z każdą pierdołą i opowiadała o wszystkim, co dzieje się w szkole, a on cierpliwie słuchał i udzielał jej rad, jak najlepszy przyjaciel. Gdy wylądowała w Szamotułach, ich kontakty wcale się nie urwały. Telefonowali do siebie kilka razy w tygodniu i pisali SMS-y. On cały czas był przy niej w każdej sytuacji. Nawet jak była chora na zapalenie krtani i ledwo mogła mówić, zadzwoniła do niego, a on wisząc na słuchawce, mówił do niej tak długo, aż udało jej się zasnąć. Czy to wszystko to nie sygnały mówiące, że jest nią zainteresowany? No ale jest jeszcze druga strona medalu. On dzwonił do niej, ale to chyba ona częściej do niego. Więc oboje robili to samo od kilku lat. A może to wszystko tylko jej nadinterpretacja? Nie, chyba za dużo jej się myśli w głowie kołaczce, a tu jeszcze ten Adrian... *Bo ja jestem, proszę pana, na zakręcie*, przypomniały się jej słowa piosenki.

– Jeślibym chciał cię kupić, to mogłoby to przynieść odwrotny skutek. – Wyrwał ją z zamyślenia spokojny, wręcz nauczycielski głos Mariusza. – Chodzi o to, żeby to oni chcieli cię sprzedać. Żeby Marjański sam chciał.

– Jak to zrobić?

– Zaraz się przekonasz.

Mariusz wstał z krzesła, podszedł do biurka i sięgnął po słuchawkę telefonu. Chwilę czekał na połączenie, w końcu mrugnął do Anety.

– Czołem, Maryjanek, Blacha mówi. Co tam u ciebie, bracie?

Godzina 14.50

Co tu, do licha, się wyrabia?, zastanawiał się Przemek, rozkładając na stole w pokoju przesłuchań stertę kolorowych gazet i folderów, a obok nieporadne rysunki Marianny. Krzyż na tle promieni i łańciski napis sprawiły, że natychmiast poczuł dreszcz emocji. Przecież to nie mógł być przypadek. Taki sam tatuaż miała zamordowana dziewczyna, porozrywana na strzępy przez kruszarkę do betonu. Był przerażony. Przez sekundę przeleciała mu przez głowę myśl, że to właśnie jego pracowniczka została zmielona. Ale po chwili przyszło otrzeźwienie. Tamta miała zginąć kilka tygodni temu. Przecież sam mówił na zebraniu o zamrożonych zwłokach, które trafiły do kruszarki. A tymczasem Marianna zniknęła przed dwoma, no może trzema dniami. Nie było więc możliwości, żeby to była ona. Ale jeśli tamta

miała tatuaż i ją zamordowano, a Marianna też miała taki sam i zniknęła, to być może jej również groziło niebezpieczeństwo?

Spojrzał na białe kartki wypełnione rysunkami. Wszystkie przedstawiały ten sam motyw krzyża z promieniami w tle. Sprawiały wrażenie nieporadnych, tak jakby rysował je uczeń podstawówki pozbawiony talentu artystycznego. Niektóre były lepsze, inne gorsze, ale żaden i tak nie mógł być wzorem, na którym oparłby się mistrz tatuażu. Domyślił się, że to Marianna próbowała sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał jej tatuaż i zanim go sobie dała zrobić, sama odrysowywała określony wzór. Tylko skąd ten wzór wzięła. Być może z internetu, zastanawiał się, i wtedy, jeszcze tam w mieszkaniu na Śmiałego, coś go tknęło. Zaczął przeglądać te gazety, skrupulatnie kartka po kartce. W tych o wróżbach nie znalazł niczego interesującego. W czwartej, zatytułowanej „Odkrywczy Zakazanej Historii”, natrafił na artykuł o tym, że ludzie pierwotni polowali na dinozaury, więc jako miłośnik historii nawet przez chwilę zainteresował się treścią, ale szybko przywołał się do porządku, gdy autor stwierdził, że myśliwi mieli umiejętności oswajania pterodaktyli i dosiadał ich, latając w przestworzach. Stąd do ludzkiej pamięci zbiorowej dostały się opowieści o wojownikach walczących na latających smokach.

Tego już było za wiele dla takiego wytrawnego miłośnika fantazy jak on. Zamknął więc pismo i wówczas zobaczył to. Na ostatniej stronie kolorowe ogłoszenie, sygnowane znakiem promienistego krzyża z łacińskim napisem LUMEN VERUM. Przez chwilę przyglądał się rysunkowi, a potem przeczytał treść.

Światło może doprowadzić cię do prawdy. Podążaj za jego strumieniem. Wojownicy prawdy i światła czekają na ciebie. Chcesz widzieć i wiedzieć więcej niż ci wszyscy, którzy nie są dociekliwi i dają się oszukiwać politykom oraz wielkim koncernom, napisz do nas. Odpowiemy na wszystkie pytania, rozwiążemy twoje wątpliwości i poprowadzimy cię ku światłu. Wskażemy ci drogę, ale to ty sam otworzysz drzwi do skarbcza prawdy.

Pod tekstem widniał adres strony i numer telefonu.

Może trafiłem na ślad, pomyślał i uśmiechnął się pod nosem. Ale chłopaki zrobią minę, jak im to wszystko wyłoży podczas narady jutro rano... Choć był pewien problem. Przecież w tym mieszkaniu nie był w sprawie służbowej. Musiał więc szybko wymyślić jakiś pretekst, dla którego się tam pojawił. Najlepiej będzie powiedzieć, że widział, jak Marianna rysowała te promienie z krzyżykami, i postanowił pójść do niej, i się o to zapytać. W sprawie tatuaży miał przecież wolną rękę. Zespół powinien dostać od niego pełną informację na temat tatuażu kobiety znalezionej w stercie gruzu. No więc jeśli tak, przypomniawszy sobie o tych bazgrołach, poszedł do swojej pracowniczki i tu natknął się na narkomanów i dilerów.

Plan był prosty i chyba wiarygodny. Tym bardziej że przecież zadzwonił do dyżurnego komendy miejskiej z prośbą o przysłanie do mieszkania karetki pogotowia do naćpanej dziewczyny, a do tego jeszcze radiowozu z chłopakami z prewencji po dostarczyciela towaru. Temu Oliwierowi postanowił odpuścić. Kazał go tylko spisać i zostawił go w spokoju.

– Jakbyś sobie coś przypominał o Mariannie, to zadzwoń do mnie. – Podał mu urwany kawałek gazety, na którym zapisał swoje nazwisko i numer telefonu. Nie miał wizytówek. Firma nie miała zamiaru mu ich wyrobić, a on tym bardziej nie zamierzał dopłacać do

interesu, choć za każdym razem, gdy musiał komuś zostawić swoje zamiary, było mu wstyd. Nie za siebie, ale za policję.

– Czemu ją aresztujecie? – zapytał chłopak z wyrzutem, patrząc na dwóch sanitariuszy układających nieprzytomną Nikolę na noszach.

– Nikt jej nie zamyka – rzucił Przemek. – Jedźcie do szpitala na detoks. Miałbym ją tu zostawić z tobą, żeby umarła?

– Do którego szpitala? – Teraz zwrócił się do sanitariuszy, którzy zbierali się do wyjścia.

– Cholera wie, który ją przyjmie – rzucił krótko ostrzyżony, wielki jak pień drzewa ratownik i spojrzał wymownie na Przemka. – Ten pan może sprawdzić.

Drażkowski wzruszył ramionami.

– No dobra, sprawdzę i powiem ci, gdzie będzie leżała, ale pod warunkiem, że ty też jeszcze nad wszystkim się zastanowisz.

– Będę w takim razie dzwonił do pana. – Chłopak spojrzał na kartkę z numerem, ale nie wyczytał z niej stopnia służbowego.

– Starszego aspiranta – odpowiedział mu Przemek.

Zabazgrane kartki rozłożył na blacie stołu po lewej, a pisma ezoteryczno-fantastyczne po prawej. Wyłączył sygnał dźwiękowy w telefonie i włożył komórkę do kieszeni swojej dżinsowej kurtki. Niemal dokładnie w tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi, które zaraz się otworzyły, i stanął w nich młody policjant.

– Posterunkowy Wieczorek melduje doprowadzenie więźnia – wyrzucił z siebie, salutując do daszka czapki.

– Dajcie go tu – rozkazał Przemek, a chłopak natychmiast się odwrócił i skinął palcem, przywołując kogoś z korytarza. Jego kolega lekko popchnął faceta w więziennym stroju, a ten, nauczony doświadczeniem, ruszył natychmiast przed siebie. Wszedł do pokoju i zgodnie z regulaminem stanął w odległości trzech metrów od stołu. Gdy dostrzegł Drażkowskiego, uśmiechnął się zadowolony. Widać spotkanie ze starym znajomym sprawiło mu trochę przyjemności. W końcu było to jakieś urozmaicenie w codziennej monotonii odsiadki. Dzięki wezwaniu na przesłuchanie mógł się przejechać z Wroniek do Poznania specjalnym więziennym autobusem i porozmawiać ze śledczymi na różne tematy. Liczył też, że uda się, a najczęściej się udawało w takich sytuacjach, kupić trochę towaru od któregoś z więziennych konwojentów.

– Siadaj. – Przemek wskazał krzesło po drugiej stronie stołu. – Zdejmij mu kajdanki – polecił policjantowi. Ten szybko i sprawnie wykonał polecenie, zsalutował i wyszedł na zewnątrz.

– Chcesz zapalić? – Położył na stole paczkę marlboro i zapalniczkę, po czym przesunął je w kierunku tatuazysty Pawła Łapy, tego samego, który wydzierał mu na przedramieniu smoka i zaraz potem został przez swojego klienta aresztowany za handel narkotykami.

– Na pewno chciałeś się ze mną spotkać, żeby zapłacić mi za tatuaż – rzucił sarkastycznym tonem więzień. – Co, sumienie cię gryzie? Ja to rozumiem. Też nie lubię mieć długów. Śpię spokojnie dopiero wtedy, jak jestem ze wszystkimi porozliczany.

– Jak mam ci oddać forszę? Przecież zaraz ci odbiorą. Jak wyjdiesz z pudła, to się rozliczymy.

– Jak chcesz, tylko pamiętaj, że ja nie jestem kasa zapomogowo-pożyczkowa. U mnie oprocentowanie nabija się co miesiąc jak w szwajcarskim banku.

Przemek postukał palcem w stół. Łapa popatrzył w to miejsce. Policjant zakreślił ptaszka i dwa kółka. Aresztowany pokręcił głową, po czym sięgnął po papierosa dwoma palcami, ale najpierw pomachał nimi. Przemek kiwnął głową. Ulżyło mu. Wykorzystał swoją przewagę i udało się. Za tatuaż, za który musiały zapłacić przynajmniej tysiąc złotych, miał dać dwie stowy. Czysty interes. Więc teraz, gdy kwestię długów jakoś uregulowali, rozmowa mogła potoczyć się we właściwym kierunku.

– Spójrz na te bazgroły. – Przesunął do więźnia dwie porysowane kartki.

Łapa zaciągnął się i wypuścił dym nosem. Dopiero wtedy, jakby od niechcenia, spojrzął na rysunki.

– Co to za gówno?

– To projekt tatuazu.

– Taki projekt? To jest jakiś syf. Chciałbyś coś takiego mieć na łapie?

– Mam smoka. Ale ludzie mają różne gusta.

– Nawet jakby mnie ktoś błagał, to takiego shitu bym nie zrobił, nawet gdyby mi dali potrójną stawkę.

– A taki byś zrobił?

Otworzył kolorowe pismo na ostatniej stronie z ogłoszeniami. Przesunął je po blacie, przytrzymując palcem we właściwym miejscu. Łapa spojrzął znów niechętnie, ale tym razem w jego spojrzeniu pojawił się błysk zainteresowania.

– Sprawa sprzed roku, może półtora. Dokładnie to ja już nie pamiętam. Nic nielegalnego. Jeden gość, obcięty na łyso, w kurtce amerykańskiej, znaczy się wojskowej, przyszedł do mnie i powiedział, że ma robotę. Pokazał mi taki znaczek i powiedział, że chce, żeby wytatuować kilkanaście osób. No to co, miałem nie wziąć? Wziąłem robotę i żeśmy się umówili, że za wszystkich wezmę sześć tysi do ręki. Piękna sprawa, chociaż urząd podatkowy pewnie miałby inne zdanie. Ale ty na szczęście nie jesteś od podatków.

– W dupie mam podatki. Ten facet mnie interesuje. Gdzie go mogę znaleźć?

– W telefonie mam do niego numer.

– Kurwa, zanim dostanę się do twojego telefonu, to minie tydzień. Pamiętasz jego nazwisko?

– Za cholerę. – Łapa pokręcił głową i bez pytania sięgnął po kolejnego papierosa. Przemek nie miał nic przeciwko temu. Kupił fajki dla niego.

– To jak go mogę znaleźć?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale wiem, jak dojechać do ich rancza.

– Jakiego rancza?

– No tego, gdzie ich tatuowałem. Bo on nie chcieli przyjeżdżać do mnie na robotę. Zgodziliśmy się, że zabiorą mnie do siebie. I zawieźli mnie z całym sprzętem i tam w trzy dni wszystkich ich załatwiłem. Czujesz to, robiłem na okrągło, z krótką przerwą na sen. Ale dałem radę.

– A co to za ranczo?

– No takie duże gospodarstwo otoczone murem. Oni mówią, że to ich dom, w którym mieszkają blisko światła. Tego z tatuażu. To są niezłe pojeby, żyją jak w komunie z dziećmiakami, psami i krowami. Ale nie powiem, całkiem uczciwi, bo zapłacili, tak jak żeśmy się umówili. Gotówka do rączki i po sprawie. Tyle że na moje oko tam coś śmierdzi. Może to ich Światło Prawdy to jakaś przykrywka...

– Czemu tak myślisz?

– Bo mają tam strażników, co chodzą uzbrojeni w karabiny maszynowe, znaczy się te, no, kałachy. A tak się przecież nie pilnuje ludzi, którzy się modlą i żyją miłością i jagódkami, nie?

– Jesteś w stanie pokazać mi na mapie satelitarnej to miejsce?

– Czemu nie. Na mapie to nie wiem, ale mogę tam was zaprowadzić, jak mi coś obiecasz.

– Co?

– Dobrą opinię. Za tydzień mogę wyjść na warunek. Jak dasz mi poręczenie.

Przemek uśmiechnął się zadowolony z takiego obrotu sprawy. Nie dość, że załatwił kwestię długu za tatuaż, to jeszcze miał szansę rozwikłać zagadkę morderstwa, a przynajmniej zbliżyć się do rozwiązania. Czym wobec tego wszystkiego była obietnica pomocy dla tego faceta. Jakby mógł, to nie tylko by go wyciągnął z pudła, ale jeszcze z radości ucałował. Chociaż nie, z tym całowaniem to był jednak głupi pomysł, który by się na pewno nie spodobał Alex.

Kilka minut później Łapa wychodził z przesłuchania z szerokim uśmiechem. Miał wsunięte w specjalny schowek w rękawie dwa banknoty stużłotowe i na dodatek nie musiał wracać do Wronek. Jego znajomy policjant zapewnił mu kilka dni wypoczynku w śledczym na Młyńskiej, gdzie miał spokojnie czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Ich konsekwencje mogły go zaprowadzić prostą ścieżką na wolność pełną tatuaży dzierganych na jędrnej dziewczęcej skórze, o której marzył od miesięcy.

Poznań

Godzina 15.40

Zaczął padać deszcz. Nie ulewa, ale taki lekki, wiosenny kapuśniaczek, który nikomu nie przeszkadza, bo przechodnie nie zwracają na niego większej uwagi, skoro nie leci za kołnierz. Nie trzeba nawet rozkładać parasolek, bo właściwie jest tak, jakby wcale nie padało. Automatyczne wycieraczki w samochodach nie muszą zgarniać wody z szyb raz za razem, ale robią to leniwie i jakby od niechcenia, co jakiś czas przejeżdżając gumowym piórem po ledwie zroszonej powierzchni szyb. Trochę wilgoci w powietrzu i tyle. Choć dla tych najbardziej niecierpliwych motocyklistów, którzy już wyciągnęli swoje stalowe rumaki z garaży, deszcz był przypomnieniem, że może to jednak nie jest jeszcze dobry moment na jazdę, że odpowiednia pogoda przyjdzie dopiero za jakiś czas.

Aneta należała do tych najbardziej niecierpliwych i gdy tylko robiło się ciepło, a wilgoć znikła z dróg, natychmiast wsiadała na swoją maszynę. Dlatego gdy doszła do wniosku, że musi się jeszcze dziś rozmówić z Mariuszem, niewiele się zastanawiając, wskoczyła na swój motocykl. Tym bardziej że wtedy jeszcze pogoda była całkiem obiecująca, a chmury na niebie nie zwiastowały niczego niepokojącego.

Zaczął mżyć dopiero, gdy wyszła po zakończonym spotkaniu na parking przed komendą. Nie miała pewności, że nie przerodzi się to w nic poważniejszego, więc na wszelki wypadek postanowiła przeczekać. Dlatego zadzwoniła do Marty z zespołu prasowego wojewódzkiej. Dawno się nie widziały, więc była doskonała okazja, żeby pogadać. Tym bardziej że Aneta musiała się podzielić z kimś nowinami. Przede wszystkim swoim nowym przydziałem, którego los zdecydował się w chwili, gdy Mariusz Blaszkowski zadzwonił do Marjańskiego.

Trzymając słuchawkę telefonu, spojrzął na Anetę i uśmiechnął się zadowolony ze swojego pomysłu. Gdy usłyszał po drugiej stronie głos szefa dochodzeniówki, wcisnął przycisk trybu głośnego, tak żeby i ona mogła posłuchać tej rozmowy.

– Pytasz, co słuchać, he, he! – Marjański zaśmiał się niezbyt radośnie. Od razu dało się wyczuć pewną nerwowość. – Powiem ci, Blacha, że nie ma niczego pewnego na tym świecie oprócz śmierci. Człowiek na niczym nie może budować, bo wszystko to gówno warte.

– A ty co? Zgubiłeś sto złotych, czy co?

– Co to jest sto złotych w obliczu tego wszystkiego, co się dzieje wokół? Ja bym nawet ze swojej kieszeni dał sto, nie, nawet dwieście złotych, żeby ludzie byli inni.

– Co ty pieprzysz? Stary, przenoszą cię na emeryturę czy jak?

– Nie mnie. Barszczaka przenoszą. Rozumiesz? Takiego doświadczonego policjanta na emeryturę.

– O, nie wiedziałem...

– Bo mało kto o tym wie. Byłem u niego godzinę temu i mi powiedział. Ktoś podobno doniósł na niego, że w dawnych czasach, wiesz, jeszcze jak byliśmy w milicji, to niby on miał mieć kontakty z SB. Wyobrażasz to sobie? Nasz Barszczak i SB? No przecież my wszyscy musieliśmy mieć jakieś kontakty. SB to była część milicji, więc zdarzało się przechodzić obok nich i z nimi rozmawiać od czasu do czasu. Ale żeby współpracować, to już stanowczo za dużo. I kto niby miałby współpracować? Nasz stary pocziwy Barszczak? Przecież to bzdura. Jak dalej tak pójdzie, to może jeszcze powiedzą, że i ja byłem esbeckim współpracownikiem? Rozumiesz to, Mariusz, co to się wyrabia?

Blaszkowski z niedowierzaniem pokręcił głową. Ale wcale nie dlatego, że pogłoski o dawnej współpracy obecnego komendanta wojewódzkiego były wysrane z palca. Barszczak był krętaczem i nieudacznikiem, a do tego karierowiczem wspinającym się po szczeblach kariery dzięki politycznym mentorom. Udało mu się dojść na sam szczyt dzięki prezentowaniu postawy niezłomności i patriotycznego wzmożenia. No ale jak widać, to nie wystarczyło, by władza mogła mu w pełni zaufać. Ktoś na niego doniósł i został posprzątnany. Zapewne jego miejsce było potrzebne dla innego, bardziej oddanego i lojalnego oficera. Ale najbardziej rozbawiło Mariusza święte oburzenie Marjańskiego, który sam współpracował z SB, przez kilka lat informując bezpiekę o przebiegu śledztw prowadzonych przez ich wydział. Niewielu ludzi o tym wiedziało. Mariusz był jednym z nich, ale Marjański nie zdawał sobie z tego sprawy.

– No, nic na to nie poradzisz, chłopie – rzucił do słuchawki. – Nic nie poradzisz na politykę. Taki, bracie, mamy klimat.

– Jasne, tyle że to przecież niesprawiedliwe.

– A kto powiedział, że ma być sprawiedliwie?

– No właśnie. Nikt tego nam nie obiecywał. Ale ważne, że my, stara gwardia, jeszcze się trzymamy. Jeszcze coś w życiu zrobimy. Zobacz, Blacha, jak się to poukładało. Ja w wojewódzkiej, ty w miejskiej. Powiedz, chłopie, stary Marcinkowski byłby z nas dumny...

Mariusz popatrzył na Anetę, a później spojrzął w górę, jakby chciał wezwać na pomoc zastępy anielskie.

– Tak, oczywiście – skwitował tę myśl Marjańskiego i chrząknął na wszelki wypadek, żeby się nie roześmiać. – No i widzisz, ja właśnie w tej sprawie, po starej znajomości dzwonię.

– Gadaj, w czym rzecz. Wiesz, że zawsze możesz liczyć na mnie.

– Wiem, dlatego chciałem ci złożyć pewną propozycję.

– Mów, o co chodzi.

– Pamiętasz tę berettę M9 US Army, którą dostałem od Brodziaka?

Po drugiej stronie zapadła cisza. Aneta pomyślała nawet, że Marjański się rozłączył. Ale po chwili usłyszała jakiś bulgot, który zmienił się w westchnienie. Mariusz mrugnął do niej zadowolony. Najprawdopodobniej przynęta chwyciła. Wszyscy w ich dawnym wydziale znali ten pistolet, który Mirek zarekwirował jakiemuś bandziorowi, i wszyscy mu go zazdrościli. Broń była piękna, dobrze utrzymana i do tego jeszcze jak najbardziej nielegalna. Ale ich kolega Brodziak niewiele sobie z tego robił. Nosił ją ze sobą jak najprawdziwszą relikwię, a gdy odchodził z policji w dziewięćdziesiątym pierwszym, oddał ją Marcinkowskiemu, a ten wrzucił berettę do kasy pancernej w swoim biurze. Gdy z kolei on odchodził na emeryturę, przekazał spluwę Mariuszowi. Nikt nie miał o tym pojęcia aż do tej chwili.

– Masz tego gnata? – jęknął Marjański tonem pełnym pożądania.

– Wiesz, leżała w sejfie u Freda. A później ją przejąłem, bo nie mogła trafić w obce ręce. – Następcą Marcinkowskiego, który zresztą przyłożył rękę do jego odejścia, był odchodzący właśnie na emeryturę Barszczak.

– No jasne, stary, rozumiem. Barszczak nie był przecież od nas – rzucił szybko Marjański, wyczuwając szansę.

– Pomyślałem więc, że już czas, żeby beretta wróciła do wydziału. Wiesz przecież, że dla nas to cenna pamiątka po Mirasie, po Teofilu Olkiewiczu, no i po dawnych czasach.

– Jasne, rozumiem. Jej miejsce jest w wydziale. Oprawimy ją i powiesimy na ścianie. Musimy się w takim razie spotkać i obgadać szczegóły – zaproponował Marjański.

– Jasne. Ale mam trochę teraz roboty. Buduję zespół. Szukam ludzi. No i mam kłopot, bo brakuje mi etatów. Wiesz, w czym rzecz. Potrzebne mi miejsca, żeby zatrudnić jakiś obrotnych chłopaków. Ludzie są, a etatów nie ma.

– Potrzebne ci są etaty? Mariusz, trzeba było tak od razu. Mam dwa, przyblokowane co prawda, ale dasz sobie radę. Mogę ci je przenieść choćby jutro. Wiesz, czego się nie robi dla starych kumpli.

– Masz etaty? Jak to?

– Dwie sztuki. Dwójka oficerów oddelegowanych na prowincję, jeden do Piły, a drugi do Szamotuł. Mogę ci je przekazać bez żadnego problemu. Barszczak podpisze, bo co mu tam.

Da się zrobić...

– Stary, naprawdę zrobisz to dla mnie?

– Jasne. Wpadnij w poniedziałek. I zabierz beretkę.

– A powiedz mi, kto jest na tych etatach?

– Tego z Piły to ja nawet nie znam. A w Szamotułach jest, jak ona się nazywa, Nowak chyba? Taka pyskata ruda cholera, co kiedyś sobie z czymś nie poradziła i Barszczak odesłał ją z powrotem na wieś. Musisz ją pamiętać, bo była u nas przez kilka miesięcy. Etat przekażę do ciebie, a ty już sobie z nią poradzisz. To co, gitara?

Aneta wjechała motocyklem na wewnętrzny parking komendy wojewódzkiej. Deszcz z mżawki zaczął się zmieniać w regularną ulewę, więc zdążyła w ostatnim momencie. Wjechała pod zadaszoną wiatę, zdjęła kask i zawiesiła go na rączy. Budynek, w którym pracowała przez kilka miesięcy, zawsze dobrze się jej kojarzył. Jeszcze w tej chwili formalnie była tu zatrudniona, ale od poniedziałku wszystko się zmieni. Tak naprawdę to ostatni raz jest tu u siebie. Teraz jej miejsce będzie w komendzie miejskiej, odremontowanym i zrewitalizowanym budynku po pruskich koszarach.

Uśmiechnęła się do siebie na myśl o tym swoistym targu niewolników, na którym najważniejsze były etaty, a nie ludzie. Ale nie miała zamiaru się tym przejmować. Najważniejsze, że Mariusz załatwił jej przeniesienie. Ciekawe, że też Marjański tak łatwo się zgodził. Chyba ten pistolet miał czarodziejską moc i pewnie większą wartość miał dla Marjańskiego niż dla Mariusza. Przehandlował ją, uśmiechając się cały czas pod nosem, najwyraźniej zadowolony z tego, jak udało mu się przechrzyć tego kolegę. W sumie Blaszkowski to bardzo porządny facet. Ciekawe, dlaczego się nie ożenił? Nie był przecież gejem. Nie, zdecydowanie wolał dziewczyny. Pamiętała, że umawiał się kiedyś z jedną całkiem sympatyczną panią prokurator, ale jakoś nic z tego nie wyszło. Nie знаła szczegółów i nigdy nie było okazji, żeby o to zapytać, a on sam nie poruszał tego tematu.

Telefon w wewnętrznej kieszeni na piersi zawibrował. Wydobyła go i spojrzała na wyświetlacz. Dzwonił Adrian.

– No cześć, piękna – odezwał się, gdy odebrała.

– Cześć.

– Co tak szumi? Jakaś kijowa jakość połączenia. Może masz za stary model komórki? Trzeba by ci nowego ajfona strzelić.

– Spokojnie, mój jest jeszcze całkiem dobry.

– To co to za szumy?

– Stoję pod plastikową wiatą i deszcz leje. To znaczy, tak stuka.

– Aha! He, he! Myślałem, że komórka ci się rozsypuje. Ta twoja szóstka to już jest zabytek. Teraz jedenastka to jest coś, taka jak moja. Chciałabyś w prezencie? Mam kilka aparatów do wzięcia na firmę. Mogę wziąć dla ciebie, żaden problem. Co myślisz?

– Dzięki, mam dobry telefon.

– A gdzie ty w ogóle jesteś, znaczy się, gdzie tak pada? Ja nie widzę żadnego deszczu.

– Jestem w Poznaniu.

– O, szkoda, że nie mówiłaś, że jedziesz. Mógłbym cię podrzucić i byśmy skoczyli do jakiejś knajpy na obiad. Zgłodniałem trochę, a nie miałem czasu na żarełko.

– Nie wiedziałam, że będę jechała. Zresztą, jestem tu służbowo...

– Zaraz, a jak tam zajechałaś?

– Motocyklem, a jak?

– I jest ulewa?

– No, czekam, aż przejdzie.

– A jak nie przejdzie?

– Nie martw się. Dam sobie radę.

– Nie możesz jechać motorem, jak będzie lało.

– Spokojnie, poczekam. I nie motorem, tylko motocyklem.

– No właśnie, mówię o motorze. Nie możesz jechać w taką pogodę, bo to niebezpieczne. Wiesz co, mam lepszy pomysł. Poczekaj na mnie, a ja wsiadam w furę i za pół godziny będę po ciebie i pojedziemy razem. A motor możesz tam zostawić. Jutro się go odbierze, jak będzie pogoda. Masz gdzie zostawić motor?

– Mam... ale...

– Jadę w takim razie. Czekaj i się gotuj, he, he!

Przerwał połączenie. Poczula się dziwnie. Czyżby Adrianowi naprawdę na niej zależało? Zachowywał się czasami jak kompletny dupek, ale teraz pokazał coś zupełnie innego. Chciał ją odebrać, żeby sobie nie zrobiła krzywdy. Zadbał o nią. Nikt nigdy nie starał się o nią w taki sposób. Może i miał wady, ale raczej był szczery w tych swoich uczuciach. Musi o tym koniecznie pogadać z przyjaciółką.

Deszcz padał coraz mocniej. Założyła więc swoją policyjną bejsbolówkę na głowę i ruszyła biegiem w kierunku drzwi do budynku. Wydział prasowy, w którym pracowała Martyna, mieścił się na parterze.

Oborniki Wielkopolskie

Godzina 16.15

Opel zatrzymał się przy chodniku wąskiej uliczki w centrum Obornik. Mazurek zgasił silnik, uchylił okno na tyle, na ile pozwalał padający deszcz, i zaraz sięgnął do kieszeni marynarki po papierosa. Od kilku lat wyznawał zasadę, że w samochodzie, owszem, można palić, ale niekoniecznie podczas jazdy. Dawniej palił, prowadząc, ale wszystko ma swój kres. Palenie za kierownicą skończyło się definitywnie, gdy któregoś dnia zakrztusił się dymem, a papieros wypadł mu z ust i wpadł między nogi. Nim zdążył zareagować, krótkie spodenki z jakiegoś sztucznego materiału zaczęły się żarzyć w kroku i parzyć go żywym ogniem. Puścił więc kierownicę i zaczął się nieporadnie gasić ręką. Pech chciał, że w tej tragicznej sytuacji zupełnie zapomniał, że prowadzi. Auto zjechało na przeciwny pas ruchu wprost pod ciężarówkę. Na szczęście jej kierowca miał refleks i miejsce na szosie. Ominął samochód Mazurka i przytarł mu tylko lewy błotnik, spychając go jednocześnie z drogi. Cinquecento prowadzone przez policjanta wjechało do rowu, odbiło się od jego krawędzi i siłą rozpędu zostało wyrzucone w górę. Tyle mniej więcej zapamiętał z tego wypadku. Na szczęście miał zapięte pasy, więc oprócz przypalonego krocza i wstrząśnienia mózgu nie

odniósł innych szkód. Ale jego samochód nie miał najmniejszej szansy na drugie życie. Został całkowicie i nieodwracalnie skasowany. Wtedy ostatecznie doszedł do wniosku, że papierosy to śmiertelne zagrożenie dla człowieka, i postanowił definitywnie rzucić palenie podczas jazdy. Ale palenia w ogóle rzucić nie zamierzał. Lubił papierosy i zapach dymu, więc nie wykluczał, że kiedyś być może w ogóle przestanie palić, ale na razie będzie się tylko mniej zaciągał.

Teraz też zaciągał się, jakby nie za głęboko, siedząc w tym swoim aucie i obserwując... No właśnie, nie bardzo wiedział, co obserwuje. Była to jakaś zwyczajna kamienica w centrum miasta, przed którą zatrzymał swój samochód śledzony przez niego prawnik. Mężczyzna zaparkował garbusa, wyszedł na zewnątrz i rozejrzał się, jakby wypatrywał jakiegoś zagrożenia. Przejechał nawet spojrzeniem po szybie samochodu Mazurka, ale nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Zabrał swój worek z auta i poszedł w kierunku bramy prowadzącej do kamienicy.

Najwyższe domy przy tej ulicy miały zaledwie dwa piętra, były więc typowe dla małomiasteczkowej zabudowy w Wielkopolsce. Mazurek nie znał Obornik, mimo że często zdarzało mu się przejeżdżać tędy w drodze nad morze, do Kołobrzegu. Miasto nie dorobiło się jeszcze obwodnicy, więc cały ruch osobowy i ciężarowy odbywał się przez centrum, zostawiając po sobie rozjeżdżony asfalt i smród spalin, które musieli wdychać mieszkańcy. Bezradne władze gminy, niepotrafiące poradzić sobie z problemem, mogły codziennie przyglądać się tirom stojącym na światłach i kopcącym z rur wydechowych, bo droga krajowa, rozcinająca Oborniki na dwie części, przechodziła dokładnie pod oknami urzędu.

Tym razem Mazurek nie musiał przeklinać decydentów drogowych, stojąc w obornickim korku, bo śledząc adwokata, dostał się do miasta bokiem, przez stary, wąski most, którego nawierzchnia zbudowana była z drewnianych belek. Jezdnia była tam tak wąska, że w pewnym momencie wydawało mu się, iż nie da rady bezkolizyjnie minąć się z jadącą z przeciwka toyotą. Miejscowy kierowca, zapewne doskonale obeznany z tym miejscem, śmignął obok, a Mazurek, spocony, dziękując Bogu za bezpieczną przeprawę, znalazł się na miejskim rynku. Po chwili adwokat skręcił w jedną z ulic, jak informował drogowskaz, wiodącą w kierunku Piły, przejechał jakieś dwieście metrów i przystanął. Detektyw szybko znalazł miejsce do parkowania, a potem zabrał się za naturalne czynności umilające czas oczekiwania wszystkim śledczym, czyli palenie papierosów i myślenie o seksie. Gdy dopalił do końca, otworzył szybę i nonszalanckim gestem pstryknął niedopałek na chodnik.

– A pan nie wie, że nie wyrzuca się petów na chodnik? – Z objęć Alicji wyrwał go jakiś nieprzyjemny męski głos.

– Odpierdol się – rzucił były policjant.

– O, nie dość, że śmieci, to jeszcze bluzga – stwierdził głos, tym razem należący do kobiety. To on właśnie sprawił, że Mazurek w końcu odwrócił się zaciekawiony. Brodaty policjant w stopniu sierżanta i pucułowata policjantka o chabrowych oczach, z jedną belką na pagonach, czyli starsza posterunkowa, stali na chodniku, spoglądając na niego niezbyt przyjaznym wzrokiem.

– O, szkieły. Jakbym wiedział, że to służbowa sprawa, tobym nie kazał wam się odpierdolić, tylko kulturalnie się gonić.

– Sierżant Jakub Maślak, Komenda Powiatowa Policji w Obornikach. Proszę otworzyć szerzej okno, podać mi prawo jazdy, a potem oprzeć dłonie na kierownicy – polecił wypranym z emocji, służbowym tonem.

– No jeśli tak sobie pogrywacie ze mną, to w takim razie powiedziałbym jeszcze raz, że macie się pierdolić. Ale jako człowiek kulturalny powiem kulturalnie, że jeżeli nie podacie mi konkretnej przyczyny legitymowania spokojnego obywatela, który zgodnie z przepisami zaparkował przy chodniku w miejscu dozwolonym do parkowania i nie dokonał absolutnie żadnego wykroczenia, to możecie się pierdolić, nawet tu, na ulicy, ze sobą albo samodzielnie, jak sobie tam wolicie, he, he!

– Słyszałaś, Patrycja, że ten śmierzdel nas obraża.

– Oczywiście, że słyszałam. Trzeba by go wziąć na dołek, żeby sobie przemyślał swoje zasrane życie. – Dziewczyna mimo młodego wieku zdradzała już pierwsze cechy służbistki.

– A może od razu mnie zastrzelicie przy próbie ucieczki?

– Kładź, człowieku, ręce na kierownicę! – rzucił ostro sierżant.

– A prawka już nie chcesz?

– Proszę położyć ręce na kierownicę i nie dyskutować – pouczyła go dziewczyna.

– Co z was, kurwa, za pojeby. Nie wiecie, że trzeba najpierw przedstawić zarzut, a potem można dopiero...

Tego się nie spodziewał. Drzwi od auta otworzyły się gwałtownie. Ręka sierżanta chwyciła go za kark i pociągnęła silnym szarpnięciem ku sobie. Nawet się nie zorientował, kiedy poleciał głową w dół na chodnik. Naraz poczuł przeszywający ból, gdy czołem i policzkiem przejechał po chodnikowej płycie. Natychmiast kolano policjanta wbiło mu się w plecy, a obie ręce zostały wykręcone i skute kajdankami.

– I żebyś wiedział, psi chuju, że nie ma co zaczynać z policjantami – rzucił sierżant i kopnął go w bok.

– I z policjantkami – powiedziała dziewczyna i dołożyła kopniaka z drugiej strony. Zdziwił się nawet, bo ten kopniak zainkasowany od kobiety był zdecydowanie mocniejszy od pierwszego. Być może wynikało to z faktu, że ona bardziej niż sierżant przykładła się do swojej pracy.

– Czemu go bijecie, bandziory jedne! – usłyszał kobiecy głos.

– Niech się pani nie wtrąca – odpowiedziała opryskliwie policjantka.

– Jak mam się nie wtrącać, jak bijecie człowieka!

– To nie człowiek, to jest podejrzany – wyjaśnił sierżant. Mazurek odwrócił się na drugi bok i dostrzegł trzy metry od siebie niezbyt wysoką staruszkę z telefonem w dłoni.

– Jaki tam podejrzany. Wszystko widziałam, że siedział grzecznie w aucie i żeście go wyciągali.

– Niech pani nie przeszkadza w czynnościach służbowych! – zawołała ostro dziewczyna.

– A jak niby przeszkadzam? Stoję sobie w oddaleniu i robię ino filmik. I zaraz go wrzucę na tę jutubę, żeby wszyscy widzieli, jakie łotry pracują w Obornikach w policji. Żeśta są gorsze od tych chłelerników z ZOMO. Żeby tak niewinnego człowieka bić i tarmosić nim na chodniku.

– Niczego nie wolno filmować. – Sierżant stanął pomiędzy kobietą a leżącym Mazurkiem.

– Nieprawda, może pani filmować wszystko, na co ma pani ochotę. To na razie jeszcze wolny kraj i nikt nie może tego zakazać! – Były policjant nie miał zamiaru łatwo się poddać. Był skutny, ale walka jeszcze trwała, tym bardziej że włączyła się w nią niezłomna babcia.

– Niech pani odda ten telefon, bo zaraz i pani pojedzie z nami na komendę.

– Nic niech pani nie oddaje. Nie mają prawa.

– Po moim trupie oddam wam telefon, wy zbiry policyjne. Halina, Halina, patrz się tu szybko, bo te zomowskie łachudry teraz mnie chcą zaaresztować!

– Widzę wszystko jak na patelni. Ja tu wszystko nagrywam. – Nie widział drugiej kobiety, ale głos dolatywał z góry, więc musiała siedzieć w mieszkaniu i obserwować rozwój wypadków. – Ale nic się nie bój, Bożenka, nie damy się tak łatwo zastraszyć.

Wszystko się przekaże do Wolnej Europy i oni pokażą, jak policja w Polsce traktuje ludzi. – Co jest, pani Maliniakowa, trzeba co pomóc? – Tym razem odezwał się jakiś mężczyzna z tyłu.

– O, panie Bolku kochany, patrz się pan na to. Te chłelery jedne napadły na człowieka. Już im się we łbach poprzewracało – wyjaśniła.

– Prawda, panie Jurecki, wszystko żeśmy nagrały – powiedziała z okna druga z obserwatorek.

– Niech pan się lepiej nie wtrąca – ostrzegł mężczyznę policjant.

– Dalej, bierzemy go do samochodu! – zawołała policjantka.

– A niby z jakiej racji aresztujecie człowieka bez przyczyny? – Interweniująca na chodniku babcia nie miała zamiaru ustąpić.

– Proszę się rozejść, proszę nie robić zbiegowiska, bo zaraz wezwiemy dodatkowy patrol i wszystkich was wylegitymujemy! – Policjantka próbowała ostrej perswazji, ale że miała piskliwy głos, wyszło dość zabawnie.

– Wszystkich nas nie posadzicie! – Pani Halinka również nie miała zamiaru się poddać.

– Jestem niewinny! Nic nie zrobiłem! – Mazurek postanowił dolać oliwy do ognia.

– Niewinnych wsadzają jak za Jaruzelskiego! – wołała babcia Bożenka.

Policjant szarpnął Mazurkiem, by ustawić go do pionu. I w tym momencie jego partnerka dojrzała coś, czego nie powinna w żadnym wypadku zobaczyć u cywila. Spod kraciatej marynarki wystawała wyraźnie kabura, w której tkwił połyskujący oksydowanym metalem pistolet.

– On ma broń! – krzyknęła dziewczyna ostrzegawczo i jednocześnie wyciągnęła z kabury przy pasku swojego glocka. Ujęła go oburącz i wycelowała w Mazurka. Ten spojrzał na nią najpierw zdziwiony, a zaraz potem przerażony. Z doświadczenia wiedział bowiem, że nie na niczego gorszego niż przestraszony policjant żółtodziób z bronią w ręku.

– Mam skute ręce! Mam skute ręce!

Sierżant, który był chyba nieco bardziej doświadczony, a przy tym potrafił zachować zimną krew, spojrzał na swoją koleżankę, marszcząc przy tym groźnie brwi.

– Pati, kurwa, spokój! Uspokój się i schowaj gnata. Facet jest niegroźny. Zobacz!

Sięgnął pod ramię Mazurka i wy dobył z kabury pistolet P-83.

– Widzicie! – Uniósł broń w górę, tak żeby babcie i kilku innych przechodniów, którzy zatrzymali się na chodniku zwabieni awanturą, mogli dokładnie zobaczyć chwilę policyjnego tryumfu. – Zatrzymaliśmy groźnego i uzbrojonego przestępcę. Proszę nie przeszkadzać i się rozejść, bo odbywa się tu zatrzymanie policyjne.

– No dalej, nie słyszała pani, proszę nie przeszkadzać – pogoniła babcię policjantka Patrycja. – Groźny bandyta został zatrzymany, a pani utrudnia procedury.

– Nie żaden bandyta, ale emerytowany policjant, wy dupy wołowe! – Nie wytrzymał w końcu Mazurek. Policjant z Komendy Miejskiej Policji w Poznaniu.

Przez chwilę zrobiło się tak cicho, że słyhać było tylko monotony szum silników TIR-ów rozjeżdżających miasto. W końcu babcia Bożenka nie wytrzymała:

– Patrzcie się ludzie, co za gamonie. Zamiast aresztować bandytów aresztują policjantów.

– Walczą o statystyki – zgodził się z nią Bolek Jurecki.

Funkcjonariusze spojrzeli na siebie, a potem na skutego Mazurka, jakby ten celowo kazał się zatrzymać, żeby im zrobić na złość. Ale nawet jeśli rzeczywiście jest to policjant, to i tak trzeba go będzie zawieźć na komisariat i spisać protokół, pomyślał sierżant. Wiedział dobrze, że bez tego się nie obędzie, bo jeśli ta cholerna baba wrzuci filmik do sieci, to oni muszą mieć zabezpieczenie w postaci protokołu zatrzymania do wyjaśnienia. Inaczej marny byłby ich los.

Trzebiechowo

Godzina 18.30

Restauracja Pod Koziorożcami w Trzebiechowie wyglądała zwyczajnie, jak wiele takich podobnych knajp, które na przełomie wieków rozsypały się po całym kraju jako symbol odrodzonej po czasach komuny kuchni z pretensjami do tradycji. Kuchnia ta miała sięgać korzeniami do włościańskich receptur, których nigdy nikt nie zapisywał, bo włościanie raczej kiepsko pisali, więc nie było żadnej pewności, że mogły one mieć coś wspólnego z kulinarną spuścizną przodków. Miała za to dawać amatorom jedzenia jasny sygnał – może nie będzie tu przytulnie, ale na pewno narodowo, a jedzenie jest swojskie, tłuste i oczywiście drogie.

Ściany karczmy wzniesiono z drewnianych, grubo ciosanych bali, a dach pokryto trzciniową strzechą. Budynek sprawiał wrażenie nieco przysadzistego, no ale przecież nie oczekuje się lekkości po grochówce na boczku czy kapuśniaku na świńskim ryżu.

Nie bardzo wiedziała, z jakiego powodu przywiózł ją akurat tutaj. Ale dostrzegła, że ma jakiś pomysł, bo na pytanie dlaczego odpowiedział tylko tajemniczym uśmiechem. Zatrzymał auto na parkingu, wyłączył silnik i spojrzał na nią najwyraźniej zadowolony.

– Fajnie, że masz czas, bo z tobą to raczej trudno się umówić.

– Praca w policji jest wymagająca i absorbująca.

– Czyli że jest taka, no... podniecająca raczej – stwierdził, a ona spojrzała na niego, uśmiechając się, jak po usłyszeniu dobrego żartu. Ale on nie żartował. Chyba nie zrozumiał, o co jej chodziło.

– Ekscytująca, owszem – postanowiła naprowadzić go na właściwy trop. – Są takie chwile, gdy jesteśmy blisko rozwiązania zagadki, to rzeczywiście wtedy czujesz adrenalinę.

Ale przeważnie nie jest tak fajnie. Wiesz, te pościgi, strzały i mordobicia to wszystko zdarza się, prawda, ale przede wszystkim w filmach. A my zajmujemy się wypełnianiem statystyk i pisanie protokołów. W sumie to nudna biurowa robota.

– Brałaś udział w strzelaninie? – zapytał wyraźnie zainteresowany. Wzruszyła ramionami. W zasadzie to nie wiedziała, co powinna mu odpowiedzieć. Tak, zdarzyło się jej brać udział w czymś, co on nazywał strzelaniną, a ona mogła nazwać to dramatyczną sytuacją, w której mało brakowało, a mogła stracić życie. Nie raz, nie dwa, ale jak dotąd to chyba już pięć razy. Za każdym razem taką akcję odchorowywała najpierw w łóżku, a potem zbierając się do kupy przez kilka tygodni. Pociągnięcie za spust, gdy mierzy się do uzbrojonego człowieka, to nie jest zabawa. To dramat, z którym później trzeba się uporać i przepracować z psychologiem podczas sesji terapeutycznych. Ale sam strzał to nie wszystko. Do tego dochodzą jeszcze jego konsekwencje w postaci zabitych ludzi. Prawda, że ci, co strzelają do niej, nie dają żadnego wyboru. Albo oni, albo ona. Trzy razy wyszła zwycięsko z takiego starcia, jednak żadne nie miały filmowego charakteru pojedynku rewolwerowców. Tu stawką było jej życie albo tego drugiego. Trzej jej przeciwnicy nie przeżyli tego bliskiego spotkania. Musiała nauczyć się z tym żyć, mając świadomość, że w przyszłości może się zdarzyć podobna sytuacja. Owszem, gdyby była mniej odporna, mogłaby już do końca życia siedzieć za biurkiem i zajmować się papierami. Nikt by jej tego nie miał za złe. Ale to nie leżało w jej charakterze. Aneta była typowym psem i musiała czuć w swojej robocie zapach ulicy. Biuro było dla niej jak więzienie... Tylko jak ma mu o tym wszystkim powiedzieć?, zastanawiała się, spoglądając na wejście do restauracji. Przecież ten facet niczego nie zrozumie. On najzwyczajniej nie zna specyfiki pracy w firmie... Naraz ogarnęły ją wątpliwości. Czy dobrze zrobiła, że się z nim tu wybrała? Może powinna wsiąść na swój motocykl i mimo deszczu pojechać do domu. Już kilka chwil po zakończeniu tej ich telefonicznej rozmowy, gdy Adrian zadeklarował, że po nią przyjedzie, ogarnęły ją wątpliwości.

– Czy ty zawsze musisz wszystko rozbierać na czynniki pierwsze? – zapytała ją Martyna Urbanek, z którą kiedyś pracowała w Szamotułach. Tak się złożyło, że niemal dokładnie w tym samym czasie obie dostały przeniesienie do wojewódzkiej. Martyna już tu została, podczas gdy Aneta wróciła na stare śmieci. Jednak mimo odległości przyjaźń nie zgasła. Gdy tylko było to możliwe, umawiały się na pogaduchy. Tak jak teraz.

Martyna nie miała tu w wydziale prasowym własnego pokoju, ale w tym czteroosobowym, w którym stały jej biurko i komputer, akurat w tej chwili nie było nikogo. Usadziła więc Anetę na swoim krześle i pobiegła parzyć herbatę.

– Lubisz malinową? – zapytała, stawiając kubek na biurku.

– Każdą owocową – potwierdziła. – No przecież wiesz.

Skinęła głową.

– Tak tylko pytam o tę malinową, bo ktoś jej nie lubi, ale nie pamiętam kto. – Martyna zaczęła wysypywać z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, jakby się bała, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego, co ma do powiedzenia. Trajkotała jak katarynka, podczas gdy małomówna Aneta słuchała. Może dlatego właśnie tak doskonale ze sobą się dogadywały. – Zresztą nieważne. A ja sobie robiłam kawę. Bez kawy nie daję rady. Czasami się zastanawiam, jak ty możesz żyć, nie pijąc kawy? Kawa rano stawia mnie na nogi, druga w pracy pozwala się obudzić, trzecia dodaje energii, gdy już siedzę przy kompie

i chce mi się z nudów spać. Jakbym była na twoim miejscu, tobym piła, bo inaczej bym chyba zasnęła na zawsze.

– Nieraz piję – stwierdziła, podnosząc biały kubek z napisem „POLICJA”. – Jak nie mam innego wyjścia.

– No to mów, co jest z Blachą? – Martyna już wiedziała, z czym przychodzi do niej przyjaciółka. Zdążyła jej to powiedzieć przez telefon, nie zdradzając jednak szczegółów.

– Blacha został szefem dochodzeniówki w komendzie...

– To wiem, ale mów, zadzwonił do ciebie i co?

– No powiedział, że tworzy zespół i nie wyobraża sobie, żeby mnie w nim nie było.

– A ty co?

– A niby co miałam powiedzieć? No jasne, że się od razu zgodziłam.

– I bardzo dobrze. Świetnie. To znaczy, że będziesz w Poznaniu. Doskonale. Możesz na początek, zanim znajdziesz mieszkanie, nocować u mnie. W ogóle się nie zastanawiaj, miejsca jest dosyć. Dostaniesz pokój i mieszkać, jak długo będzie trzeba. A jak już będziesz tutaj, to się rozejrzemy i coś dla ciebie znajdziemy. Jest sporo mieszkań na wynajem, a jak będzie epidemia, to będzie jeszcze więcej.

– Jak to?

– No normalnie, słyszałam, że rozważają lockdown. To znaczy, że wszystko pozamykają i ludzie nie będą mogli się przemieszczać. Czyli jak ktoś ma mieszkania na krótkoterminowy wynajem hotelowy, to będzie musiał wynająć na dłużej, żeby w ogóle coś zarobić.

– Skąd to wszystko wiesz?

– No w końcu jestem w zespole prasowym, dziewczyno. No, ale co tam lockdown. Najważniejsze, że będziesz w Poznaniu. Będę miała z kim chodzić na zakupy i w ogóle jak za dawnych dobrych czasów. A co z twoim etatem?

– No właśnie jest cały czas w wojewódzkiej.

– Blacha go przeniesie? A co na to Marjański? To jest niezły dupek, ale niekiedy da się z nim pogadać. Żeby sprawa tylko nie poszła do góry, bo gdzieś utknie i będzie syf. Na szczęście twój prześladowca Barszczak leci. Idzie dupek na emeryturę. I tak się dziwię, że tak długo go tu trzymali. To w końcu kompletny cymbał bez polotu.

– Słyszałam, że już się pakuje.

– To szybko się rozniosło, bo to świeży news.

– U Mariusza się dowiedziałam...

– A właśnie. I co, jak cię przyjął?

– No wiesz, jaki jest Blacha. On ma w sobie tę taką zawodową rezerwę. Taki, można by powiedzieć, dystans do ludzi, który każe się trzymać trochę z daleka.

– Wobec ciebie też?

– Jak weszłam, od razu mnie wycalował.

– He, he! Wiedziałam. Stara miłość nie rdzewieje.

– Jaka miłość? – Aneta poczuła dziwny dreszcz.

– No tak tylko mi się powiedziało, że...

– Co masz na myśli? – drążyła, bo wyczuła, że Martyna coś chce ukryć.

– No nic. W zasadzie to zupełnie nic. Tylko tak mówię, he, he. Bo Blacha, jak patrzył na ciebie, to zawsze miał takie oczy jak ten osiołek w zoo.

– Jak osiołek?

– No nie wiesz? Jak się wchodzi do zoo, to po prawej...

– Nie o osiołka mi chodzi, tylko o Mariusza.

Martyna upiła łyk kawy. Poczowała, że zabrnęła w ślepy zaułek i właśnie została zmuszona przez wytrawną śledczą do mówienia.

– Wiesz, bo ja zawsze miałam takie wrażenie, że on patrzył na ciebie tak, jakby spoglądał na jakieś bóstwo.

– Ale teraz gadasz. – Aneta pokręciła zdecydowanie głową, a na jej ustach pojawił się drwiący uśmiech. Znała Mariusza dobrze, lepiej niż Martyna, i wydawało jej się, że potrafi rozszyfrować te wszystkie jego spojrzenia. Ale oślich oczu nigdy u niego nie dostrzegła. Martyna poszła najwyraźniej za daleko w swojej interpretacji. – Mariusz mnie ściąga do siebie, bo wie, że jestem profesjonalistką.

– Tak, tak, masz całkowitą rację. – Przyjaciółka skwapliwie przytaknęła.

– A z etatem to tak zrobił, że to Marjański sam zaproponował mu, że go odda.

– Jak to?

– Blacha powiedział, że potrzebuje etatów, takich, co wiesz, są delegowane, żeby móc je obsadzić, i że może mu oddać jakąś berettę, a on za to sam mu zaproponował to oddanie etatów. Nie jednego, ale dwóch, za starą spluwę.

– Za berettę? – zdziwiła się Martyna.

– To jakiś stary pistolet, który należał do ich kumpla, tego rudego Mirka Brodziaka. Pamiętasz? Tego, co w Szamotułach na stacji benzynowej pomógł nam zatrzymać tego zbrojnego, co mordował dziewczyny...¹²

– Pamiętam Brodziaka doskonale. On jest jakimś dyrektorem banku, czy jakoś tak. Zaraz, on miał wtedy na tej stacji właśnie berettę... Mówisz, że to dla nich jest jakiś ważny przedmiot?

– No tak. Marjański mało się nie posikał, jak Blacha powiedział, że mu odda tego gnata. Od razu zaproponował mu, że mu da te dwa etaty...

– Blacha przyjaźnił się z Brodziakiem... – przerwała jej Martyna.

– No przecież wiesz, że to starzy przyjaciele.

– I on w zamian za twój etat oddał taką cenną pamiątkę?

– No tak, ale to w końcu tylko kawał żelastwa.

– Dla faceta taki kawał żelastwa to może być coś nieprawdopodobnie cennego. Aneta, ty nie rozumiesz? On oddał za ciebie kawałek własnej historii. Coś, na czym im wszystkim zależało jak cholera... Nawet temu ćwokowi Marjańskiemu.

Spojrzała na wypchanego niedźwiedzia, stojącego w holu restauracji, i naraz poczuła, że nie chce się jej jeść.

– Ustaw się koło tego misia, to zrobię ci zdjęcie – zaproponował Adrian. Podeszła i nawet się uśmiechnęła, ale wcale nie było jej do śmiechu. Obok niedźwiedzia stała kozica, a dalej puma. Z tyłu ścianę zdobiły czaszki z porożami. Poczowała się, jakby ktoś robił jej zdjęcie na cmentarzu. Nie powiedziała mu tego. Patrzyła na jego zadowoloną twarz. Najwyraźniej był dumny z wrażenia, jakie wywarła na niej ta makabryczna wystawa.

– Chodź do stołu. Oni mają świetną myśliwską kuchnię. To dlatego właśnie cię tu przywiozłem. Już dawno chciałem ci pokazać to miejsce.

– Dlaczego akurat to? – zainteresowała się, stanąwszy przy stole, który wskazał Adrian. Czekwała, aż jej odsunie krzesło.

– Siadaj, nie krępuj się – powiedział i zajął swoje miejsce. Co miała robić, też usiadła, nie doczekawszy się dżentelmeńskiego gestu. – Bo wiesz, ty jesteś w policji, czyli masz do czynienia z bronią. Dlatego się pytałem, czy zaliczyłaś jakąś strzelaninę. Bo ja też lubię broń. I nawet myślę, żeby zapisać się do koła łowieckiego. No wiesz, żeby trochę postrzelać. Ty masz zezwolenie, więc zanim ja dostanę, to moglibyśmy kupić na ciebie jakiś sztucer i poćwiczyć strzelanie gdzieś w lesie. Co myślisz? Ale najlepiej to bym chciał mieć takiego kałacha. Wiesz, o czym mówię, nie?

– Z pistoletu maszynowego chciałbyś strzelać do zwierząt? – Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– He, he. No nie, do jelenia to sztucer wystarczy. Ale taką giwerę to warto mieć w chacie, jakby się jakiś złodziej nawinął. No wiesz, o co chodzi. *My home is my castle.*

Gdy przyszedł kelner, zamówiła ruskie pierogi. Adrian, który wziął sznycel z jelenia, trochę się zdziwił, że nie chce dziczyzny, ale wystarczyło, że spojrzała na te wypchane zwierzaki, by odechciało się jej mięsa na długo. No może poza hot dogami na stacji benzynowej. Choć tak na sto procent nikt nie wiedział, czy w nich w ogóle jest jakieś mięso. Poza tym odechciało jej się też Adriana.

Rozdział VII

Okolice Obornik Wielkopolskich

Godzina 18.40

Długa milicyjna pałka ze świstem przecięła powietrze i z nieprzyjemnym plaśnięciem wylądowała na gołym chudym tyłku. Temu dźwiękowi odpowiedział przeciągły jęk, zduszony przez szmatę wetkniętą do ust i skutecznie je kneblującą. Nim cichy skowyt wybrzmiał, kolejny cios wylądował tym razem nieco wyżej, w okolicach nerek. Musiał być zdecydowanie bardziej bolesny, bo przywiązany do drzewa człowiek zaczął podrygiwać w spazmatycznych konwulsjach. Trzecie uderzenie znów trafiło w pośladki. Jęk przerodził się w nieludzkie wycie, tyle że nikt, kto mógłby przyjść z ratunkiem, nie miał najmniejszej szansy, by usłyszeć zawodzenie torturowanego człowieka. Słyszały go za to ptaki siedzące na drzewach i kilka jeży budzących się do nocnej peregrynacji po swoich terenach. Słyszał też ten, który używał starej, dobrej i nie raz już wypróbowanej pałki zomowskiej, kiedy wykorzystywanej do rozpędzania demonstracji ludzi walczących z komunistycznym systemem. Dziś policja posługiwała się zupełnie innymi narzędziami do rozpędzania nielegalnych zgromadzeń, a te białe pały, zwane koncertowymi, można było kupić na aukcjach internetowych za kilkadziesiąt złotych. Ludzie wieszali sobie je na ścianach jako pamiątkę dawnych czasów. Mało kto kupował, żeby używać jej zgodnie z przeznaczeniem, bo była za długa i trudna ukrycia pod ubraniem. On też kupił w necie, ale nie dla ozdoby. Dla niego to było tanie i niezwykle przydatne narzędzie pracy, które zawsze woził w swoim bagażniku. Dziś zomowska pałka znów okazała się niezwykle użyteczna.

– No dobra, na razie wystarczy – powiedział Mazurek i otarł pot z czoła. Nic dziwnego, takie lanie opornego faceta wymagało w końcu prócz wprawy także siły. Zmęczył się trochę, bo nie był już młodzieńcem, który mógł chlać przez całą noc, a potem pójść rano do pracy. Sięgnął po papierosa, włożył go do ust i zapalił.

– Nie wiem, czy palisz, ale cię nie poczęstuję, bo już mi mało zostało fajek, a nie wiem, kiedy kupię nową paczkę. Ale mam nadzieję, że się nie obrazisz i nie wpłynię to na naszą dalszą, mam nadzieję, dobrą współpracę. Bo wiesz, tak naprawdę to ja wcale nie lubię nikogo bić. Najbardziej lubię, jak się uda od razu dojść do porozumienia bez tej niepotrzebnej fatygi.

Zatknął sobie pałkę za pasek, dopalił papierosa i zgasił go na pniu drzewa, dokładnie sprawdzając, czy aby nie poleciała na dół jakaś iskierka, która mogłaby być zarzewiem pożaru. Niedopałek położył na chusteczce higienicznej, dokładnie go zawinął i włożył do kieszeni. Bo Mazurek bardzo lubił lasy i zawsze, gdy się znalazł w tak pięknych okolicznościach przyrody, dbał, aby nic po nim nie zostało, żaden papiererek, puszka czy butelka. Uważał, że człowiek ma obowiązek dbać o naturalne środowisko, a tych wszystkich, którzy śmieć w lesie, najchętniej by powystrzelał. Albo przynajmniej obić swoją pałą.

Mężczyzna, którego bił, stał nagi przy pniu sosny, obejmując ją oburącz. Z drugiej strony ręce miał spięte policyjnymi kajdankami, więc Mazurek mógł podejść całkiem blisko, nie

obawiając się o własne bezpieczeństwo.

– No proszę, tyłek siny, plecy sine – zauważył z troską w głosie. – I po co ci to było? Zawsze zastanawiają mnie ludzie, którzy nie chcą od razu mówić, tylko czekają nie wiadomo na co. I wiesz co, ciągle natrafiam na takich. Zapytasz po dobroci i nic. Mówię, przekonuję i jak grochem o ścianę. Nic nie dociera. Nie i koniec. I co ja mam robić w takiej sytuacji, jak ja muszę się dowiedzieć, jaka jest prawda? No muszę użyć tak zwanych środków perswazji, bo inaczej niczego bym się nie dowiedział. A mi przecież płacą za to, żebym znajdował odpowiedzi na trudne pytania. Ale najpierw zaczniemy od łatwych pytań. Ja zapytam, a ty tylko skiniesz głową. Ja skiniesz, to dobrze, jak nie skiniesz, to... no to trudno. To jak, mogę zapytać?

Mężczyzna szybko pokiwał głową.

– O, i to mi się podoba. Od razu lepiej, bo jak się domyślasz, nie mam zamiaru spędzić tu z tobą całego wieczoru. Ja chcę już jechać dalej, napić się piwa i odpocząć trochę po dniu pełnym wrażeń. No to co, będziemy rozmawiać?

Spojrzał na swojego więźnia, a ten znów szybko skinął.

– No to się w takim razie cieszę. Wyciągnę teraz ci z gęby ten śmierdzący szmat, dam ci się napić wody, żebyś mógł mówić, i spokojnie sobie pogadamy jak Polak z Polakiem. Pamiętasz, kto rozmawiał jak Polak z Polakiem? Wałęsa i Miodowicz. Nie, za młody jesteś, żeby pamiętać Miodowicza. To był związkowiec z OPZZ-u, który myślał, że tego Wałęsę to wciągnie nosem podczas telewizyjnej debaty. To było w osiemdziesiątym ósmym roku, jeszcze za Jaruzelskiego. Ale co cię może obchodzić takie wydarzenie historyczne, jak ty masz ważne sprawy na głowie. Chociażby to, że chcesz mi powiedzieć wszystko po kolei, co i jak.

Mazurek chwycił za szmatę i pociągnął ją ku sobie. Uwolniony z knebla mężczyzna najpierw wciągnął głęboko powietrze, a potem spróbował wypluć to, co zostało po szmacianym paskudztwie. Nie udało się, bo miał w ustach zbyt sucho. Były policjant znał tę reakcję doskonale. Nie był to pierwszy zakneblowany człowiek, którego przesłuchiwał. Podał mu więc butelkę z wodą i przytrzymał tak długo, aż facet zaczął się krztusić.

– No to jak już ci lepiej, to chyba możemy sobie pogadać. Bo wiesz, w gruncie rzeczy to ja się brzydzę przemocą. – Powiedziawszy to, wyciągnął pałę zza paska, podsunął ją pod nos mężczyzny i zaraz uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy nierównych zębów, pożółkłych od nikotyny. – Na znak pokoju odkładam pałę, a ty zadbaj o to, żebym nie musiał jej już dziś więcej używać.

Mało brakowało, a wcale by jej nie użył. Ten fatalny zbieg okoliczności mógł doprowadzić do tego, że najbliższą noc, a może i nawet dwie, spędziłby na dołku w obornickiej komendzie. Ale miał szczęście. Zresztą zawsze powtarzał, że jemu to szczęście sprzyja szczególnie mocno. Wystarczyło tylko spojrzeć na jego przyjaciółkę, która ponad wszystko uwielbiała seks, by zrozumieć, że Mazurek czuł się wybrańcem losu. Też lubił te jej wszystkie niespodziewane ataki w aucie czy w windzie, nie mówiąc już o tym, co wyprawiali codziennie w domu. Ale dzisiaj zaczęło się w Obornikach od pechowej sytuacji, która mogła doprowadzić do tego, że przez najbliższych kilkadziesiąt godzin mógł nie zaspokoić wybranki swojego serca.

Wszystko przez tych policyjnych gówniarzy, którzy go aresztowali.

– Robicie błąd – próbował im wyjaśnić ich ewidentną pomyłkę, ale ci nie chcieli słuchać.

– Siedz cicho, dopóki cię nie sprawdzimy – rzucił ten młody sierżant, przykuwając go do stołu przesłuchań. Nie szarpał go jednak już tak zdecydowanie jak wcześniej. Informacja o tym, że jest byłym gliniarzem, musiała zrobić na nim jakieś wrażenie. Z takimi byłymi to nigdy nic nie wiadomo. Przecież mógł mieć wysoko postawionych kumpli, którzy cały czas pracowali w firmie. Zatrzymali go i być może popełnili błąd, a więc teraz musieli wypić to piwo, którego sobie nawarzyli własną nadgorliwością.

– A mogę o coś się zapytać? – rzucił lekkim tonem, jakby siedział na ławce w parku, a nie w miejscu, do którego trafiają przestępcy.

– No – mruknął sierżant.

– A pracuje u was jeszcze nadkomisarz Szczepaniak?

– Co? – zapytał Maślak, choć usłyszał całkiem dobrze. Pytanie było potrzebne, żeby zyskać na czasie. Musiał zebrać myśli, usłyszawszy nazwisko zastępcy komendanta, i to nie byle jakiego zastępcy, ale samego Szczepaniaka: faceta, którego spojrzenia bali się wszyscy podwładni. Gościa, który potrafił opieprzyć i zbluzgać funkcjonariusza za źle zawiązany krawat albo niedopięte guziki. I teraz okazuje się, że ten tu obwieś, który został zatrzymany za śmiecenie i opór władzy, pyta się, jak gdyby nigdy nic, o Szczepaniaka. Sierżant poczuł, że robi mu się gorąco. Ale nie mógł przecież okazać słabości.

– Nadkomisarz Szczepaniak, tak jest, znaczy jest i pracuje.

– Aha, no to dobrze się składa, mój drogi sierżancie. W tej sytuacji lepiej będzie, jak zaraz zadzwonisz do niego i powiesz mu, że masz tu w pokoju przesłuchań starszego aspiranta Mazurka. Arkadiusza Mazurka z Poznania.

– Ale ja nie mam numeru do nadkomisarza...

– He, he! Może ty nie masz. Ale ja mam w mojej komórce, co żeście mi ją zabrali. Tyle że ja nie chcę, żebyś prywatnie dzwonił do niego. Zadzwoń normalnie, drogą służbową do sekretariatu, i powiedz mu, że... Powiedz mu, żeby wpadł tu do mnie na przesłuchanie.

– Jak?

– Powiedz mu, że chrestny jego córki Moniki przyjechał z wizytą, ale coś go zatrzymało w pokoju przesłuchań.

– O kur... – Chciał powiedzieć sierżant, ale w porę się zreflektował. Nie mógł dać satysfakcji temu gościowi. – Zobaczymy, czy warto komendantowi zawracać głowę.

– Lepiej zawróć, bo jeśli nie, to jak stąd wyjdę, pierwsze, co zrobię, to pójdę do niego pogadać o tym, jaki macie piękny pokój do przesłuchiwanie niewinnych ludzi. No i jeszcze opowiem o profesjonalistach, którzy zatrzymują kogo popadnie. A sierżanta Maślaka szczególnie wyróżnię za fachowość i właściwe podejście do obywateli.

Pięć minut później do pokoju wtoczył się wielki brzuch, a zaraz za nim cała reszta nadkomisarza Szczepaniaka, który mierzył sto dziewięćdziesiąt centymetrów i kto wie, czy nie ważył tyle samo.

– Jak Boga kocham, to przecież jest naprawdę Mazurek. Czemu on jest w obrączkach? – zapytał sierżanta, który wszedł za nim i czekał właśnie na wyrok.

– Melduję, panie komendancie...

– Nic mi, kurwa, nie melduj, tylko go odpinaj, ale już. A ty skąd żeś się tu wziął?

- A widzisz, przez pomyłkę mnie zdjęli. Za niewinność.
- Ma się rozumieć, że za niewinność. Za co żeś go zaobrączkował?
- Melduję, panie komendancie, że wyrzucił peta na ulicę, i jeszcze za śledzenie obywatela. Mecenas Warnke zadzwonił do nas, że od Poznania jedzie za nim jakiś samochód i on się obawia o swoje życie.
- I co?
- No to pojechaliśmy sprawdzić, kto go śledzi, bo mecenas mówił, że auto stoi u niego pod biurem i on się boi wyjść. Więc zgłoszenie było jak najbardziej wiarygodne.
- I zatrzymaliście go za ćmika na chodniku?
- Za coś trzeba było...
- He, he! Bardzo dobrze żeście zrobili, że znaleźliście pretekst. Kto z tobą był?
- Patrycja... znaczy się starsza posterunkowa Milewska.
- Dobrze żeście się sprawili, ale źle, że szkieła żeście zatrzymali. Zrobili ci co? – zapytał z troską, spoglądając na otarcia na policzku i czole Mazurka.
- Nic nadzwyczajnego. Kontakt z chodnikiem.
- Macie szczęście, bo mój przyjaciel nie wnosi skargi. Co, nie wnosisz?
- Nie ma o czym gadać – stwierdził detektyw, spoglądając spod zmarszczonych brwi na sierżanta, który właśnie zdejmował mu kajdanki.
- A teraz, Maślak, przeproś aspiranta Mazurka za pomyłkę i w ogóle za wszystko przeproś. A my idziemy na górę do mnie na kawę i ciasteczko. Kawę mam, a po ciastka wyślij tą małą Patrycję, jak ona się nazywa?
- Milewska.
- Właśnie, niech leci i kupi bezy i jeszcze coś, jakiś serniczek. A ty poszperaj, co mamy na tego mecenasa Warnke, i za pół godziny u mnie na górze zreferujesz panu aspirantowi wszystko, co o nim wiemy, żeby mu ułatwić życie po tym, jak żeśmy je mu skomplikowali...

Warnke drżał z zimna, ale i ze strachu, czekając na pytania Mazurka, ale ten nie śpieszył się specjalnie. Musiał odpisać swojej lwiczce, która właśnie przysłała mu serię zdjęć kilku intymnych zakamarków swojego ciała. Napisał, że te szczegóły zostaną wkrótce dokładnie przez niego zbadane, ale musi najpierw zakończyć śledztwo. A śledztwo szło w bardzo dobrym kierunku dzięki pomocy zastępcy komendanta, który zgodził się ujawnić wszystkie informacje na temat mecenasa. Najważniejszy, by nie powiedzieć, kluczowy, był jego domowy adres. Dzięki temu Mazurek po wyjściu z komendy pojechał do domu prawnika, zadzwonił do drzwi pachnącej nowością willi, a gdy pojawił się w nich długowłosy adwokat, najspokojniej w świecie wyciągnął pistolet, wymierzył w niego i grzecznie poprosił:

- Pan mecenas pojedzie ze mną na krótką przejażdżkę. I bez gadania, bo się mogę zdenerwować.
- Jasiu, kto tam? – usłyszał kobiecy głos dobiegający ze środka.
- Nie, nic, to do mnie! – zawołał Warnke i posłusznie poszedł do auta Mazurka. Pojechali za miasto, w kierunku na Czarnków. W najbliższym lesie były policjant przykuł go do

drzewa i wkrótce rozpoczął fazę wstępną przesłuchania. Teraz przechodził do kolejnej.

– Faza druga mojego przesłuchania zatytułowana jest „sama prawda” – wyjaśnił prawnikowi. – Chodzi o to, że ja się pytam, a ty odpowiadasz. Za każdą nieprawidłową odpowiedź inkasujesz strzał w dupę. Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

– To bardzo dobrze, w takim razie pytanie pierwsze...

Pół godziny później Mazurek wiedział już wszystko, co potrzebne mu było do jego śledztwa. A mecenas mógł zastanowić się nad sensem życia albo czymkolwiek innym w bagażniku jego auta.

Poznań

Godzina 21.15

– To musi być jakaś cholerna pomyłka.

– Oczywiście, że pomyłka. Nie denerwuj się i powiedz mi wszystko po kolei, jak było.

– Nic nie rozumiem, nic nie rozumiem...

– Spokojnie, Ewa. Wszystko się da racjonalnie wyjaśnić.

– Jak można racjonalnie wyjaśnić taki gruby plik banknotów w naszej szafce na narzędzia? To przecież jest niemożliwe. Ktoś nam to podrzucił, bo pewnie chodzi o Adama. Rozumiesz? Dlatego zaraz zadzwoniłam do ciebie. Myślałam nawet o policji...

– Całe szczęście, że nie zadzwoniłaś na policję. Jeśliby oni znaleźli taką kasę w domu, to już by było pozamiatane. Adam by się już nie wywinął.

– To co zrobić?

– Najpierw musimy poczekać na Adama. Gdzie on jest?

– Nie mam pojęcia. Siedzi chyba jeszcze w pracy. Dzwoniłam do niego sto razy, ale nie odbiera...

Naraz oboje usłyszeli niezbyt natarczywy pisk domofonu. Ktoś na dole musiał wpisywać kod do drzwi, bo domofon zaczął jeszcze raz i zamilkł.

– To Adam idzie – stwierdziła z ulgą Ewa Włodarczyk. Przyjaciół jej męża, adwokat Michał Słomianny, siedział przy kuchennym stole i popijał colę z dużej szklanki. Gospodyni nie miała głowy do tego, żeby pomyśleć o kawie czy herbacie. Gdy zadzwoniła do niego i powiedziała, co się stało, od razu wsiadł w samochód i przyjechał na Garbary, żeby nie dać jej szansy na popełnienie jakiegoś głupstwa. Mogła przecież rzeczywiście wpaść na pomysł, żeby o wszystkim poinformować policję, a to byłaby kompletna katastrofa. Wtedy cały misterny plan przygotowany przez niego zawałiłby się w gruzy, a jego kolega Włodarczyk mógłby dostać zarzut przyjęcia łapówki. Prawda, nie wiadomo było, od kogo ta łapówka, ale ci z CBA potrafili łączyć fakty tak, jak chcieli, czyli jak im wygodnie, żeby osiągnąć cel. Już oczyma wyobraźni widział banknoty poukładane w rządki na stole, obok kilka telefonów komórkowych, do tego ze dwa laptopy i funkcjonariusza w rękawiczkach grzebiącego w tych rekwizytach. A wszystko to pod czujnym okiem kamery telewizji publicznej, w której następnego dnia ukazuje się materiał o pieniądzach znalezionych w mieszkaniu urzędnika miejskiego z Poznania, powiązanego bezpośrednio z prezydentem miasta. Co prawda nikt nie skojarzyłby tej sprawy z zabójstwem dziewczyny, ale zawsze było

niebezpieczeństwo, że sam Włodarczyk z czymś wypali podczas przesłuchania. Nie był typem twardziela i całkiem prawdopodobne, że mógłby się załamać, badany przez dobrego śledczego, i niepotrzebnie coś wypaplać.

Najgorsze, że nie mógł go zawiadomić o tym, co dzieje się w domu. Gdy zadzwoniła do niego Ewa, od razu pomyślał, że musi ostrzec Adama, żeby czasami się jakoś nie zdradził. Ale ten cymbał nie odbierał telefonu. Wysłał mu co prawda SMS-a, ale gdy sprawdzał swoją skrzynkę kilka minut temu, widział, że jego wiadomość nie została jeszcze wyświetlona. Dlatego teraz postanowił od razu wziąć sprawy w swoje ręce i przejąć inicjatywę, żeby jego kumpel nie palnął jakiegoś głupstwa.

– Adam, do jasnej cholery, gdzieś ty był! – zawołała Ewa na widok męża, który wyglądał trochę nieświeżo. Krawat miał rozluźniony, a dwa ostatnie guziki koszuli były rozpięte.

– No wiesz, musiałem pójść na drinka do knajpy... – odpowiedział, uśmiechając się z pijacką przesadą. Michał ocenił go natychmiast na jakieś cztery drinki. Wystarczająco, by mówić nieco wolniej niż normalnie, ale jednocześnie nie na tyle dużo, by nie móc jeszcze w miarę trzeźwo myśleć.

– Widzisz, Michał, tu się wali i pali, a on sobie chodzi do knajpy!

– No przecież ci pisałem eskę, że Mirek Dębowy z wydziału inwestycji ma urodziny. No musiałem iść, bo jakbym nie poszedł, to wiesz... By się obraził. A z Dębowym to trzeba dobrze żyć. – Mówiąc to, zdejmował nieporadnie płaszcz, a potem marynarkę. Położył torbę na stoliku w przedpokoju i wszedł do kuchni. Spojrzał na siedzącego za stołem kolegę, uśmiechnął się do niego i już chciał coś powiedzieć, gdy naraz jego spojrzenie zatrzymało się na stercie banknotów rozłożonych na blacie. Leżąca obok reklamówka z Biedy mówiła sama za siebie. To były te pieniądze, które mu przysłano. Tylko co one, do cholery, robiły na stole i dlaczego Słomianny je wyciągnął? A może przyszła kolejna paczka i Ewa ją otworzyła? Analizował gorączkowo sytuację, ale myśli nie kleiły się tak, jak powinny.

– Co to jest, do cholery? – wydusił w końcu z siebie kompletnie skołowany.

– To ty mi może powiedz, co to jest? – Żona od razu przeszła do ataku, licząc zapewne, że jeśli to jest jego sprawka, to przyszpilony do ściany wszystko natychmiast wygada. – Skąd u nas w domu tyle pieniędzy? Bierzesz łapówki, tak? A pomyślałeś kiedyś o mnie? Pomyślałeś o dzieciach? Chcesz, żeby cię złapali i wsadzili do więzienia, tak? To proszę bardzo, niech cię wsadzą...

– Ewuś, ja nie wiem...

– Proszę bardzo, niech cię posadzą na dwadzieścia lat. A my co będziemy wtedy robić? Umrzemy z głodu. Będziemy musieli się stąd wyprowadzić do jakiegoś małego mieszkania na prowincji, bo w życiu z mojej pensji nie spłacimy tego kredytu. Ty sobie będziesz spokojnie siedział w więzieniu i rozwiązywał te swoje ulubione krzyżówki, a ja będę harować od rana do nocy, żeby wyżywić i ubrać dzieci. I nie myśl sobie wtedy, że ja jeszcze będę miała czas, żeby jeździć do ciebie do Wronek i zawozić ci paczki żywnościowe. Zapomnij o tym. Ani razu tam nie pojedę. Nie przekroczę bramy więziennej, choćbyś mnie błagał na kolanach.

– Ale, Ewuś, posłuchaj...

– Nie będę słuchała. Nic mnie nie obchodzą twoje wymówki. Jeśli wzięłeś łapówkę, to się lepiej od razu przyznaj, żeby kara była niższa. Prawda, Michał, że mam rację? Powiedz mu, że powinien się przyznać, bo inaczej...

– W żadnym razie do niczego nie może się przyznać – rzucił zdecydowanym tonem Słomianny. – Jeśliby się do czegoś przyznał, to już jest po nim. CBA wciśnie go w maszynkę do mięsa i przemielą na drobne kawałki. Więc o żadnym przyznaniu nie ma mowy.

– Nie? – zdziwiła się, mimo że wcześniej już o tym rozmawiali. Widać jej własna logika podpowiedziała zupełnie inne rozwiązania. Zdawała się nie przyjmować wcale do wiadomości, że Adam może być w tej sprawie poza podejrzeniem. Zresztą bardzo słusznie, pomyślał adwokat i spojrzał na gospodynię.

– Ewa, ochłoń trochę. Weź butelkę wina i siadaj do stołu. Tak samo ty! – Skinął na swojego przyjaciela. Ten wzruszył ramionami i znów uśmiechnął się po pijacku.

– Ewuś, siadaj – poprosił żonę. – Ja ci należę winka.

– Jest otwarte w lodówce – poinstruowała go żona. Poszedł więc po kieliszek do szafki. Sięgnął przy okazji po szklankę do whisky. Po chwili wrócił do stołu i postawił przed nią kieliszek z białym winem.

– A ty już nie masz dosyć? – Spojrzała na łyskacza.

– Jak piję, to mi łatwiej zebrać myśli.

– I co, już zebrałeś i wiesz, od kogo dostałeś te pieniądze?

– Ewuś, posłuchaj...

– Nie ma czasu na dywagacje – wtrącił się Słomianny. – Trzeba znaleźć rozwiązanie.

– A ty nie chcesz czegoś mocniejszego? – zapytał Włodarczyk, który właśnie zaczynał analizować swoją sytuację pod kątem tego, ile jeszcze będzie mógł dziś wypić szklaneczek. Pieniądze i rozwiązywanie problemów były w tej chwili zdecydowanie mniej interesujące.

– Nie, ktoś musi tu być całkiem trzeźwy – stwierdził zdecydowanym tonem adwokat. – Ustalmy więc fakty. Zadzwoń do mnie Ewa z informacją, że znalazła w szafce na narzędzia pieniądze. Całą kupę pieniędzy, co widać na stole.

– Niezła sumka – stwierdził gospodarz.

– Myślę, że agentom CBA też by się spodobała. Ale do rzeczy. Najpierw pytanie zasadnicze. Czy wiesz coś na temat tych pieniędzy? – zapytał Włodarczyka. Ten natychmiast pokręcił głową.

– Nigdy w życiu ich nie widziałem – stwierdził twardo i oczywiście z pijacką przesadą.

Słomianny uśmiechnął się pod staranie przyciętym wąsem. Jego broda i wąs były wypielęgnowane niemal doskonale. Nic dziwnego, skoro ich właściciel chodził raz w tygodniu do barbera. Adwokat był zadowolony, bo Włodarczyk nie przejawiał żadnych oznak zdenerwowania. Najprawdopodobniej przeczytał tego SMS-a, którego wysłał mu przed godziną. Czyli wie już, w czym rzecz, teraz trzeba tylko uspokoić żonę.

– Skoro nigdy nie widziałeś tych pieniędzy, to znaczy, że nikt nie wręczył ci łapówki.

– Nigdy w życiu. – Włodarczyk machnął ręką i mało brakowało, by strącił na podłogę szklankę z whisky. – Nikt mi niczego nie dawał, niczego nie dawał.

– Jesteś pewny? – zapytała niepewnym głosem Ewa.

– Pewny jak niczego na świecie. Gdybym wziął w łapę, tobym ci o tym powiedział.

– Naprawdę? – Spojrzała na niego z czułością, a jej nastawienie do męża zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. – Kochany jesteś. Od początku wiedziałam, że to musi być

pomyłka.

– O pomyłce nie ma mowy – stwierdził prawnik. – Wszystko wskazuje na to, że te pieniądze ktoś tu podrzucił.

– Ale po co? – zapytała zdziwiona.

– Po to, żeby go w coś zrobić. – Tym razem nie minął się z prawdą ani o milimetr.

– Chcą mnie zrobić, gnoje. Ale my się nie damy tak łatwo przerobić, co nie, Michał? – Podniósł szklankę i upił solidny łyk.

– Oczywiście, dlatego te pieniądze trzeba stąd jak najszybciej zabrać.

– Ale po co? Nie mogą tu jeszcze poleżeć? – zapytała Ewa, która chyba już powoli zaczęła oswajać się z myślą, że pod jej dachem leży taka kupa forsy.

– Absolutnie na to nie możemy sobie pozwolić.

– Nie możemy, Ewuś – poparł przyjaciela Adam.

– Chodzi o to, że jeśli ktoś podrzucił tu kasę, to kolejnym krokiem może być powiadomienie policji. Czyli za chwilę może ktoś zapukać do waszego mieszkania z nakazem rewizji. Jeśli tak będzie, a pieniądze nadal będą w domu, to znajdują je w dziesięć minut. A to oznacza poważne kłopoty. Wiesz przecież, że twój mąż pracuje przy nieruchomościach miejskich. A to miejsce, w którym o propozycje korupcyjne nietrudno.

– Nietrudno – potwierdził Włodarczyk.

– Czyli że mam zakopać tę forszę na działce? – Włodarczykowa była już bliska myśli, że te pieniądze się jej po prostu należą.

– Pieniądze zabiorę ja i zdeponuję w mojej skrytce bankowej. Będą tam leżały bezpieczne i poza zasięgiem policji do chwili, aż wszystko wyjaśnimy.

– Bardzo słusznie – stwierdził Adam i dopił zawartość szklanki do końca. – Ewuś, chcesz jeszcze wina?

– Nie, ja jeszcze mam.

– To ja sobie jeszcze odrobinę łykacza naleję...

Adwokat nonszalanckim gestem przysunął do siebie pieniądze, złożył je na kupkę i wsunął do reklamówki z biedronką.

– Pójdę już.

– A może napijesz się kawy? – zaproponowała gospodyni bez przekonania.

– Nie, dziękuję. Ale wiesz, im dłużej tu jestem, tym większe niebezpieczeństwo, że policja może tu wpaść, żeby zrobić przeszukanie.

– Tak? No przecież dopiero te pieniądze znalazłam...

– Dobranoc. Nie martwcie się. Wszystko będzie dobrze. – Klepnął w ramię coraz bardziej obojętnego na wszystko Włodarczyka, uśmiechnął się do jego żony i zdjawszy kurtkę z wieszaka, wyszedł na klatkę schodową. Od razu sięgnął po telefon. Słyszał, że przychodzą SMS-y, ale tam w środku nie wypadało odbierać.

Spojrzał na wyświetlacz. Pięć wiadomości. Wszystkie z tego samego numeru. Jego właścicielem był Mazurek. Zaczął więc czytać.

Adwokat mecenas Warnke jedzie na przesłuchanie.

Adwokat postanowił rozmawiać.

To jakieś pojeby sekciarskie.

Wszystko się składa do kupy w kwestii kamienicy dla centrum światła.

Jadę w okolice Miałów, czyli diabli wiedzą gdzie. Wrzucam moją lokalizację na wszelki wypadek, jakbym stracił zasięg.

Co za bałwan, pomyślał Słomianny. Lokalizacja też potrzebuje zasięgu.

Godzina 22.00

Położyła się do łóżka wcześniej niż zwykle. Zazwyczaj chodziła spać około północy, z książką w ręce. Dziś zabrała do łóżka swój notatnik, żeby poukładać sobie wszystko, czego dotąd udało jej się dowiedzieć w sprawie. Miała taki zwyczaj, że wypisywała najważniejsze fakty i dopisywała do nich hipotezy. Notatki podkreślała kolorowymi mazakami, tak że w końcu jej analiza przypomniła obraz malarza abstrakcjonisty. Przez chwilę szukała jeszcze w telefonie swojej ulubionej muzyki, a gdy natrafiła na berliński koncert Depeche Mode, włączyła odtwarzanie przez zewnętrzny głośnik. Kiedy sypialnię wypełniły pierwsze takty Welcome to my world, przykryła się kołdrą, wzięła do ręki długopis i zaczęła wpisywać dane.

Fakty:

Samochód wydobyty z Jeziora Pamiątkowskiego.

W aucie ciała trzech osób – dwoje dorosłych i dziecko.

Auto zidentyfikowane jako własność małżeństwa Marka i Marzeny Waszutów z Rokietnicy.

Waszutowie to oszuści naciągający ludzi na forszę i sprzedający im fałszywe teorie.

Sąsiadka Waszutów twierdzi, że rodzina wyjechała na narty do Włoch.

Mieszkanie Waszutów zostaje okradzione.

Złodzieje – Roman Ptaszarek ma klucze od mieszkania.

Ptaszarek się zastanawia nad tym, co powiedzieć – jutro przesłuchanie.

Porównanie DNA Waszutów z grzebieni i szczoteczek do zębów z DNA ofiar z auta – wyniki jutro albo pojutrze.

Wiele wskazuje na to, że to nie Waszutowie zginęli w aucie, ale ktoś inny. W ich samochodzie siedzieli inni ludzie, tak jak Napoleon miał zostać wsadzony do robota-szachisty.

Tatuże na ramieniu ofiar.

Od ostatniego zapisu zrobiła kreskę wiodącą na kolejną stronę, oznaczającą nowy wątek. I naraz sobie uświadomiła, że zachowała się kompletnie nieodpowiedzialnie

i nieprofesjonalnie. Tak była przejęta własnymi sprawami, że zapomniała o bożym świecie. Zupełnie wypadło jej z głowy, że miała się skontaktować z Przemkiem Drażkowskim, policyjnym specjalistą od tatuaży. Ale gdy dotarła do Poznania, nawet przez sekundę o tym nie pomyślała. Mimo że przecież była w komendzie miejskiej. Co więcej, rozmawiała z Mariuszem, czyli bezpośrednim przełożonym Drażkowskiego. Pochłonęły ją kompletnie inne sprawy. No i niestety zapomniała na śmierć. A jutro Biernat na pewno zapyta ją, czy coś konkretnego ustaliła. I jak mu spojrzeć w oczy? A może skłamać, mówiąc, że szukała Przemka, ale nigdzie go nie było...

Nie, to wymówka godna uczennicy trzeciej klasy podstawówki. W dzisiejszych czasach przecież wystarczy zadzwonić, by się z kimś umówić. Nawet jakby facet był w tej chwili w Paryżu, toby powiedział, kiedy jest osiągalny i kiedy mogą pogadać...

Spojrzała na wyświetlacz telefonu. Było kilka minut po wpół do jedenastej. Przemek był właścicielem knajpy. Nie zamyka jej chyba przed północą. Więc na pewno jeszcze nie śpi. Ale czy wypada do niego dzwonić wieczorem i to w służbowej sprawie? Może nie byli bliskimi znajomymi, ale znali się od dawna. A z ojcem Przemka, Teofilem Olkiewiczem, była nawet na „ty”. Jeśli zadzwoni, a on odbierze, to i tak będzie to już sukces. Bo przecież może jej powiedzieć, żeby dała mu dziś spokój, bo po całym dniu pracy nie chce mu się gadać. To umówi się z nim na rano, a Biernatowi zgodnie z prawdą będzie mogła powiedzieć, że specjalista nie miał czasu i że jest z nim umówiona.

Wzięła do ręki telefon i zaczęła przeglądać listę nazwisk. Na szczęście dodała go kiedyś do kontaktów. Postanowiła, że zachowa się kulturalnie i zanim zadzwoni, najpierw napisze. Otworzyła więc opcję wysyłania wiadomości. Natychmiast się okazało, że dwa lata temu Przemek wysłał do niej życzenia z okazji świąt wielkanocnych. Nie odpisała mu. Nawet nie zauważyła tych życzeń. Głupia sprawa. Jak teraz napisze do niego, on zobaczy tę starą wiadomość, pozostawioną bez odpowiedzi. Boże, ależ ze mnie ćwok. Jak można go było tak zlekceważyć? Ale chyba nie mam wyjścia.

Cześć, Przemek. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale pracowaliśmy razem jakiś czas temu przy sprawie przemytu prochów. Mam do ciebie interes jako do eksperta od tatuaży. Wysyłam ci foto zdjęte z ciała. Jakbyś dał radę pogadać jeszcze dzisiaj, byłoby świetnie. Rzuć, proszę, okiem i wyślij mi eskę. Aneta Nowak – Szamotuły.

Wysłała wiadomość i przez chwilę spoglądała na ekran w nadziei, że Przemek oddzwoni natychmiast. Ale wiadomość nie doczekała się potwierdzenia dostarczenia ani odczytania. Odłożyła więc telefon na nocną szafkę i wróciła do przerwanej pracy. Na kolejnej kartce napisała drukowanymi literami:

TATUAŻ – LUMEN VERUM

Poniżej znów zaczęła wpisywać kolejne ustalenia. Musiała mieć coś konkretnego do powiedzenia, gdy będzie rozmawiała z Przemkiem. On jest dociekliwym gliną, więc nie wypadało zadzwonić i powiedzieć, że ma do czynienia z jakimiś tatuażami. Musi mu powiedzieć, dokąd ją te krzyże z promieniami zaprowadziły.

Tatuaż na prawym ramieniu obydwu ofiar, mężczyzny i kobiety.

Marzena Waszuta zajmuje się medycyną niekonwencjonalną.

Marek Waszuta sprzedaje oszukańcze kredyty naiwnym ludziom.

Jeśli nie żyją, to dlaczego udało mi się skontaktować z nią na fejsie i umówić na spotkanie z tym ich guru?

Marzena Waszuta umawia się na spotkania w grupie na FB, która nazywa się Naga Prawda.

Patryk Wtorek odkrył, że Naga Prawda to strona w necie poświęcona wiedzy ezoterycznej i szerzeniu idiotycznych spiskowych teorii.

Spotkanie w Szamotułach z Nathanem, przewodnikiem, który ma mnie zaprowadzić do... no właśnie, dokąd?

Odłożyła długopis i spojrzała na zapisane punkty. Teraz była gotowa do rozmowy. Przeczytała wszystko jeszcze raz i poczuła, że o czymś ważnym nie pomyślała. Że przegapiła jakiś szczegół. Spoglądała na te podpunkty w nadziei, że na coś wpadnie. Bez skutku. Nieważne, sprawdzi to jeszcze raz jutro. A potem kolejne spotkanie z tajemniczym Nathanem. Nie powiedziała jeszcze o tym Biernatowi. Rano mu zamelduje, a potem pojedzie się spotkać. Tyle że na razie nie wiedziała, gdzie to spotkanie.

Pies poderwał się ze swojego posłania, spojrzał na nią i pomachał ogonem. Noce były jeszcze chłodne, więc wybierał legowisko w domu. Lubił jednak co jakiś czas wyjść, żeby sprawdzić, czy aby na pewno nie da się spać na dworze. Podszedł do łóżka i położył łeb na prześcieradle. Spojrzała mu w oczy. Od razu wyczuła, że wcale nie chce sikać, ale naciąga ją na wyjście. Ale nie potrafiła mu odmówić. Pogłaskała go po łbie i wysunęła nogę spod kołdry.

– Dobra, niech ci będzie, ty oszuście. Myślisz, że mnie nabierzesz na te swoje wielkie ślepie? Wychodzę tylko na ganek, a ty masz się załatwić i wracać. I nie próbuj kombinować.

Pies, machając ogonem, natychmiast podbiegł do drzwi. Aneta wciągnęła spodnie dresowe i narzuciła stary policyjny polar, który od dawna pełnił funkcję podomki, i poszła za swoim zwierzakiem. W pokoju telewizyjnym paliło się światło. Tata jak co dzień oglądał *Szkoło kontaktowe*. Donośne chrapanie świadczyło o tym, że raczej nic ciekawego dziś się nie wydarzyło. Przekręciła klucz w zamku. Pies jak zwykle musiał być pierwszy i gdy tylko uchyliła drzwi, wcisnął łeb między jej nogę i futrynę.

– No co się tak pchasz, draniu!

Nie słuchał. Już był w ogródku, by zaraz zniknąć wśród krzaków. Aneta usiadła na ławeczce, pod którą stało czarne, plastikowe legowisko wymoszczone starymi kocami. Deszcz lał przez pół dnia, ale teraz się wypogodziło. W powietrzu unosił się zapach mokrych iglaków porastających reprezentacyjną część ogrodu, oddzielającą dom od ulicy. Na niebie widać było wyraźnie Wielki Wóz i setki innych bezimiennych gwiazd.

Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie, przypomniał jej się imperatyw kategoryczny Kanta, który mówił o dualizmie istoty ludzkiego poznania. Niebo to poznawany rozumem otaczający człowieka świat, o którym, zgodnie z zasadą „wiem, że nic nie wiem”, miała tylko mgliste pojęcie. Co zaś do prawa, którym powinna się kierować, z tym akurat nie było większego kłopotu. Zasady etycznego postępowania wpajano jej od dziecka, więc myślała, że potrafi odróżnić dobro od zła...

Telefon w jej dłoni zawibrował. Spojrzała na wyświetlacz. Przyszedł SMS od Przemka. Otworzyła natychmiast. Tekst był bardzo krótki:

O ja pierdzielę!

Ledwie zdążyła przeczytać, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

– Halo!

– Przemó mówi. Aneta, słuchaj, ja pierdolę...

– Cześć. Przepraszam, że tak późno ci głowę zawracam, ale wiesz, musiałam spróbować...

– O czym ty mówisz? Nie ma o czym gadać. Świetnie, że nie czekałaś, tylko się odezwałaś. Bo to jest... kurde...ta no koincydencja.

– Co?

– No wespół... to, że coś się dzieje równolegle.

– Co się dzieje?

– Przypadek. Znaczy się, znam te tatuaże.

– Nie wierzę, mów, co i jak. Znasz tych moich nieboszczyków?

– Twoich? Nie, twoich nie znam. Zaraz, jak twoich? To znaczy, że jest więcej niż jeden?

– Dokładnie dwoje. A właściwie troje. Trzy osoby nieżywe. Dwoje dorosłych i jedno dziecko. Ci dorośli mieli takie tatuaże. Dziecko nie miało.

– Ja pierdolę. To jest jakaś masakra.

– No tak, ci dorośli zostali zastrzeleni, a auto wepchnięte do jeziora. Dziecko się utopiło.

– Aneta, to jest grubsza sprawa. Posłuchaj. W Poznaniu natrafiliśmy na zwłoki kobiety. Chyba raczej młodej. Poderżnięcie gardła, ale najlepsze, słuchaj to, najlepsze, że jej ciało znalazło się razem z gruzem w kruszarce do betonu i została z niej miazga. Ale na szczęście znaleźliśmy kawałek skóry z ramienia z takim właśnie tatuażem.

– O ja pierdykam!

– Słusznie, bo to jeszcze nie koniec tej historii. Przede wszystkim ustaliłem gościa, który zrobił te tatuaże. Facet opowiedział mi, że zamówiła je hurtowo dla swoich ludzi jakaś grupa czy coś takiego, która ma swoją siedzibę gdzieś w Puszczy Noteckiej, koło miejscowości Krucz. A wszystko to jakoś łączy się z taką stroną internetową...

– Naga Prawda – weszła mu w słowo Aneta.

Pies wrócił z wieczornego obchodu ogródka i wsunął się na swoje legowisko.

– Musimy się spotkać – powiedziała do telefonu. – Jak najszybciej.

Zwierzak spojrział na nią przekonany, że mówi do niego. Ale Aneta nawet go nie dostrzegła. Myślała o tym, co da się zmierzyć i dotknąć rozumem i co tkwi wewnątrz człowieka, i jest transcendentalne. Czy imperatywem kategoriycznym można opisać zbrodnię? I naraz zrozumiała, co pominęła w swojej wyliczance. To, co chodziło jej po głowie, a co dopiero zdefiniował Przemek, mówiąc o grupie zamawiającej tatuaże. To nie żadna grupa, to...

Okolice Krucza

Godzina 22.40

– Sekta – powiedział do telefonu detektyw Mazurek.

– Co? Jaka setka? – Alicja w pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Taka religijna chyba.

– Setka religijna? Czy mój tygrysek aby czasami się nie napił czegoś? Pamiętaj, że jedziesz samochodem. Czekam na ciebie w łóżecku, a ty sobie gdzieś popijasz. Jak zaraz nie przyjedziesz, to będę musiała się oddać komuś innemu.

– Co ty gadasz?

– Jestem już taka napalona, że nie wytrzymam. Muszę mu się oddać.

– Komu, do cholery!

– Och, ty mój zazdrośniku kochany. Wiadomo, że żadnemu facetowi. Jak ciebie nie ma, to wiesz, z kim się zabawiam.

– Z kim?

– A co mi mój żabuś kupił na urodziny? No przecież, że z naszym małym wibrusiem.

– No, to co innego. Nie gadaj mi, że się z kimś zabawisz, bo wiesz...

– Co wiem? Nic nie wiem.

– To się napij wódeczki i czekaj na mnie.

– Wracaj szybciotko, a ja będę sobie myślała, że to nie wibruś, ale ty...

– Muszę się wyłączyć, bo ktoś idzie...

– Słyszysz, jak brzęczy nasz wib...

Nie usłyszał. Przerwał połączenie, bo rzeczywiście ktoś nadchodził. Nie było szansy, żeby człowiek idący od tej leśnej zagrody zobaczył go w tym miejscu, ale mógł usłyszeć. Głos spod lasu niósł się po polu i na pewno rozprzestrzenił się o wiele szybciej niż w mieście. A co dopiero mówić o rozmowie, która prowadzona była na myśliwskiej ambonie, powyżej poziomu nieporośniętego jeszcze pola. Ciągnęło się ono od skraju lasu i sięgało do gospodarstwa, które obserwował. To miejsce wskazał mu adwokat, który trasę z Obornik do Wronek przejechał w bagażniku jego auta. Dopiero gdy na rondzie Mazurek odbił w prawo, by po chwili znaleźć się na skraju Puszczy Noteckiej, zdecydował, że czas dać szansę współpracy uwięzionemu mężczyźnie. Zatrzymał więc samochód na poboczu, poczekał, aż minie go rozpędzona ciężarówka, i upewniwszy się, że droga jest pusta, otworzył bagażnik.

– Żyjesz? – zapytał, spoglądając na skutego kajdankami, leżącego z podkurczonymi nogami prawnika. Ten nie mógł odpowiedzieć, bo w usta miał znów wetknięty knebel. Detektyw wolał się zabezpieczyć na wszelki wypadek, gdyby przyszła mu ochota na wzywanie pomocy. Knebel był skutecznym narzędziem zniechęcającym do aktywności głosowej.

Gdy Warnke pokiwał głową, Mazurek wyciągnął mu szmatę z ust.

– No dobra, wyłąź. Teraz pojedziesz jak panisko na przednim siedzeniu.

– Kurwa – jęknął prawnik.

– Nie przeklinaj, bo ci Bozia język upierdoli.

– Kurwa, daj mi wody.

– Wyłąź. Butelka jest w aucie.

Posadził go na przednim fotelu, zwolnił lewą rękę z uścisku obręczy kajdanek, a prawą przykuł do rączki pod sufitem. Zgodnie z obietnicą dał mu się napić.

– To gdzie teraz mam jechać? – zapytał, uruchamiając silnik.

– Prosto – bąknął niezbyt uprzejmym tonem Warnke.

– Daleko?

– Jakieś dwadzieścia kilometrów.

– To niedaleko. Opisz, jak tam wygląda i o co chodzi w tym gospodarstwie. – Policjant chciał ułożyć sobie w głowie plan działania.

– Co? – Mecenas Warnke obudził się z zamyślenia i potrząsnął długą grzywą jak zdenerwowany koń. – Chodzi o to, że pewni ludzie postanowili rzucić wszystko i schronić się w tej enklawie spokoju.

– Przed czym schronić? – Mazurek nie dostrzegł żadnego zagrożenia dla siebie i świata.

– Przed wszystkim, co zagraża ludzkości.

– I mieszkają tam razem, tak?

– No dokładnie. Nikomu nie wadzą, są ze sobą, uprawiają ziemię, zbierają grzyby i jagody, i w ogóle...

– I jedzą trawę? – domyślił się detektyw.

– Jedzą, co chcą, czyli co sami wyprodukują, a więc płody rolne i także mięso z własnego gospodarstwa.

– No jak jedzą mięso, to znaczy, że nie są tak do końca porąbani.

– Nie są. To są dobrzy ludzie.

– Dobrzy ludzie nikogo nie szantażują.

– A kto tu mówi o szantażu?

– Nie rób ze mnie kretyna, chłopie. Czy ty myślisz, że ja jestem jakimś półgłówkiem? Że nie rozumiem, w czym rzecz? Jeśli do dyrektora wydziału lokalowego przychodzi ktoś z propozycją nie do odrzucenia i chce w zamian pomocy w odzyskaniu kamienicy... To ty myślisz, że ja jestem pierwszy naiwny gość? Nic z tego. Ja takich przypadków miałem dziesiątki, jak byłem jeszcze w policji. W dziewięćdziesiątych latach myśmy takich oszustów wsadzali na pęczki. I wszyscy mieli autentyczne akty własności kamienic. A jeden to był w ogóle dobry. Miał murowane papiery. Wszystko się na nich zgadzało. Były autentyczne podpisy właściciela kamienicy w centrum Poznania. Żyda, który w czasie wojny trafił do Oświęcimia i już stamtąd nie wyszedł. I wyobraź sobie, że ten właściciel, który umarł w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, zapisał swoją kamienicę temu gościowi z Poznania, takiemu napakowanemu goryłowi, który przez całe swoje życie nie zhańbił się ani jednym dniem pracy. No i ten goryl chciał odzyskać tę niby swoją kamienicę. A w dokumentach wszystko się zgadzało, znaczy się autentyczne papiery, czyli akt własności kamienicy z roku chyba dwudziestego któregoś tam i akt darowizny z sześćdziesiątego piątego, wystawiony przez kancelarię prawną z Chicago. Wszystko to potwierdzone przez naszych notariuszy. I sąd w zasadzie nie miałby nic do powiedzenia, bo kamienicę musiałby zwrócić. Ale na szczęście sędzia był bystrym gościem i porównał sobie daty. No i co się okazało? Okazało się, że właściciel już nie żył, kiedy rzekomo pojechał do Ameryki, żeby dwadzieścia lat po swojej śmierci przepisać kamienicę na jakiegoś swojego krewnego, czyli tego goryla. Cudowne ocalenie właściciela, który jednak nie zginął

w Oświęcimiu, jeszcze można by jakoś wytłumaczyć. Tak samo zresztą jak jego pojawienie się w Stanach. Można też uznać, że gość miał ochotę zapisać swoją własność, z której i tak nie miał żadnej korzyści, bo wiadomo, że w Polsce kamienice państwo odebrało burżujom, więc on ją mógł sobie zapisać nawet swojemu kotu, jeśli miał taki kaprys. Ale pokaż mi takiego właściciela kamienicy, który potrafi zapisać swoją nieruchomości gościowi, który się jeszcze nie narodził. Bo ten goryl, co tę kamienicę chciał odzyskać, urodził się dopiero w osiemdziesiątym czwartym, czyli dwadzieścia lat po tym, jak na niego wujek tę kamienicę zapisał. Czyli nasz właściciel kamienicy musiał mieć dar przewidywania przyszłości. No a poza wszystkim oprócz tego, że przewidział, że krewniak będzie tej kamienicy potrzebował, to wuja z Ameryki znał jeszcze dodatkowo jego pesel, adres i pewnie numer buta. Więc, jak widzisz, cuda się zdarzają.

– Ten dokument, który posiada mój klient, jest jak najbardziej autentyczny – stwierdził pewnym głosem adwokat, który poczuł się zdecydowanie lepiej, gdy rozmowa zaczęła wchodzić na znany mu grunt.

– Co ty mi tu pierdolisz, chłopie? Ja nie jestem jakimś półgłówkiem, żeby wierzyć w takie cuda. Nikt mnie glapami nie futrował.

– Że co?

– Nawet nie rozumiesz, jak się po poznańsku gada? Nic dziwnego, żeś jest w bandyckim gangu...

– Jestem adwokatem!

– Jesteś bandziorem, co się wysługuje innym bandziorem, co chcą zrobić niewinnego człowieka.

– Nic o tym nie wiem.

Mazurek gwałtownie zwolnił. Samochodem szarpnęło, a jego więzień poleciał do przodu.

– Czy ty se myślisz, że możesz sobie bezkarnie gadać te swoje prawnicze bzdury? Chcesz mnie robić w konia, to uważaj. Zaraz zatrzymamy się, wjadę do lasu i zacznę swoje badanie od nowa. Jeszcze chyba czujesz na dupie tę moją piękną pałkę. Mam ci jeszcze raz przypierdolić? No gadaj! – powiedział to takim tonem, żeby nie było żadnych wątpliwości, kto nad kim ma tu władzę. Prawnik skulił się przestraszony. Obite ciało musiał czuć cały czas, więc wspomnienie milicyjnej pałki było wciąż żywe i pulsujące bólem.

– No co, mam stanąć?

– Nie.

Mazurek wrzucił trójkę i auto przyśpieszyło.

– To teraz powiedz mi dokładnie, o co chodzi z tym gospodarstwem i kto tam jest szefem.

– Nathan, który jest Przewodnikiem.

– Jakim, kurwa, „przewodnikiem”? Takim, co oprowadza po zabytkach?

– Nie. On prowadzi ku prawdzie.

– Znaczy się jakiś pojeb?

– Nie, raczej biznesmen.

– A co robią za biznes?

– Robią prochy.

– Co? Jakie prochy?

– Narkotyki. Mają tam laboratorium chemiczne, w którym wytwarzają amfetaminę. A ta sekta, to taka przykrywka dla naiwnych. Ale ja z tymi narkotykami nie miałem nic wspólnego. Ja ich tylko obsługiwałem w ramach prawnej praktyki, a o prochach się dowiedziałem kilka dni temu całkiem przypadkowo...

Mazurek przywarł do podłogi zdezelowanej ambony myśliwskiej, zastanawiając się, co powinien zrobić. Czy leżeć tu nieruchomo, czy zeskoczyć i pobiec do lasu. Ściana wysokich sosen na skraju, mieszających się z samosiejkami brzoź i olch, zaczynała się jakieś dziesięć metrów za drewnianą wieżą. Gdyby szedł na dół po drabinie, mógłby z łatwością w kilku susach dopaść drzew i ukryć się w gęstwinie. Tyle że zejście po stopniach ze starego drewna na pewno nie obyłoby się bez hałasu. Skrzypienie mogło się ponieść ponad pustym polem i dotrzeć do tych zbliżających się w jego kierunku. Dlatego teraz leżał na tych deskach i zastanawiał się, co zrobić.

Idący zachowywali się całkowicie naturalnie. Któryś z nich coś opowiadał, a pozostali co chwilę wybuchali gromkim śmiechem. Na pewno nie podejrzewali, że ktoś ukrywa się na tej starej ambonie. A zresztą, nawet jeśli tak było i gdyby przypadkiem go na niej odkryto, to właściwie co z tego? Mógł sobie siedzieć w tym miejscu, ile mu się chciało, i nikt nie miał prawa go stąd wyganiać. Według prawa łowieckiego na ambonę miał wstęp każdy myśliwy. A on był myśliwym. Kiedyś się zapisał do związku łowieckiego, jeszcze za dawnych dobrych czasów, gdy służył w policji. Któregoś dnia okazało się, że nowy szef, zastępca komendanta, którego do Poznania przywieziono w teczce z Podlasia, jest zapalonym myśliwym. Więc ktoś wpadł na pomysł, by założyć w wydziale koło myśliwskie. Założyli, kupili sztucery i dubeltówki, zorganizowali nawet dwa polowania, na których Mazurek nie ustrzelił żadnego dzika, nie mówiąc już o zwykłym zającu, i wszystko się skończyło. Myśliwy komendant został przeniesiony do Warszawy, a oni zostali z tym myśliwskim sprzętem jak Himilsbah z angielskim. Do dziś została mu legitymacja myśliwska i mocne przekonanie, że polowania nie są dla niego. Co innego te na ludzi. Bo przecież nic innego nie robił w tej chwili. Siedział w kryjówce i obserwował obcy teren. A na nim właśnie pojawiła się zwierzyna, na którą zamierzał zapolować. Na razie jednak musiał pozostać w ukryciu, żeby jego ofiary go nie wyczuły...

Nie widział ich dokładnie, więc nie mógł się zorientować, ilu ich było. Po odgłosach, strzępkach dialogów i śmiechu doliczył się trójki. Ale zdawał sobie sprawę, że te obliczenia mogą być złudne. Przecież mogło być ich pięciu albo sześciu. Nie byli oświetleni nocnym blaskiem, bo jak na złość księżyc i gwiazdy przykryły akurat chmury.

Naraz grupa przystanąła.

– Jak, kurwa, mamy go znaleźć? – usłyszał jakiś głos całkiem wyraźnie.

– Chuj wie. Jak siedzi w lesie, to jest pozamiatane. W życiu go nie znajdziemy – odpowiedział mu drugi z głosów.

– Ja myślę, że trzeba podejść do ambony. Jak chciał się rozejrzeć tutaj, to włązł na ambonę. – To mówiła kobieta.

– A co z adwokatem? – odezwał się znów ten pierwszy, najbardziej niepewny tego, co robić.

– Wy dwaj, Jonasz i Noe, pójdziecie do auta i wyciągniecie go stamtąd – zakomenderowała kobieta. – A my idziemy do ambony i przeszukamy skraj lasu.

– A jak go tam znajdziemy po nocy?

– Niech wam wyśle położenie. Ma przecież telefon. Ten szpicel, co go tu przywiózł, nie zabrał mu komórki, he, he. To chyba jakiś pieprzony inspektor Clouseau.

– Kto?

– Różowa pantera. Nie słyszeliście? Zresztą nieważne... idziemy! – zakomenderowała.

Mazurek był zbyt wytrawnym oficerem śledczym, żeby nie zrozumieć, co się rozgrywało na dole. Ci ludzie zaczynali właśnie polowanie na niego. Jedyne, nad czym teraz myślał, to jak najszybciej wymknąć się obławie. Szli w jego kierunku, więc tylko las dawał mu jakąś szansę. Musiał szybko się do niego dostać. Ale jeśli będzie zląził po tej jęczącej drabinie, od razu go usłyszą. Nie, nie było przecież wysoko. Jakieś trzy metry. Nie takie skoki się robiło dawniej. Trzeba tylko pamiętać, żeby po zetknięciu z ziemią od razu przeturlać się przez ramię i w ten sposób maksymalnie osłabić siłę uderzenia, czyli wykonać modelowe lądowanie ćwiczone przez spadochroniarzy. Chwycił się poręczy ambony i skoczył. Naraz poczuł rozdzierający ból w lewej nodze. Nawet nie wiedział, jak to się stało, że krzyknął. Właściwie to zawył jak ranne zwierzę. Przez głowę przeleciała mu jeszcze myśl, że polowanie to okrutna zabawa i zaraz przestał czuć cokolwiek...

Szamoty

Godzina 23.05

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz? – Biernat przywitał ją pytaniem w biurze przepustek szamotulskiego aresztu. Był już po drugiej stronie przejścia do wykrywania metali i teraz spokojnie czekał, aż Aneta przejdzie całą procedurę. Oddała strażnikowi plecak ze swoimi podręcznymi rzeczami, który zastępował jej damską torebkę, zdjęła dżinsową kurtkę i ukryte pod nią szelki z pistoletem. Wszystko to powędrowało do szafki, a ona dostała plastikowy numerok. Przeszła bez wzbudzania alarmu przez służbę wykrywającą metale i zaraz stanęła przy Biernacie.

– O tej porze zwykle zasypiam, więc dobrze by było, żeby to nasze nocne łożenie miało jakiś sens – rzucił cierpkim tonem nadkomisarz, jednocześnie spoglądając na nią uważnie zza grubych szkieł swoich okularów.

– Mam nadzieję.

– Przeczucie, jak zwykle?

– Nie, teraz to już nie kwestia intuicji. Zaczynam się domyślać, w czym rzecz, choć jeszcze nie mam żadnej pewności dlaczego. Tego musimy się dowiedzieć.

– I ten złodziej nam o tym powie?

Wzruszyła ramionami. Co mu miała powiedzieć? Że jej przeczucia zaczęły się materializować, ale wcale nie w tym kierunku, który jeszcze niedawno wydawał się jej oczywisty. Była przekonana, że ma do czynienia z okrutnym morderstwem, którego ofiarą była trzysobowa rodzina. I to się akurat nie zmieniło. Doszły jednak nowe aspekty. Przede wszystkim tatuaże na ramionach obu ofiar były takie same jak tatuaż tej zabitej dziewczyny w Poznaniu. Do tego jeszcze Przemek Drązkowski miał wykonawcę tych tatuaży. Mało tego, ten gość był skłonny wskazać miejsce, gdzie mogą być ludzie noszący takie znaki na ramieniu. Wszystko wskazywało na to, że to jakaś sekta albo grupa wyznaniowa. I dlatego musiała to jak najszybciej potwierdzić, a do tego potrzebny był jej Biernat. Bo gdyby sama

przyszła do aresztu w Szamotułach i poprosiła o przyprowadzenie zatrzymanego na przesłuchanie, dyżurny strażnik popukałby się w głowę i kazał przyjść rano. Aneta była zbyt niecierpliwa, żeby czekać jeszcze kilka godzin.

Ptaszerek, przykuty do stołu w pokoju przesłuchań, najspokojniej w świecie palił papierosa. W kącie siedział znudzony strażnik, którego mina wskazywała wyraźnie, że nie podoba mu się to nocne przesłuchanie. Gdyby nie ci natrętni policjanci, mógłby sobie teraz spokojnie oglądać telewizję i niczym się nie przejmować. Ale ci nadgorliwcy, którzy nie mogli poczekać do jutra, pokrzyżowali mu wszystkie służbowe plany. Na widok wchodzących wstał z krzesła, ukłonił się i chciał już wyjść bez słowa, kiedy odezwała się policjantka:

– Przepraszam za zamieszanie w nocy, ale zdaje się, że nie mamy innego wyjścia. Musimy natychmiast pogadać z tym facetem. – Wskazała na zupełnie obojętnego Ptaszarka.

– No niby... jasne, że jak trzeba... – wybąkał strażnik, kompletnie zaskoczony tym, że potraktowano go jak człowieka, a nie jak mebel z tego pokoju.

– Postaramy się uwinąć jak najprędzej – dorzucił starszy policjant w okularach, siadając naprzeciw aresztanta. Strażnik skinął głową i wyszedł niezmiernie zdziwiony.

Gdy drzwi się zamknęły, Aneta usiadła na prawo od złodzieja, który uważnie śledził każdy jej ruch.

– To co, panie Ptaszerek, pogadamy czy nadal pan nie zamierza współpracować?

– O tej porze to ja przeważnie śpię.

– No to dziś trochę zaszalejemy – rzuciła z uśmiechem.

– No jakbym ja wiedział, że zapraszacie mnie na nocne sex party, tobym przynajmniej się dokładnie umył.

– Jeśli sobie myślisz, Ptaszerek, że jesteś zabawny, to się grubo mylisz. W twojej sytuacji bym nie pajacował – odpowiedział mu obojętnym tonem Biernat. – Bo z tego, co zdążyłem zauważyć, masz przesrane jak w ruskim czołgu.

– He, he! To się jeszcze okaże. Bo w żadne morderstwo się wrobić nie dam.

– Może i się nie dasz, ale już jesteś wrobiony – stwierdziła Aneta, cały czas się uśmiechając.

– Bzdura – prychnął Ptaszerek, który od rana nabrał dużej pewności siebie. Widać było, że sobie wszystko przemyślał i zamierza iść w zaparte. Trzeba więc było szybko sprowadzić go na ziemię. – Możecie mi skoczyć i zatańczyć.

– Pewnie masz rację. Jesteś taki pewny siebie, a do tego jeszcze taki męski, że szkoda cię posłać na zmarnowanie. No ale co zrobić. Jeśli zamiast fajnych dziewczyn wolisz do końca życia siedzieć pod celą z miłymi facetami, to trudno, twój wybór.

– Trzeba mi najpierw udowodnić, że coś miałem wspólnego z tymi zastrzelonymi. He, he. Nie dam się tak łatwo wrobić w nie swoją robotę.

– Mówisz, że nie dasz. Trudno. Ale zapewne powinna cię zainteresować kwestia dodatkowego, to znaczy kolejnego zabójstwa.

– Co? Odpierdolcie się. W nic mnie nie wpakujecie, bo ja nie mam z tym nic...

– Jeszcze nie powiedziałam przecież, w czym rzecz, a ty już się źle do mnie nastawiasz. A tu chodzi o jeszcze jedno morderstwo, które jest mocno powiązane z tymi... Jak to powiedziałeś?

– Co powiedziałem? – zdziwił się.

– Z tymi zastrzelonymi – podrzucił jej Biernat, który mimo że miał wpółprzymknięte powieki, wcale nie spał, ale uważnie słuchał, wyłapując wszystkie szczegóły. Ten o zastrzelonych od razu zapisał sobie w odpowiedniej szufladce pamięci, by w sprzyjającym momencie go wykorzystać.

– No właśnie, chodzi o tych zastrzelonych, których chcemy zapisać na twoje konto. Do tego dorzucimy jeszcze jedno morderstwo w Poznaniu. Czyli będziesz miał na koncie czworo zamordowanych ludzi, w tym jedną dziewczynkę i jeszcze młodą dziewczynę.

– Jaką, kurwa, dziewczynę?

– Nie znamy jeszcze jej imienia i nazwiska, ale pracujemy nad ustaleniem tożsamości. Myślę, że to tylko kwestia czasu, kiedy będziemy wiedzieli, kto to jest. No ale podsumujmy: poczwórne morderstwo, w tym dziecka, to daje nam razem...

– Co daje?

– Daje dożywocie – rzucił Biernat. – Nie znam sądu w tym kraju, który dałby mniej za coś takiego. Więc następną panienką, jaką przelecisz, będzie więzienna kotka, jeśli oczywiście złapiesz ją na spacerniaku i pod warunkiem, że ci nie wydrapie jaj.

– Nie dam si...

– Już to słyszeliśmy. My naprawdę nie mamy zamiaru cię w nic wmanewrować. Sam żeś się wpięprzył po same uszy w gówno. Mówisz, że się nie dasz zrobić? Bardzo dobrze. W takim razie przedstaw nam dowody na swoją niewinność, bo w tej chwili jesteś podejrzany. I to podejrzany jak cholera. Więc daj nam jakiś konkretny dowód, jak masz go na swoją obronę, żebyśmy wiedzieli, na czym stoimy, bo inaczej marnie widzę twój los.

– To, zdaje się, wy musicie mi coś udowodnić, nie?

– No to przedstawię fakty jeszcze raz. – Teraz do przesłuchania wróciła Aneta. – Zatrzymanie na gorącym uczynku w Rokietnicy. Rodzina zostaje zamordowana, a potem w mieszkaniu zjawia się pan Ptaszerek z ekipą czyszcicieli i robi porządki. A na dodatek nie włamuje się tam, bo ma klucze. O czym to świadczy?

– Że klucze dostałem.

– Od kogo?

– Od właścicielki mieszkania, pani Waszutowej. Ona mi dała klucze i kazała zrobić przeprowadzkę. No to zrobiłem, tak jak kazała. A jak kazała, to znaczy się, że ona żyje, nie? To chyba logiczne, że jak żyje, to nie mogłem nikogo zabić. I nie dam się zrobić dodatkowo w jakieś morderstwo w Poznaniu. Nikogo nie zabiłem. Zresztą ja w Poznaniu to nie byłem chyba z miesiąc już. No to jak bym miał kogoś zabić? Nic mi nie przyszyjecie, bo...

– Jeszcze dokładnie nie wiemy, kiedy doszło do tego morderstwa – przerwała mu policjantka. Drązkowski nie potrafił jeszcze określić, kiedy zginęła ta dziewczyna z tatuażem. Wspominał tylko, że być może zabito ją w styczniu, a potem zamrożone zwłoki leżały zasypane gruzem. – Ale pierwsze ekspertyzy mówią, że w drugiej połowie stycznia. Poderżnięto ofierze gardło, a potem zwłoki wyniesiono do pojemnika budowlanego do wywózki gruzu.

Mówiąc to, Aneta cały czas patrzyła na twarz Ptaszarka. Jego twarz była nieruchoma, choć w momencie, kiedy powiedziała o wyrzuceniu zwłok do kontenera, przełknął ślinę, tak jakby zaschło mu w gardle. Czy to przypadek? Kiedyś, gdy zaczynała pracę w Szamotułach, Biernat powiedział jej, że podczas przesłuchania powinna uważnie przyglądać się twarzy osoby podejrzaney, bo większość ludzi na niewygodne dla siebie fakty reaguje mimowolnymi grymasami czy tikami, których nie są świadomi.

Zapamiętała dobrze tę lekcję i wykorzystywała ją w praktyce. Wiele razy dzięki tym obserwacjom udało jej się wykryć nieścisłości czy kłamstwa. Teraz wydało jej się, że Ptaszarek zareagował zbyt nerwowo. Jeśli to nie przywidzenie, to znaczy, że byli na właściwym tropie.

– Ufff – sapnął Biernat, po czym wysmarkał nos w papierową chusteczkę. – To w takim razie opowiedz nam wszystko o tej Waszutowej. – Policjant sprawiał wrażenie borsuka, który właśnie przebudził się z letargu.

– Niby że co mam powiedzieć?

– Gdzie ją spotkałeś i w jakich okolicznościach.

– Zadzwoiła do mnie w sprawie przeprowadzki i żeby jej przewieźć te klunkry z chaty...

– Ptaku, nie pierdol – warknął Biernat. – A twój numer znalazła w internecie w ogłoszeniach firm przeprowadzkowych? Gdybyś miał taką firmę, to mogłoby się tak zdarzyć. Ale nie masz. Co więcej, nie masz firmy, która nazywa się Duda-Trans, i nie jesteś właścicielem tej ciężarówki. Sprawdziliśmy to. Skradziono ją w poniedziałek. Podejrzewam, że twoi ludzie ją zwinęli na tę robotę przeprowadzkową. Czyli musiałeś dostać zamówienie na przeprowadzkę przed poniedziałkiem. No chyba że nagle wpadłeś na pomysł skrojenia ciężarówki, a potem dopiero poszukałeś mieszkania.

– Ciężarówkę kupilem...

– Od kogo?

– Od takiego jednego gościa... Nie znam go...

– Pewnie dostał ją od bezdomnego – rzuciła sarkastycznym tonem Aneta.

– Możecie się ode mnie odpiardolić? Nic nie zrobiłem złego. Waszutowa dała mi klucze i kazała zrobić przeprowadzkę.

– Kiedy i gdzie spotkałeś się z Waszutową? – zapytał całkiem rozbudzony Biernat.

Ptaszarek uśmiechnął się pod nosem. Jego mina mówiła sama za siebie: „Mam was dupie”. I wtedy Biernat przeszedł do ataku.

– Powiedziałaś, że nie masz nic wspólnego z tymi zastrzelonymi? A skąd wiesz, że zostali zastrzeleni?

– Jak skąd? Od niej. – Ptaszarek wskazał na Anetę.

– Nie powiedziałam ani słowa o przyczynie śmierci.

– No to, Ptaku, jesteś w czarnej dupie – stwierdził Biernat. Ptaszarek znów nerwowo przełknął ślinę, a drwiący uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Gdzie możemy znaleźć Waszutową? – zapytał policjant.

– Tam, gdzie oni wszyscy mieszkają. To takie gospodarstwo w Puszczy Noteckiej.

– Kto tam mieszka?

– Oni... znaczy my wszyscy.

Oboje policjanci spojrzeli zdziwieni na przesłuchiwanego.

– My? – zapytała szybko Aneta. – Czyli kto?

– Znaczy się ci, co przynależą do Lumen Verum.

– A co to jest Lumen Verum? – rzucił Biernat.

– Niech mi pani podwinie prawy rękaw i zobaczy. Tam jest taki tatuaż. Wszyscy od nas go mają... muszą mieć, bo to oznacza, że przynależą i mogą zarabiać tak jak reszta...

Usłyszawszy to, Aneta spojrzała na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła północ, ale jej wcale nie chciało się spać. Z twarzy Biernata też zniknęły wszelkie objawy senności. Przydałaby się kawa, pomyślała, bo najprawdopodobniej będą musieli spędzić tu jeszcze trochę czasu, skoro ich zatrzymany ptaszek zaczął sypać.

Poznań

Godzina 23.50

– Wiesz co, napiłbym się piwa.

– Bezalkoholowego?

– No coś ty? Czy ja jestem jakiś alkohorianin, czy coś?

– Kto?

– Alkohorianin, czyli taki, co nie pije alkoholu.

– Pierwsze słyszę, żeby się tak nazywali.

– Kto?

– Ci, co nie piją.

– A jak się nazywają?

– Ci, którzy nie piją, bo im się alkohol nie podoba, to abstynenci, a tacy, co nie piją, bo już swoje wypili i byli nałogowcami, to są anonimowi alkoholicy.

– Łe tam. – Przemek machnął ręką, siadając na wysokim stołku przy barze. – Abstynent, czy ty słyszysz, jak to brzmi? Jak kontynent albo asortyment.

– To chcesz alkoholowe to piwo? – zapytała Alex, która była zajęta wyciąganiem szklanek ze zmywarki.

– No przecież mówię, że nie jestem alkohorianinem, tak jak nie jestem wegetarianinem i tym, no, flegmoteria... ninem, fleksa... ninem czy nawet tym, no...

– Indianinem też nie jesteś? – Spojrzała na niego z politowaniem. Rzadko zdarzały mu się jakieś głębsze przemyślenia nad złożonością rzeczywistości. Przemek był człowiekiem mocno stąpającym po ziemi. Jednak jeśli już zabierał się za analizę bytów istniejących, balansując na granicy filozoficznej refleksji, zawsze wkraczał na takie pole z gracją słonia, obalając utarte prawdy swoimi przasnymi teoriami. Wydobywał je bezpośrednio z chłopskiej filozofii, tej czerpiącej wiedzę z prostego pojmowania świata i tłumaczenia zjawisk nie do pojęcia w najmniej skomplikowany z możliwych sposobów, czyli nadprzyrodzoną ingerencją. Tym razem mu się udało wprowadzić w zdumienie własną żonę.

– Jak ktoś pije, to jest pijakiem, a jak ktoś nie pije, to jest niepijakiem. To znaczy, że można go nazwać niepijącym, który gdyby pił, mógłby być pijakiem, czyli alkoholikiem, ale nie pije, więc jest alkohorianinem. Sam to wymyśliłem. Dobrze, nie uważasz?

– Brawo. Trzeba to słowo wrzucić do internetu. Zobaczymy, ile osób zrozumie, o co chodzi. – Powiedziawszy to, postawiła przed nim na kontuarze szklankę i otworzyła butelkę zimnego piwa.

– Naprawdę tak myślisz? – Spojrzał na nią zadowolony ze swojego konceptu. – Albo możemy od razu spróbować sprawdzić.

– To znaczy?

Obejrzał się za siebie. Przy stoliku pod oknem siedziała jeszcze czwórka ostatnich gości. Paula rozmawiała z jednym z chłopaków, łysolem, który w rozmowie pomagał sobie zamaszystą gestykulacją. Mówiąc coś, wskazywał na stojący przed nim rząd kieliszków wypełnionych żółtawą cieczą. Była to niezwykle popularna tu cytrynowka podawana w pięćdziesiątkach. Wódki było w niej niewiele, bo zaledwie dwadzieścia gramów, a do tego zimna woda i zagęszczony syrop cytrynowy. Te shoty cieszyły się wielkim powodzeniem wśród młodszych klientów, bo piło się je łatwo i przyjemnie, a jednocześnie degustatorzy nie upijali się zbyt szybko, więc dzięki temu mogli zamawiać i smakować dalej.

Przemek zeskoczył ze stołka i ruszył w kierunku stolika. Spóźnieni biesiadnicy od razu go dostrzegli, ale nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia, mimo że przecież był postawnym i całkiem dobrze zbudowanym mężczyzną. Zatrzymał się obok dziewczyny.

– Mamy jakiś kłopot? – zapytał pogodnym tonem.

– Ta pizda chce, żebyśmy sobie już poszli – zawołał nienaturalnie podniesionym głosem ten machający rękoma.

– Awanturuje się, skurwieli! I jeszcze brzydko mówi. – Paula wprowadziła go w szczegóły dotychczasowej konwersacji.

– U nas jest kulturalna obsługa i dlatego przyjmujemy tylko kulturalnych klientów – rzucił tonem, który u trzeźwego rozmówcy wzbudziłby czujność. U tych podpitych młodzieńców wywołał jedynie wesołość.

– Wal się, gościu. My chcemy spokojnie wypić, bo chyba mamy prawo, jak żeśmy już zapłacili, nie? – odparł chłopak.

– Dobra, Filip, nie świruj. Wypijamy i spadamy – próbował łagodzić sytuację spocony blondyn o okrągłej twarzy.

– Już spadamy, gościu. A ty, Filip, zamknij twarz – rzucił brodaty chłopak w skórzanej ramonesce. Czwartym chłopak nie zajął stanowiska, ponieważ wpatrzony był w to, co dzieje się za oknem, czyli w pustkę, bo nic tam się nie działo, a jego spojrzenie, zmacone poważnie alkoholem, nie należało do zbyt bystrych.

Przemek rzucił okiem na stojące na blacie kieliszki. Wśród całej baterii pustych naliczył osiem pełnych.

– Dobra, macie pięć minut na wypicie swoich shotów i dobranoc. A ty, zasańcu, jeśli jeszcze raz odezwiesz się brzydko do dziewczyny z obsługi, to będą to ostatnie wypowiedziane przez ciebie słowa. Rozumiesz? – Wysunął ostrzegawczo palec w kierunku łysego. Ten spojrzął na Przemka zdziwiony, a potem machnął ręką.

– Pierdol się, gościu, razem z tą swoją małą pizdą. Zapłaciłem, to mam prawo chyba, kurwa, nie... że mogę... – Nie dokończył, co może. Ciężka ręka Przemka opadła na jego kark, a druga chwyciła tę wymachującą dłoń. Policjant sprawnie, jak podczas zatrzymania, szarpnął chłopakiem ku górze, stawiając go błyskawicznie do pionu i jednocześnie wykręcając mu przedramię, które znalazło się za plecami. Nim pijany Filip zdążył pomyśleć i zareagować, już przemierzał drogę w kierunku drzwi, prowadzony przez właściciela pijalni. Paula nie stała beczynn timer. Błyskawicznie znalazła się przy wyjściu, otworzyła szeroko drzwi i zamknęła je natychmiast, gdy Przemek wypchnął delikwenta na zewnątrz. Nie musiał używać mocniejszych argumentów w postaci kopa w tyłek. Pchnięcie wystarczyło, by gość wyleciał na zewnątrz jak wystrzelony z procy. Pewnie dopiero tam zdał sobie sprawę z tego, co się wydarzyło. Zaraz podszedł do okna, by pokazać kolegom, że jest w dobrej formie i jakby co, może wrócić. Nie wrócił, bo nawet gdyby podjął taką próbę, drzwi były już zamknięte od środka na klucz. Przemek wrócił do trójki biesiadników, ale ci najwyraźniej nie mieli zamiaru umierać za kumpla. Posłusznie dopili cytrynówkę ze wszystkich ośmiu kieliszków, bo przecież nic nie mogło się zmarnować, i powoli zaczęli podnosić się z krzeseł.

– Powiedźcie temu, no jak mu tam... – Drązkowski wskazał głową szybę, za którą stał wyrzucony chłopak i robił głupie miny.

– Filip się nazywa – przypomniał jego łysy kolega.

– Powiedźcie Filipowi, że ma na miesiąc szlaban w naszej knajpie, bo za takie chamskie odzywki to nikt mu już wody nie poda i będzie mógł zostać alkohorianinem.

– On? – zdziwił się ten blondyn z okrągłą buzią dużego dzieciaka. – On jest stuprocentowy pijak, jak my wszyscy. Dlatego tu przychodzimy, bo tu jest najlepsza cytrynówka w Poznaniu i będziemy przychodzić, co nie, chłopaki?

– No, no właśnie – odpowiedzieli dwaj pozostali.

– A ci alkohorianie to świry i już. My jesteśmy normalni – rzucił na pożegnanie chłopak, który wreszcie przestał patrzeć w szybę i teraz patrzył pod nogi, bo krok miał mało precyzyjny i dość nonszalancki. Paula zamknęła za nimi drzwi, przekręciła klucz w zamku i poszła zbierać szkło ze stolika. Przemek, uśmiechnięty od ucha do ucha, wrócił do bufetu.

– I co, słyszałaś?

– Co słyszałam? – Alex spojrzała na niego sponad blatu zastawionego umyтыми szklankami i kieliszkami.

– No oni nawet się nie zdziwili, jak mówiłem, że ten jeden może być alkohorianinem.

– Nawaleni byli, więc co się mieli dziwić.

– Zrozumieli, tak jakby od zawsze znali to słowo. A ja je wymyśliłem dzisiaj po południu, jak siedziałem za biurkiem w robocie. Nigdzie go nie wyczytałem, tylko tak sobie siedziałem i myślałem, i wymyśliłem...

– Wymyśl lepiej, co będziemy robić w domu. Jakiś film oglądamy, czy jak?

Przemek uśmiechnął się do niej i spojrzał na Paulę, gdy podeszła do kontuaru z okrągłą tacą wypełnioną po brzegi kieliszkami.

– Powiedz mi, Paula – zagadnął do niej tonem niby całkowicie obojętnym, jakby się pytał o zawartość wódki w kieliszku cytrynówki – co myślisz o tych, no, alkohorianach?

– Co? – odpowiedziała pytaniem najwyraźniej po to, żeby zebrać myśli.

– No alkohorianie... – powiedział głośniej i zdecydowanie wyraźniej. – Znaczy się ci, co to nie piją alkoholu.

– No to ja myślę, że z niczym nie można przesadzać. Z alkoholem i z mięsem. Ale jak ktoś chce, to jego problem. Byleby tylko było takich jak najmniej, bo gdyby wszyscy byli niepijący, to musielibyśmy zmienić asortyment i podawać frytki. A ja w smażalni bynajmniej bym nie pracowała. A czemu się szef pyta?

– Nie, nic, tylko tak z Alex gadamy o tym niepicciu i tak sobie myślę, że wypić od czasu do czasu trzeba, nawet mocno, żeby się zresetować, bo inaczej człowiek mógłby oszaleć.

– Od czasu do czasu i w odpowiednim towarzystwie – zgodziła się z nim Alex.

Przemek wlał sobie resztkę piwa do szklanki i jako zdeklarowany antyalkohorianin pociągnął spory łyk. Paula tymczasem wyłożyła wszystkie kieliszki na blat i już chciała wrócić do stolika, żeby go wysprzątać do końca, gdy naraz odezwał się dzwonek jej telefonu. Wydobyła aparat z kieszeni fartucha i spojrzała na wyświetlacz.

– O ja pierdziu! – powiedziała sama do siebie, ale na tyle głośno, że oboje właściciele pijalni spojrzeli na nią z ciekawości.

– Co się dzieje, Paula? – Natychmiast zareagowała Alex.

– O ja tej, dzwoni Marianna!

– Odbierz i wrzuc na głośnomówiący, i nagrywanie włącz – poinstruował ją Przemek. – Muszę z nią pogadać, bo może jej coś grozić.

Spojrzała na Alex. Ta pokiwała głową.

– Zrób, co mówi Przemek.

Położyła aparat na blacie i wcisnęła słuchawkę.

– Halo – powiedziała dość niepewnym tonem.

– Halo, Paula, ja pierdolę, kurwa...

– Mary, co z tobą, gdzie ty jesteś?

– Paula, oni chcą mnie tutaj... Kurwa, boję się. Muszę się stąd wydostać.

– Co ty gadasz, dziewczyno?

– Oni... to są jakieś pojeby. Oni chcą mnie... ja pierdolę. Powiedz Przemkowi, że mnie tu uwięzili.

– Kto cię uwięził, Marianna? – zawołał Przemek. – To ja mówię!

– Panie Przemku, przepraszam, panie... auuu, Przemkuuu. – Jej słowa było słychać coraz bardziej niewyraźnie, bo zniekształcał je szloch.

– Mów, gdzie jesteś!

– Jestem u nich w Domu Światła Prawdy. To taka sekta w Puszczy Noteckiej, co się nazywa Lumen Verum.

– Gdzie?

– Nie wiem. Chciałam stąd uciec, ale mnie złapali i zamknęli. Ale Ezechiel w tajemnicy oddał mi moją komórkę. Powiedział, że przyjdą w nocy i wtedy... Ja pierdolę, auu, kurwa, oni mnie... Panie Przemku, ratunku. Paula!

Naraz zrobiło się cicho.

– Marianna, jesteś tam? – zapytał policjant.

– Panie Przemku, ratunkuuuu... idą tuuu...

Usłyszeli szcęk zamka i skrzypienie otwieranych drzwi, wyraźne i zgrzytliwe, prawie jak w horrorze. A potem odezwał się jakiś mężczyzna.

Rozdział VIII

Okolice Krucza

Sobota

14 marca

Godzina 4.20

Obudził go przeszywający ból. Wokół było kompletnie ciemno. Nie potrafił rozróżnić żadnych kształtów, tak jakby się zapadł w jakąś kompletną pustkę, ciemność czyścicową, gdzie nie ma niczego oprócz mrocznych myśli. Spróbował się poruszyć. Poruszył palcami u rąk, ale to wszystko, co mógł zrobić. Palce były sprawne, ale ręce były skrępowane. Coś go uwierało w nadgarstkach. Mógł to być jakiś sznur albo plastikowy pasek. Co, tego na razie nie wiedział, ale była to drugorzędna kwestia... Co się, do diabła, tutaj dzieje?, zadał sobie pytanie w myślach i od razu przypomniał mu się ten skok w ciemność pod amboną myśliwską i ból wbijający się w lewą nogę jak ostra strzała. Najwyraźniej ta strzała tkwiła tam nadal, bo rwało go jak cholera. Na szczęście nie stał na tej nodze, lecz leżał. Tego był pewien. Ktoś go położył na czymś miękkim i śmierdzącym. Cuchnęło zgnilizną, starością i do tego jeszcze kocimi szczynami. I pamiętał też jakieś głosy dochodzące do niego przez gęstą zasłonę ciemności i bólu.

– Trzeba by go od razu pierdolnąć siekierą w łeb – powiedział ktoś, chyba tam koło tej ambony, gdy leżał w malignie.

– Ja bym się tam z takim szpiclem wcale nie pierdolił. Gość sam się tu wpakował – mówił ktoś inny.

– No to jebnij go kamieniem i będzie po sprawie. W końcu sam spadł z tej wieży. Mógł przecież przypierdolić głową w kamlota.

– Ale tu nie ma żadnych kamieni. Trzeba by przynieść.

– Nikogo nie będziecie tu zabijać! Jasne? – Kobieta wydała polecenie głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Bierzemy go ze sobą.

– Ale po co on nam jest potrzebny? – zdziwił się ten, który chciał użyć kamienia.

– Tobie do niczego. Nie jesteś tu od myślenia, ale od roboty. Powiem wam tylko, że musimy wiedzieć, kto go tu przysłał.

– No to możemy się dowiedzieć tego od razu.

– Jak? Przecież leży nieprzytomny, he, he, he! – Zaśmiał się ten drugi.

– Ja bym go zaraz obudził. Wystarczy go czymś pierdolnąć, to zaraz podskoczy...

– Porwał mnie z mojego domu, a potem zmusił, żebym go tu przywiózł. – Mazurek natychmiast rozpoznał głos długowłosego prawnika.

– Coś mu powiedziałeś o nas?

– Nie, no skąd. On chciał się tu dostać w sprawie kamienicy.

– Pogadasz z Nathanem i powiesz mu o wszystkim, wtedy zdecydujemy, co z nim zrobić.
– Mówiąc to, cały czas patrzyła na twarz Mazurka, oświetloną silnym snopem światła z latarki.

Ten mrużył oczy, nie wiedząc, co właściwie wokół niego się dzieje. Niby słyszał te głosy i nawet coś do niego docierało, ale ból sprawiał, że z trudnością wychwytywał sens tej rozmowy. W końcu kobieta przykucnęła tuż przy jego głowie i zaświeciła mu latarką prosto w oczy.

– Co tu robisz, człowieku? – zapytała spokojnym, rzeczowym tonem. Mazurek zamrugął nerwowo, oślepiony blaskiem światła.

– Co?

– Co tu robisz?

– Leżę – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Auu! Pomocy, boli mnie noga.

– Jeśli nie powiesz, skąd się tu wzięłeś, za chwilę nie tylko noga cię będzie bolała, ale i wszystko inne. Rozumiesz?

– Auu! Boli.

– Kto cię tu przysłał? – Kobieta nie dawała za wygraną.

– Jezusie, boli. Muszę jechać na pogotowie ratunkowe, bo mi ta noga...

Zaczęła powoli przeszukiwać mu kieszenie. To, co znalazła, wrzucała do płóciennej torby na zakupy. Trafiał tam portfel, scyzoryk, paczka papierosów, zapalniczka, chusteczki papierowe i kilka prezerwatyw, które Mazurek zawsze nosił ze sobą na wszelki wypadek, bo jak mówił, człowiek nie zna dnia ani godziny, kiedy może mu się przydarzyć jakaś okazja, a w pobliżu nie będzie żadnej apteki czy Żabki...

Na koniec włożyła jeszcze rękę pod pachę i natrafiła na kaburę z pistoletem. Wydobyła broń i wepchnęła ją do kieszeni swojej przeciwdeszczowej kurtki.

– To co, powiesz mi, kto cię tu przysłał? – zapytała.

– Kto mnie przysłał? – zdziwił się Mazurek, który właśnie zaczął znów odpływać do innego, zdecydowanie bardziej bolesnego wymiaru. Zaraz jednak na chwilę powrócił, gdy kobieta, najwyraźniej zirytowana jego obojętnością, podniosła się, a potem kopnęła go w zranioną nogę.

– Auuu! – Ponad polem poniosło się bolesne wycie, które niejeden wilk mógłby uznać za skowyt członka swojej watahy.

– Gdzie ja, do cholery, jestem? – zapytał sam siebie. Odpowiedziała mu kompletna cisza. I naraz uświadomił sobie, że to nie żaden czyściec, żaden przedsiónek piekła, ale najprawdopodobniej piwnica domu, który obserwował z wysokości myśliwskiej ambony. Musieli go tu nieprzytomnego przetransportować i wrzucić, a potem powiązać i zamknąć. Czyli oznaczało to, że jest w kompletnej dupie. Nie dość, że nie wykonał zlecenia, to jeszcze je w pokazowy sposób spieprzył. Teraz, gdy znalazł się w rękach tych ludzi, których to on powinien dopaść, w zasadzie sny o bogactwie mógł odłożyć ad acta. A tak bardzo liczył na spektakularny sukces, który pozwoli mu rozwinąć skrzydła w biznesie. Bo mimo że w branży liczy się dyskrecja, po załatwieniu sprawy miał zamiar szepnąć temu i owemu, czego dokonał. Był przekonany, że ta informacja rozejdzie się lotem błyskawicy wśród wszystkich zainteresowanych i dzięki temu ludzie dowiedzą się o jego

bezkompromisowości, a nade wszystko skuteczności. I w ten sposób do firmy Mazurek-Spy zaczyna trafiać najlepsze zamówienia.

Usłyszał jakiś ruch. Ktoś coś przesunął gdzieś powyżej, potem rozległ się stukot, chwilę później skrzypienie otwieranych drzwi, a w końcu kroki kilku osób na kamiennych schodach. Ktoś szedł w kierunku jego celi i po chwili przystanął. Zgrzytu klucza w zamku nie dało się z niczym pomylić. Drzwi się otworzyły i do środka wpadła smuga światła. Mazurek zachował się profesjonalnie, jak na byłego policjanta przystało. Od razu zamknął oczy, by udąć pogrążonego w sennym odrętwieniu człowieka. Po pierwsze nie prowokować, pomyślał, zastygając w kompletnym bezruchu.

– Dajcie ją tutaj – usłyszał znajomy głos. Była to ta sama kobieta, która przy ambonie próbowała wyciągnąć od niego informacje. Szczegółów nie pamiętał, ale od razu zdał sobie sprawę, że nie lubi tej suki.

– Co z nim? – zapytał jakiś mężczyzna.

– Śpi nieprzytomny – usłyszał ten kobiecy głos tuż nad sobą. – Ma skręconą nogę. Sprawdziłam to przy ambonie. To musi boleć jak cholera, ale złamania nie ma.

– Szkoda, że skurwiel nie skręcił karku – zażartował facet.

– Jakby skręcił, tobyśmy z nim nie mieli o czym gadać. Rzućcie ją na podłogę – rozkazała.

– Ale tu nie ma żadnego materaca – zdziwił się kolejny mężczyzna, sądząc po głosie, chyba młodszy od tego pierwszego.

– Coś ty taki delikatny, Ezechielu? Nic jej nie będzie – stwierdziła.

– Nie, to lepiej przesunmy tego szpicla i połóżmy ją obok – zaproponował.

– A co to, wczasy nad morzem, że takie małe dziwki muszą mieć miękko? – Kobieta najwyraźniej nie należała do osób empatycznych.

– Trzeba tego gnoja przesunąć, to się zmieszczą – upierał się Ezechiel, który najwyraźniej nie chciał zrobić krzywdy dziewczynie. – Ty, Jonasz, przesun tego wieprza.

Ktoś zbliżył się do niego, szarpnął za marynarkę, uniósł z łatwością w górę i pchnął przed siebie. Mazurek z plaśnięciem wylądował na drugim końcu materaca.

– Auuu! – zawołał, gdy noga przesunęła się po miękkim materiale.

– O, obudził się gnojek – stwierdził Jonasz, pochylając się nad detektywem.

Otworzył oczy, bo już nie było sensu udawać, że śpi. Od razu jego spojrzenie natrafiło na twarz mężczyzny. Był to może dwudziestopięcioletni, ogolony na łyso gość o sylwetce goryla, który zapewne większość czasu spędzał na siłowni. Ten, który stał obok, na rękach trzymał drobną dziewczynę, ubraną w szarą bluzę i tego samego koloru dresowe spodnie. Stopy miała gołe, a długie ciemne włosy spływały beładnie w dół. Była nieprzytomna. Mazurek od razu dostrzegł, że nie była skrzepowana.

– Dobra, zostawiamy ich tutaj – zdecydowała kobieta.

– A co z jej rękami i nogami? – zapytał Jonasz, gdy Ezechiel delikatnie ułożył dziewczynę na skraju materaca.

– A co ma być?

– No trzeba by związać, tak jak tego.

– A po co, przecież nie ucieknie – stwierdziła pewnym głosem kobieta. – A on tym bardziej. Prawda, panie detektywie Mazurek?

Spojrzał w górę. Zobaczył nad sobą piękną twarz o regularnych rysach, która mogłaby być natchnieniem dla renesansowych malarzy tworzących postaci mitologicznych bogiń. Ta rzeczywiście była śliczna jak rzymska Wenus o kruczoczarnych włosach. Ale też, jak przystało na bóstwo, potrafiła być okrutna i bezwzględna. Po raz kolejny przekonał się o tym na własnej skórze, gdy z uśmiechem na ustach kopnęła go z rozmachem w obolałą nogę.

Poznań

Godzina 8.10

– Ale o co chodzi?

– O tę dziewczynę.

– Jaką dziewczynę? Tę naszą zabitą?

– Nie, kurde, moją dziewczynę z tatuażem.

– Aha. Twoją żonę? – domyślił się aspirant Jan Bury, który siedział z Przemkiem biurko w biurko. Nie znał za dobrze żony Drążkowskiego, ale widział ją kilka razy na jakichś imprezach i to, co zapadło mu w pamięć, to tatuaże na jej rękach. – Tylko co ona ma z tym wszystkim wspólnego? – zapytał jeszcze, bo nie bardzo mu pasowała do śledztwa. Choć tatuaże mogły być wskazówką. – Czy ona ma też ten krzyżyk na ramieniu?

– Nie, skąd. Co ty w ogóle pierdzielisz?

– No przecież mówię, że te tatuaże to może być jakaś wskazówka.

– I jest, jak najbardziej. To jest wskazówka, że moja zaginiona dziewczyna ma taki sam tatuaż, co ta zamordowana.

– Jaka twoja zaginiona dziewczyna? – Teraz Bury naprawdę się zdziwił. Przecież jego kumpel miał żonę, a nie dziewczynę. I do tego jeszcze dziewczynę zaginioną. – Nic nie rozumiem. O co chodzi?

– Zaraz ci wszystko wytłumaczę – stwierdził bezradnie Przemek – ale załatw mi to namierzanie komórki.

– Ale wiesz, że to nielegalne, bez nakazu i w ogóle...

– Czy ty myślisz, że ja się dzisiaj urodziłem? – Oczywiście, że wiedział. Jeżeliby chciał oficjalnie namierzyć czyjś telefon, musiałby mieć zgodę z prokuratury, a na taką trzeba było trochę poczekać. A tu wszystko działo się zbyt szybko i nie było czasu na jakieś przerzucanie się papierkami. – Stary, załatwiaj, a ja biorę to na siebie! – rzucił lekko zirytowany.

– Co bierzesz na siebie? – usłyszeli za sobą głos Michała, dobiegający od drzwi. Ich szef wszedł do pokoju i stanął za plecami Przemka. Bury spojrzał na długowłosego oficera, wyglądającego trochę nieświeżo w tej swojej starej, wymiętej kurtce M-65 US Army, której pierwszy właściciel zginął zapewne jeszcze podczas wojny koreańskiej. Jego nieogolona i zmęczona twarz mówiła wyraźnie, że podkomisarz Gliniecki jest zmęczony, a zapach, który roztaczał wokół siebie, że nie wylewa za kołnierz.

– No wiesz... – Przemek zaczął ostrożnie, bo szef różnie reagował na pozaproceduralne działania. Zasadniczo był ich zdecydowanym przeciwnikiem, poza sytuacjami, kiedy od razu było pewne, że mogą przynieść jakiś spektakularny efekt. Tu na pierwszy rzut oka nie widać było efektu, ale jeśliby rzucić okiem po raz drugi... – Musimy namierzyć telefon mojej pracowniczki.

– A co, ukradła ci forszę i związała? – domyślił się Gliniecki. Poszedł w kierunku swojego biurka pod oknem wychodzącym na dawny koszarowy plac, teraz zastawiony po brzegi służbowymi i prywatnymi samochodami. Usiadł na fotelu, położył sobie na kolanach ortalionową torbę, by po chwili grzebania wydobyć z niej butelkę wody mineralnej. Odkręcił korek i wlał w siebie kilka sporych łyków. Gazowana woda spłynęła mu do gardła ożywczym strumieniem, a gaz wyleciał w przeciwnym kierunku. Beknął głośno, a potem spojrzął na swoich podwładnych. – Jak załatwiacie takie gówniane sprawy na boku, to w zasadzie nie musicie mnie informować, bo jeszcze musiałbym wam zakazać. Ale się nie przejmujcie, ja nie mam do tego dzisiaj głowy. Za chwilę muszę iść na rozmowę do Blaszkowskiego w sprawie tej naszej mielonki. I najlepsze jest to, że on będzie się pytał, co żeśmy dotąd znaleźli, a ja mu mogę odpowiedzieć, że nic, kompletnie nic.

– No nie do końca – odparł Bury, który przez cały wczorajszy dzień prowadził poszukiwania kontenerów na gruz zwożonych do kruszarni. Jeden trop okazał się całkiem obiecujący.

– Tak? Co ci się udało znaleźć?

– Sprawdziłem wszystkie raporty dotyczące wynajęcia kontenerów, miejsc ich ustawienia i czasu ich, tego, no, pobytu w mieście, znaczy się tego, jak długo stały i gdzie...

– No rozumiem, i co z tego wynika? – Gliniecki machnął ręką zniecierpliwiony. Widać, że zależało mu na jakiegokolwiek informacji, żeby podczas spotkania z nowym szefem nie wypaść na kompletnego ignoranta. Już od rana układał sobie w głowie, co powie Blaszkowskiemu. Była to klasyczna ściema w postaci zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań. Bo rzeczywiście takie się toczyły. Przede wszystkim jego ludzie szukali wszelkich informacji o zaginionych dziewczynach z grudnia i stycznia. Zanim wszedł tu do pokoju, zajrzał do aspirant Marty Krzywickiej i sierżant Eli Górnej. One właśnie zajmowały się zbieraniem danych na temat zaginięć młodych kobiet. Jak się okazało, było tego sporo. Informacje o tych, które ich zdaniem mogłyby być ofiarą z kruszarki, skopiowały mu i włożyły do teczki. Dzięki temu miał już punkt zaczepienia na dzisiejszą naradę. Ale to wszystko było mało. Potrzebny był konkretny i może właśnie taki mógł mu dać Bury.

– Zakładam, że rozpiska musi być dokładna, bo firmy liczą sobie kasę za każdy dzień tego, jak ktoś zamówi od nich taki kontener. No więc ktoś zamawia i oni dowożą. Ustawiają go na budowie czy przed domem, gdzie jest remont, a ten, co zamawia, wywala tam cały syf ze swojej chaty. No i potem to wszystko, ten cały gruz, trafia na plac i na końcu do kruszarki...

– Nie gadaj o technologii przerabiania gruzu, ale o tym, co ustaliłeś. – Gliniecki ponaglił podwładnego i jednocześnie spojrzął na zegarek. Miał jeszcze trochę czasu, bo Blaszkowski kazał mu się stawić na dziewiątą.

– No to ja ustaliłem, że te kontenery na gruz stały w kilkunastu miejscach w Poznaniu tylko w ubiegłym tygodniu. To jest ten urobek, który przerabiała kruszarka, znaczy ostatni gruz, w którym mogło przyjechać ciało. Pytałem o przerób tego majstra, co tam prowadzi całą buchalterię, i on mi wyjaśnił, że ciało musiało być w którejś wannie z zeszłego

tygodnia, bo gruz sprzed dwóch tygodni już się przerobił. No i teraz najlepsze. Przemek powiedział, że ona tam mogła leżeć już od stycznia, że leżała długo i dobrze zamarzała, że się dało ją tak pokruszyć... No to sprawdziłem, który kontener stał tak długo. No i mam celny strzał, bo jest tylko jeden z takim długim postojem. On stał przy budowie bloku na Garbarach. Wiecie, tam się buduje całe osiedle, gdzie dawniej była palarnia kawy. No i on tam stał przy ulicy. To znaczy się, że to może być nasz kontener.

– Kurwa! – zaklął niezadowolony Gliniecki. – To jest centrum miasta. I mieszka tam pełno ludzi. To każdy mógł tam wrzucić zwłoki.

– Nie byłbym taki pewny. – Przemek miał wątpliwości, więc zaraz postanowił je wyrazić. A poza tym i tak chciał wreszcie powiedzieć im o swoim problemie, bo czuł, że musi w końcu zacząć działać. A czas płynął i działał na niekorzyść jego poszukiwań.

– Czyli że co? – zapytał podkomisarz.

– Właśnie że dlatego, że to centrum, nikt by tu nie spacerował z trupem, bo mógłby zaliczyć wpadkę. Ja obstawiałbym, że to z któregoś z mieszkań na Garbarach wynieśli tę zabitą dziewczynę i wyrzucili najbliżej, jak się dało.

– Ja tak samo pomyślałem. – Bury spojrzał z wdzięcznością na kolegę, który poparł jego przypuszczenia.

– Znaczy, że trzeba sprawdzić, kto tam mieszka w najbliższej okolicy, rozpytać sąsiadów, czy gdzieś ktoś czegoś nie słyszał – stwierdził Gliniecki. – Zajmie nam to przynajmniej tydzień.

– Więc trzeba zacząć jak najszybciej, tak samo jak z tą moją dziewczyną. – Przemek spojrzał na dowódcę, a ten zrobił zdziwioną minę.

– Nie bardzo kumam bazę?

– Muszę jak najszybciej mieć namiary na telefon, chodzi o lokalizację telefonu mojej dziewczyny...

– Jakiej dziewczyny? Przecież ty masz żonę. – Gliniecki zrobił wielkie oczy. Przemek zniecierpliwiony machnął ręką.

– Mojej dziewczyny, co u mnie pracowała, znaczy się kelnerki.

– Ukradła ci jednak kasę – rzucił kpiącym tonem podkomisarz. – Tylko czemu gadasz, że to ma coś wspólnego ze sprawą tej mielonki?

– Nie chodzi o kasę. Idzie o to, że ona zniknęła i nie wiem, co się z nią dzieje. I szukałem jej w jej mieszkaniu, znaczy w takim pokoju, co ona wynajmowała, i tam trafiłem na gościa, który mi powiedział, że ona ma tatuaż.

– Teraz co druga laska ma tatuaż. Taka moda. Ja to bym sobie w życiu nie dał nic wymalować na ręce – stwierdził Bury. Był trochę naburmuszony, bo Przemek odebrał mu jego show, kiedy chwalił się swoimi osiągnięciami śledczymi. Wymownie przy tym spojrzał na przedramię kolegi ściśle owinięte rękawem kraciastej koszuli.

– Ale nie każda ma tatuaż z tym łańciskim napisem i z krzyżem, za którym widać jakieś słońce. To ten sam tatuaż, jak ten, co miała nasza zmielona dziewczyna.

– O kurwa, to czemu nic nie mówisz, chłopie. – Podkomisarz poderwał się na równe nogi, jakby chciał podejść do Przemka, by wyrwać mu więcej informacji wprost z gardła, ale zrobił to zbyt gwałtownie, zachwiał się i zaraz opadł z powrotem na krzesło.

– Co ci jest? – zapytał Bury.

– Nic, kurwa, mam kaca. Zwykłego kaca po przepiciu. Muszę się napić zimnego słodkiego. Najlepiej jakąś colę...

– Zaraz ci przyniosę – zaoferował Bury, ale Gliniecki powstrzymał go gestem dłoni.

– Zostań, to może poczekać. – Spojrzał na Przemka. – Czemu żeś nic nie powiedział o tej dziewczynie?

– No właśnie mówię. Nie miałem kiedy wcześniej. Tam w tym mieszkaniu, gdzie ona mieszkała, znalazłem całe stopy jakichś gównianych pism, takich, no wiecie, kolorowych gazet o tematyce, najprościej by powiedzieć, czarów i zabobonów różnych. O tym, jak najlepiej dbać o siebie, żeby promieniowanie słoneczne nas nie zabiło, i o różnych odpromiennikach, co to mają ratować ludzi przed tym wirusem...

– Wiem, moja teściowa to kupiła – przypomniał sobie Bury. – Ustawiła taki talerz jak antena satelitarna w korytarzu w chacie i się do tego modli, i gada z tym pierdolonym odpromiennikiem, bo niby że jak przechodzi obok niego, to od razu się lepiej czuje, i ja też przeszedłem, to poczułem... takie mrowienie na plecach i wtedy to nawet pomyślałem...

– I co z tą twoją laską? – przerwał mu Gliniecki, coraz bardziej zainteresowany opowieścią kolegi.

– Ona znikła, ale wczoraj wieczorem zadzwoniła do swojej koleżanki, co u mnie też pracuje. Do Pauli zadzwoniła, a ja akurat byłem w knajpie, i jak ona zaczęła z nią gadać to jej, znaczy Pauli, kazałem włączyć głośnomówiący i jeszcze nagrywanie. I teraz wiem, że ona jest porwana.

– Paula jest porwana? – zrozumiał podkomisarz.

– Nie Paula. Do Pauli dzwoniła ta zaginiona, co się nazywa Marianna. Ona jest przez kogoś uwięziona. I dlatego mi jest potrzebny ostatni namiar na logowanie się jej komórki.

– A skąd wiesz, że jest więziona? – zapytał długowłosego oficer. – Wiesz, jak jest, jak nie mamy dowodów, że jest naprawdę jakiś gnój, to prokurator nie da zgody. A jak ją da, to będziemy i tak jeszcze szukać i szukać...

– Toteż ja nie chcę czekać, bo jej się coś może stać.

Na potwierdzenie tych słów Przemek wydobył z kieszeni telefon, położył go na biurku i przez chwilę szukał pliku z zapisanym nagraniem, które przesała mu Paula. Obaj koledzy przysunęli się bliżej.

– Co tam macie? – zawołała od drzwi Marta Krzywicka. Zawsze potrafiła w magiczny sposób wyczuć sytuację, gdy zaczynało dziać się coś niezwykłego. Nikt jej nie odpowiedział, bo wszyscy byli skupieni na odtwarzaczu.

– Marianna, jesteś tam? – usłyszeli podniesiony głos Przemka.

– Panie Przemku, ratunkuuuu... idą tuuu...

Do ich uszu dobiegł dźwięk klucza otwierającego zamek w drzwiach. A potem odezwał się jakiś mężczyzna:

– Dalej, ruszaj się, ty mała kurwo!

– Nigdzie nie pójde. Ratunku!

– Nie ma czasu na pierdolenie. Idziemy, bo Przewodnik czeka na ciebie. Dzisiaj zostaniesz przez niego obdarowana i dzięki temu już na zawsze będziesz mu posłuszna... he, he! Odechce ci się uciekania! Ty naprawdę nie rozumiesz, że od nas się nie ucieka?

– Nie pójdę! Nie, ratunku, puść mnie, ty gnoju! Puszczaj!

– He, he, he! Należysz do Przewodnika. Należysz do nas wszystkich... Co to, kurwa, jest? Skąd masz komórkę?

Połączenie się urwało. Przez chwilę w pokoju panowała absolutna cisza. Przerwała ją w końcu Marta.

– Co to było? Ja piórkuję, co to było, Przemek!

– To było nagranie – wytłumaczył rezolutnie starszy aspirant Drążkowski.

– Janek, masz te kontakty w firmie telekomunikacyjnej? – Podkomisarz spojrzał na Burego. Ten uśmiechnął się niewyraźnie.

– No ma się niby cały czas – odpowiedział, niepewny intencji szefa.

– To namierzaj, kurwa, ten telefon!

Szamotuły

Godzina 9.05

– Już myślałem, że pani nie przyjdzie. – Uśmiechnął się zadowolony, ukazując przy tym dwa rzędy białych, lśniących czystością zębów. Jak z reklamy pasty z dodatkiem wybielacza, pomyślała, patrząc na niego. Potem rozejrzała się. Była sama na pustym parkingu, gdzie stało zaledwie kilka samochodów zostawionych przez ludzi, którzy o tej porze przyjechali do centrum miasta, by załatwić na rynku i w jego pobliżu swoje sprawy. Kiedyś na tym rozłożystym placu, pokrytym starą płytą chodnikową, chłopci z okolicznych wsi sprzedawali prosto z wozów ziemniaki i kapustę. Teraz było tu pusto. I prócz aut tylko ona i on.

– Niby że czemu? – odpowiedziała niezbyt lotnie.

– Bo nie byłem pewny, czy jest pani zdecydowana na wejście do nowego świata.

– Ja tam bynajmniej lubię, jak coś się dzieje.

– No to doskonale, bo będzie się działo. Wkrótce się pani przekona. To co, jedziemy? – Wskazał na otwarte drzwi vana.

Rozejrzała się jeszcze raz. Jej spojrzenie na chwilę zatrzymało się na gotyckiej baszcie Halszki, ostatnim elemencie średniowiecznych fortyfikacji zamku Górków, który dotrwał do naszych czasów. Przypomniała się jej od razu ta historia z mechanicznym szachistą i próbą porwania cesarza Napoleona Bonaparte. Kawałek wielkiej historii w prowincjonalnym miasteczku, pomyślała i zaraz odwróciła się do Nathana.

– Myślałam, że cała grupa ma jechać z nami.

– No i to jest prawda. Zabierzemy jeszcze sześć osób. Ale najpierw chciałem pogadać z panią.

– Dlaczego ze mną? Mam się czuć wyróżniona?

– Poniekąd tak. Chodzi o to, że jest pani bardzo inteligentna...

– He, he! Nie robię błędów ortograficznych, jeśli się o to rozchodzi.

– Nie tylko o błędy. Chodzi o całokształt.

– Znaczy się o moją figurę? – Znów zaczęła wchodzić w rolę idiotki. Chciała mu ułatwić zadanie.

– Figurę też, ma się rozumieć – stwierdził, znowu się uśmiechając. – Choć przyznam, że w tym ubraniu niewiele widać.

– Nie ubrałam się na imprezkę – stwierdziła, jednocześnie spoglądając na swoje czarne bojówki i buty trekkingowe. Do tego założyła ulubioną czarną kurtkę, a przez ramię przewiesiła płócienną torebkę. Była gotowa na wyprawę w nieznane i dlatego wybrała ten wygodny strój, bo czuła, że niejedno może się wydarzyć. Zresztą ostrzegął ją dziś przed tą wyprawą w nieznane Biernat, z którym umówiła się w komendzie o siódmej rano. Musieli przecież wszystko jeszcze raz przegadać, zwłaszcza po tym, czego dowiedzieli się od przesłuchiwanego przez nich złodzieja. Opowiedział im o sekcje, w której wszyscy noszą biblijne imiona. O Nathanie i jego żonie Miriam, którzy rządzą żelazną ręką całą społecznością, i o tym, że ci, którzy weszli do grupy, nie mogą jej już opuścić.

– Ten Nathan to jakiś typek spod ciemnej gwiazdy – przekonywał ją dowódca. – Więc wcale nie uważam, żeby to był dobry pomysł, byś gdzieś z nim jechała. Jeśli nasze przypuszczenia się potwierdzą, to może to jakaś banda bezwzględnych morderców.

– No i tego się musimy właśnie dowiedzieć, dlatego trzeba wykorzystać tę okazję – tłumaczyła mu z pełnym przekonaniem.

– Ale przecież wystarczy tylko go namierzyć, tam gdzie się z nim umówiłaś, i pojechać za nim, sprawdzić, gdzie to jest, a potem wejść do środka...

– Pod jakim pretekstem? Na razie nic nie wiemy. Może tylko tyle, że to najprawdopodobniej oni zamówili tatuaże u tego gościa, co go ma w areszcie Przemek Drażkowski. Poza tym mamy mgliste przypuszczenia, że ci zabici to nie są właściciele auta, a prawdziwi właściciele żyją. Więc mamy wejść i zapytać, czy są tam ci Waszutowie, którzy być może zginęli? Za dużo jeszcze jest niejasności i sporo do wyjaśnienia. Dlatego myślę, że warto skorzystać z okazji, żeby przyjrzeć się wszystkiemu od środka.

– Pod warunkiem, że ten twój Nathan w ogóle zabierze cię do tej ich samotni. Może on chce cię zaprosić do restauracji na obiad...

Pokręciła głową.

– Na obiad za wcześnie. Napisał SMS-a, że mamy się spotkać o dziewiątej na placu przed starą przychodnią.

– A co jest teraz w tej przychodni? – zainteresował się Biernat.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Jakiś syf. Widziałam, że są wstawione nowe okna, ale cały budynek nie jest wyremontowany. Tak jakby go ktoś zabezpieczył, żeby łobuzy nie niszczyły niczego w środku.

– To jest dobre miejsce.

– Do czego dobre?

– Żeby się dokładnie przyjrzeć temu twojemu „przewodnikowi”.

– Już ja mu się dobrze przyjrę.

– Nie o ciebie chodzi. No dobra, jedź na to spotkanie. Tylko uważaj na siebie... No i wiesz, w razie czego...

– Tak, wiem, mam głośno krzyknąć.

Spojrzała na budynek starej przychodni i zaraz wróciła do rzeczywistości, w której najważniejszym punktem był Nathan. Mężczyzna podszedł do auta i otworzył drzwi od strony pasażera.

– To co, jedzie pani? – zapytał, uśmiechając się zachęcająco.

– No raczej – rzuciła bez wahania. – Dokąd jedziemy?

– W sumie niedaleko. Była pani w Puszczy Noteckiej?

– No pewnie. Nieraz już byłam. Na grzyby się tam jeździ – odpowiedziała, wsiadając do środka. Wewnątrz pachniało intensywnie jabłkowym odświeżaczem do auta. Nie lubiła tego zapachu, bo kojarzył się jej z ubikacją. Jeszcze kilka lat temu zielone jabłuszko królowało we wszystkich toaletach na stacjach benzynowych i w centrach handlowych. Na szczęście w końcu zaczęto też stosować inne zapachy, ale u niej uraz do tego intensywnego, wcale nie ożywczego aromatu został na zawsze, być może dlatego, że poznała go we wczesnym dzieciństwie w szkolnej łazience.

– My na grzyby dziś nie pojedziemy...

– Bo na grzyby się jeździ jesienią – pouczyła go.

– Widzę, że pani się świetnie orientuje – pochwalił ją, uruchamiając jednocześnie silnik.

– Każdy głupi się zna na takich sprawach.

– A na czym się jeszcze pani zna, pani Aneto?

– Różnie. Rozwiązuję krzyżówki – powiedziała zgodnie z prawdą. – I jeszcze to się interesuję różnymi zagadkami...

– Jakimi zagadkami najbardziej? – Poczula, że facet chce ją wy badać i sprawdzić, czy rzeczywiście będzie pasować do tej jego grupy. A może wpadła mu w oko? W końcu podczas pierwszej rozmowy położył jej rękę na kolanie. Mężczyźni raczej nie robią tego przypadkowo.

– Takimi jak te, co mówią o starożytnych kosmitach.

– A tak, to dobry serial. Ja też od czasu do czasu go oglądam. – Wyszczrzył znowu zęby w uśmiechu. Zaraz jednak oderwał od niej wzrok, by popatrzeć w lewo, w głąb ulicy Braci Czeskich, skąd nadjeżdżało kilka samochodów. W skupieniu czekał, aż się zrobi miejsce, i gdy ostatni z nich minął jego vana, włączył się do ruchu. Auto pognało rażno do przodu po brukowanej ulicy w kierunku zamkowej baszty.

– Dokąd jedziemy tak dokładnie? – zapytała na wszelki wypadek, choć nie spodziewała się, że udzieli jej wyczerpującej odpowiedzi.

– Mówiłem już, że do puszczy. Ale dokładnie to nie da się powiedzieć, bo mamy tam w lesie takie fajne miejsce.

– Jakaś wieś?

– Tak jakby...

– A pozostali?

– Ja chciałem najpierw z panią porozmawiać, bo wydaje mi się pani inna od nich wszystkich.

– No czy ja wiem...

– Ale ja wiem, co mówię, pani Aneto. Przede wszystkim ten motocykl zrobił na mnie wrażenie.

– Zwykła suczka.

– No właśnie. Niewiele kobiet jeździ na takich ścigaczach.

– Ja od zawsze. Tata był mechanikiem samochodowym. Od dziecka uczył mnie grzebania w silnikach, w różnych mechanizmach, no i przede wszystkim dawał mi jeździć. Jeździłam na motorynce, na komarku, później na starym junaku z koszem...

– Przeszła pani dobrą szkołę.

– Tata pewnie chciał mieć syna, ale mu się nie udało i musiał nauczyć córkę wszystkiego, co sam umiał.

– Jak mi pani jeszcze powie, że trenowała walkę wręcz, to nie uwierzę...

– Trenowałam karate. Zresztą jakby co, to strzelać też potrafię, he, he!

– Niesamowita z pani kobieta. Mogłaby pani zrobić karierę w wojsku.

– Nie, to nie dla mnie. Ja jestem księgową – skłamała, bo tym razem to wypytywanie zaczęło zbliżać się do spraw zawodowych. O ile spokojnie mogła podzielić się z Nathanem informacjami ze swojego dzieciństwa, o tyle na temat terażniejszości musiała się obudować jakąś legendą.

– Lubi pani liczby i tabelki?

– Nienawidzę. Ale ktoś to musi robić.

– Prawda, często zmuszeni jesteśmy robić rzeczy, których nie chcemy, ale musimy się podejmować. Na przykład dla dobra innych.

– Co pan ma na myśli?

– Dokładnie to, co powiedziałem.

– Czyli że trzeba dokonywać wyborów, które nie zawsze nam się podobają, ale nie mamy innego wyjścia? – wyjaśniła głośno jego myśl, by dać mu możliwość reakcji. Zrobiła dokładnie to, czego się spodziewała.

– Jest pani niezwykle inteligentna. Nie to, co większość moich współpracowników. Ktoś taki jak pani byłby nam naprawdę potrzebny. Muszę tylko wyjaśnić jeszcze kilka wątpliwości.

– Jakich? O co panu chodzi?

– Dość dokładnie przeanalizowałem pani wpisy na fejsie.

Poczuła uderzenie gorąca. Policzki musiały się jej zaczerwienić. Zaskoczył ją. Czyżby wrzuciła jakiś post związany z pracą? Nie, tam nigdy o tym nie mówiła.

– I co tam pan znalazł?

– Normalne zdjęcia, wpisy, w sumie nic nadzwyczajnego... I nagle cisza, kompletny brak aktywności przez trzy lata. Dlaczego?

Jasna cholera, to koniec. Dostrzegł tę lukę. Nie wpisywała niczego, kiedy była na studiach w Szczytnie. Nie miała czasu na takie głupoty. No to już po niej. Bo jak miała to wytłumaczyć...

– Nie ma się czego wstydzić. Niech pani powie prawdę – zachęcił ją.

– Ja... bo właściwie... – Nie wiedziała, co powiedzieć, zastanawiała się gorączkowo i nic. Zaraz, co on powiedział? Nie ma się czego wstydzić? O czym on myśli?

– Każdy w życiu może pobyć. To nic strasznego. Ale powinniśmy być ze sobą szczerzy, jeśli mamy współpracować. Żadnych tajemnic, pani Aneto.

– Tyle że...

– Za co pani siedziała?

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa. Za co siedziała? On myślał, że te trzy lata wycięte z fejsa to odsiadka? Lepiej być nie mogło.

– Za niewinność – odpowiedziała jak rasowy przestępca.

– Trzy lata to sporo.

– Wrobili mnie. Ci, u których pracowałam. Że niby wyprowadziłam kasę z firmy.

– Ile?

Wzruszyła ramionami.

– Jakieś trzysta tysięcy.

– Za trzysta nie dostałabyś trójki – stwierdził, przechodząc na ty.

– Dwa i pół roku.

– Ile tego było?

– Trzy bańki.

– Fiu, fiu! – Zagwizdał i zaraz spojrzał na nią, uśmiechając się. – Niezła jesteś.

Nie odpowiedziała, a on nie kontynuował tego przesłuchania. Sprawiał wrażenie bardzo uradowanego rezultatem.

Samochód wyjechał z Szamotuł i po chwili skręcił z głównej drogi prowadzącej do Obrzycka, by odbić na Ostroróg.

– Za piętnaście minut będziemy we Wronkach. Stamtąd zabierzemy ludzi. Umówiłem się pod dworcem, bo niektórzy dojeżdżają do nas z Poznania. Wszyscy będą tam na nas czekać, no i z nimi ruszamy do naszej samotni.

– Co to za miejsce? To, do którego jedziemy?

– Hmm... Jak by to najprościej określić? To taka nasza pustelnia.

– Co?

– Nasz azyl przed światem. Żyjemy tam w grupie. To ludzie wybrani i odpowiednio wyselekcjonowani.

– Selekcja nie jest ładnym słowem. Czytałam taką książkę o Auschwitz.

– Nie, nie, ha, ha! To nie ma nic wspólnego z tego typu morderczą selekcją. My tu raczej odkrywamy najpierw prawdę, nagą prawdę o ludziach, i dopiero potem możemy im zaufać.

– Ale po co ta „naga prawda”?

– Chodzi o to, żeby wybrać najlepszych, takich, którzy będą chcieli z nami działać i pomagać nam docierać do innych ludzi, by nieść im prawdę o tym wszystkim, co nam zagraża, co nas jako ludzi chce zniszczyć. My chcemy uratować jak najwięcej istnień ludzkich. Dlatego tak ważne są nasze nośniki informacji, takie jak nasza strona, różnego rodzaju pisma, w których publikujemy, ale także internet szeroko pojęty, czyli media społecznościowe i przede wszystkim nasza główna broń – merytoryczne komentarze pod głupimi postami na temat, na przykład, szczepionek. Chodzi o to, żeby tym przemądrzałym reprezentantom firm farmaceutycznych, którzy zarabiają miliardy, szczepiąc ludzi jakimiś

paskudztwami, mówić prawdę prosto w oczy, że robią to dla pieniędzy i po to, żeby eksperymentować na ludziach. I to jest właśnie współczesne Auschwitz, pani Aneto.

– Eksperymentują na ludziach? – Udała zdziwienie.

– Oczywiście, wszczepiają jakieś nowe substancje, które są dopiero badane, i sprawdzają reakcję, obserwują, czy nie ma skutków ubocznych. Ludzie to dla nich króliki doświadczalne. I dlatego musimy z tym walczyć. I to właśnie powód, dla którego zaprosiliśmy was do naszej pustelni. Przede wszystkim zobaczycie, jak żyjemy, no i dowiecie się, co można zrobić, żeby walczyć ze złem. Pokażemy wam, jak to robić, nie ruszając się z domu. Będziecie wyszkolonymi wojownikami walczącymi ze złem tego świata. No i nie będziecie robić tego za darmo. Za każdy post broniący naszych idei płacimy dwa złote. To się może wydawać niedużo, ale przecież taka inteligentna osoba jak pani może takich postów dziennie napisać nawet i sto. Co to dla pani.

Pokiwała głową. Pewnie, że mogła napisać sto postów. Tyle że raczej nie w takiej sprawie.

– To dwie stówki dziennie. Można nieźle przyrobić – ucieszyła się. – Po pracy zawsze można coś jeszcze popisać. Tyle że trzeba wiedzieć, gdzie i w ogóle...

– O to się już nie martw. Co, jak i gdzie, tego się dowiesz na naszych dzisiejszych warsztatach. Ale jedno mogę powiedzieć od razu. Początkowo chciałem, żebyś została koordynatorką tej nowej grupy. Nadajesz się do tego świetnie. Ale teraz widzę, że to byłby błąd. Powinnas robić zupełnie inne rzeczy dla naszej społeczności.

– Czyli że co?

– Powiem na miejscu, gdy już tam wszystko pokażę...

– Nie wiem, czy się nadam, ale na pewno się postaram – powiedziała skromnie.

Dotarli do Wronek. Samochód zjechał ulicą wiodącą z wysokiej skarpy w kierunku przejazdu kolejowego. Po drugiej stronie, na prawo, widać już było budynki dworca. Auto skręciło w prawo i ruszyło na miejsce spotkania, gdzie mieli czekać wojownicy prawdy, których wielu nazwałoby raczej przyszłymi hejterami.

Poznań

Godzina 10.30

– Gdzie on jest? Może mu się coś stało? – Włodarczyk był zaniepokojony milczeniem Mazurka. W końcu detektyw już dawno powinien się odezwać, a tymczasem od wczoraj, od ostatniego SMS-a, którego dostał adwokat, nie było żadnego sygnału od ich wysłannika.

– Spokojnie, to jest doświadczony detektyw – próbował uspokoić go kolega. – Wiesz, jak to z nimi jest, tymi gliniarzami.

– Nie wiem, nigdy nie byłem gliniarzem.

– No jest tak, że łążą swoimi ścieżkami i później dopiero, jak już dojdą na miejsce, dzielą się informacjami. On pewnie poczuł świeży trop i ruszył jak ten gończy pies za zapachem krwi. Nie martwmy się nim, tylko tym, co sami możemy w tym czasie zrobić.

– A co możemy?

– Możemy ich zrobić w chuja.

– Co ty mówisz?

– Dokładnie to, co słyszysz. Jeszcze dokładniej chodzi o to, co śpiewa w swojej piosence Grabaż.

– Kto? Co ty w ogóle pierdolisz, chłopie? – zdenerwował się urzędnik. Był coraz bardziej rozdrażniony całą tą sytuacją i zupełnie nie miał ochoty na rozwiązywanie jakichś zagadek.

– No nie znasz tego zespołu z Piły Strachy na Lachy?

– Co mam nie znać? Oczywiście, że znam.

– No to Grabaż śpiewa właśnie, że żyje w kraju, w którym wszyscy chcą mnie zrobić w chuja. Zależy się jego zrobić w chuja za moją kasę. Czyli za jego kasę, rozumiesz? Taki to kraj, że wszyscy robią wszystkich w chuja, i ja właśnie mówię, że trzeba z tego skorzystać.

Włodarczyk pokręcił głową i zaraz z rezygnacją sięgnął po szklankę piwa. Ostatnio pił coraz więcej, bo na trzeźwo trudno było udźwignąć ciężar tych wszystkich problemów, które zwały mu się na głowę. Piwo od rana trochę pomagało. Na szczęście miał w lodówce kilka butelek i dzięki temu mógł zalać wczorajszego kaca, którego zawdzięczał zdecydowanie zbyt wielkiej dawce łyśkacza. Dziś rano jego żona zapakowała dzieci do samochodu i pojechała na weekend do swoich rodziców, do Czarnkowa. Dlatego umówił się ze swoim przyjacielem w domu. Tu mogli swobodnie rozmawiać.

– Widziałeś te ich dokumenty, które ci przesłałem? – zapytał Włodarczyk. – Przejrzałeś je dokładnie?

– Widziałem i uważam, że są łatwe do zakwestionowania. To stek bzdur. Opieranie całego procesu na jakimś wątpliwym akcie darowizny... Normalny sąd by je odrzucił.

– Zaraz, zaraz, mówisz, że są tam jakieś bzdury i w ogóle, to jeśli tak jest, jak mówisz, to przecież nie ma podstaw do tego, żeby im cokolwiek zwracać... Nie ma sprawy!

– Otóż mylisz się, mój przyjacielu. – Słomianny nie pił piwa. Nalał do szklanki wody. Nie mógł pozwolić sobie na picie alkoholu od rana, tym bardziej że jeździł samochodem i miał jeszcze sporo spraw do załatwienia.

– Jak to się mylę? Przecież od tego jest właśnie sąd, żeby doszukiwać się nieprawidłowości i zweryfikować nieprawdziwe dowody...

– Oczywiście masz rację. Od tego jest właśnie sąd. Sądowi powinno zależeć na tym, żeby sprawa została dogłębnie wyjaśniona i żeby nie wydać czasami wyroku, który sankcjonowałby oszustwo. Jednak nie każdemu sądowi musi na tym zależeć.

– A, już rozumiem. Myślisz, że oni mają jakiegoś sędziego w kieszeni?

– Myślę, że na pewno. Inaczej nie ryzykowałiby sprawy przed sądem.

– To w takim razie co my możemy zrobić? Przecież sam mówisz, że mają przekupionego sędziego. A jak sędzia jest przekupiony, to w dupie będzie miał dochodzenie do prawdy. Po prostu zrobi swoje i wyda wyrok taki, jaki mu każą wydać.

– Nie zrozumiłeś mnie. Nie chodzi o to, żeby wydał wyrok zadowolający dla nich, tylko dla nas.

Włodarczyk spojrział na prawnika z niedowierzaniem, jakby ten właśnie oznajmił mu, że prezes wreszcie doszedł do prawdy.

– Słuchaj, co ty chcesz zrobić?

– Chcę oszukać oszustów.

– Ale to nadal jest oszustwo.

– Może i jest, ale powiedziałbym, że w dobrej sprawie. Ci goście trzymają cię za jaja, bo mają na ciebie haka. Ale za chwilę tego haka nie będą mieć, gdy dobierze im się do skóry nasz policyjny pies Mazurek. I wtedy trzeba tę sprawę przejąć. To znaczy włączyć się w proces na etapie rozpoznawania i przedłożyć papiery, które będą mówiły, że to my mamy rację. Papiery nie do podważenia.

– Ja przecież nie mogę. Jestem stroną jako reprezentant miasta.

– To oczywiście, dlatego wystąpię ja. Uwierz mi, sprawa tylko pozornie wydać się może skomplikowana, ale zdążyłem już wszystko przemyśleć. Chodzi o to, żeby tych, którzy nas chcą zrobić w chuja, zrobić w chuja.

– Czyli że jak?

– Trzeba walczyć tą samą bronią, czyli oszustwem, tyle że nie tak prymitywnym jak to ich.

– Ale to oszustwo.

– No i co z tego? Oni oszukują, to oszukajmy ich my.

– Jak?

– Trzeba przed sądem przedstawić oryginał kupna-sprzedaży kamienicy i całego gruntu.

– A niby skąd go weźmiesz? – Włodarczyka nie tak łatwo było przekonać. Tym bardziej że on jako specjalista w branży widział już niejedne lewe papiery mające coś poświadczyć.

– Rzadko zdarzają się podróbki wyglądające na autentyczne. A i nawet jeśli się już pojawiają, to zawsze łatwo daje się je zdemaskować dzięki prostej analizie papieru czy stylu pisma. Zazwyczaj też sporządzane są tak jak współczesne dokumenty i nie spełniają przedwojennych standardów formalnych.

– No to znaczy, że takie fałszerstwa są łatwe do wykrycia.

– Oczywiście, bo najczęściej biorą się za nie dyletanci. A tymczasem można taką umowę łatwo sprokurować. Trzeba tylko wiedzieć, jak to zrobić. I ja to wiem. Pamiętasz, że mówiłem ci o moich rodzinnych tradycjach? Kancelarię adwokacką i notarialną przed wojną w Poznaniu miał już mój pradziadek. Część jego archiwów zachowała się jakimś cudem w naszej piwnicy. Kilka lat temu wydobyłem je z tych piwnicznych czeluści i przeniosłem do swojego biura. Widziałeś tę przeskoloną szafę ze starymi teczkami? No to właśnie wtedy wymyśliłem sobie, że wyeksponuję te odkurzone starocie, żeby ludzie widzieli, że u nas w kancelarii nowoczesność łączy się z tradycją. Tam w tej szafie jest też stary mercedes, czyli przedwojenna maszyna do pisania, którą jakiś czas temu dałem do renowacji.

– No już rozumiem. Masz przedwojenne akty notarialne i na ich podstawie chcesz stworzyć nowy, podrobiony akt. Ale to się nie uda. Taki akt musiałby być zrobiony perfekcyjnie, a ty nie jesteś fałszerzem, tylko adwokatem.

– I dlatego zrobię to idealnie. To znaczy tak, jak by nie zrobił tego żaden amator. Przede wszystkim zaczniemy od treści. Akt będzie datowany na październik tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku i sporządzony w Poznaniu. To moment, kiedy w mieście funkcjonowały jeszcze polskie biura notarialne, ale sądy już były niemieckie. Dlatego taki dokument sporządzony w kancelarii nie musiał koniecznie trafić do niemieckiego sądu. Akt zostanie przygotowany dokładnie tak jak te przedwojenne, czyli będzie kopią, bardzo

dokładną kopią innego aktu, który mam u siebie. Będzie na nim to, co trzeba, czyli cały zapis umowy, autentyczne nazwiska i, co najważniejsze, wszystko podbite legalnymi, przedwojennymi pieczęciami. Pamiętasz te pieczętki w mojej szafie? To właśnie pieczęcie po pradziadku. Wszystkie się zachowały w idealnym stanie. Do tego mam jeszcze przedwojenne znaczki skarbowe, bo zachowało się ich sporo w dokumentach, to znaczy w bloczkach znaczkowych, co tam były w dokumentach, ale nigdy nie zostały użyte i naklejone. No i na koniec papier. Autentyczny, poźółkły i stary papier, który wkręcimy do maszyny, też mam w swoich zasobach. Pradziadek miał taki zwyczaj, że poszczególne elementy każdej sprawy, która znajdowała się w teczce, dzielił czystym arkuszem papieru kancelaryjnego. Dzięki temu zachowało się sporo pustych, niezapisanych kartek, a ich autentyczności nikt nie będzie w stanie podważyć.

– A kto miałby być tym, który kupił tę kamienicę?

– Umowa sprzedaży będzie na mojego pradziadka, który mógł sobie na taki zakup pozwolić. A sprzedającym będzie Helmut Jeske, ten, który zginął na Krecie w czterdziestym pierwszym roku. On był w Poznaniu w trzydziestym dziewiątym i załatwił swoje sprawy rodzinne, czyli sprzedał kamienicę, która według polskiego prawa należała od dziewiętnastego roku do miasta jako mienie porzucone. Ale Niemcy nie musieli tego stanu rzeczy respektować i Helmut został uznany przez okupacyjne władze prawnym właścicielem, więc mógł sprzedać dom.

– Co ty gadasz? Skąd to wiesz... Nie, zaraz, niczego nie rozumiem.

– Wśród papierów, które przedłożyli oszuści, są kserokopie oryginalnych listów obu braci Jesków. Ten młodszy był w Poznaniu i stąd napisał list do brata mieszkającego w Bawarii. Píše tam, że postara się załatwić pomyślnie wszystkie sprawy dotyczące ich majątku zostawionego w Posen. Nie wiemy dokładnie, jak te sprawy załatwił, ale list jest dowodem, który nas uwiarygodni. Drugim będzie akt kupna-sprzedaży sporządzony przez mojego dziadka z podpisem Jeskego.

– A skąd ten podpis?

– Jak to skąd? No przecież z listu. Pod listem podpisał się Helmut Jeske. No i to zamyka sprawę.

– Ale to znaczy, że to ty jesteś spadkobiercą...

– Tylko formalnie. – Adwokat od razu zrozumiał, jakie jeszcze wątpliwości może mieć jego kolega. – Formalnie właścicielem będę ja, ale dzielimy się po połowie. Kamienicę sprzedamy albo wybudujemy tam blok. Wszystko jedno. Najważniejsze, że robimy to razem. Jak starzy kumple. No co ty na to, Adam?

Wcześniej nigdy nawet nie pomyślał, że może zrobić coś, co złamie prawo. Ale ostatnio wszystko się zmieniło. Nie dość, że dał się wrobić w morderstwo, to zgodził się jeszcze na to, by wynajęty przez niego człowiek zrobił wszystko, by wypłatać go z tej historii. A to oznaczało, że może posunąć się nawet do zabicia szantażysty. Więc dodatkowo ten przekręt, mający ukarać tych, co go we wszystko wkręcili, był już w pewnym sensie do przyjęcia. Jednak tu dochodził jeszcze jeden element, jakim była niepewność. Zrobić coś nielegalnego, popełnić przestępstwo i mieć z tego gwarantowany zysk to jednak coś innego niż wziąć udział w przekręcie i nie mieć pewności, czy wspólnik rzeczywiście wywiąże się ze swoich zobowiązań. Tego nie będzie pewny do końca, czyli do momentu, kiedy nie zobaczy pieniędzy. Boże, o czym ja, do cholery, myślę? Przecież dupa mi się pali, za chwilę mogą

wsadzić mnie do więzienia za morderstwo, a ja zastanawiam się, czy uda się zrobić przekręt. Ta myśl sprawiła, że wrócił do rzeczywistości.

– Słuchaj, rób, co chcesz. Ja nie dam rady w tym uczestniczyć. Nie znam się... Dla mnie najważniejsze jest, żeby tych, co mnie wrobili w to całe gówno... żeby ich wszystkich chuj strzelił. Rozumiesz, Michał? To jest dla mnie sprawa priorytetowa.

– Spokojnie, o to się nie martw. Po to wysłaliśmy za nimi naszego gończego psa. Mazurek na pewno sobie poradzi. Zresztą zobaczymy, czy nie odezwał się wreszcie, bo czułem, że mi jakieś eski przychodzą. Pewnie coś tam wymyślił i próbuje w tej chwili kogoś z tych gnoi obedrzeć ze skóry. Mówię ci, stary, on już ma te swoje policyjne metody. – Mówiąc to, sięgnął do kieszeni po telefon i położył go przed sobą na blacie stołu.

– Mnie wystarczy, że się odpierdolą, a te zdjęcia znikną raz na zawsze.

– Po to właśnie to robimy, przyjacielu. Po to, żeby raz na zawsze... – Na ekranie wyświetlacza pojawiła się informacja o nieodczytanych wiadomościach. Żadna nie pochodziła ze znanego mu numeru telefonu. Odczytał pierwszą.

Dzień dobry, tu Alicja Czekąła. Jestem narzeczoną Arkadiusza Mazurka, który nie wrócił na noc do domu. A to mu się nigdy nie zdarza. Zostawił mi ten numer jakby co, to piszę.

Dzień dobry, czemu pan nie odpisuje? Proszę, żeby się pan ze mną skontaktował jak najszybciej.

Naprawdę nie wiem, ile można pisać do pana. To poważna sprawa, bo Arkadiusz zawsze wraca do domu.

Daję panu ostatnią szansę, bo inaczej zawiadomię jego kolegów z policji i oni już panu podziękują za to milczenie.

Kurwa, ty złamany kutasie, odezwij się wreszcie. Arkadiusz może tam umiera, a ty masz to w dupie.

Pierdolony skurwysynu, jak mu się coś stanie, to ja cię rozerwę własnymi rencami.

Proszę, niech się pan odezwie.

– Co, odezwał się ten detektyw? – zapytał Włodarczyk, widząc, że Słomianny skończył przeglądać wiadomości.

– No tak. – Adwokat machnął ręką zniecierpliwiony. – Odezwał się, że jeszcze nic nie ma konkretnego i da znać, jak coś ustalą.

Włodarczyk dopił piwo do końca. Poczował, nie wiedzieć dlaczego, jakby mu ciężar spadł z serca. Nikogo nie zabił i nie będzie uczestniczył w żadnym przekręcie. Jestem uczciwym człowiekiem, przyszło mu do głowy, i ta myśl sprawiła, że te wiszące nad nim sprawy wydały mu się błahostką, którą niebawem miał zdjąć mu z barków detektyw Mazurek.

Okolice Krucza
Godzina 10.50

Noga bolała go nadal, ale nie była złamana. Opuchlizna pulsowała, jednak nic tam nie chrupało w środku. Sprawdził to, dotykając stopą ściany. Przycisnął lekko czubkiem buta nieotynkowaną powierzchnię i nic go nie zabolalo. Dopiero gdy zrobił to bardziej zdecydowanie, poczuł ból w okolicach kostki. Nie był specjalistą od kwestii ortopedycznych, ale miał doświadczenie, bo w czasach, gdy był policjantem, dwa razy miał złamaną rękę i raz nogę. Pomyślał, że to wystarczy jak na jednego człowieka, więc teraz mogło to być zwichnięcie albo wyrwanie torebki stawowej.

– W sumie jeden chuj – powiedział do siebie i zaraz usłyszał, że dziewczyna leżąca obok się poruszyła.

– O Jezu! – jęknęła cicho.

Mazurek tak bardzo skupiony był na badaniu stanu swojej nogi i na bólu wbijającym mu się w mózg, że zupełnie zapomniał o tej małej. Zresztą specjalnie nie musiał pamiętać, bo jak na razie to niezbyt go obchodziła. No może tylko ze względu na fakt, że rozmowa z nią mogłaby być jakimś urozmaiceniem monotonii przebywania w zamknięciu. Ale z gadania nic nie wyszło. Gdy ją rzucili na ten śmierdzący materac obok niego, po cichu liczyła na to, że dziewczyna za chwilę się ocknie, a potem pomoże rozwiązać ten cholerny sznurek, który wbijał mu się w przeguby dłoni, i w końcu przy jej wydatnej pomocy uciekną razem z tego więzienia. Ale, niestety, ten przebiegły plan się nie powiódł. Bo dziewczyna była obojętna na zewnętrzne bodźce. Próbował do niej mówić, w końcu kopnął ją w tyłek kolaniem, ale też nie zareagowała. Dlatego, znudzony, zaczął samobadanie nogi, żeby stwierdzić, czy ma szanse się stąd wydostać. Ze zwichniętą nogą dało się jeszcze pójść, choć z bólem. Złamanie całkowicie wykluczało jakikolwiek nacisk, więc to oznaczało kompletne uziemienie.

Spodobało mu się nawet to „uziemienie”, bo w końcu był przecież pod ziemią. O tym, że trzymają go w piwnicy, przekonały go egipskie ciemności i ten smród zgniłych ziemniaków, połączony z zapachem węgla i kocich szczyn. To nie mogło być żadne inne pomieszczenie, bo charakterystyczny smród w zasadzie już definiował miejsce.

– O Jezu! – jęknęła dziewczyna.

Odwrócił się do niej, ale i tak niewiele dostrzegł. Było tu zbyt ciemno, by dojrzeć jakieś szczegóły. Widział tylko zarys ciemnej postaci obok siebie.

– Ej, ty, kto ty jesteś? – zapytał.

– Kto to? – odpowiedział mu złękniiony głos.

– Nikt nie jestem. Zamknęli mnie tak jak ciebie w tej norze.

Przez chwilę nie było żadnej odpowiedzi. Dziewczyna widać musiała przeanalizować sytuację, w jakiej się znalazła.

– Gdzie ja jestem?

– Diabli wiedzą. To jakaś piwnica.

– Jaka piwnica? – Nie było w jej głosie strachu, a jedynie zdumienie.

– W pierdolonej puszczy!

– Och! Auu! Boli mnie.

– Co cię boli?

– Tutaj.

– Gdzie?

– Tu.

– Nic nie widzę. Czy oni coś ci zrobili?

– Kto?

– No jak kto? Ci, co cię tu przynieśli.

– Kto mnie przyniósł?

– Wiesz co, nie wiem, kto cię przyniósł, ale widziałem tych gnoi. Położyli cię obok mnie i poszli sobie w cholerę. Ale najważniejsze w tym wszystkim jest to, że nie zawiązali ci rąk, znaczy masz wolne ręce i możesz mi rozwiązać ten sznurek, którym mnie skrupowali. To co, pomożesz mi?

– Gdzie ja jestem? – zapytała znów o to samo, tak jakby ten cały wywód Mazurka nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia.

– W piwnicy, do cholery! – mruknął niezadowolony. Zaczęła już go powoli irytować tym swoim nieogarnięciem. Nie należał do ludzi zbyt wrażliwych, dlatego brak zrozumienia dla jego argumentów kładł na karb jej wrodzonej głupoty, a nie przeżyć, których doświadczyła.

– A kto ty jesteś?

– Mazurek.

– Jaki „mazurek”?

– *Mazurek Dąbrowskiego*, do jasnej cholery!

– Co?

– Obudź się, dziewczyno, bo zdechniemy tu razem. A jak mnie rozwiążesz, to mogę nas uratować. Chyba nie chcesz tu zdechnąć.

– Nie chcę.

– No to dalej, spróbuj rozwiązać mi ten sznurek na rękach. Jak go rozwiążesz, to dalej już pójdzie łatwo.

– Jaki sznurek?

– Na moich przegubach. O tu, poczekaj, obróć się do ciebie plecami. Odwróć się teraz do mnie i namacaj moje ręce.

Poczuł, że i ona odwraca się na materacu, a po chwili jej ręka prześlizgnęła się po jego plecach, by w końcu natrafić na skrupowane przeguby.

– No, dzielna dziewczynka. Jak masz na imię, powiedz mi.

– Marianna.

– Skąd jesteś, Marianna?

– Z Poznania.

– He, he! To tak jak ja. Ja też jestem z Poznania.

– Ja to właściwie nie do końca z Poznania jestem, bo tam studiuje...

– Dziwne imię. Nie znałem jeszcze żadnej Marianny. To jakieś zagraniczne imię? Bo Mariana jednego znałem. Był u nas w wydziale. Ale nic ciekawego ten chłop. Kawał z niego durnia. Nie dość, że głupi, to jeszcze udawał mądrego... No jak ci idzie?

– Mam paznokcie chyba za krótkie...

– Nie możesz się poddawać. Bo inaczej oni nam zrobią krzywdę.

– Kto nam zrobi krzywdę?

– No ci, co nas zamknęli w tej pierdolonej piwnicy. Ale nic się nie bój. Już ja im dam za swoje. Jeszcze nie wiedzą, na kogo trafili. Na Mazurka trafili. A wiesz, co to znaczy Mazurek.

– Mazurek to hymn.

– Ale jaki hymn? Mazurek-Spy to najlepsza firma na rynku. Załatwimy ich. Jak ci idzie?

– Już jakby trochę...

– To dalej, rozwiąż to cholerstwo. A tak w ogóle to skąd się tu wzięłaś?

– Gdzie?

– No tu, w tej puszczy.

Dziewczyna naraz znieruchomiała. Detektyw wyczuł za plecami, jakby nagle stężała i zamknęła się w sobie jak żółw, który schował się w skorupie.

– No co, Marianka, co się stało? Nie bój się. Wydostanę się stąd, Mazurek zawsze...

– On mnie zgwałcił. Boli mnie tam w środku...

– Kto cię zgwałcił?

– Ten skurwysyn Nathan. Powiedział, że teraz jestem jego i do niego należę, i będzie ze mną robił, co tylko będzie chciał. A teraz chce mnie przelecieć. I nie wiem, po co to zrobił...

– Kto?

– No przecież jakby poprosił, to ja bym się zgodziła. Ale on chciał jak na filmach mnie wziąć, tak niby mocno, żeby bolało. To za to, że chciałam odejść. Powiedział, że stąd się nie odchodzi i że jestem jego suką, i będzie mnie brał, kiedy będzie chciał. No i mnie przeleciał raz... Obetnę temu skurwielowi jajka. Oderwę je i wyrzucę psom...

– I bardzo dobrze, Marianna. O to chodzi, żebyśmy dopadli tego skurwysyna, co tu rządzi. Ale jak go dorwiemy, to ci sam dam nóż do ręki, żebyś mogła go za swoje krzywdy ukarać. Oberżnij mu wszystko, co ci się tylko spodoba. No dalej, spróbuj jeszcze raz to rozwiązać.

Poczuł, że jej palce znów zaczynają szarpać sznurek. Teraz jednak robiła to bardziej zdecydowanie. Po chwili miał więcej luzu w nadgarstkach.

– Zaraz to rozplączę – wyjaśniła, ale on już wiedział, że od sukcesu dzielą ich chwile. Pociągnęła jeszcze kilka razy i więzy puściły.

– Dzielna dziewczynka – pochwalił ją oswobodzony Mazurek.

– Co teraz zrobimy?

– Poczekaj, bo muszę się zastanowić. No wiesz, żebyśmy wyszli stąd i się w ogóle wydostali. Bo wiesz, ja mam tu ukryty samochód w lesie. Wystarczy tylko dojść do drzew. A potem, jak już dojdziemy... – Prawda, że auto zostawił w lesie, ale przecież ten samochód trzeba było odpalić. A bez kluczyków to raczej marne szanse. Gdyby pracował w drogówce, to pewnie wiedziałby, jak uruchamia się silnik na krótko, tylko drutami. Ale nie nauczył się tego nigdy, bo wydawało mu się to do niczego niepotrzebne. Teraz by mu się przydało. Ale jeszcze trzeba stąd wyjść i dojść do tego cholernego lasu...

– To po co cię rozwiązywałam, jak ty nic nie...

– Cicho bądź. Coś słyhać.

– Co?

– Ktoś tu idzie. Leż cicho i się nie ruszaj. A ja...

Nawet nie wiedział, kiedy w głowie zakiełkował mu błyskawicznie plan działania. Może nie był wybitnym strategiem, za to był dobrym zadaniowcem i bieżące problemy operacyjne rozwiązywał od razu, stosując starą jak świat metodę. Jeśli nie wiesz, co zrobić, atakuj. Może się nie uda, ale za to będziesz miał czyste sumienie, że przynajmniej próbowałeś.

Okolice Krucza

Godzina 11.30

– Co to za gospodarstwo? – zapytała Aneta, rozglądając się dookoła. Plac wybrukowany był polnymi kamieniami, a wokół niego stały cztery budynki z czerwonej cegły, takie, jakie stawiało się tu za Niemca, czyli przed pierwszą wojną światową. Zabudowania były bardzo solidne i okazałe, a to mogło oznaczać, że nie było to zwykłe chłopskie gospodarstwo, ale jakiś folwark. Ten pierwszy budynek, tuż przy bramie, wyglądał na dom mieszkalny, pozostałe musiały być dawnymi zabudowaniami gospodarskimi. Gdy zbliżali się do zagrody, jadąc od strony lasu, dostrzegła, że otacza je solidny mur z kamieni polnych. W niektórych miejscach ogrodzenie połatano naszą narodową specjalnością, czyli żelbetonowymi panelami. Wymyślono je w latach pięćdziesiątych i przez cały czas trwania komuny nie zmieniły się ani o jotę. Dopiero demokracja w Polsce położyła kres odlewaniu tych koszmarów, ale przedsiębiorczy rodacy nie mogli przecież pozwolić, by naród nie otrzymał czegoś w zamian. Betoniarne zaczęły więc prześcigać się w produkcji płytów betonowych o najróżniejszych wzorach: stylizowanych na greckie kolumnady, motywy roślinne, plecionki ludowe, ażurowe, żebrowe, krzyżkowe czy diabli wiedzą jeszcze jakie. Tu do łatania starego płotu dołożono kilkanaście paneli w kształcie kolumn doryckich, dzięki czemu forma nie dominowała nad treścią.

Van zatrzymał się pod wejściem prowadzącym do budynku mieszkalnego. By się tam dostać, trzeba było wspiąć się po kilku kamiennych schodkach i wejść na ganek, solidny, wymurowany, tak jak cały dom.

– To jest właśnie nasze małe królestwo, a właściwie raj na ziemi – odpowiedział Nathan, zatrzymując auto na podjeździe. – A tu są nasze biura i cała baza logistyczna. – Wskazał na budynek. Powiedział to nie do wszystkich, którzy przyjechali z nim autem, ale tylko do Anety. Przez całą drogę odzywał się tylko do niej, a pytania pozostałych zbywał krótkimi, dość niechętnymi odpowiedziami. Tak jakby w tej grupie liczyła się tylko ona.

– Jak to logistyczna? To wy jesteście jakąś firmą spedycyjną? – Doskonale wczuła się w poziom intelektualny, jakiego od niej oczekiwał. Na jej błyskotliwe pytanie odpowiedział uśmiechem.

– Droga Aneto – zaczął wyjaśniać – mówiąc o logistyce, mam na myśli wszystko to, co organizacyjnie wiąże się z naszą działalnością, powiedziałbym, medialną.

– O, medialna, to znaczy, że robicie coś dla telewizji? No fajnie.

– Nie telewizja. Myślę przede wszystkim o internecie. Telewizja to dziś już przeżytek. W internecie jest siła. Można dotrzeć o wiele dalej i naprawdę skuteczniej. Bo on nam daje jeszcze możliwość interakcji.

– Czego?

– Wzajemnego oddziaływania, czyli na każdy nasz post odbiorca może odpowiedzieć. I to jest właśnie istotne. Bo internet żyje. To forum wymiany...

– Panie Przewodniku, a my co mamy teraz zrobić? – weszła mu w słowo około czterdziestoletnia szatynka o kręconych włosach i dość obfitych kształtach. Wyglądała na poirytowaną. Być może dlatego, że nie lubiła, gdy nikt nie zwracał na nią uwagi. Pozostała piątka: trzech mężczyzn i dwie kobiety, stała przy samochodzie, rozglądając się wokół z zaciekawieniem. Im raczej nigdzie się nie śpieszyło.

– Poczekajcie tutaj. Zaraz ktoś do was przyjdzie – mruknął niezbyt miłym tonem.

– Proszę się nie niepokoić. Pan Nathan przyśle zaraz kogoś, kto się nami zajmie i wszystko wytłumaczy. Prawda? – Aneta spojrzała na mężczyznę, a ten nieco zakłopotany skinął głową. Nie spodziewał się, że ona przejmie tu rolę organizatorki. Ale oni potraktowali ją jak osobę z głównego kręgu wtajemniczonych. W końcu przez całą drogę z Wronek jechała na przednim siedzeniu obok Nathana, a to zapewne mogło świadczyć o jej wysokiej pozycji.

– Tak, już zaraz. – Rozejrzał się wokół. – O właśnie, Ezechielu, podejdź tu.

Dwudziestokilkuletni blondyn o długich, ale niezbyt gęstych włosach, ubrany w dres i popielatą kurtkę, natychmiast podbiegł do niego.

– Dzień dobry, Przewodniku! – przywitał Nathana. – To dobrze, że już jesteś z nami. Mamy informację z nocy, bo właśnie była próba naruszenia...

Nathan machnął ręką ostrzegawczo.

– Nie teraz. Meldunki za chwilę w biurze! – rzucił ostro. Dopiero wtedy chłopak zrozumiał, że powiedział kilka słów za dużo.

– To są nasi nowi pielgrzymi. Zaprowadź ich do obory, niech się rozgoszczą.

– Jak to? Czy my jesteśmy jakieś bydło, czy jak? – zawołała, najwyraźniej oburzona, ta sama pulchna szatynka. Sprawiała wrażenie niezadowolonej nie tylko tym, dokąd mieli trafić, ale w ogóle wszystkim. Być może po drodze przemyślała sobie swoją decyzję o dołączeniu do grupy i odechciała jej się ta pielgrzymka w nieznane.

– Obora to jest właśnie... – zaczął wyjaśniać Ezechiel, ale Nathan wszedł mu ostro w słowo.

– Jeśli się nie podobają nasze zwyczaje, to zaraz zostanie pani odwieziona do Wronek. Ezechielu, odwieziesz ją. A resztę zaprowadź do obory. Ostatnie słowo szczególnie mocno zaakcentował, tak aby nikt nie miał wątpliwości, że to miejsce, do którego mają się udać.

– Chodźcie za mną, bracia i siostry. – Blondyn ruszył przodem, a pozostali posłusznie poszli za nim. Niezadowolona kobieta również dołączyła do grupy. Widać doszła do wniosku, że może jeszcze nie warto rezygnować, dopóki nie wie się wszystkiego.

Aneta też chciała iść z nimi, ale Nathan złapał ją za rękę.

– Nie, ty nie musisz tam iść.

– Jak to? Ja przecież...

– Chodź ze mną. – Wskazał na schody prowadzące na ganek. – Ty się nie nadajesz do tego. – Głową wskazał grupę, która wchodziła właśnie przez szerokie drzwi do budynku po lewej stronie. Jeśli była tam kiedyś obora, to krowy już dawno musiały się z niej wyprowadzić. Ceglane ściany były starannie wyczyszczone, a drzwi i bramy lśniły nowością. Dach, podobnie jak te na pozostałych budynkach, był przykryty piękną

karpiówką. Remont tego całego gospodarstwa musiał kosztować grube pieniądze, pomyślała Aneta, wchodząc po schodach.

– Do czego się nie nadaje? Chcesz mnie odesłać?

– Nie, ha, ha! Ty nadajesz się do znacznie ważniejszych zadań. Chodź, pokażę ci.

Wszedł pierwszy do wąskiego korytarza. Budowało się takie w dawnych latach, żeby nie zabierały zbyt wiele miejsca, które można było wykorzystać w domowych pomieszczeniach. Z tego przejścia można było się dostać do czterech pokoi po bokach i jednego w głębi. Otworzył pierwszy z lewej.

– Wejdz, proszę. – Przepuścił ją, ale gdy wchodziła, przesunął się nieco w przód tak, że wchodząc, musiała się o niego otrzeć. Poczowała wierzch jego ręki na swoim udzie.

Pierdolony erotoman, przeszło jej przez głowę, ale powstrzymała się od jakiegokolwiek uwagi. Musiała grać swoją rolę głupiej gąski.

Pokój, do którego weszli, pełnił funkcję biura. W głębi stało szerokie biurko, stylizowane na solidny stary mebel, a na nim dwa monitory komputerowe. Od razu rozpoznała reklamowane nachalnie muzyką Chopina w telewizji meble, które miały aspirować do wysokich wymagań niskich gustów.

Na ścianie wisiał obraz w złoconej ramie, przedstawiający biblijną scenę potopu, gdzie ogromne fale zalewały grzeszników wraz z niewinnymi dziećmi i zwierzętami, których karano śmiercią, bo tak spodobało się okrutnemu Bogu. Obok mniejszy obrazek z krzyżem na tle promieni zachodzącego słońca. Wokół niego na złotej taśmie umieszczono napis: „Lumen Verum”. Na prawo, na wprost okna, ustawiono ogromną szafę z przeszklonymi drzwiami. Przechowywano w niej jakieś kolorowe te czki z papierami i sterty kolorowych pisemek. Tuż przed nią stała wielka skórzana kanapa i dwa ogromne fotele, a środek między nimi wypełniał niski kawowy stół, który mógłby być uznany za mniejszego brata wielkiego biurka.

– Jak ci się podoba moje królestwo?

– Bardzo tu... bogato – stwierdziła Aneta, udając podziw dla gustu właściciela.

– Sam to wszystko zaprojektowałem – pochwalił się Nathan.

Nie trzeba być szczególnie biegłym designerem, żeby zagracić pokój brązowymi kłocami, pomyślała złośliwie i poczuła, że za chwilę wybuchnie i rozsądzi ją od środka energia skrywanej w środku ironii, która nie miała możliwości ujścia.

– Siadaj, proszę. – Wskazał fotele. – Napijesz się czegoś?

– Zależy czego.

– Wszystko, co chcesz. Może być drink z łyśkaczem albo wódeczką. Oczywiście drink z colą. Zimną colą.

– Nie, ja jeszcze o tej porze to nie drinkuję. Wieczorem to dlaczego nie, ale teraz to za wcześnie jak dla mnie. Zaraz bym zasnęła. Bo ja to w sumie summarum mam słabą głowę i dlatego za dużo nie piję.

– No tak, rozumiem. Jak się ma słabą głowę, to lepiej uważać, bo można stracić panowanie nad sobą.

– Ja nie tracę tego opanowania i dlatego mało wypijam. Nawet na imprezach.

– Fakt, lepiej nie kusić losu. Nigdy nie wiadomo, kto później z takiej pijanej laski może skorzystać.

– He, he! Niechby który spróbował. Wyrwałabym mu jaja przez gardło.

– Ostra jesteś.

– Lepiej być ostrą niż tępą, hi, hi!

Wyciągnął z lodówki pod biurkiem dwie butelki coli i podszedł z nimi do stolika. Otworzył obie tandetnym otwieraczem, osadzonym w rękojeści z jeleniego rogu. Szklanek nie zaproponował.

– Od razu wpadłaś mi w oko – powiedział, siadając naprzeciwko niej.

– W sensie, że jak? Podobam ci się jako dziewczyna?

– To też. Jesteś bardzo ładna. – Mówiąc to, świdrował ją swoimi niebieskimi oczyma. Było w tym spojrzeniu coś elektryzującego, co sprawiało, że musiała poddać się tym przeszywającym oględzinom. – Ale ważniejsze niż twoja piękna buzia jest to, że jesteś taką przebojową dziewczyną.

– Ja. No nie... Może i bojowa, ale nie zawsze tak do końca.

– Dla mnie sam fakt, że zasuwasz na przecinaku, jest bardzo wymowny. Dziewczyny, owszem, jeżdżą, ale przeważnie z tyłu fotela przyklejone do swojego faceta. A ty sama prowadzisz.

– Nic nadzwyczajnego. Od małości się uczyłam. Zresztą ci mówiłam.

– No i mówiłaś jeszcze, że umiesz strzelać.

– Chodzę na strzelnicę.

– A z czego strzelasz?

– Różnie. Z tego, co popadnie. Tata ma starą tetetkę, ale ja wolę glocka. Lepiej leży w ręce i łatwiej mi się z niego kropi do tarczy. No i lubię lekkie gnaty. Ta tetetka to przy glocku jest złom. Ale tata mówi, że się przyzwyczyłam.

– Pewnie był w wojsku? – domyślił się Nathan.

– Tak, ale to dawne czasy. Pracował w szkole pancерnej w Poznaniu. Wtedy to była jeszcze wyższa szkoła. A tata był mechanikiem.

– Czyli przekazał ci całą fachową wiedzę?

– Do tego jeszcze czarny pas w karate. Trochę mnie wymęczyli na treningach.

– No proszę, od razu wiedziałem, że się będziesz nadawała. – Nathan był autentycznie uradowany. – Kogoś takiego szukałem.

– Czyli że kogo?

– Kobiety, która ogarnie tu wszystkie sprawy związane z bezpieczeństwem.

– Że co?

– Całkowitym zabezpieczeniem naszego obiektu. Tak, żeby mysz się tu nawet nie prześlizgnęła.

– Czy ja dobrze rozumiem? Czy ty chcesz, żebym była szefem twojej ochrony? No nie, stary, to przecież jakieś jaja. Jak ja bym mogła być... No ja się przecież nie nadaję. Najlepiej do czegoś takiego mieć gościa z siłki, napakowanego jak baleron. Taki to zrobi wszystko, jak się mu da możliwości. I nikogo tu nie wpuści, jak mu się powie, że...

– Nie potrzebuję karkogłowego mięśniaka. Potrzebny mi jest ktoś, komu mogę zaufać. Kogoś, kto ma podobne ideały jak ja. Ty myślisz podobnie, chcesz ratować ludzi przed spiskiem koncernów, które mordują dzieci w Afryce i robią na nich eksperymenty. Potrzebuję kogoś, kto wierzy w to, że możemy tych zatrutowanych codziennie ludzi uratować. A przy tym będzie wierzyć, że to, co robimy, jest słuszne.

– A co robicie?

– Pokażę ci, oczywiście. Tylko musisz być pewna tego, że chcesz. A ty jeszcze nic nie odpowiedziałaś.

– Stary, wyluzuj. To mi spadło na łeb jak kamień z jasnego nieba. Muszę to przemyśleć...

– Do tego piętnaście tysięcy miesięcznie na rękę i procent z zysków. Ten procent to dodatkowo jeszcze jakieś sto patyków...

– Jakich zysków?

– No trochę tu zarabiamy. Musimy mieć pieniądze na naszą działalność, bo przecież nikt nam ich nie da. Wręcz przeciwnie, jakby ktoś wiedział, co my tu robimy, toby nas wszystkich pogonili.

– A co tu robicie? – powtórzyła.

– Zdecydowałaś się?

Kiwnęła głową. Musiała się zgodzić. Miała szansę wejść w sam środek tej organizacji i poznać jej tajemnice. Pokusa była zbyt silna, aby się jej oprzeć.

Rozdział IX

Poznań

Godzina 12.40

– To co, szefuńciu, jedziemy na przejażdżkę?

– Jeszcze raz powiedz, gdzie to jest i w ogóle co to za miejsce. Najlepiej, jakbyś narysował jakiś plan.

– Czemu nie, narysować to ja jak najchętniej. Przecież ja jestem artysta malarz. Co prawda nie maluję na płótnie, ale każdy obrazek trzeba najpierw dobrze rozrysować, żeby czegoś nie spierdolić później na skórze. Bo skóra to materiał, na którym poprawki kiepsko wyglądają. Musi być wszystko perfekcyjnie namalowane, bo inaczej klienci to by mnie chyba zajebali jak psa. I najważniejsze, żeby...

– Dobra, skończ już pierdolić o tych tatuażach. – Przemek uniósł rękę i machnął, jakby chciał przegonić muchę. Zaraz potem złączył dwa palce, kciuk i wskazujący, i poruszał nimi kilkukrotnie w górę i w dół, naśladując ruch przy pisaniu. Łapa przez moment patrzył zdziwiony na policjanta, ale w końcu zrozumiał, o co mu chodzi. Te znaki wcale nie były skierowane do niego, mimo że w pokoju przesłuchań siedzieli tylko we dwóch. Drązkowski pisał w powietrzu, dając w ten sposób znać komuś, kto siedział za fenicką szybą. Odwrócił się więc do lustra, za którym musiał być inny policjant, i pomachał mu, uśmiechając się przy tym radośnie.

– Tylko dajcie mi kredki, to wam wszystko dokładnie narysuję – zawołał do tego kogoś.

– Na cholerę ci kredki? – mruknął Przemek. Już sobie wyobraził, jak Bury biega po komendzie i próbuje znaleźć dla tego gościa paczkę kredek. Prędzej by potrafił zorganizować flaszkę. Ołówek i kartka to wszystko, na co mógł liczyć tatuażysta z Wronek. No chyba że Bury pobiegnie do szkoły naprzeciwko i obrabuje tornister jakiegoś ucznia. Nie, to raczej niemożliwe, bo szkoła w sobotę jest nieczynna, a poza tym ten budynek po drugiej stronie ulicy, za koronami pozbawionych liści drzew, to liceum nazywane Marcinkiem, od nazwiska patrona Marcinkowskiego. A licealiści, jak wiadomo, raczej nie noszą kredek, bo nie potrzebują robić szlaczków w zeszytach...

Złapał się na tym, że jego myśli wybiegły gdzieś poza komendę, a tymczasem zamiast błądzić po szkolnych korytarzach powinien skupić się na robocie. Choć właściwie od wielu godzin na niczym innym się nie skupiał. Od wczoraj cały czas był skupiony, choć Alex próbowała wybić go z rytmu, ciosając mu kołki na głowie. Wszystko przez tę małą złodziejkę Mariannę. Miał to dramatyczne nagranie w swoim telefonie i właściwie nie wiedział, co z nim zrobić. Za to wiedziała Alex.

– Trzeba jechać jej pomóc. No przecież widzisz, że jej się dzieje coś złego.

– No jasne. Chętnie pojedę, tylko powiedz mi, gdzie mam jechać. Jak mi tylko powiesz, od razu biorę samochód i jadę.

– No jak to? Przemek, przecież to jest dwudziesty pierwszy wiek. W naszych czasach chyba można kogoś namierzyć dzięki telefonowi. Czytałam o tym, że to prosta sprawa jest, bo można ustalić miejsce ostatniego logowania się aparatu. Wystarczy tylko sprawdzić to logowanie w czterech czy nawet trzech najbliższych wieżach telefonii komórkowej i od razu idzie znaleźć położenie.

– Masz całkowitą rację, kochanie. Zgadzam się z twoim rozumowaniem w stu procentach, że to nic trudnego.

– No to dlaczego ty nic z tym nie robisz?

– Bo nie mogę.

– Jak nie możesz? Przecież jesteś szkiełem, nie?

– No jestem, ale jeszcze nie jestem prokuratorem. A na ustalenie miejsca pobytu jakiejś konkretnej osoby prokurator musi wydać zgodę, bo prawo jeszcze na razie u nas obowiązuje.

– No to niech wyda, do cholery. Przecież jej się tam dzieje krzywda.

– I co mam powiedzieć prokuratorowi? Że jedna laska uciekła z kasą z naszego sejfu, a po kilku dniach zadzwoniła, że ją ktoś maltretuje? Nawet jeśli puszcę mu to nagranie, to jaką mam pewność, że ono go przekona?

– Jakby miał serce, toby go przekonało.

– Nic z tym dzisiaj już nie zrobię – zdecydował. – Jutro puszcę to chłopakom i powiem, co ustaliłem w tej sprawie. Jest szansa, że to przekona Glinieckiego.

No i rzeczywiście przekonał. Ale najlepsze jest to, że Gliniecki pobiegł z tym do Blaszkowskiego, który natychmiast kazał wezwać do siebie Przemka.

– Czy ona nie udaje? – zapytał go szef, gdy tylko przekroczył drzwi jego gabinetu.

Przemek wzruszył ramionami.

– Według mnie to raczej nie. No słyhać przecież, że się boi. Ja w każdym razie nie umiałbym tak udawać.

– No właśnie – poparł go długowłose podkomisarz Gliniecki. – Mnie się wydaje, że tam słyhać strach. No i jeszcze poza tym Drażek mówi, że ona machnęła sobie taki sam tatuaż, jak ten, co myśmy go znaleźli na skórze w kruszarni gruzu.

– To znaczy, że mamy poważny trop, który może nas zaprowadzić do tej zabitej i ją w końcu zidentyfikować. – Blaszkowski miał w zwyczaju wyrażać na głos swoje przemyślenia, tak żeby od razu można było je poddać wspólnej analizie. – No i do tego jeszcze dochodzi to, o czym powiedziała ci Aneta, tak?

– No właśnie. To jakiś jest grubszy syf. Tam u niej trzy osoby nie żyją. I też ten tatuaż.

– Już wszystko wiem. Dzwoniłem do Anety, ale nie odbiera, więc skontaktowałem się z Biernatem. To przełożony podkomisarz Anety Nowak, która bierze udział w tym śledztwie i kontaktowała się w sprawie tatuazu z Przemkiem. – Mariusz wyjaśnił te powiązania, widząc, że Gliniecki nie ma zielonego pojęcia, o kim tak właściwie rozmawiają. – Mówiła mi wczoraj o tym, że macie kontakt – zwrócił się tym razem do Przemka. – Dziś chciałem jeszcze z nią pogadać, ale Biernat mówi, że gdzieś pojechała, a tam może nie być zasięgu. I pojechała też w tej sprawie. Gdzieś do Puszczy Noteckiej...

– O kurwa! – jęknął Drażkowski. – Może ona pojechała tam, gdzie oni wszyscy byli wytatuowani.

– Czyli gdzie? – zapytał podinspektor.

– No do tej puszczy właśnie. O tym, gdzie to jest, powiedział mi tatuażysta, który odsiaduje wyrok we Wronkach. Zna to miejsce, bo tam był.

– No to trzeba by do Wronek pojechać i niech nam wyrysuje jakiś plan sytuacyjny albo co – zaproponował Gliniecki. Przemek uśmiechnął się pod nosem. Jego zapobiegliwość przynosiła teraz rezultaty. Miał przecież tatuażystę Łapę pod ręką.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się. Przemek spojrzął przed siebie ponad głowę Łapy, znudzonego bezczynnością. Do środka wkroczył uśmiechnięty od ucha do ucha Bury. Podeszedł do więźnia i położył przed nim szkolny blok rysunkowy i paczkę kredek.

– Obrabowałeś jakiegoś ucznia? – zapytał Drażkowski, pomyślawszy, że jego przypuszczenie się sprawdziło.

– Nie, skąd. – Aspirant machnął ręką, rozsiadając się na krześle z boku stołu. – Jak ten tu powiedział, że potrzebuje kredek, to się okazało, że całą paczkę ma u siebie Michał. W biurku miał i trzymał już tam ze dwa lata. Kupił je razem z blokiem dla jakiegoś dzieciaka, jak miał jechać do domu dziecka, żeby z nim pogadać. No i chciał mu dać, ale później nie pojechał i kredki zostały... – A ty co się tak gapisz? – zapytał Łapę, który wydobył z kartonowego pudełka kilkanaście kredek i teraz z uwagą przyglądał się jednej z nich.

– A tak tylko, bo one nie są najlepsze. Znaczą się to takie marketówki niby dla dzieciaków, co to nie rysują, ale piłują kartkę. A dzieci powinny się uczyć rysunku na najlepszych materiałach, a nie na takim badziewiu.

– Słyszał żeś go? – Bury spojrzął zdumiony na Przemka. – Ja mu, kurwa, załatwiam kredki, a on jeszcze wybrzydza. Tej, a pierdolnął ci już ktoś dzisiaj w ucho?

– A co to, już człowiek w wolnym kraju nie może wyrazić swoich poglądów w kwestiach złego systemu edukacji?

– Jaki, kurwa, masz tu wolny kraj, jak siedzisz w pudle? Dalej, bierz się za te pisaki i rysuj nam mapę, czy co tam masz narysować, i się nie wymądrzaj, bo rzeczywiście zaraz stracę do ciebie cierpliwość.

– Nie mapę, tylko plan sytuacyjny – poprawił go tatuażysta.

– To mów jednocześnie, co robisz i co to jest – pouczył go Przemek. – Tak żebyśmy wiedzieli, gdzie się co znajduje.

Rysownik pokiwał głową. Wziął fioletową kredkę do ręki i zaczął tworzyć szybkimi i jednocześnie zdecydowanymi ruchami szkic przypominający początkowo dziecięce bazgroły. Jednak z każdą minutą obraz stawał się coraz bardziej uporządkowany. Dwaj policjanci jak zaczarowani spoglądali na szybkie ruchy kredek, bo Łapa co chwilę zmieniał kolor, do początkowego szkicu dodając w różnych, oddalonych od siebie miejscach, kolorowe punkty, wkrótce zmieniające się w plamy. W końcu stworzył obraz całości, który wyróżnił się niepostrzeżenie, jakby nagle powstał z niczego. Ale taka też była prawda, bo przed chwilą na białej karcie nie było jeszcze nic, a teraz zadowolony artysta wskazał na swoje dzieło.

– No tu tutaj mamy, że tak powiem, front całego gospodarstwa, znaczy się widok, jaki zobaczycie, podjeżdżając z przodu. To jest jedyna opcja zewnętrzna, jaką mogę odrysować z pamięci, bo boków i tyłu nie wiedziałem. Czyli że tak, tu mamy budynek numer jeden. – Wskazał na realistycznie narysowany dom z rzędem sześciu okien wychodzących na pole. Okna do jednej czwartej wysokości przesłonięte były murem z kamieni polnych, wspartym na filarach z czerwonej cegły. Dwa przeszła, które pewnie runęły jakiś czas temu, zastąpiono żelbetonowym płotem. – Tu jest brama. – Dotknął kredką miejsca, które wiodło w głąb podwórza. – A tu z lewej jest obora.

– Czyli że mają tam krowy? – domyślił się Bury. Nigdy w życiu nie był w oborze, ale wiedział, do czego służyła, bo wszyscy wiedzieli od czasu pierwszej czytanki w szkole podstawowej. Łapa pokręcił głową i uśmiechnął się z politowaniem, jakby policjant wypowiedział jakąś herezję.

– Obora, bo się nazywa obora. Tak mówią na ten budynek. Ale krowy, co tam mieszkały, to już dawno zostały zeżarte, a gówna po nich wyniesione. Teraz są tam ściany jak w starej oborze, ale odnowione, a w środku są takie drzwi jak dla ludzi, o, takie z desek. – Mówiąc to, szkicował jednocześnie. – A dalej są takie od góry zaokrąglone i większe, znaczy się to było wejście dla krów kiedyś. Obora jest wielka, bo takich wejść tam są cztery. Teraz te wejścia się otwiera szeroko, a za nimi jest szkło, czyli duże okna na całej wysokości tych bram. Bo te bramy się otwierają, tak że widać, co jest w środku, i ci ze środka widzą, co jest na zewnątrz. Bo ja tam właśnie miałem zrobione atelier, gdzie robiło się te tatuaże. I tam jest taka jedna wielka sala, że można by w niej było zrobić nawet wesele, jakby to była knajpa weselna. Ale oni nie robią tam wesel, tylko pracują. Mówił mi ten ich szef, co się nazywa tak dziwnie – Nathan. Takie jakieś to biblijne ma imię, ale wcale nie jest natchniony specjalnie. No może najwyżej pierdolnięty trochę. Bo jak siedziałem tam we środku i pracowałem z moją maszynką, to on mi opowiadał takie różne pierdoły o tym, jak to cały świat jest robiony w chuja przez koncerty farmaceutyczne. – Mówiąc to, tatuażysta ani na chwilę nie przerywał rysowania, a policjanci patrzyli jak urzeczeni na kolejny obrazek, nabierający kształtów. Przemek lubił komiksy, więc musiał z podziwem przyznać, że facet ma prawdziwy dryg do tworzenia kolorowych malunków.

– Gadał mi tak, jakby chciał mnie przekabacić na swoją stronę. Ale ja jestem mrozoodporny na cienką gadkę. Nie będzie mi tu jakiś rozczochrany szuszwol wsuwał głodnych kawałków, że samoloty pasażerskie rozpylają nam na głowy jakieś aerozole, bo ja dobrze wiem, że nie muszą. Nie ma takiej potrzeby, bo sami się zabijamy, paląc węglem i wszystkimi syfami, które nam wpadną w ręce. A wszystko potem leci w powietrze, tak jak dym z tego tu komina. – Wskazał na narysowany właśnie komin, z którego wydobywały się smoliste kłęby. – I taki syf właśnie wdychamy na własne życzenie. To leci z tego budynku, co jest w głębi podwórka. Też takiego dużego i ceglanego. I ten jest najciekawszy.

– Czemu? – Przemek nie dostrzegł w nim niczego nadzwyczajnego.

– Bo tego pilnują cały czas uzbrojeni faceci. O, tacy w szarych dresach, jak oni wszyscy, i jeszcze w kamizelkach, tych, no, taktycznych. To są, że tak powiem, no, wartownicy. Ale co tam jest, to ja nie wiem, bo mnie tam wcale nie dopuścili. Nawet nie mogłem tam podejść...

Pół godziny później Przemek wraz z Jankiem Buryem szli zameldować się do Mariusza Błaszczewskiego, wyposażeni w piękne rysunki dawnego folwarku, gdzie rezydowali

wybrańcy chcący uratować całą ludzkość.

Okolice Krucza

Godzina 13.10

– Dalej już nie dam rady.

– No jeszcze trochę. Spróbuj.

– Nic z tego. Musimy trochę odpocząć. Znaczący ja muszę. Wiesz co, ty zasadniczo mogłabyś iść, a ja za chwilę do ciebie dołączę.

– Dobra, nie pierdol. Pójdziemy razem albo wcale.

– Marianka, nie wygłupiaj się. Jak pójdziesz teraz tam za ten płot, to wystarczy, że pobiegiesz do lasu i już będzie po ptokach. Zwiejesz im i po zawodach. A potem musisz iść przez ten las jakiś kilometr w prawo i później skręcić pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na południe. Prosto na południe i powinnaś za jakąś godzinę marszu wyjść na drogę z Wronek na Piotrowo. Wystarczy, że machniesz na jakiegoś kierowcę i on cię podwiezie.

– A niby gdzie jest południe?

– No jak gdzie? Na południu przecież.

– Czyli że gdzie?

– No tam, gdzie słońce w samo południe, czyli tam. – Wskazał na dom. Siedzieli w krzakach pod kamiennym płotem, a budynek mieli po lewej stronie. Przed nimi zaś ciągnął się ceglasty mur, najpewniej stodoły, o czym świadczył brak okien. W stodole przechowywano słomę i nikt w niej nie mieszkał prócz myszy i kotów, więc im okna nie były potrzebne.

Pod tym budynkiem była piwnica, z której przed chwilą się wydostali. Wszystko dzięki pomysłowości Mazurka. Został zmuszony do działania, bo jak sam powiedział, nie miał zamiaru czekać, aż go w tym lochu ukatrupią.

Gdy tylko usłyszeli, że ktoś się zbliża, szepnął szybko dwa słowa do ucha dziewczyny i sam zniknął w ciemności. Drzwi się otworzyły i promień światła z latarki wsunął się do środka. Były policjant popatrzył na Mariannę i uśmiechnął się do siebie. Dziewczyna potrafiła być naprawdę przekonująca.

– Chodź tu do mnie i przeleć mnie – mówiła, patrząc wprost w strumień światła. Facet z przewieszonym przez ramię kałasznikowem i latarką w dłoni zrobił krok naprzód i stanął, bardzo zdziwiony. Dziewczyna tymczasem zaczęła zdejmować swoją bluzę z kapturem. Spod niej na wierzch wysunęły się jędrne piersi.

– Gdzie on jest? – zapytał.

– Kto?

– Ten, co tu leżał związany.

– Kto?

– No ten facet, co leżał z tobą.

– Jaki facet? Co ty pierdolisz? Nie wiem nic o żadnym facecie. Chodź do mnie. Tak mi się chce. Zobacz, jaką mam gładką skórę.

– Jonasz, ona jest jeszcze nawalona tymi prochami – odezwał się ktoś, kto musiał stać za drzwiami. Więc było ich dwóch. To znacznie komplikowało plan Mazurka, polegający na zaskoczeniu, ale niestety tylko jednego przeciwnika. Dwóch nie zawierały jego wcześniejsze dane operacyjne. Musiał coś zrobić, tyle że znów nie wiedział co. Stał za drzwiami i to, że nie został zauważony, i tak już musiał uznać za sukces. Pamiętał, gdzie są te drzwi, ale nie pamiętał, z której strony mają zawiasy, a więc nie wiedział, czy otworzą się na prawą, czy na lewą ścianę. Zaryzykował lewą i okazało się, że miał rację. Drzwi zasłoniły go i gdy tylko wszedł do środka ten gość, już chciał go zaatakować od tyłu. Ale coś go powstrzymało. Może te cycki Marianny. Na szczęście nie ruszył przed siebie, tylko nadal stał przyklejony do ściany.

– To jak jest nawalona, to moglibyśmy ją zasadniczo przelecieć – stwierdził ten, który był w środku.

– Chodź tu i mnie przeleć. Możecie we dwóch mnie wyruchać. Chodźcie do mnie.

– Ale jaja, ona chce nas dwóch. To co, Jonasz? No dalej, nie cykaj się. Wyruchamy ją i będzie super.

– Zaraz, a ten facet gdzie jest? – Jonasz naraz przypomniał sobie o Mazurku.

– Zabrali go. Ezechiel był tu po niego pół godziny temu – wyjaśniła szybko dziewczyna.

– O, już sobie przypomniałaś – ucieszył się Jonasz.

– No chodźcie do mnie. Nie ma co tracić czasu.

– To co, ja od przodu, a ty od tyłu czy odwrotnie? – zapytał ten drugi, który wszedł do środka i stanął obok Jonasza, spoglądając z góry na leżącą na materacu półnagą dziewczynę. Na to czekał Mazurek. Przed chwilą wymacał leżący na podłodze stary trzonek od łopaty i z nim w rękę rzucił się na obu strażników. Pierwszy cios w głowę od razu zwałił z nóg tego, który stał bliżej. Ten drugi zdążył się jeszcze odwrócić za siebie, by przekonać się, skąd nadciąga niebezpieczeństwo, ale niewiele zobaczył. Marianna skoczyła do niego i chwyciła za nogi, a Mazurek zdzielił faceta w kark. Trzeba przyznać, że policjant miał siłę, mimo że nie należał już do młodzieńców, a mięśnie używane przez ponad pięćdziesiąt lat nieco się wysłużyły.

Obaj strażnicy padli bez przytomności na podłogę. Detektyw wraz z dziewczyną związali ich sznurem, tym samym, którym wcześniej był skępowany Mazurek. Ten wcisnął im jeszcze do ust knebel z ich własnych koszulek i pierwszy etap ucieczki został zrealizowany. Teraz musieli się jakoś stąd wydostać. Na szczęście nie byli bezbroni. Policjant przewiesił sobie przez ramię kałasznikowa, a za pasek spodni wsunął pistolet P-83, który odebrał jednemu z obezwładnionych mężczyzn.

– A ja to co? – zapytała z wyrzutem w głosie Marianna.

– Że niby, że co? – Mazurek nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Mam iść bez broni? Daj mi choć ten pistolet.

– He, he! Jak to? Chcesz strzelać?

– A co myślisz, że nie umiem?

– Ale dziewczyny to się do broni nie nadają.

– Co ty pieprzysz? Dziewczyny nadają się lepiej od facetów. A zresztą z dwóch luf nie będziesz strzelał. No i przecież ci pomogłam.

Pokiwał głową. Miała rację. Pomogła mu przed chwilą, ale to jeszcze nie powód, żeby jej oddawać pistolet. Był odpowiedzialnym policjantem, który uważał, że młodzieży broni do rąk dawać nie można.

Kuśtykając na jednej nodze, dowlókł się do schodów prowadzących na zewnątrz. Ale żeby je pokonać, musiał wesprzeć się na ramieniu Marianny. Gdy doszli na górę, to ona uchyliła drzwi i rozejrzała się uważnie dookoła. Gdy uznała, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, wyprowadziła go na zewnątrz i wskazała mur na lewo od piwnicy. Po krótkim, aczkolwiek dla Mazurka bardzo wyczerpującym marszu, znaleźli się w krzakach przy ogrodzeniu.

– Ja cię podsadzę i przeleziesz przez płot. Potem uciekaj jak najszybciej do Poznania i zapomnij o tym, co tu się stało.

– Co? Jak mam zapomnieć?

– No normalnie. Zapomnij i już. Do czego tu wracać? Przecież nie pójdziesz do sądu, że cię jakiś facet...

– On mnie zgwałcił. Nie rozumiesz tego? Ten skurwiel mnie zgwałcił. Nafaszerował prochami i robił potem, co chciał. Przez całą noc leżałam związana, a on mnie pieprzył i pytał jeszcze, jak mi się podoba.

– I co mu powiedziałaś?

– Nic. Nawet nie jęknęłam. Żeby sobie skurwysyn jeden nie myślał, że mi robi przyjemność.

– To nie było przyjemne? – zdziwił się Mazurek, który nie miał zielonego pojęcia, że stosunek może nie być przyjemny. W końcu jemu i jego lwiczce w łóżku, czy gdziekolwiek naszła ich ochota na seks, zawsze było cudownie. Owszem, jako policjant nieraz miał do czynienia z gwałtami, ale zawsze wydawało mu się, że to taki seks, tyle że z nieznaną osobą i pod przymusem. Ale przecież pod przymusem różne rzeczy się robiło, jak choćby chodzenie do szkoły, której Mazurek szczerze nienawidził, i jakoś nikt z tego powodu nie narzekał szczególnie mocno. Więc te gwałty uważał za babski wymysł, który nie wiedzieć dlaczego, uznaje się za przestępstwo. Ścigał więc gwałcicieli, ale nie traktował ich szczególnie ostro. Co innego tych, co dobierali się do dzieciaków. Dla takich kreatur nie miał najmniejszej litości.

– A jakby ci tak ktoś wsadził kij w dupę, to co byś powiedział?

– Ja pierdolę! – Skrzywił się z obrzydzenia.

– No widzę, że już rozumiesz.

– Nie do końca, ale to musiało być... – przez chwilę szukał odpowiedniego słowa – chujowe. – Nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy.

– Brawo, strzał w dziesiątkę – pochwaliła go dziewczyna.

– To co, podsadam cię, a ty...

– A co z tobą?

– Ja mam tu jeszcze sprawy do załatwienia. Muszę pogadać z tym Metanem, czy jak się ten śmierzdel nazywa. Muszę go zmusić, żeby mi odpowiedział na kilka pytań.

– Nathan. Też mam z nim porachunki – stwierdziła stanowczym tonem dziewczyna.

– Ale to niebezpieczne. – Mazurek zrozumiał wreszcie jej racje, ale też miał swoją robotę do wykonania. Chociaż bez jej pomocy ze zwichniętą nogą mogło być mu trudno. Tylko że jeśli zabierze ją ze sobą, może się okazać, że ona dowie się wszystkiego, czego on sam musi się dowiedzieć...

– Idę z tobą – zdecydowała.

– Ale...

– Żadne ale. Idę i już. I daj mi ten pistolet.

– O, co to, to nie. Nie dam ci broni, bo młodzież nie powinna...

Naraz poczuł, jak dziewczyna łapie go niespodziewanie za rękę, ciągnie ku sobie i... Przewrócił się na ziemię, a ona najspokojniej w świecie wyciągnęła mu broń zza paska.

– No i co myślisz? Nie poradzę sobie?

– Ale to było nieuczciwe zagranie – rzucił niezadowolony detektyw, podnosząc się ostrożnie, żeby nie urazić obolałej nogi.

– A co, kurwa, tu jest uczciwe? To, że Nathan oszukuje tych wszystkich durnych ludzi, którzy dają się nabrać na tę jego gadkę o spisku światowym? A może to jest uczciwe, że takie małżeństwo z dzieckiem, które tu przyjechało i później chciało zrezygnować z bycia w tej komunie, nagle jednej nocy wyparowało. Nie ma po nich śladu, rozumiesz? A to, że Nathan wybiera sobie laski i gwałci je, a potem robi z nich swoje dziwki, to jest według ciebie uczciwe? Myślałam, że to jest raj na ziemi, dlatego tu przyszłam, ale to nie żaden raj, ale jeden wielki burdel. Tu nic nie jest uczciwe, więc nie pierdol mi o uczciwości.

Popatrzył na nią zdumiony, a potem się uśmiechnął. Miała dziewczyna jajca. Jeśli ktoś może mu tu pomóc, to ona na pewno.

– No to pomóż mi wstać. Pójdziemy sobie z nim trochę pogadać.

– A jaki masz plan, jak chcesz to zrobić?

Mazurek wzruszył ramionami. Jak zwykle jego planem było pójście na żywioł.

– Jakoś się zobaczy.

– Jakoś srakoś. Jak nie wiesz, co zrobić, to słuchaj.

I Marianna powiedziała mu po kolei, punkt po punkcie, co zrobić, żeby dostać się do dupy temu, który rozdawał tu karty.

Godzina 13.20

W tym budynku kiedyś rzeczywiście musiały mieszkać zwierzęta. Świadczyły o tym stalowe, kute obręcze wmurowane w ściany, do których można było przyczepiać łańcuchy, a może końskie lejce. W każdym razie w tej chwili po dawnych mieszkańcach nie było już śladu, a i zapach, którym musiały być przesiąknięte ściany, dawno się ulotnił, wyparty przez farby i rozpuszczalniki użyte do remontu. Obora była podzielona na kilka sal wyglądających jak pomieszczenia do pracy biurowej w jakiejś korporacyjnej firmie. W tej największej, do której wprowadzono pielgrzymów, stały stoły zastawione sprzętem komputerowym. Ludzie pozajmowali miejsca na krzesłach w oczekiwaniu na to, by ktoś się nimi zajął. Było ich dwanaścioro, bo do szóstki przywiezionej z Wronek dołączyło jeszcze sześcioro z Piły. Rozmawiali ze sobą półgłosem, zastanawiając się, co ich czeka w tym miejscu. Wiedzieli, że będzie jakieś szkolenie, ale nie do końca mieli pojęcie, co będą robili. Jak dotąd nikt im

niczego nie wyjaśnił. Chłopak, który ich tu przyprowadził, kazał im czekać i tyle go widzieli.

– Ale zapalić to chyba można – odezwał się głośno brodacze w żółtej pikowanej kurtce. Jego szyję opasała luźno zawinięta arafatka, a na głowie miał amerykańską czapkę wojskową.

– Ja bym też zapaliła – stwierdziła kobieta, która jeszcze niedawno nie chciała wejść do obory.

– Tutaj na pewno nie wolno palić – domyślił się szczupły dryblas w bluzie z kapturem, który podniósł wzrok znad ekranu swojego smartfona.

– Właśnie – poparła go dziewczyna w zielonym golfie. – Jakby tu można było palić, toby były tu popielniczki.

– Ja widziałem słoik z petami tam, koło rynny. – Łysiejący czterdziestolatek w okularach wskazał kierunek. – Ale to jest na zewnątrz – dodał zupełnie niepotrzebnie.

– No to jak jest miejsce, to ja nie będę tu stał. Idę strzelić sobie dymka – zdecydował ten w arafatce. – A pani, jak się nie boi, to może iść ze mną.

– A niby czego mam się bać? Ja już im dziś powiedziałam raz, co myślę o tym, jak traktują ludzi. Nie wiem, czy ten przyjazd tutaj nie był pomyłką.

– Jak się pani nie podoba, to wolna droga – rzuciła ostrym tonem kobieta ubrana w szaropopielaty dres i białe adidas. Czarne włosy miała spięte w kitkę wypuszczoną spod ogranicznika bejsbolówki. – Nikt tu nikogo pod pistoletem trzymać nie będzie.

– A pani to jest z obsługi? – zapytała niedoszła palaczka.

– Nie z obsługi. Tu nie ma żadnej obsługi. Tu wszyscy służą wszystkim. Radą i pomocą. Ale żeby być ze wszystkimi, trzeba zasłużyć na zaufanie. Jednak jeśli ktoś przyjeżdża tu do nas nie po światło wiedzy, ale po to, by siać zamieszanie, to raczej powinniśmy się od razu rozstać.

– Ja tylko chciałam zapalić – rzuciła pojednawczym tonem kobieta.

– Palenie szkodzi zdrowiu – skwitowała tę wypowiedź brunetka. Powiedziała to takim tonem, że wszyscy uczestnicy tego spotkania od razu zrozumieli, że w tej chwili lepiej na fajkę nie wychodzić. Ona zaś obrzuciła wszystkich uważnym spojrzeniem, by po chwili uśmiechnąć się radośnie.

– Mam na imię Miriam. To dzięki mnie tutaj jesteście. Wybaczcie nam, że to tak długo trwało, ale musicie zrozumieć, że my tutaj ze względu na nasze poglądy, dość mocno odbiegające od tych wyznawanych przez władze i cały establishment, a także zakłamanym świat naukowy, jesteśmy cały czas pod ostrzałem. Ci, którzy boją się prawdy, chcą nas zniszczyć, ale my każdego dnia jesteśmy gotowi walczyć o swoje ideały. A najważniejszy z nich to dobro ludzkości. Ludzie nareszcie muszą przejrzeć na oczy i zrozumieć, co szykuje im drapieżny kapitalizm. Ale to wszystko już wiecie. Przecież nie od dziś rozmawiamy o tym, co nas boli, co nas dręczy, o tym jak koncerny farmaceutyczne żerują na naszym zdrowiu po to tylko, by osiągnąć jak największe zyski. Wiecie to wszystko i dlatego tu jesteście. Bo teraz stajemy na progu nowej wojny. Ta wojna będzie taka, o jakiej jeszcze świat nie słyszał. Mam informacje z pewnych źródeł, że to, o czym mówią media, o tak zwanej epidemii, która ma się roznosić jak grypa i atakować oskrzela i płuca, to jedna

wielka ściema. Żadnej epidemii nie ma. To zwyczajne oszustwo. To wirusy, jakich pełno jest w powietrzu i które roznoszą się między ludźmi czy zwierzętami. Ale ci, którzy rządzą światem, postanowili to wykorzystać, że ten wirus jest, i na drodze światowego spisku obarczać go winą za zgony tych wszystkich, którzy umierają w szpitalach na grypę, na serce czy niewydolność płuc. Takich ludzi w całym świecie są setki tysięcy. I u każdego z nich można znaleźć tego wirusa, bo on jest powszechny. Każdy go nosi w sobie, podobnie jak dziesiątki innych wirusów. No i teraz dochodzimy do najważniejszej kwestii. Ludzie umierają i będą umierać, ale nie na jakiegoś wirusa. Będą umierać na wszystko. Ale oni ogłoszą, że to jego wina. W związku z tym, tak jak w Chinach, także w innych krajach będzie wprowadzany lockdown.

– A co to jest ten „lockdown”? – zapytała kobieta, ta, co chciała iść palić, ale teraz całkowicie o tym już zapomniała i z otwartymi ustami słuchała wykładu Miriam.

– Lockdown to zamknięcie wszystkiego.

– Jak wszystkiego? – Nie zrozumiał ten łysy w okularach.

– Szkół, urzędów, lotnisk, sklepów, dosłownie wszystkiego.

– Ale po co niby to mają robić? – zapytał mężczyzna w arafatce.

– Żeby wypróbować, czy się damy zniewolić. I okaże się, że ludzie posłusznie dadzą się zamknąć w domach. I to jest ta najbardziej diaboliczna część ich planu. Ludzie pozostaną w zamknięciu, komunikaty będą mówiły, że coraz więcej osób umiera, bo będzie się liczyć do statystyk każdą śmierć na każdą chorobę. Do tego dojdą jeszcze ci wszyscy, którzy będą umierać w domach i na ulicach, bo nie zdąży do nich dojechać karetka zajęta dowożeniem tych chorych, którzy będą spanikowani, myśląc, że mają covid, podczas gdy to tylko zwykłe przeziębienie. I gdy ludzie będą w rozpacz, oni powiedzą im, że już niedługo będzie szczepionka na covid. I ta szczepionka powstanie. I teraz sobie wyobraźcie, co to będzie za nieprawdopodobna akcja logistyczna. Firmy farmaceutyczne będą produkowały szczepionkę, którą trzeba będzie rozwieźć na cały świat. Każdy będzie chciał być zaszczepiony z obawy o swoje życie. Każda szczepionka to konkretny zysk dla producenta. Już rozumiecie, co oni chcą zrobić? Zaszczepić całą ludzkość. I to czymś, co wcale nie będzie przetestowane. Więc mogą tą szczepionką nikomu nie pomóc, ale mogą też wszczepić nam wszystko. Nawet mikrochipa, którym będzie można sprawdzić, co robi i gdzie jest każdy człowiek na ziemi. To, drodzy moi, nie żadne bajki. To dwudziesty pierwszy wiek i era komputeryzacji. To czasy, gdy będzie można nas permanentnie inwigilować. I dlatego dziś jesteście tutaj. Dlatego że musimy o tym głośno i odważnie mówić światu. Musimy ludziom dać prawdę.

– Ale to przecież jakaś gigantyczna operacja – zdziwił się chudzielec w bluzie z kapturem. – Ktoś to wszystko musiałby koordynować, żeby się udało.

– I tu masz całkowitą rację, bracie – odezwał się ktoś od strony drzwi. Ludzie spojrzeli w tamtym kierunku. Niektórzy poznali go od razu. To Nathan stał w przejściu, uśmiechając się i ukazując przy tym swoje nieskazitelnie białe zęby. Obok niego stanęła Aneta, ciekawie przyglądając się zebrany. Naraz jej spojrzenie zatrzymało się na kobiecie w bejsbolówce. Popatrzyła na jej twarz i zamarła. To była ona. Natychmiast rozpoznała brunetkę ze zdjęć znalezionych w albumie. To była właśnie Marzena Waszuta. Żyła i miała się całkiem dobrze. By to udowodnić, nie będą potrzebne żadne testy DNA. Jeśli ona żyła, to pewnie jej mąż i dziecko również. To będzie więc tylko kwestia czasu, kiedy ich wszystkich da się namierzyć. Teraz tylko należy znaleźć odpowiedź na pytanie, kim byli ci ludzie w ich

samochodzie. Bo jeśli to ich auto, to muszą coś na ten temat wiedzieć. Trzeba ich zgarnąć, ale nie ma sensu, żeby Biernat z ekipą wkraczali tu zbyt wcześnie. Najpierw musimy ustalić jeszcze, gdzie jest mąż Waszutowej...

– Masz całkowitą rację – powtórzył Nathan. – To jest gigantyczna operacja, ale za tym stoją też gigantyczne pieniądze rządów zainteresowanych tym, by zniewolić swoich obywateli, i firm medycznych, które chcą tych ludzi oszukać. Moja żona Miriam wie, co mówi. – Wskazał na kobietę w bejsbolówce. Aneta jeszcze raz spojrzała na nią, a potem na Nathana. I znów poczuła dreszcz emocji. Nathan. Jak mogłam być tak głupia? Od początku wiedziałam, że skądś go znam. Myślałam, że to może jakaś znajomość gdzieś z ulicy, ze sklepu, urzędu czy skądkolwiek, a tymczasem znałam go... ze zdjęcia. Ten facet to Marek Waszuta. To on patrzył w obiektyw aparatu roześmianymi niebieskimi oczyma. To właśnie te same oczy, które teraz skrzyły się gniewnie, gdy opowiadał ludziom o Armagedonie czekającym ludzkość. Wtedy miał brodę i wąsy, a do tego jeszcze całkowicie ogoloną głowę. Dziś wszystko się zmieniło. Na głowie była bujna czupryna, a na twarzy kompletny brak zarostu. Waszutowie jak żywi stali tuż przy niej...

– Żeby pokazać wam rozmach tego największego w dziejach oszustwa, podam wam proste wyliczenie, które swoją skalą powinno do was najlepiej przemówić – ciągnął dalej Nathan. – Załóżmy, że to, o czym oni mówią, czyli pandemia, zagraża całemu światu. Oznacza to, że ludzie, żeby się ratować, zrobią wszystko. Wystarczy im powiedzieć, że najskuteczniejszą bronią jest szczepionka. A jak wiecie, ciemny lud wszystko kupi. Więc kupią i szczepionkę. To znaczy nie sami ludzie. Państwa będą ustawiać się w kolejce do firm medycznych, żeby kupić szczepionkę dla swoich obywateli. I to pewnie nie jedną, ale może trzeba będzie zaszczepić się dwoma dawkami? Ilu jest ludzi na Ziemi?

– Osiem miliardów. – Ten w kapturze pierwszy wyrwał się do odpowiedzi.

– Brawo! To prawda. Prawie osiem miliardów. Razy dwa to da nam szesnaście miliardów dawek rocznie. Niech taka szczepionka kosztuje jednego dolara. Ale pewnie będzie więcej. Podaję więc tylko cenę hipotetyczną. Więc mamy szesnaście miliardów dolarów rocznie albo nawet dwa czy trzy razy tyle. I potem każdego roku znów szczepienia. Widzicie już, o co chodzi?

– To straszne, jak z tym walczyć? – zawołał łysy w okularach, po czym wciągnął haust powietrza i zakaszłał. Szybko wytarł usta chusteczką higieniczną i wysiąkał zakatarzony nos.

– O, proszę, mamy tu pierwszą ofiarę COVID-19, he, he, he! – zażartował Nathan, a wszyscy zebrani zawtórowali mu, śmiejąc się radośnie.

– Tak właśnie wygląda ten przekręt. Nasz kolega, który jest przeziębiony... Jak masz na imię?

– Tadeusz.

– Nasz kolega Tadeusz już mógłby zostać uznany za chorego na tego wirusa. Ale przecież my wszyscy widzimy, że Tadek jest zwyczajnie przeziębiony. Widzicie teraz, na czym polega genialność tego oszustwa?

Ludzie zaczęli kiwać głowami, potakiwać, pomrukiwać, bo najwyraźniej to, o czym powiedział im Nathan, wydało im się teraz całkowicie jasne i oczywiste.

– Moja żona opowie wam teraz o tym, jak w internecie będziecie walczyć z tym spiskiem. Codziennie będziecie wpisywać to, o czym wam mówiłem, i w ten sposób szerzyć

prawdę na forach internetowych, w grupach dyskusyjnych i wreszcie wpisując swoje uwagi w komentarzach pod postami. Miriam, mogę cię prosić?

– Oczywiście. Zajmijcie miejsca przy komputerach. Przy każdym z nich leży broszura, w której zawarto przykładowe wpisy. Oczywiście nie możecie ich kopiować jeden do jednego. Trzeba je twórczo zmieniać. Ale co to dla was. W końcu do nas trafiają tylko ludzie inteligentni...

– Chodź, pokażę ci teraz resztę naszego gospodarstwa. – Nathan wskazał Anecie drzwi prowadzące na zewnątrz. Gdy tylko wyszli z budynku, podbiegł do nich Ezechiel.

– Bracie, nad nami lata dron! – wykrzyknął przejęty i wskazał coś na niebie. Natychmiast spojrzeli w tamtym kierunku.

– Pierdolone skurwysyny! – zaklął Nathan. – Namierzają nas, gnoje.

– Kto? – zapytała Aneta.

– Jak to kto? Ci, co chcą nas zniszczyć. Koncerny farmaceutyczne. To ich robota. Ale my się nie damy. Już im trzy drony rozpieprzyliśmy. Ezechielu, przynieś kałachy. No, Aneta, zobaczymy, czy rzeczywiście umiesz strzelać. Jeśli masz dobre oko, powinnaś go załatwić jedną serią.

– Serią? – Udała zdumienie. – Jednym strzałem... – rzuciła chełpliwym tonem.

Naraz poczuła wibrowanie telefonu. Nathan też to usłyszał. Zrobiło jej się zimno. Przez chwilę pomyślała, że to któryś z policjantów dzwoni, żeby zabronić jej strzelania do drona. Wzruszyła ramionami, uśmiechając się przepraszająco do Nathana. Ten skinął przyzwalająco głową, więc wydobyla telefon i spojrzała na wyświetlacz. Na szczęście dzwonił Adrian.

– No odbierz, nie krępuj się – zachęcił ją.

Odebrała.

– Cześć, piękna. Co tam u ciebie?

– Dobrze. Ale teraz nie...

– Dzwonię, bo pomyślałem, że może byśmy się przelecieli, he, he, he, moją nową furą. Kupiłem właśnie siódemkę. Mówię ci, jaki wypas. W środku jest normalnie zajebista. Co ty na to?

– Adrian, nie mam czasu.

– Nie? Kurczę, szkoda, bo mi się tak chce... ciebie... he, he, zobaczyć.

– Adrian, ja naprawdę nie mam czasu. – Mówiąc to, spojrzała na Nathana, który stał przed nią z kałasznikowem opartym na ramieniu.

– Kurde, no to chyba będę musiał przelecieć się z... he, he, he, z kimś innym. Co myślisz, piękna?

– Leć, Adrian, leć... – powiedziała głosem wypranym z emocji i zaraz przerwała połączenie. Niech sobie leci, z kim tam chce. Ona miała ważniejszy latający obiekt na głowie, a właściwie nad głową, i do tego jeszcze podany przez Nathana karabinek maszynowy w ręce. Zaplotła pasek na łokciu, wymierzyła i oddała strzał akurat w momencie, gdy dron znajdował się dokładnie nad dziedzińcem. Kilka sekund później rozbite urządzenie spadło z hukiem i roztrzaskało się na podwórkowym bruku.

Godzina 14.10

– O, teraz to całkiem dobrze widać. Ale jakoś niewiele widać w sumie – stwierdził Turek, kręcąc głową z dezaprobatą. – Kiedyś to się nie latało żadnymi dronami, tylko się wchodziło z bronią w rękę i już. A teraz to więcej tu zastanawiania się niż roboty.

– Ale dzięki temu widzisz, co tam jest w środku – próbował go przekonać Wtorek. Jemu akurat bardzo imponowała ta nowoczesna technika. – Siedzi se człowiek w domu, pije piwko i patrzy tylko w monitor, a taki dron lata i ci pokazuje, gdzie masz iść i co się w ogóle dzieje tam, gdzie chcesz iść. I co najważniejsze, to ty w ogóle nie zabłądzisz, bo wszystko zobaczysz wcześniej w monitorze.

Nie siedzieli, co prawda, w domu z piwem w ręce, ale w samochodzie, dokładnie w furgonetce operacyjnej, gdzie zainstalowano komputer i kilka ekranów. Ten najważniejszy, połączony z dronem, stał na wprost krzesła zajmowanego przez Turka. Starszy aspirant patrzył na przesuwane się przed oczyma obrazki i prychnął co chwilę, wyrażał w ten sposób swoje niezadowolenie.

– Pierdolenie. I tak się skończy tym, że wjedziemy tam samochodami i zrobimy rozpierduchę, jeśli jest co tam robić. Bo mi się cały czas wydaje, że to jest wszystko inaczej, jak my se myślimy.

– Może i nawet masz rację – zgodził się z nim Biernat. Stał tuż przy otwartych tylnych drzwiach samochodu i instruował operatora drona, sierżanta Walczaka. – Ale nagranie z drona, znaczy się film z jego kamery, jest potrzebne dla uzyskania jasności sytuacji.

– Pewnie – poparł dowódcę Wtorek. Chłopak uważnie wpatrywał się w nic niemówiące graficzne wykresy, będące zapisem dźwięków dochodzących z urządzenia podsłuchowego ukrytego w kurtce Anety. Na szczęście rano, zanim pojechała na spotkanie z Nathanem, Biernat zapobiegliwie zaopatrzył ją w pluskwę. Każdy dźwięk dochodzący z miejsca, gdzie była, nagrywał się. Na razie nie było powodów do niepokoju, ale Biernat wolał być w pobliżu, by móc w razie czego natychmiast interweniować. Tym bardziej że poranna obserwacja parkingu, na którym Aneta spotkała się z Nathanem, przyniosła nieoczekiwane rezultaty.

W pustym pokoju nieczynnej przychodni zainstalowali się Turek z Wtorkiem. Patryk miał ze sobą aparat fotograficzny z teleobiektywem ustawiony na statywie. Turek stał w oknie z lornetką, obserwując wszystko w zasięgu wzroku i możliwości jego sprzętu. Czekali cierpliwie na to, co wydarzy się na parkingu, ale na razie nic się nie działo.

– Najgorsze jest to czekanie – stwierdził stary policjant.

– No – zgodził się z nim młody.

– Nieraz to można tkwić na takiej obserwacji kilka dni nawet.

– No – potwierdził Patryk, wpatrzony w lustrzaną Canonę i skupiony na uważnym obserwowaniu placu.

– Pamiętam raz, że czekaliśmy trzy dni, zanim się pojawił taki jeden gnojek, na którego polowaliśmy.

– I co?

– No i żeśmy go zgarnęli raz-dwa, i posprzątane. Bo to jak się takiego typu zgarnia, to jest najlepsze w tej robocie. A wiesz, co jest najgorsze?

– Chyba czekanie – domyślił się Wtorek.

– I niby masz rację, ale gorsze od czekania jest niepalenie.

– Jak to? – Młody się zdziwił, bo Turek, mówiąc o niepaleniu, właśnie palił papierosa i dmuchał dymem jak stara lokomotywa.

– Ano tak, bo jak kto pali ćmiki, to wie, w czym rzecz. A ty nie palisz.

– Ja nie palę, bo się nie nauczyłem. Jak byłem młody, jeszcze w gimnazjum, zapaliłem papierosa i się porzygałem. I po tym to już mi się nie chciało palić.

– Masz uraz. Ale jakbyś teraz spróbował, to już byś się nie porzygał, bo to dawno temu było. To co, chcesz spróbować?

– Nie. – Patryk pokręcił głową. – Ja już wolę być niepalący. Po co mam palić i potem się męczyć na takiej obserwacji.

– No właśnie, bo na obserwacji najgorsze jest niepalenie. Bo w nocy nie wolno zapalić, bo taki rozbłysk papierosa to widać z daleka. Od razu by się taki obserwujący dał namierzyć temu namierzanemu. Dlatego nie lubię siedzieć na takiej czujce i się gapić jak szpak w pizdę. Ja to lubię siedzieć gdzieś na plaży albo w knajpie i sobie popijać...

– Wjeżdża van – przerwał mu Wtorek.

– Jaki van?

– Viano, znaczy się mercedes.

– Łe, że wjechał, to jeszcze nic nie znaczy.

– Jest Aneta.

– No wiadomo, przecież miała być, to i jest. Jak się umówiła, to przecież musiała tu przyjść, bo inaczej to po co byśmy...

– Wychodzi jakiś facet z tego vana i macha do niej.

– To może być przypadek. Może to jakiś jej znajomy? Jak znajomy, to dobrze, żeby go spławiła. W końcu ona jest stąd, to może mieć dużo znajomych w mieście...

– Podchodzi do niego.

– Pewnie chce mu powiedzieć, żeby jej nie przeszkadzał. Ma rację. Niech facet spada, bo może nam przeszkodzić. No dalej, spuszcza go na drzewo.

– O ja pierdołę.

– Co, aparat ci się zepsuł? Wiedziałem, że na ten elektryczny sprzęt nie można liczyć. Kiedyś to były aparaty nie do zdarcia i na prawdziwą kliszę się robiło zdjęcia...

– Ten facet. Ja jego znam.

– A to jakiś twój znajomy? No to nawet dobrze. Jakby nie chciał spierdalać, tobyś mógł zejść na dół i powiedzieć, żeby spier...

– Ja jego znam. To jest ten zaginiony, znaczy ten zabity, czyli niezabity, tylko...

– Gadajże jaśniej, do cholery ciężkiej. Kto jest zabity czy niezabity, czy zaginiony? Ten facet, co tam stoi z Anetą?

– To jest on. Ten sam ze zdjęć, co Aneta przywiozła je z domu w Rokietnicy. To jest facet, co się nazywa Waszuta. Marek Waszuta. Ten, co jego samochód był wyłowiony

z jeziora...

– Bzdura, tamten na zdjęciach miał brodę i wąsy, no i jeszcze dodatkowo łąsą głacę.

– Ogolił się, a na głowie mu włosy odrosły. Ja go poznaję na sto procent. To jest właśnie on.

– Nie pomylił żeś się?

– Nie, to on. Zaraz sprawdzimy oczy. Zrobię zdjęcie z dojazdem do oczu. Porównamy. Zobaczysz, że to on. Ten sam gość.

– A to pierdolony kutas. To znaczy się, że tamto morderstwo miało nas skierować na lewe sanki. No nieźle. Tylko po co to wszystko, to upozorowanie?

– Jak po co? No przecież meldowałem, co znalazłem w necie. To była cała grupa kilkudziesięciu osób na fejsie, ludzi poszkodowanych przez doradztwo finansowe Marka Waszuty. Facet nabrał na inwestycje kilkadziesiąt osób. Jeszcze nie wiadomo, na ile ich rąbnał, ale to może być ładnych parę baniek, z tego, co zdążyłem tam wyczytać.

– O, wsiadają do tego mercedesa. Zrób jeszcze zdjęcie tablic rejestracyjnych i możemy się związać – zdecydował Turek, który był wyższy stopniem i starszy stażem, więc mógł wydawać polecenia. Sam zaś zajął się swoim telefonem. Musiał jak najszybciej poinformować Biernata o tym, co się wydarzyło.

– Nie uwierzysz, co odkryliśmy – rzucił do słuchawki. Ten Manhatan, z którym miała się spotkać Aneta...

– Rozumiem, że się z nim spotkała? – zapytał Biernat.

– Tak, no jasne, spotkała się, wsiadła do jego auta i pojechali...

– Gdzie pojechali?

– Nie wiem jeszcze, gdzie pojechali. Prosto przed siebie pojechali, znaczy się na prawo w kierunku na basztę Halszki, bo przecież to jednokierunkowa jest ta ulica Braci Czeskich, to nie mogli gdzie indziej skręcić. Zresztą Aneta wysyła swoje położenie z telefonu, to co za problem jest. Możesz ją w tej chwili namierzyć. Ja też niby mogę, ale ja nie wiem, jak to się robi. Nie znam się na tych pierdolonych telefonach. Telefon to jest do telefonowania, a nie do...

– Niech ci Patryk pokaże. Ja wiem jak i zaraz ją włączam. Jak to już wszystko żeś powiedział, to...

– Nie, nie wszystko, jeszcze najważniejsza sprawa.

– To gadaj, bo chcę zobaczyć, dokąd ona jedzie, a ty mi blokujesz.

– Łe tam, minuta cię nie zbawi. To słuchaj to, bo to jest najlepsze. No to ten Manhatan, czy jak mu tam, to jest w rzeczywistości ten Waszuta Marek, co jego auto znaleźliśmy...

– Co ty gadasz? Jesteś pewny?

– Ja nie, bo ja już nie mam takiego dobrego wzroku, co dawniej. Kiedyś to ja mogłem przeczytać numery rejestracyjne samolotu, co nade mną leciał, ale teraz to już...

– Nie pieprz mi o samolotach. Skąd wiesz, że to on?

– Młody tak gada. Że to niby ten sam gość. Bo ja już szczegółów nie widzę. Ale Wtorek powiada, że to jest ten sam.

– Daj mi Patryka.

– No tak. Już go daję. Bo on jest pewny, że to... Patryk, masz, szef dzwoni.

Wtorek przejął telefon i nie czekając na pytanie, zaczął wyjaśniać z pełnym przekonaniem:

– Ja nie mam najmniejszej wątpliwości, panie nadkomisarzu. To jest on. I już się wszystko teraz składa do kupy. Oni, znaczy się ten Waszuta żyje, to pewnie i jego żona też żyje. Zabili jakichś ludzi i w ten sposób chcieli upozorować swoją śmierć. A wszystko przez tę kasę, co ten Waszuta wisi ludziom. Można to sprawdzić, ale według mnie orznął ludzi na ciężką kasę...

I dlatego Biernat zdecydował, że nie ma co czekać. Trzeba wsiadać do samochodów i natychmiast pojechać tropem Anety, skoro dziewczyna być może jechała w paszczę lwa. To, co jeszcze kilka godzin temu wydawało się prawie wycieczką krajoznawczą dla dokonania rozpoznania, mogło w każdej chwili przeistoczyć się w śmiertelną pułapkę. Musieli dać dziewczynie wsparcie, w razie gdyby zrobiło się niebezpiecznie. Jednak najpierw musieli rozpoznać teren, na który mieli wkroczyć. Stąd pomysł z latającą kamerą.

– No i co tam, widzisz już coś? – Zniecierpliwiony Biernat spoglądał w ekran umieszczony na pulpicie sterowniczym drona, ale monitor był zbyt mały, żeby mógł dojrzeć tam coś konkretnego. Widać było zieloną połąkę lasów i niewiele więcej.

– Tam na północnym wschodzie widać już sporą wolną przestrzeń – wyjaśnił Walczak.

– No to leć tam – ponaglił go dowódca.

– Przecież lecę. Za jakąś minutę wszystko będzie widać. To jest to miejsce zgodne ze współrzędnymi z telefonu pani podkomisarz.

– No i dobrze – pochwalił go Biernat i w dowód uznania klepnął w ramię.

– Zamiast czekać, aż ten piździk doleci, już byśmy tam byli w środku autami. – Marudny Turek wynurzył się z mikrobusa z papierosem w ustach. Wyskoczył na zewnątrz i niemal natychmiast zapalił. Zadowolony wciągnął dym w płuca, jednak ta przyjemność wcale nie wpłynęła łagodząco na jego ocenę rzeczywistości.

– A jak ona tam już potrzebuje pomocy?

– Nic tam się nie dzieje – usłyszał głos Wtoraka, dobiegający z wnętrza auta, który nie współgrał z jego obawami.

– Nie dzieje, nie dzieje, ale może się zacząć dziać, a my tu siedzimy jak dupy wołowe.

– O, jest, panie nadkomisarzu – zawołał uradowany Walczak. – Widać to wszystko jak na dłoni. To chyba jakieś gospodarstwo jest.

– Jak na zwykłe gospodarstwo to chyba za duże trochę. To musiał być kiedyś jakiś folwark.

– Tak, folwark – zgodził się z nim operator drona. – A co to jest folwark? – zapytał na wszelki wypadek.

– Takie gospodarstwo jak PGR – wyjaśnił Biernat.

– A co jest PGR?

Biernat machnął ręką.

- Ty mi tu nie gadaj, tylko nie wlatuj tam nad te domy, żeby cię nie zobaczyli.
- Spokojna głowa. Tylko szpycniemy trochę i już nas nie ma, o proszę...
- Kurwa! – Ze środka auta dobiegł do nich krzyk Wtorka, który cały czas słuchał dźwięków z podsłuchu Anety. – Zobaczyli drona! Kurwa, zobaczyli nas!

Biernat spojrzął złym okiem na Walczaka. Ten zrobił całkowicie niewinną minę.

- No to wleć tam teraz, przeleć nad tym dziedzińcem i spierdzielaj.

W tej sytuacji dowódca postanowił wyciągnąć jak najwięcej korzyści. Gwałtowna ucieczka nic by nie dała. Niech przynajmniej dron przyjrzy się wszystkiemu dokładnie i dzięki temu będą wiedzieli, gdzie powinni uderzyć.

Godzina 14.20

– Teraz będzie zakręt w lewo na Wronki, bo w prawo to na Czarnków jest droga – wyjaśniał siedzący na tylnym siedzeniu Michał Gliniecki. Pochodził z Wronek, więc doskonale znał te tereny, i gdy usłyszał, że Mariusz chce jechać w tę okolicę, za nic nie dał się przekonać, że ma zostać w Poznaniu.

– Ja tam się wychowałem, szefie. Może to nic wielkiego w czasach map satelitarnych, ale taka zwyczajna ludzka wiedza też się czasami przydaje. Wronki i ta puszcza to mój fyrtel. Przecież nie mogę tu siedzieć i pierdzieć w stołek, jak wy tam będziecie się pętać i błądzić. Tym bardziej że przecież nie jedziecie tam na ryby, ale w poważnej sprawie...

Mariuszowi w zasadzie było wszystko jedno. Najważniejsze, by w ogóle tam pojechać. A czy Gliniecki pojedzie... Jak chce, to czemu nie. Tym bardziej że nawet nie mógł mu w tej sprawie wydać oficjalnego polecenia, bo to miejsce to nie był obszar działania jego wydziału, więc działania prowadzone na nie swoim terenie były niezbyt legalne. Mógł poruszać się swobodnie po Poznaniu i całym powiecie poznańskim, ale tam, gdzie się wybierał, to był już powiat szamotulski. Dlatego musiał mieć choć formalną zgodę kogoś z Szamotuł. Najlepszy byłby w tej sprawie Biernat. On nie miałby nic przeciwko temu, by dać przyzwolenie swojemu staremu znajomemu. Tyle że Biernat od ponad godziny, czyli od czasu, gdy po raz pierwszy do niego zadzwonił, nie odebrał telefonu. Mariusz musiał więc sam podjąć decyzję.

– Dla mnie sprawa jest poważna. Ta dziewczyna jest w niebezpieczeństwie. Być może przetrzymują ją jakieś świry. Dlatego trzeba tam jak najszybciej dotrzeć.

Nie wspomniał ani słowem, że być może tam również jest Aneta i tak naprawdę bardziej chodziło mu o nią niż o tę drugą dziewczynę. Musiał więc ruszyć z odsieczą, bo gdyby Anecie się coś stało, nigdy by sobie nie wybaczył.

– Zasadniczo to ja jeszcze do końca nie mam pewności, że ona w ogóle tam jest – stwierdził Przemek. Nie był przekonany, że dobrze zrobił, stawiając wszystkich swoich kolegów przed wyborem: zrobić coś albo siedzieć na tyłku i się zastanawiać, co dalej. Ale Błaszkowski nie miał najmniejszych wątpliwości, zwłaszcza po tym, jak Bury dostatecznie wyłożył mu, że sprawa jest pilna.

– Na moje wychodzi tak, szefie, że można tam pojechać i się rozejrzeć. Za to nikt nam po pysku nie da. A już wiemy przecież, że to jest jakaś sekta, nie? No to wejdziemy tam

i zobaczymy, co się tam dzieje.

– To musi być prywatna posesja – rzucił Mariusz, chyba po to, żeby ktoś za niego rozwiął wątpliwości.

– No to i co z tego? A my prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa. Niech no nam się wyliczą z tych tatuaży.

– Co masz na myśli?

– Ten Łapa, co nam wszystko ładnie wyrysował, powiedział, że pamięta wszystkich, których tam tatuował. Mówi, że wśród nich było pięć czy sześć dziewczyn. Czyli że jednej będzie brakować. I on mówi, że zna wszystkie z imienia. Jak tej jednej nie będzie, to się zapytamy o nią i ciekawe, co nam odpowiedzą, a wtedy złapiemy ich za jaja, co nie, Drążek?

Przemek przyznał mu rację. Sam potrzebował dobrego uzasadnienia dla ich akcji, bo przecież nie był pewny, czy miejsce wskazane przez tatuażystę jest tym, w którym przetrzymywano Mariannę. Nie mieli takiej pewności, mimo że Buremu udało się zlokalizować telefon dziewczyny. Jego znajoma z firmy telekomunikacyjnej jak zwykle spisała się na medal, tyle że namiary były niedokładne. Nie wskazywały konkretnego miejsca, ale pewien obszar. Fakt, obszar na skraju Puszczy Noteckiej, kilka kilometrów od Wronek. Tyle że to mogło być kilkadziesiąt hektarów lasu do przeczesania. Na szczęście Łapę dało się przekonać, żeby z nimi pojechał i wskazał miejsce, do którego dowieźli go ci ludzie z sekty.

– Dobrze jedziemy? – Przemek spojrzał na tatuażystę, który siedział na tylnej kanapie policyjnej furgonetki przykuty do siedzenia.

– Bardzo dobrze, zdecydowanie – odparł artysta. A za chwilę w lewo musimy skrócić na tym rondzie – dodał, wskazując głową na zbliżające się skrzyżowanie dróg.

– To rondo to całkiem niedawno wybudowali – objaśniał dalej Gliniecki. Jako człowiek miejscowy czuł się w obowiązku informować wszystkich o mijanych ciekawostkach. – Bo wcześniej to tu było takie potrójne skrzyżowanie i ciągle dochodziło do wypadków. A teraz, proszę bardzo, pełna kultura. Natomiast ta wieś, co ją właśnie przejeżdżamy, to się nazywa Piotrowo. Ten kościół, co żeście widzieli po prawej, to przed wojną był protestancki, a teraz jest katolicki, bo wtedy wieś była niemiecka, a po wojnie zasiedlili ją Polacy, to i kościół trzeba było spolszczyć...

– Teraz to już cały czas prosto aż do następnego ronda, co będzie na wjeździe do Wronek – instruował prowadzącego auto Burego więzień. Jak pan szanowny będzie takim tempem jechał, to za pół godzinki będziemy na miejscu. A tak w ogóle to ja nie bardzo rozumiem, po co żeście mnie przykuli do tego siedzenia. Czy ja jestem jakiś niebezpieczny bandyta, czy co? Przecież każdy zdrowo myślący człowiek wie, że jak się ma kilka miesięcy do wyjścia, to nie ma co ryzykować ucieczki. Tym bardziej jeszcze, że się pomaga z własnej i nieprzymuszonej woli policji, co na pewno może być uznane przez komisję do spraw warunkowych zwolnień za okoliczność sprzyjającą szybszemu opuszczeniu zakładu karnego. Więc jak tak siedzę skuty jak ten bandyta albo nawet morderca i nie mogę się lewą ręką nawet po sisiorze podrapać, to ja se myślę, że może dojść u mnie do pomieszania różnych faktów i w związku z tym mogę się pomylić, co do miejsca, w które jedziemy.

– A pierdolnąć ci, kurwa? – odezwał się Bury, który nie bardzo lubił być szantażowany, szczególnie przez więźnia, który się zgodził na współpracę.

– Ja tam jestem prosty więzień, panie aspirancie, ale jak mnie ktoś jebnie w łeb, to w ogóle może mi się wszystko popieprzyć i co wtedy? Bywały już przypadki kompletnej amnezji u ludzi pobitych przez funkcjonariuszy. I co będzie wtedy, jak ja się we wszystkim zapomnę i kompletnie zdezorientuję w kierunkach terenowych? Każdemu może się pomylić północ z południem i odwrotnie, a jak mi się pomyli, to już koniec. Kompletny kotlet!

– Chyba klops? – poprawił go Przemek.

– Mnie tam wszystko jedno, jeśli się rozchodzi o asortyment spożywczy. Ale przypominam szanownym panom, że mam swoje prawa, a jednym z nich jest prawo do jedzenia. A w związku z tymi przesłuchiwaniem to mnie ominęła pora obiadowa i od śniadania nic nie jadłem, a dodatkowo to chce mi się łać.

– Wylejesz się, jak dojedziemy – rzucił Bury. Nie miał najmniejszego zamiaru stawać i czekać, aż Łapa sobie ulży.

– Ale mi się chce łać w chwili obecnej, a nie za pół godziny.

– Drażek, możesz mu pierdolnąć, bo siedzisz najbliżej?

– O, a teraz będzie miejscowość, co się nazywa Piła. Tak samo jak to duże miasto. – Gliniecki przypomniał sobie o swojej roli samozwańczego przewodnika. – Ale ta Piła jest mała i ma pięć chałup na krzyż, bo tamta to kiedyś stolica województwa była...

– Glina, weź mój telefon. Dzwoni Karolina, ta od namierzania komórek. Odbierz i powiedz, że prowadzę. – Bury podał telefon koledze siedzącemu z tyłu. Gliniecki odebrał połączenie.

– Dzień dobry, pani Karolino. Janek Bury siedzi przede mną i prowadzi samochód, więc nie może teraz rozmawiać.

– Karolinka, jesteś kochana – krzyknął Bury w nadziei, że dziewczyna usłyszy.

– Mówi, że jest pani kochana – powtórzył na wszelki wypadek Gliniecki.

– Powiedz jej, że...

– Cicho bądź, Bury. Bo pani Karolina nie może w tym hałasie mówić. A tak, pani Karolino, rozumiem i bardzo dziękuję. Naprawdę niesamowicie nam pani pomogła. Tak, oczywiście, przekażę mu buziaki. Do widzenia.

– Co, fajna z niej dziewczyna, nie? – Bury był najwyraźniej zadowolony ze swojego ostatniego odkrycia towarzyskiego. Karolina była żoną kolegi z pracy jego żony. Zgadali się przez przypadek na jakiejś imprezie, na której oboje jako kierowcy nie pili alkoholu. Siedzieli obok siebie, więc chcąc nie chcąc, musieli zacząć rozmowę. Bardzo brzemienne w skutkach, jak się niebawem okazało, ponieważ mąż Karoliny upił się dość szybko i poszedł spać do jakiegoś pokoju, a żona Burego mocno już wstawiona oddała się szalonej zabawie i tańcom. Tymczasem jej mąż jakimś dziwnym zrzędzeniem losu zupełnie przypadkowo położył rękę na kolanie Karoliny, a ona nie miała nic przeciwko temu. Później zdarzyło się jeszcze kilka ekscytujących sytuacji, dość powiedzieć, że oboje polubili się tak bardzo, że od czasu do czasu do siebie telefonowali, tym bardziej że Karolina pracowała w firmie od telefonów, a Janek potrzebował od czasu do czasu telekomunikacyjnych informacji i w bezwzględny sposób wykorzystywał jej chęć niesienia pomocy zapracowanemu policjantowi.

– Na pewno miła – stwierdził Gliniecki. – No i na dodatek jeszcze uczynna. Mówi, że wysłała ci SMS-a ze szczegółowymi namiarami ostatniego logowania telefonu. Teraz ma dane z czterech stacji nadawczych, dzięki czemu mamy dokładność do kilkunastu metrów.

– Kochana dziewczyna. Weź no, zobacz, co tam napisała – rzucił Bury, ale szybko pożałował, że pozwolił koledze zajrzeć do swojej prywatnej korespondencji. Gliniecki był na tyle dyskretny, żeby nie przeglądać wcześniejszych wiadomości, ale ta ostatnia, która przyszła kilka minut temu, wystarczyła, aby rzucić właściwe światło na relacje Burego i Karoliny.

Wiadomość zawierała bowiem współrzędne geograficzne miejsca i dopisek:

Dla Burego Misiaczka Bura Suczka.

– Daj mi lepiej ten telefon! – Bury wyciągnął rękę do tyłu. Gliniecki oddał mu aparat. Jego właściciel rzucił okiem na ostatnią wiadomość i włożył komórkę do kieszeni.

– Co służbowe, to służbowe, a prywatne kwestie są prywatne – oświadczył niezbyt przyjaznym tonem.

– A czy ja co mówię? – odpowiedział podkomisarz, który właśnie stał się mimo woli posiadaczem dyskretnej wiedzy na temat swojego kolegi. Nie należał jednak do ludzi gadatliwych, więc nie zamierzał z kimkolwiek dzielić się zdobytymi informacjami.

– Właśnie dlatego, że nic nie mówisz, to ja mówię, że ta końcówka wiadomości była do mojej dyspozycji, a nie do kogoś innego.

– A co było w tej końcówce? – zainteresował się Przemek, który lubił wszelkiego rodzaju sensacje.

– Nie twój interes! – warknął Bury.

– Co by nie było, nie nasza sprawa – zakończył rozmowę Błaszkowski. – Jak dostałeś te namiary, to podaj. Wbijemy je do telefonu i zobaczymy, czy dobrze jedziemy.

– Dobrze, dobrze, panie pułkowniku – odezwał się z tyłu więzień Łapa.

– Zaraz, bo nie będę sprawdzał wiadomości w trakcie jazdy. Zaraz, już staję.

Samochód zwolnił i po chwili zatrzymał się na poboczu. Bury wyjął na powrót telefon z kieszeni i zajrzawszy do ostatniej wiadomości, ze świstem wciągnął powietrze.

– No co, masz? – ponaglił go dowódca.

– Tak, tak, mam. Już dyktuję. Kto wpisze?

– Dawaj. – Gliniecki wyjął swój telefon i otworzył aplikację z mapami.

– Panowie, a tak w ogólności to przypominam o swoim pęcherzu, który niebezpiecznie jest powiększony do rozmiarów nieprzyzwoitości i za moment eksploduje, czego wam i sobie nie życzę.

– Ja pierdołę – jęknął podkomisarz. – Panie inspektorze, może by Drażek wziął tego tam na sikanie, bo rzeczywiście jak nam się tu zleje, to będziemy jechać ze smrodem jak w miejskim kiblu.

– Zgoda, idźcie. – Dowódca machnął ręką.

– Stokrotne dzięki, panie pułkowniku – zawołał z tyłu tatuażysta. – Ludzki pan z pana. Jakby pan chciał, żeby zniżkowo wydziergać panu na ramieniu, powiedzmy, pańską dziewczynę, to ja jestem do dyspozycji jak najbardziej.

– Dalej, nie gadaj! – Przemek pociągnął go za rękaw i Łapa poszedł szybko za nim. Mariusz Blaszkowski uśmiechnął się na myśl o dziewczynie. Ta, z którą był przez prawie dziesięć lat, odeszła od niego w dwa tysiące piętnastym. Potem od czasu do czasu spotykał się z różnymi kobietami, ale żeby o którejś mógł powiedzieć, że to jego dziewczyna... Nie, nie miał ani dziewczyny, ani nawet bliskiej przyjaciółki, poza... Poza Anetą. To przecież ona była tak naprawdę od dawna depozytariuszką jego myśli, najwytrwalszą rozmówczynią i koleżanką. Właściwie mógłby powiedzieć nawet, że Aneta była jego najlepszym kumplem, była... Zaraz, zaraz, przecież nawet mieli ze sobą awaryjny kontakt. Ona to wymyśliła, gdy kupił sobie iPhone'a. Też miała taki aparat.

– To tak właściwie nie wiadomo po co, tak na wszelki wypadek. Przecież nie po to, żeby sprawdzać, co robimy i gdzie jesteśmy, ale można zobaczyć w razie czego, gdzie jesteśmy. To znaczy ja ci wysyłam moje położenie, a ty mi swoje – wytłumaczyła mu. Nie miał nic przeciwko temu. Nawet nie zajrzał do tej aplikacji, bo wydało mu się to trochę głupie, że miałby sprawdzać, gdzie ona jest w tej chwili. Ale teraz był ten „wszelki wypadek”, o którym wtedy mówiła.

Wyciągnął telefon, otworzył aplikację i przycisnął jej imię. Przez chwilę dane miały się na wyświetlaczu.

– To jest jakieś dwadzieścia kilometrów stąd. W pobliżu wsi Krucz – wyjaśnił Gliniecki.

Mariusz spojrzął na swój telefon. Znacznik wskazujący miejsce pobytu Anety pokazywał odległość dwudziestu kilometrów. Najbliższa wieś nazywała się... Krucz.

Rozdział X

Okolice Krucza

Godzina 14.30

– Niezłe masz oko – pochwalił ją Nathan.
– Mówiłam, że strzelałam trochę.
– Tak strzelają snajperzy. Ale trafić latający obiekt to prawdziwa sztuka.
– Nieruchomy. Na szczęście zawisł nad nami w momencie, gdy do niego mierzyłam.
– W każdym razie gratuluję. – Widać było, że naprawdę jest pod wrażeniem.
– Nie wiem, czy jest czego. Strzelać przecież nie będziemy do tych, co by chcieli tu wejść.

– A dlaczego nie? – Nathan wzruszył ramionami. – Jeśli ktoś nieproszony pcha się na nasze podwórze, to nie jest gościem, tylko włamywaczem. My nie życzymy sobie tutaj żadnych obcych.

– Nie żartuj sobie.

– On w takich sprawach jest śmiertelnie poważny – odezwała się zza jej pleców Miriam. Wyszła na zewnątrz podobnie jak cała grupa nowych adeptów sztuki hejterskiej, zwabionych odgłosem wystrzału.

– Że niby nikogo nie można tu wpuszczać, tak?

– My wpuszczamy tylko tych, których tu zaprosiliśmy – wyjaśniła kobieta chłodno. Nathan spojrział na ludzi za jej plecami.

– Miriam, chyba nie skończyliście jeszcze zajęć wstępnych? Nie rozumiem, dlaczego wszyscy wyszli na zewnątrz. Słuchajcie, moi drodzy, to był tylko zwyczajny incydent. Ciągłe nas tu namierzają i fotografują, więc się bronimy. Każdego drona, który się pojawia nad naszą samotnią, zestrzeliwujemy. Nie mamy innej możliwości obrony swojej prywatności. A teraz, jak już jesteście, to powiem wam, że tego tu rupiecia – wskazał dłonią na stertę szmelcu leżącą na bruku – załatwiła Aneta. I zrobiła to jednym strzałem. Należą się jej gratulacje. Brawo, Aneta! – krzyknął na koniec i zaczął klaskać. Kursanci stojący za Miriam podchwycili oklaski, tak samo jak kilkanaście osób w szaropopielatych dresach, które wyszły na dziedziniec z różnych zakamarków gospodarstwa. Część z nich była ubrana w czarne kamizelki taktyczne i uzbrojona w broń automatyczną.

– A teraz, kochani, rozchodzimy się do zajęć – polecił Nathan i ci w dresach zniknęli niemal natychmiast. Nowi, odróżniający się od tych zasiedziałych w gospodarstwie, odziani w różnokolorowe ubrania, też zaczęli wracać na swój kurs. Po chwili na placu zostali tylko ci w kamizelkach, dobrze zbudowani mężczyźni z karabinkami kałasznikowa przewieszonymi przez ramię.

– Jakie są polecenia, bracie? – zapytał Ezechiel.

– Podejdźcie tu wszyscy – przywołał uzbrojonych do siebie. Otoczyli go kołem.

– Widzieliście, że znów nas zaatakowano? – zapytał, nie patrząc na nikogo konkretnego. Odpowiedziały mu pomruki niezadowolenia.

– Nasza nowa siostra już wykazała się niezwykłą celnością i refleksem. Jednym strzałem strąciła wrogą maszynę. Chciałbym, żeby to ona od dziś zastępowała zdrajcę Izmaela, który nas porzucił.

Spojrzenia wszystkich mężczyzn skierowały się na Anetę. Pod takim naporem powinna się zawstydić i przynajmniej spuścić wzrok. Postanowiła jednak, że będzie twarda. Przecież nie rzucą się na nią. Stała więc prosto, patrząc na nich wyzywająco.

Mocno zbudowany, łysy brodacz wystąpił krok naprzód.

– Dlaczego ona, Przewodniku?

– Dlatego, Eliaszu, że tak będzie dobrze.

– Ale ona jest obca.

– Każdy był kiedyś obcy. Od dziś już nie jest obca. Od dziś zwać się będzie Lea, czyli Lwica.

– Nie podoba się, że będzie ci wydawać polecenia kobieta? – rzuciła zaczepnym tonem Aneta.

– To, co mi się nie podoba, to moja sprawa – odparł Eliasz. – Nie lubię tylko, jak jakieś przybłędy się tu wywyższają nad innych.

– Nad nikim się nie wywyższam.

– Jesteś tu dopiero chwilę i chcesz być ponad nami.

– Tak zdecydował Nathan.

– Ale jeszcze ważne jest chyba, czy my chcemy.

– Nie mów za wszystkich. – Nathan wyciągnął ku niemu palec wskazujący i dźgnął go nim w pierś. – Wydałem polecenie i ty je wykonasz, Eliaszu.

– Taki jesteś pewny? A może ci ludzie też nie chcą nikogo takiego na miejsce Izmaela, którego nazwałeś zdrajcą. Ale my wcale nie wiemy, czy rzeczywiście był zdrajcą. Nic na ten temat nie wiemy. Wiemy tylko, że zniknął z żoną i dzieckiem. Może miał dość tego, co tu się dzieje, i uciekł po prostu. Myśmy się nad tym zastanawiali. Myśleliśmy, czemu tak nagle zniknęli i co się z nimi stało. Byli ludzie i nie ma ludzi. Prawda, bracia?

Usłyszał pomruk aprobaty, który wyrwał się z kilku gardeł. Aneta szybko zrozumiała, że brodacz ma po swojej stronie zaledwie trzech czy czterech ludzi. Ten bunt trzeba było zdusić i można to było zrobić bardzo łatwo pod warunkiem, że się wiedziało jak.

– Ty obłudny skurwysynu – warknął Nathan, postępując krok do przodu, jakby chciał zaatakować brodacza. Ten też ruszył przed siebie, przyjmując wyzwanie.

– Eliaszu, Przewodnik kazał wam się rozejść! – zawołała ostrym tonem Aneta, stając pomiędzy nimi.

– Spierdalaj, mała pizdo. He, he. Chcecie, by taka ruda dziwka wami dowodziła, co, bracia? Tego chcecie?

– Żaden gruby śmierdziel nie będzie mnie tak nazywał – wyszczała.

– Słyszeliście, ha, ha, ha! Ta szmata mi gro...

Nie dokończył, bo kolba kałasznikowa uderzyła go w twarz. Pierwszy cios zmiotł mu usta i wybił kilka zębów. Drugi, wymierzony w skroń, był już tylko formalnością. Eliasz jęknął, padł na kolana, a potem zwałił się na twarz.

– Jeszcze ktoś chce kwestionować polecenia Przewodnika? – zapytała ostro. Nie było chętnych.

– Wy dwaj, zabierzcie go i opatrzcie mu głowę. Pozostali rozchodzić się do swoich zajęć!

– Rozejdźcie się, bracia, na swoje miejsca i bądźcie uważni – odezwał się w końcu Nathan. Musiał być naprawdę zdziwiony tym, co przed chwilą zaszło. Tak jak i jego ludzie, także i on nie spodziewał się, że ta dziewczyna ma w sobie tyle zdecydowania i determinacji, żeby stanąć naprzeciw najsilniejszego z ludzi w grupie obronnej. Ale był w głębi duszy zadowolony. Oznaczało to bowiem, że w ocenie ludzi jak zwykle się nie pomylił. Ta dziewczyna była prawdziwą lwicą.

– Podejrzewam, że niedługo się tu pojawią ci od drona. Powitamy ich ze spokojem. Ale musicie być czujni. W razie czego wiecie, co macie robić. Wiecie?

– Tak, wiemy. Wiemy, Przewodniku. Wiemy – odpowiedzieli i zaczęli się rozchodzić w różnych kierunkach.

– Chodź ze mną, Leo. – Odwrócił się do Anety. – Teraz już mogę wprowadzić cię we wszystkie sprawy. Twoi ludzie cię zaakceptowali.

– Nie chciałam, żeby tak to wyglądało.

– Nie planujemy lawiny, a jednak ona nadchodzi. Wiele rzeczy dzieje się poza nami. Prawdziwa mądrość polega na tym, że umiemy stawić im czoła i wyjść z takiej konfrontacji zwycięsko. Ty właśnie zwyciężyłaś.

– A co będzie z nim? – Wskazała na ciągniętego pod pachy, znokautowanego przez nią brodatego Eliasza.

– A co ma być? Nic nie będzie. Dalej będzie robił swoje. No i chyba będzie musiał sobie wstawić zęby. Wydaje mi się, że wybiłaś mu co najmniej dwa.

– Nie musiał się stawiać.

– Musiał. Nie miał innego wyjścia. Gdyby się nie postawił, ludzie nie mieliby do niego szacunku. Zrobił to, co musiał, i przegrał.

– Wiedziałaś, że tak zareaguje?

– Oczywiście.

– To dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

– Ostrzec cię? Gdybym cię ostrzegł, byłoby to nieuczciwe wobec niego i wobec ciebie. A poza tym byłem ciekawy, jak sobie poradzisz. Nie przypuszczałem, że tak dobrze. Swoją drogą ten cios kolbą prosto w usta był paskudny.

– Jestem od niego słabsza. Pierwsze uderzenie musiało być niespodziewane i jednocześnie nokautujące. Inaczej byłoby po mnie.

Weszli po schodach na ganek i zaraz potem znaleźli się w biurze. Nathan od razu podszedł do komputera i włączył go. Aneta rozejrzała się po pomieszczeniu, po czym zajęła miejsce na tym samym fotelu, co wcześniej. Karabinek położyła na podłodze.

– Co z tym dronem? – zapytała głośno, tak żeby ten, co podsłuchuje ich rozmowę, nie miał żadnych wątpliwości.

– Nic. Za chwilę pewnie pojawią się tu jacyś faceci, żeby zapytać, czy nie wiemy, co stało się z ich urządzeniem. Wiemy, więc im je oddamy.

– I nic więcej?

– A co ma być więcej? Przyjadą i pojedą. Tak już było kilka razy. Oni są bezsilni. Nic nie mogą nam zrobić. Bo też i prawda jest taka, że nikomu nic złego nie robimy. A że nie życzymy sobie, żeby nas podglądano, to chyba normalna sprawa.

– Czyli nie ma jakiegoś niebezpieczeństwa, że ktoś tu wjedzie i zrobi rozpierduchę?

– Słuchaj, Leo, póki co żyjemy jeszcze w państwie prawa. Żeby wjechać na teren prywatny, jest potrzebny nakaz prokuratorski. A prokurator musiałby mieć niezbite dowody, że coś się tu dzieje nieprawidłowego. Tymczasem my nie mamy nic do ukrycia. Robimy swoje, żyjemy jak dzieci Boże zgodnie z dziesięcioma przykazaniami i oprócz tego szkolimy nowych adeptów do naszej walki z globalnym kłamstwem. To jest legalne i nikt się nie może do tego doczepić. Jednak jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność. Weź krzesło i chodź tu do biurka. Pokażę ci wszystkie szczegóły. To jest mapa satelitarna naszego gospodarstwa. Popatrz. – Odwrócił ekran komputera w jej stronę. Aneta podsunęła sobie krzesło i usiadła.

– Widzisz, zarys naszego terenu jest zaznaczony żółtą kreską.

– A te czerwone punkty w narożnikach?

– To nasze punkty obronne. Tak zwane bunkry. Za ceglany murem jest coś w rodzaju stanowisk ostrzałowych, mogących utrzymać całą okolicę w szachu. Każdy punkt może kierować ogień na wprost i na boki, osłaniając jednocześnie stanowisko sąsiada. Przedpole z przodu bronione z dwóch boków praktycznie jest nie do pokonania. Najślabszym obszarem jest tył, przylegający bezpośrednio do lasu. Ale na to też mamy radę. Przez las nie da się tak łatwo przejść, bo wszędzie tam rozstawiliśmy zasieki z drutu kolczastego. Praktycznie więc można do nas wjechać tylko główną bramą.

– Ja pierdykam. Jesteście przygotowani na oblężenie. Ale po co?

– Na wszelki wypadek. Wiesz przecież, że nigdy w życiu nic nie wiadomo. Zawsze może się przytrafić coś niespodziewanego.

– Ale to znaczy, że może ktoś was chcieć napaść?

Nathan pokręcił głową, uśmiechając się przy tym tajemniczo.

– Policja tu raczej nie wejdzie, ale jakby co, jesteśmy przygotowani. Zakładam jednak, że nie wejdą, bo się boją. Wiesz czego? Tego, że naruszą spokój domu Bożego. Bo jak się już pewnie domyśliłaś, jesteśmy zarejestrowaną i legalnie działającą grupą wyznaniową. Jesteśmy Kościołem, a w zasadzie kościelną sektą.

– Sekty niezbyt dobrze się kojarzą.

– I słusznie, bo to najczęściej są fanatycy religijni. A my... No cóż, nosimy te biblijne imiona, mówimy do siebie „siostrzo”, „bracie” i mamy nawet wytatuowane na ramionach znaki naszej grupy, ale tak naprawdę religia to przykrywką dla naszej prawdziwej walki o prawdę, walki z podłością tego świata. Religia jest jak nasza tarcza przed atakami tych, którzy chcieliby nas zniszczyć. A tych jest, uwierz mi, bardzo wielu, zaczynając od koncernów farmaceutycznych, które zarabiają miliardy na lekarstwach, mających leczyć choroby wywołane przez nie same. Ale nie są w stanie nas pokonać. Rośniemy w siłę. Z każdym dniem przybywa nam zwolenników, ludzi, którzy pracują dla nas w internecie.

A gdy ta niby-epidemia będzie się rozwijać, będę nas tysiące. Widziałś dziś na szkoleniu tę dwunastkę? To zaledwie wierzchołek góry lodowej. Przeszkoliliśmy już ponad czterysta osób, które pracują w sieci, zarabiają dobre pieniądze i głoszą prawdę. To każdego dnia tysiące postów na różnych forach. Te wpisy są jak lawina, bo uruchamiają kolejne i następne. Niedługo nasi zwolennicy będą wszędzie...

– Ale to kosztuje. Musicie im płacić. A skąd macie na to pieniądze?

– He, he, he! Od koncernów farmaceutycznych.

– Co?

– Nie przesłyszałaś się. Oczywiście nie bezpośrednio od nich, ale dzięki nim. Widzisz ten budynek na wprost? – Wskazał na widok za oknem. Murowana stodoła również była bardzo efektownie odnowiona. Przy bocznych drzwiach siedział ochroniarz w kamizelce i z kałasznikowem na kolanach.

– Tam, gdzie ten wartownik? – upewniła się.

– Tak, to nasze laboratorium. To tam z półproduktów kupowanych w tych koncernach stworzymy nasze antidotum na smutki dla tych wszystkich, którzy potrzebują do swojego szarego życia dodać nieco baśniowego elementu.

– O czym ty mówisz?

– O prochach. Oni tu wytwarzają amfę – odezwał się nieogolony gość w pomiętej kurtce o niezbyt świeżym wyglądzie. Spoglądał na Nathana uważnie, uśmiechając się przy tym lewą stroną twarzy. Prawą chyba nie za bardzo mógł, bo była opuchnięta, tak jakby niedawno zderzył się z końskim kopytem. Uśmiechnięty facet trzymał w rękach AKM i do tego jeszcze sprawiał wrażenie kogoś, kto wie, jak się z czymś takim obchodzić.

– Podnosić ręce do góry i ani słoweczka! – rzucił i pomachał lufą na znak, że to nie żarty.

– No rób, co on mówi, skurwielu, bo pożałujesz.

Aneta spojrzała w lewo. W drzwiach, przez które przed chwilą weszła, stała dziewczyna ubrana w szary dres. Taki sam, jak te, które mieli na sobie członkowie wspólnoty.

– Zwariowałaś, Saro! – Nathan był autentycznie zdumiony. – Odłóż ten pistolet. Albo zastrzel tego faceta. Wiesz o tym, że on jest niebezpieczny. To jest policjant, którego przysłano tu na przeszpiegi. Zastrzel go, Saro!

– Ty dumny gnoju! Już nie jestem żadną Sarą. Mam na imię Marianna. Zapamiętaj to sobie, glizdo, zanim cię rozdeptam. A teraz wstawać. Idziecie z nami!

Aneta podniosła się posłusznie, patrząc na dziewczynę, w której widać było determinację. Ona mogła być groźna. Natomiast jeśli rzeczywiście ten facet z kałasznikowem był policjantem, to zachowywał się jak profesjonalista. Z jego twarzy nic nie dawało się wyczytać. To był zimny skurwysyn, który niebezpieczeństwo miał wkalkulowane w swoje działania. Uznała więc, że gość nie jest niebezpieczny, bo niczego nie robi pod wpływem emocji. Ale na tę wściekłą osę trzeba było uważać, bo mogła być nieobliczalna.

Godzina 14.50

– Kurwa mać! – zaklął Biernat, spojrzawszy na ekran telefonu. Pojawiła się na nim informacja o pięciu nieodebranych połączeniach. Cztery z nich były od Błaszковского.

– Co się stało? – Zaintrygowany nagłym wybuchem swojego szefa Turek popatrzył na niego zdumiony. Biernat raczej należał do ludzi spokojnych i rzadko kiedy przeklinał.

– Ja nie wiem, czemu ten mój telefon nie dzwoni. Jak kiedyś miałem taką dużą, tę, no, nokię, to mi zawsze dzwoniła, a teraz z tym chińskim chujem-mujem to ja w ogóle nie wiem, czy on jest działający, czy już nie działa. Co to za telefon, do cholery, że ja nie wiem, że ktoś do mnie dzwoni!

– Musiał pan sobie wyłączyć dzwonek. – Praktyczny Wtorek natychmiast znalazł wytłumaczenie.

– Jak wyłączyłem? Ja niczego nie wyłączałem. Nawet nie wiem, jak się to robi. To znaczy, jak się coś takiego wyłącza.

– Niech pan da tą komórkę, to panu powłączam – zaproponował Patryk.

– Zaraz, najpierw oddzwonię do Blachy, bo pewnie pomyślał, że coś się stało.

Otworzył listę nieodebranych połączeń, najechał na Blaszkowskiego i wcisnął połączenie. Nim zdążył unieść aparat do ucha, Mariusz już odebrał.

– Darek, ja pierdzielę, co się z tobą dzieje? Myślałem, że nie żyjesz!

– Jeszcze trochę mam zamiar pożyć. A tak w ogóle to o co się rozchodzi, bo widzę, że dzwonisz, ale ja mam nową komórkę i jest to takie gówno, że ja nawet nie wiem, że ktoś do mnie dzwoni, bo ona nie dzwoni. Coś się w niej poprzestawiało, ale teraz widzę, że dzwoniłeś...

– No właśnie. Sprawa jest pilna. Jedziemy do was, znaczy na twój teren wchodzę z moimi ludźmi. Dokładnie to z trzema ludźmi w sprawie najprawdopodobniej morderstwa. No i jedziemy do was, ale na komendę nie zajeżdżamy. I dlatego chciałem ci powiedzieć, że będziemy się kręcić u ciebie, a dokładnie to w okolicy Wronek...

– Ty zasadniczo to już się o zgodę nie musisz pytać, bo i tak twoi ludzie są na moim terenie, he, he!

– No bo jesteście już koło Wronek...

– Nie o to mi chodzi. Mówię o tym, że masz u mnie swojego człowieka, znaczy swoją dziewczynę, masz u mnie w wydziale, czyli moją Anetę, bo zabierasz mi ją do siebie.

– Ano tak. Prawda. Ale wiesz, Darek, że dla niej będzie lepiej, jak się przeniesie do Poznania. Rozumiesz, tu więcej możliwości i w ogóle...

– Wiem, chcesz mieć ją u siebie. Rozumiem to doskonale.

– Nie mogę się do niej dodzwonić. – Mariusz wołał zmienić temat na wygodniejszy. Rzeczywiście, zależało mu na Anecie i sam już się łapał na tym, że zaczyna o niej myśleć nie tylko jak o koleżance z pracy, ale po prostu myśli o niej. I chyba podświadomie bał się tego, że Biernat może zdemaskować jego podwójną grę. Owszem, potrzebował Anety w swoim zespole, bo była doskonałą policjantką, ale chyba chciał ją mieć blisko siebie, bo... No właśnie, nie potrafił sam sobie wytłumaczyć, o co tak naprawdę mu chodziło.

– Nie dodzwonisz się do niej, bo nie odbiera telefonu. Jest w samym środku akcji, czyli jest w środku takiej grupy, znaczy sekty...

– Lumen Verum? – domyślił się Blaszkowski.

– Skąd wiesz?

– Nasze śledztwo w sprawie morderstwa pewnej kobiety prowadzi do nich. Właśnie tam jedziemy. Chcemy przyjrzeć się im bliżej. To jest gdzieś w okolicy miejscowości Krucz.

– Aneta właśnie się przygląda. Mamy ją cały czas na łączach. Słyszymy, o czym tam gadają, bo ma zainstalowany mikrofon. My jesteśmy właśnie pod tym folwarkiem. Znaczący niedaleko. Ubezpieczamy ją. A ona zestrzeliła nam wrona.

– Jakiego wrona?

– Obserwacyjnego. Zestrzeliła, bo jej kazali strzelać. To musiała, bo ona tam jest cały czas pod przykrywką. Nikt nie wie, że jest z policji.

– Gdzie dokładnie jesteście?

– W lesie. Nie wiem, cholera. Gdzie my właściwie jesteśmy?

– Odległość od zabudowań jakieś pięćset metrów, panie nadkomisarzu. Ale z drogi nas nie widać. Moglibyśmy podać im namiary – zameldował Wtorek.

– Słyszałeś? Nie widać nas z drogi. A wy jak daleko jesteście od Krucza?

– Dwa kilometry, mówi nam nawigacja.

– Cholera, to jesteście tuż obok. Zaraz wam powiem, gdzie macie jechać. Patryk, gdzie mają jechać?

– Niech pan powie, że wyślemy namiary i wtedy ich nawigacja nas znajdzie.

– Jak wyślemy namiary? A skąd je weźmiemy?

– Z pana komórki.

– Jak to? – Biernat zdziwiony spojrzał na swój telefon, ale nie dostrzegł tam niczego, co można by wysłać.

– Niech się pan rozłączy, ale przedtem powie swojemu rozmówcy, że za chwilę dostanie nasze położenie.

– Blacha, za chwilę dostaniesz moje położenie, choć nie mam pojęcia, jak to się robi.

– Dobra, rozłączam się. – Mariusz zakończył rozmowę. Tymczasem sierżant Wtorek wyjął z dłoni swojego szefa aparat, przez chwilę jeździł palcem po wyświetlaczu i w końcu oddał komórkę Biernatowi.

– Co, nie dało się? – zmartwił się nadkomisarz. Wtorek pokręcił głową, uśmiechając się przy tym szelmowsko.

– Co się miało nie udać. Udało się wszystko. Poszła informacja na numer, z którym się pan ostatnio łączył, czyli do Blaszkowskiego.

– To znaczy, że zaraz tu będą – rzucił Turek, który właśnie odpalał kolejnego papierosa. W ten sposób skracał sobie czas oczekiwania, nie wiadomo w zasadzie na co. Biernat nie podjął jeszcze decyzji, jak powinni się zachować. Na razie czekali, by Aneta zebrała jak najwięcej informacji o sekcji i ludziach, którzy tam rządzą. – A my czekamy na nich czy właściwie co mamy do roboty? Nawet nie mamy drugiego drona.

– A po co ci drugi wron? – Biernat odburknął zniecierpliwionym tonem. – Przecież żeś wszystko widział z góry, nie? Jak będzie sygnał od Anety, że mamy tam wejść, to wejdziemy.

– Ja bym tam nie czekał. – Turek jak zwykle musiał okazać swoje niezadowolenie. – Już wiemy, że to są bandziory, bo mają broń. I na pewno mają ją bez zezwolenia. Bo na kałachy raczej zezwoleń by nie dostali.

– Na razie z tego kałacha strzelała nasza koleżanka – odpowiedział mu tonem coraz bardziej zniecierpliwionym Biernat. Turek potrafił być irytujący i w zasadzie zawsze marudził. Ale tym razem mógł mieć rację. Nadkomisarz czuł, że być może jest to ostatni moment, w którym powinien podjąć decyzję, i Turek nie mylił się w ocenie sytuacji. Powinni tam wejść i zakończyć tę podwójną grę Anety. Tyle że nie miał pewności, czy ona już zrobiła właściwe rozpoznanie. Umówili się, że jeśli będzie potrzebowała pomocy, to da znać, powie o tym do mikrofonu i wtedy wkroczą. Tak naprawdę jeszcze nic się nie wydarzyło. Sam strzał oddany do drona to była drobnostka. Musiała się w końcu jakoś uwiarygodnić, a zestrzelenie szpiegowskiej maszyny było najlepszym sposobem.

Usłyszeli silnik nadjeżdżającego samochodu. Na leśnej drodze, na której stał ich mikrobus, pojawił się srebrny van. Po chwili wóz na poznańskich numerach zatrzymał się na skraju duktu. Ze środka wyskoczył Mariusz Blaszkowski i dwaj młodsi od niego faceci. Jeden z długimi włosami, który wyglądał jak hipis, a drugi wielki jak kafar budowlany. Za chwilę wyszedł jeszcze jeden. Tego Biernat znał dość dobrze. Drażkowski był specjalistą od tatuaży i do niego zwracała się Aneta z prośbą o ekspertyzę. Na widok Biernata Przemek uniósł rękę w górę i pomachał mu. Potem nachylił się do otwartych drzwi i zajrzał do środka. Na tylnej kanapie jeszcze ktoś siedział. Policjant zaczął mu coś tłumaczyć, ale Biernat nie słyszał, o co chodzi. Zresztą wcale go to nie obchodziło. Blaszkowski podszedł do niego i uściśnął mu dłoń.

– Nic się nie zmieniasz! – stwierdził Mariusz, klepiąc nadkomisarza jednocześnie w ramię.

– Trochę mi się przytyło – stwierdził Biernat, który po tym, jak skończył z alkoholem, zaczął zdecydowanie więcej jeść.

– Nic nie widać – skłamał Mariusz, bo od razu zauważył, że staremu znajomemu zaokrągliła się twarz i pojawił się dodatkowy podbródek.

– Może i nie widać, ale czuć. Szczególnie jak wchodzę po schodach. No i z bieganiem też już nie najlepiej.

– Do biegania są młodsi. – Mariusz wskazał na swoich ludzi. – A wy co, przyjechaliście na piknik do lasu? Jak na wypoczynek, to chyba jeszcze trochę za wczesna wiosna. No i chyba będzie padać.

Spojrzał w górę. Na północnej połaci nieba widać było ciemne, nabrzmięte chmury. Od paru chwil wiał wiatr, który pchał je w ich kierunku.

– Trzeba było zabrać parasol – stwierdził Biernat, robiąc cierpką minę. – To przyjechaliście do nas na gościnne występy?

– Zdaje się, że mamy wspólny kłopot. To ci goście od tatuaży. U nas dziewczyna z tatuażem została zamordowana, a jej ciało razem z gruzem trafiło do kruszarki do betonu. Jedna miazga. A z tego, co wiemy już od Anety, wy macie trzy trupy w aucie. Wszystkie ofiary łączy ten cholerny krzyż z promieniami. Mamy w samochodzie autora tych tatuaży. Facet siedzi w tej chwili we Wronkach, ale nam go wypożyczyli. Jak wejdziemy tam do środka, zidentyfikuje wszystkich, którzy te tatuaże mieli zrobione, i dzięki temu będziemy wiedzieli, kogo brakuje. No chyba że nam sami powiedzą...

– Ja pierdziele, coś się dzieje! – zawołał Walczak, który po utracie drona zmienił Patryka Wtorka na nasłuchu. Siedział w mikrobusie przy komputerze, wpatrzony w wykres fal głosowych przesuwających się przed nim.

– To podsłuch u Anety w kurtce – wyjaśnił Biernat poznaniakom, podchodząc szybko do wozu.

– Dawaj na głośny – polecił zaintrygowany Turek, który stał oparty o bok auta.

Sierżant przełączył dźwięk na głośniki. Naraz policjanci znaleźli się w samym centrum wydarzeń.

– Podnosić ręce do góry i ani słóweczka! – usłyszeli jakiś zdecydowany męski głos.

– Zwariowałaś, Saro?! Odłóż ten pistolet. Albo zastrzel tego faceta. Wiesz o tym, że on jest niebezpieczny? To jest policjant, którego przysłano tu na przespiegi. Zastrzel go, Saro!

– Ty dumny gnoju. Już nie jestem żadną Sarą. Mam na imię Marianna. Zapamiętaj to sobie, glizdo, zanim cię rozdeptam. A teraz wstawać. Idziecie z nami!

– Ja pierdolę, to jest moja dziewczyna! – Przemek natychmiast rozpoznał głos swojej pracowniczki. – Gdzie oni są?

– Cicho! – Biernat pogroził mu palcem. – Cicho, kurwa!

– Dokąd mamy z wami iść? – Ten głos znała większość z nich. – Aneta starała się dać im jakiś wyraźny sygnał.

– Zaraz się przekonasz, pizdo! – warknęła Marianna. – Idziemy, dalej!

– Popęlniacie błąd. Poważny błąd – starał się przekonać męski głos. – Jeśli myślicie, że moi ludzie pozwolą wam stąd wyjść, to się grubo mylicie. Rozerwą was na strzępy, jeśli mi się coś stanie.

– Zamknij się, gnoju, i ruszaj, tak jak ci kazała moja koleżanka Marianka. – Tym razem instruował ich właściciel spokojnego, opanowanego głosu.

– To musi być jakiś policjant – stwierdził Turek, który zapamiętał, co powiedział o nim na samym początku ten, który namawiał dziewczynę do zastrzelenia go. – Ale żaden od nas. Jakby był z Szamotuł, tobym gościa rozpoznał.

– Co tam, do cholery, robi policjant? – Blaszkowski był autentycznie zdumiony. – Kto jeszcze oprócz nas pracuje nad tą sprawą? – Nie pytał nikogo konkretnie. Zresztą i tak nikt z tych wszystkich stojących w zagajniku ludzi nie miał zielonego pojęcia, co tam właściwie się dzieje. Mikrofon niestety nie miał możliwości przekazywania obrazu. Dlatego gdy padł strzał, nie wiedzieli, kto i dlaczego strzelał. Ale usłyszeli go głośno i wyraźnie, a zaraz potem kobiety, przeciągły i przejmujący krzyk.

– Jeżu bez ryja! – wyszeptał Przemek. – Rozpoznał ten głos.

* * *

– Ożeż kurwa mać! O ja pierdolę! Auu! – krzyczała Marianna, trzymając się za bok. Na szarym dresie pojawiła się szybko rosnąca plama krwi. Strzał padł przez okno i pchnął dziewczynę na ścianę. Aneta, niewiele się zastanawiając, chwyciła ją pod ramiona i pociągnęła ostrożnie w kierunku skórzanej kanapy. Ułożyła ją na posłaniu i korzystając z okazji, wsunęła nogą swojego kałasznikowa pod mebel. Pomyślała nawet, że po raz pierwszy w życiu położyła jakiś przedmiot w odpowiednim miejscu. Gdyby karabinek leżał na stole, od razu by się rzucił napastnikom w oczy.

Naraz rozległ się terkot wystrzałów i seria z automatu wpadła do środka pokoju, wybijając szyby w dwóch oknach.

– Mówiłem, że moi ludzie nie wypuszczą was stąd żywych – zawołał w stronę policjanta Nathan. Przewodnik leżał teraz płasko na podłodze w przejściu do korytarzyka. Pierwszy strzał, który ktoś wcześniej posłał przez okno z dziedzińca, trafił Mariannę. Kula musiała być dobrze wymierzona, ale ta druga seria posłana była raczej na postrach, żeby przywoździć do ziemi napastników. Ktoś, kto był za oknem, musiał być świadkiem sceny wejścia tej uzbrojonej dwójki i teraz zareagował jak szkolony ochroniarz, który starał się wyrwać z opresji swojego chlebobdawcę.

– Powiedz im, że mają przestać strzelać, bo zaraz się wkurwię. – Policjant, który przysiadł na podłodze koło szafy na akta, wymierzył lufę w kierunku Nathana.

– Hej, tu Przewodnik. Nie strzelajcie. Będę z nimi negocjował. Słyszycie?

– Tak! – odpowiedział mu ktoś zza okna.

– Zadowolony jesteś? – Spojrzał na intruza.

– Na początek może być.

– Czego chcesz ode mnie? Dlaczego nas szpiegujesz?

– Czego chcę? Prawdy.

– Jakiej, kurwa, prawdy?

– O tym, co zrobiliście w Poznaniu.

– Co ty gadasz, gościu? W jakim, kurwa, Poznaniu?

Detektyw Mazurek pomyślał, że właśnie nadarza mu się niepowtarzalna okazja wyciągnięcia od tego gościa wszystkiego, co tylko chciał usłyszeć. Siedzieli naprzeciw siebie w odległości dwóch metrów. Nathan pod ścianą, na wprost okna, z którego jego ludzie oddali strzały. Natomiast przy bocznej ścianie, niewidoczny dla nikogo z zewnątrz, siedział on i co ważniejsze miał tego gościa na muszce. Była co prawda jeszcze ta ruda laska, ale ona nie wyglądała na groźną. Siedziała na sofie obok rannej dziewczyny i spoglądała przestraszonym wzrokiem to na nią, to na policjanta. Widać było, że się boi i nie wie, co ma zrobić. Najlepiej, żeby nic nie robiła. Niech tam siedzi i się nie rusza, a on pogada sobie z tym Nathanem.

– Ty, słuchaj mnie uważnie – odezwał się do rudej. – Sprawdźtaś, co jest z dziewczyną?

– Mówiąc to, spojrział w tamtym kierunku tylko przez sekundę i wrócił zaraz z groźnym spojrzeniem do mężczyzny. Na wszelki wypadek uniósł jeszcze nieco wyżej lufę kałasznikowa, żeby facet wiedział, że nie ma z nim żartów.

– W jakim sensie? Jest ranna. Dostała kulę w lewy bok. Trzeba by jakoś ją opatrzyć.

– Umiesz to zrobić?

– Na razie uciskam ją w tym miejscu, ale potrzebne są opatrunki i plastry. No i przede wszystkim pogotowie. Ona tu długo nie może zostać.

– Dobra, nie ma czasu na gadanie. Ty, gościu, krzyknij do swoich, żeby rzucili jakieś środki opatrunkowe. Najlepiej niech wezmą apteczkę z jakiegoś auta i podadzą przez okno tej rudej.

– Słuchajcie, kto tam jest najbliżej okna, mówi Przewodnik!

– Wszyscy tu jesteśmy. No i ja jestem, znaczy się Ezechiel.

– To słuchaj, Ezechielu, weźcie z jakiegoś auta apteczkę i niech ktoś podejdzie do okna, i poda ją Lei.

– Jakiej, kurwa, Lei?

– Nasza nowa siostra Aneta to Lea.

– Aha, dobra, już podajemy. Niech Lea podejdzie do okna, żebyśmy widzieli, że to ona. Nie będziemy strzelać. Nic ci nie jest, Przewodniku?

– Nie. Tylko Sara ucierpiała. Dlatego dawajcie tę apteczkę.

– Mogę podejść do okna? – zapytała Aneta, zwracając się do Mazurka.

Ten skinął głową.

Wstała powoli, przemierzyła gabinet i zaraz otworzyła okno na oścież. Rozejrzała się. Dziedziniec wydawał się kompletnie pusty. Na wprost ganku stało kilka zaparkowanych aut. To za nimi musieli ukrywać się ochroniarze z Ezechielem. Nie widziała ich. Za to dostrzegła jakiś ruch z lewej strony. Drzwi od obory otworzyły się i wyszła z nich Miriam. Trzymała w dłoni dużą torbę medyczną, taką, jakie wożą ze sobą ratownicy. Ruszyła w kierunku domu pewnym krokiem, nie rozglądając się na boki. Po chwili była już pod oknem.

– Nic nie jest Przewodnikowi? – zapytała, spoglądając na Anetę niezbyt przychylnym okiem.

– Wszystko w porządku.

– A z tą małą szmatą?

– Żyje, ale trzeba wezwać pogotowie. Ma poważną ranę. Kula przeszła na szczęście poniżej jamy brzusznej i strzaskała jej miednicę.

– Dobrze jej tak! Dziwka jedna. Poradzisz sobie z opatrunkiem?

– Tak, dam radę.

– Koniec tego pierdolenia! – zawołał Mazurek. – Ty, ruda, wracaj do rannej.

Nim odwróciła się, spojrzała jeszcze raz na twarz Miriam. Ta naraz uśmiechnęła się, machnęła ręką zaciśniętą w pięść, a potem wskazała palcem na otwarte okno. Aneta kiwnęła głową, bo zdało się jej, że zrozumiała, w czym rzecz. Miriam pokazała jej, że za chwilę spróbują zaatakować. Tylko jak chcieli to zrobić? Ostrzał zza okna był działaniem kompletnie pozbawionym sensu. Nie mieli najmniejszych szans, by taką durną kanonadą zmusić tego policjanta do poddania się. Mogli tylko narobić zamieszania i nic więcej.

– Umiesz ją opatrzyć, naprawdę? – zapytał policjant.

– Tak, umiem. Mam skończony kurs pierwszej pomocy.

– O, to dobrze, możesz się przydać. To weź siadaj tam na tym tapczanie, załóż jej opatrunek i się nie odzywaj, bo ja tu z twoim szefem mam do pogadania.

– Jest pan z policji?

– Nie twój interes, dziewucho. Rób swoje. A ty, śmierdzielu, powiedz mi, czy często podajesz się za księdza?

– Co?

– Benedykt Poniedziałki z fundacji Et Scientiam Dei Lumen Fidei.

– Gadasz bzdury, człowieku...

– Od razu się domyśliłem, w czym rzecz, jak zobaczyłem tu na ścianie za biurkiem ten znak z krzyżem i promieniami. To ty jesteś tym księdzem, co dzwonił do mojego znajomego

Adama Włodarczyka, dyrektora Wydziału Nieruchomości w Poznaniu z propozycją nie do odrzucenia.

Aneta powoli rozcinała nożyczkami spodnie dresowe Marianny. Robiła to bardzo powoli, żeby nie narazić dziewczyny na dodatkowe cierpienie. Starła się skupić na tej czynności, ale cały czas słuchała jednocześnie tego, co mówił policjant. Mówił o jakimś swoim znajomym, więc możliwe, że ten gliniarz był tu na nielegalu, załatwiał swoją prywatną sprawę. A to mogło oznaczać komplikacje, bo facet był poza prawem.

– Skończ pierdolić, człowieku – rzucił zirytowany Nathan.

– Mój znajomy ma problem. Niedawno obudził się we własnym mieszkaniu z martwą kobietą w łóżku. Miała ona podejrzięte gardło, a facet był naćpany i nachlany, więc nie wiedział do końca, co się dzieje. Później okazało się, że pamięta jej imię. Miała na imię Iga i dziwnym trafem na ramieniu tatuaż z tym pieprzonym krzyżem i promykami. Facet oczywiście się przeraził, bo wyglądało to tak, jakby sam ją zamordował. I teraz najlepsze, jeszcze tej samej nocy ktoś zadzwonił do niego i powiedział mu, że może pomóc posprzątać ten bałagan. Skąd wiedział, że mój znajomy potrzebuje pomocy? I to jest najciekawsze. Wiedział, bo z telefonu znajomego wysłano do niego zdjęcia zamordowanej dziewczyny. Tylko że mój znajomy nawet pod wpływem prochów nie wpadłby na pomysł, żeby kogoś zaszlachtować, a potem porobić fotki i wysyłać do jakiegoś nieznanego gościa. To intryga dość grubymi nićmi szyta. Bo ja myślę sobie, że on sprowadził tą panienkę do chaty i tam ją przeleciał albo i nie, a potem padł napity i naćpany. Ona tymczasem zadzwoniła do swoich znajomych, żeby weszli do mieszkania. Pewnie powiedzieliście jej, że chodzi o jakieś dokumenty albo o cokolwiek. To była jedna z was, więc wam zaufała i otworzyła drzwi. Weszliście do środka i zamordowaliście ją w łóżku obok tego naprutego faceta. Zrobiliście zdjęcia z jego telefonu i wysłaliście do kogoś, kto w nocy zadzwonił. Myślę, że to byłeś ty. Ale to jeszcze ustalimy. Bo jeszcze jest jedna kwestia do wytłumaczenia. Kilka tygodni później do mojego znajomego dzwoni ten ksiądz, czyli ty, i mówi, że ma interes, chce odzyskać kamienicę w Poznaniu wartą kilkadziesiąt baniek, a on ma mu w tym pomóc. I żeby ułatwić mu podjęcie decyzji, wysłała dyrektorkowi zdjęcia z tej nocy na służbową skrzynkę mailową. Przyznam, że to było chytne posunięcie. Urzędnik, który nie wie, czy aby nie zabił, robi wszystko, żeby tylko sprawa nie ujrzała światła dziennego. I on zgadza się na współpracę z wami, ale na szczęście zatrudnia mnie, czyli najlepszą w Wielkopolsce firmę detektywistyczną Mazurek-Spy. I to właśnie ta firma dokonała zatrzymania mordercy. Więc teraz musisz wybrać, czy wolisz, żebym cię oddał w ręce policji, czy lepiej by było dla ciebie, żebyś mi oddał wszelkie dowody przeciwko mojemu znajomemu. Daję ci minutę na przemyślenie sprawy.

– A co potem zrobisz? – Nathan zapytał drwiącym tonem. Już wiedział, na czym stoi, i zrozumiał, że prywatny detektyw nie jest dla niego zagrożeniem. Aneta, która skończyła właśnie bandażować biodro Mariannie, też poczuła się pewniej. Zrozumiała, w jakiej grze bierze udział. Mazurek to prywatny detektyw, który najprawdopodobniej tylko straszy wydaniem Nathana policji. Zależy mu na tych zdjęciach, żeby odsunąć podejrzenia od swojego klienta. Nie wie, że przez przypadek zawiadomił policję o wszystkim. Oczywiście, o ile wszystko się dalej nagrywa. A jeśli tak jest, to jej koledzy powinni wkroczyć tu lada chwila, bo Biernat nie pozwoli jej za długo czekać na pomoc.

– Trzydzieści sekund ci zostało – przypomniał mu uśmiechnięty Mazurek. – Albo rozmawiasz ze mną i mówisz prawdę, albo do końca życia, utykając na jedną nogę, będziesz w bólu wspominał ten dzień.

– Co ty pierdolisz, gościu!

– Czas minął. Sam chciałeś!

Niemal nie celując, wymierzył lufę kałasznikowa w Nathana i pociągnął za spust. Kula wystrzelona z odległości trzech metrów roztrzaskała mu kość piszczelową mniej więcej w połowie jej długości.

– Auu! O kurwa, ja pierdołę! Auuu!

– Mówiłem, że lepiej jest współpracować.

– Ta, ta, ta, ta. – Rozległa się seria z karabinka maszynowego, którą wypuścił ktoś z zewnątrz.

– Nathan, nic ci nie jest? – wołała kobieta. Aneta, usłyszawszy strzały, padła na podłogę. Jej kałasznikow był teraz jakieś dziesięć centymetrów od niej. Ale co miała z nim zrobić? Podnieść i rozwalić tego byłego gliniarza?

– No co, namyśliłeś się? – warknął detektyw.

– Auu! Ja pierdołę! – jęczał Nathan, trzymając się za zgruchotane kolano. – Wezwijcie karetkę! Ten chuj odstrzelił mi nogę.

– Jeśli zrobisz mu krzywdę, zarżniemy cię jak świnię! – Aneta rozpoznała głos Miriam. Ukryta za samochodami kobieta była autentycznie wściekła. Zaraz mogła wpaść na jakiś nieobliczalny pomysł i doprowadzić do masakry.

– Mów, kto ma zdjęcia? Kto za tym wszystkim stoi, bo za chwilę nie będziesz miał drugiej nogi.

– Nie, proszę! – Ton Nathana zmienił się diametralnie. Nie było w jego głosie ani odrobiny buty i arogancji. Teraz był jak ranne zwierzę skomlące o litość. – Nie strzelaj. Ja nie mam zdjęć. Ma je u siebie facet, który tę całą sprawę z kamienicą wymyślił. To on, myśmy mu tylko pomogli we wszystkim.

– To ty byłeś tym księdzem i gościem, który w nocy dzwonił do mojego znajomego?

– Ja.

– A kto zabił Ięgę?

– Ja nie. Ja bym nawet nie umiał kogoś zabić. To mój człowiek, Elias. Ale wymyślił to ten facet. Z początku była mowa, że będą tylko zdjęcia, jak dyrektorkę się pieprzy z Ięgą. Ale potem zdecydował, że za samo pieprzenie Włodarczyk nie zgodzi się na współpracę, bo za uczciwy. Musi być krew. No i Elias się zgodził. Ja nawet nie wiedziałem, że to będzie morderstwo. Przysięgam.

– Co to za gość, ten, co to wszystko wymyślił? Mów, kto to jest.

– To nasz prawnik. To była robota na jego zlecenie. Reprezentował nas kiedyś przed sądem w jakiejś sprawie cywilnej. A potem przyszedł do nas...

– Skończyłeś już przesłuchanie? – Mazurek usłyszał kobiecy głos, a potem poczuł zimną stal lufy przyłożonej do policzka. – Połóż delikatnie kałacha na podłogę. Koniec załatwiania własnych spraw...

– Co jest, kurwa...?

– Nie próbuj nawet za szybko zamrużyć, bo palec może mi się omsknąć i odstrzelę ci pół ryja. Ani mru-mru. Giwera na podłogę, już! A ty gleba, na brzuch, i ręce na plecy.

– Brawo, Lea. Wiedziałem, że na ciebie można liczyć. Ja się nigdy nie mylę co do ludzi. Miałem nosa, że cię wybrałem. Już drugi raz dzisiaj pokazujesz klasę. Najlepiej by było, żebyś tego gnoja od razu kropnęła, ale jak nie chcesz, to ja to rozumiem. Powiemy Eliaszowi, żeby go wyprowadził gdzieś za stodołę...

– Tak jak kazałeś mu zabić Izmaela, jego żonę i dziecko w twoim samochodzie?

– Niczego nie kazałem, to ten sukinsyn razem z tym drugim durniem Ptaszarkiem chcieli przejąć tu władzę i zaczęli robić swoje porządki. I wszystko wymknęło się spod kontroli... Zaraz, skąd wiesz o samochodzie?

Nathan patrzył na nią zaskoczony. Jeszcze nie rozumiał, co właściwie się tu dzieje. Być może ból w przestrzelonej nodze zamroczył go i odebrał umiejętność realnej oceny sytuacji. Za to Mazurek wszystko pojął już dawno. W chwili gdy kazała mu się położyć na podłodze i ręce złożyć na plecach, zrozumiał, z kim ma do czynienia.

– Aneta mówi. Wszystko w środku pozamiatane. Możecie wchodzić. Za samochodami kilku ludzi z kałachami. Wjedźcie z muzyką, to się powinni wystraszyć.

Niemal w tej samej sekundzie, w której skończyła mówić, rozległy się syreny policyjnych radiowozów. Dwa rozpędzone samochody wjechały na dziedziniec. Z wysokości okna patrzyła, jak ludzie w dresach rozbiegają się w różnych kierunkach, porzucając swoje karabiny. Na placu została tylko Miriam. Gdy Biernat z Turkiem wyskoczyli z auta, na podwórku nie było już nikogo prócz niej. Turek wycelował do kobiety z pistoletu i kazał położyć się na bruk. Na szczęście dla niej samej posłuchała i zrobiła, co jej kazał.

Potem zobaczyła, że z drugiego wozu wysiada Mariusz Blaszkowski, i naraz poczuła jakieś dziwne wzruszenie, coś, czego nie doświadczyła jeszcze nigdy wcześniej. Myślał o niej i bał się, że coś się jej stanie, dlatego tu przyjechał. Tylko skąd wiedział, że potrzebuje pomocy? Choć właściwie wcale jej nie potrzebowała. Poradziła sobie jak zwykle. Tyle że przecież on nie mógł o tym wiedzieć. Przyjechał tu dla niej...

– Pani komisarz, już może pani wziąć ten rozpylacz, bo jeszcze wystrzeli – odezwał się detektyw Mazurek, przywołując ją do rzeczywistości. – Ja bynajmniej nie jestem zagrożeniem. Na niego trzeba uważać. – Wskazał na niby-księdza, który wreszcie zrozumiał, że przegrał na całej linii.

I w tym momencie padł strzał, a głowa Nathana eksplodowała jak przestrzelony arbuz. Aneta błyskawicznie odwróciła się za siebie, szukając źródła niebezpieczeństwa. Ale zagrożenia nie było. Marianna, o której wszyscy zapomnieli, jakimś cudem podniosła się z kanapy, chwyciła leżący na podłodze pistolet i wystrzeliła do swojego oprawcy. Dziewczyna uśmiechnęła się lekko, a potem padła bez sił z na podłogę.

– Aneta, nic ci nie jest? – usłyszała głos Turka, który wpadł do biura z rewolwerem w dłoni. Ale wystarczył mu rzut oka, by stwierdzić, że nie będzie musiał do nikogo strzelać.

– Ze mną wszystko okej. Ale dziewczyna jest ranna. – Wskazała na Mariannę. – Powiedz chłopakom, żeby wezwali pogotowie.

– Anetka! – zawołał zdyszany Biernat od progu. – Jak Boga kocham, co to za rozpierducha...

– A gdzie Blacha? – zapytała, bo tak naprawdę to miała nadzieję, że to on pierwszy wejdzie do środka i powie, jak zwykle w takich sytuacjach: „No nieźle, młoda”, i uśmiechnie się pod nosem.

– Blacha pognał do stodoły – wyjaśnił Turek.

– Bo tam mają chyba laboratorium do produkcji amfy – dodał Biernat, ocierając spocone czoło jednorazową chusteczką. – Muszę się, cholera, czegoś napić, bo mi całkiem w gębie zaschło. Nie ma tu czego do picia?

Cały Blacha, pomyślała. Dla niego najważniejsza na świecie jest robota. I co się dziwić, że ten facet nie może sobie ułożyć prywatnego życia... Ale ja chyba nie jestem lepsza, westchnęła, a potem usiadła na fotelu Nathana, jak to w zwyczaju mieli dawni zwycięscy wodzowie zajmujący trony pokonanych władców. Ale nie czuła się zwyciężczynią. Czuła się cholernie zmęczona.

Poniedziałek

16 marca

Godzina 12.30

Prywatny detektyw Arkadiusz Mazurek, wsparty na kulach, wszedł do gabinetu, w którym urzędował dyrektor Adam Włodarczyk, i uśmiechnął się na widok obu swoich zleceniodawców. Gospodarz siedział za swoim biurkiem, a jego przyjaciel Michał Słomianny zajął miejsce przy owalnym stole.

– Podać coś do picia, panie dyrektorze? – zapytała sekretarka Andżelika, ładna dziewczyna o niebieskich oczach i długich jasnych włosach, splecionych w gruby warkocz.

– Nie, bardzo dziękujemy na razie. Proszę teraz przez przynajmniej pół godziny nie łączyć żadnych rozmów i nikogo tu nie wpuszczać.

– Oczywiście, panie dyrektorze. – Uśmiechnęła się promieniście i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Niech pan usiądzie. – Włodarczyk wskazał Mazurkowi krzesło. – Widzę, że nabawił się pan kontuzji. Ale to chyba nic strasznego?

– He, he! Założyli mi tylko ortezę, a nie gips, czyli tragedii nie ma, ale gira boli jak cholera cały czas. No ale da się z tym przecież żyć. Jak nie chodzę, to jest dobrze, ha, ha!

– Już się o pana martwiliśmy, jak się pan nie odzywał do nas – stwierdził Słomianny. – A pańska kobieta to jakby mogła, toby mnie oskalpowała.

– He, he! Z nią nie ma żartów. Dobrze, że nie wpadł pan w jej ręce. Na szczęście już o wszystkim zapomniała, jak mnie zobaczyła. Bo jak ja do domu przyjechałem, to od razu napisałem do szanownego dyrektora SMS-a, żebyśmy się dziś spotkali, bo ja już wszystko mam opanowane i, że się tak wyrażę, pozamiatane. Więc mam nadzieję, panie dyrektorze, że zamkniemy nasze interesy i będzie mi pan mógł zapłacić wszystko zgodnie z naszą umową.

– Czyli sprawa zamknięta? – zapytał z lekkim niedowierzaniem w głosie Włodarczyk.

– Zamknięta to będzie, jak mi szanowny pan zapłaci, bo ja zrobiłem swoje i myślę, że nikt nie będzie już szanownego pana... niepokoił jakimiś zdjęciami.

– O, to ciekawe, jak się to panu udało?

– He, he! No trzeba było wejść, że tak powiem, do przysłowiowej paszczy lwa, ale się udało wejść do samej paszczy wieloryba, posiedzieć jak Jonasz w jego brzuchu i wyjść na zewnątrz, by zameldować o wykonaniu zadania.

– A co z tym wielorybem? – zainteresował się Słomianny.

– Nie wieloryb jest tu ważny, ale Jonasz. A właściwie Nathan, znaczy się przywódca sekty, która postanowiła szanownego pana dyrektora naciągnąć na sprzedaż kamienicy, szantażując jego. To oni podstawili tę panienkę, żeby pana wrobić. Na początek miało to być tylko niewinne nagranie z sypialni czy właściwie zdjęcie, jak się pan z tą laską...

– Bez szczegółów proszę! – przerwał mu Włodarczyk, bojąc się, że ktoś niepowołany może usłyszeć.

– No tak, bez szczegółów, ale idzie o to, że oni doszli do wniosku, że może się nie da pana złamać fotkami na golasa z laską, więc pomyśleli, że trzeba to zrobić bardziej drastycznie. I mieli rację. Zamordowali ją z zimną krwią i potem wysłali do pana fotki. I już mieli pana w szachu. Zadzwoił do pana sam szef tej pieprzonej sekty płaskoziemców, bo oni uważają, że Ziemia jest płaska i samoloty rozpylają nam z góry jakieś trucizny, żebyśmy wszyscy zachorowali na ten covid. Czyli generalnie są to pojeby, ale cwane. No i ten Nathan to w ogóle jest największym z nich pojebem i fanatykiem. I oni potrzebują forsy na swoją działalność. Więc ta sprawa z kamienicą spadła im z przysłowiowego nieba jak śliwka w kompot. Dlatego postanowili, że w to wchodzi i weszli.

– Jak to wchodzi? – zdziwił się Włodarczyk. – Mówi pan tak, jakby to nie był ich pomysł z tą całą sprawą, której stałem się ofiarą.

– No oczywiście, że nie ich. He, he! Oni byliby na to za głupi. Musieli mieć kogoś, kto to wszystko wymyśli w najdrobniejszych szczegółach. No i ktoś taki był. To był związany z nimi prawnik.

– Czyli ten, którego pan śledził? – domyślił się Słomianny. – Mam nadzieję, że go pan odpowiednio potraktował, tak jak to sugerowaliśmy...

– No muszę przyznać, że dostał porządnie po dupie. I do wszystkiego się przyznał. Powiedział mi wszystko to, co chciałem wiedzieć, i to on zaprowadził mnie na miejsce, gdzie ta sekta miała swoją melinę.

– Czyli on żyje...? – zapytał adwokat, przyglądając się Mazurkowi uważnie.

– No pewnie, że żyje. Przecież go nie zabiłem. Bo czy ja jestem jakiś morderca? Ja jestem policjant, a jak panowie wiecie, szkiełem zostaje się na całe życie, nawet jak się jest na emeryturze i jak się jest prywatnym detektywem. Policyjna skóra to jest druga natura, przysłowiowa oczywiście.

– No ale w takim razie jaką mogę mieć pewność, że on nie będzie mnie dalej szantażował? – Włodarczyk w dalszym ciągu nie był przekonany co do skuteczności działań detektywa.

– Pewność? Myślę, że całkowitą pewność, bo on już nikogo nie będzie mógł zaszantażować.

– Jak to? Czyli uciszył go pan jednak? – Słomianny się uśmiechnął. Widać perspektywa uśmiercenia prawnika wydała mu się najlepszą opcją.

– Już mówiłem, że nie jestem jakimś mordercą. Jestem policjantem, choć na emeryturze. I dlatego nie zabijam ludzi, ale pomagam kolegom z policji wsadzać przestępców do więzienia. A miejsce tego szantażysty jest w więzieniu.

– Czyli oddał go pan policji? Czy pan zwariował? – zawołał Włodarczyk. – Przecież on im powie o mnie i o tym, że nie zawiadomiłem o morderstwie, i wszystko wyjdzie na jaw. I moja żona...

– Spokojnie, policjanci to ludzie myślący. Nie wsadzą pana do pudła. A co do żony, to ja myślę, że przed kobietami lepiej nie mieć tajemnic, bo w końcu i tak te wypływają na wierzch, jak oliwa zawsze wypływa, ta przysłowiowa ma się rozumieć.

– Nie tak się umawialiśmy – rzucił mecenas Słomianny.

– Nie? A mnie się wydawało, że chodziło panom o powstrzymanie szantażystów. No i powstrzymałem. Facet nie będzie już szantażować, bo z więzienia raczej nie będzie miał możliwości wysyłania maili.

– Nie wykonał pan zadania i...

– Panie mecenasie, wykonałem zadanie najlepiej, jak umiałem. Ustaliłem, gdzie leży prawda, a przestępca, no cóż, szef sekty już siedzi, a prawnik... Będzie siedział za chwilę.

– Jak to za chwilę? Zrozumiałem, że pan go oddał w ręce policji. – Włodarczyk też wydawał się zupełnie skołowany.

– Nie wydałem. Bo go nie miałem pod ręką. Ale robię to w tej właśnie chwili. Panie mecenasie Słomianny, chciałbym powiedzieć, że jest pan aresztowany, ale wie pan, że jako były policjant nie mam takiej mocy. Mogą to zrobić tylko moi młodszy koledzy.

– Co pan pieprzy? – Adwokat poderwał się z krzesła. – Pan zwariował!

– Ja chyba nie. Mam wrażenie, że to panu chciwość pomieszała przysłowiowe klepki w głowie.

– Czy pan oszalał?! – Dyrektor patrzył to na detektywa, to na prawnika i najwyraźniej jego umysł nie ogarniał złożonej rzeczywistości.

– Panie dyrektorze szanowny, przedstawiam panu pomysłodawcę akcji skierowanej przeciwko panu. Pan mecenas Michał Słomianny, czyli szantażysta we własnej osobie.

Prawnik chciał jeszcze coś powiedzieć, ale w tym momencie drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka weszło czworo policjantów. Podkomisarz Aneta Nowak podeszła do stołu, za którym siedział Mazurek.

– Który to? – zapytała.

– Ten. – Wskazał Słomiannego.

– Jest pan zatrzymany – rzuciła chłodnym, urzędowym tonem. – Przemek – zwróciła się do stojącego za jej plecami Drążkowskiego. – Załóż, proszę, panu obrączki.

– To jakaś horrendalna pomyłka. – Adwokat nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. – Ten człowiek, ten pozał się Boże detektyw, wszystko wymyślił, żeby mnie pogrążyć. Nie wierz mu, Adam. To wszystko jakieś pierdolone gówno.

– Wymyślił? Ale po co by miał to zrobić? – zapytał dyrektor Włodarczyk, patrząc na swojego, z każdą chwilą coraz bardziej byłego, kolegę. Pytanie zawisło w powietrzu, bo nikt nie umiał na nie odpowiedzieć. Zresztą zadający je wcale nie oczekiwał odpowiedzi.

- 1 Więcej w powieści *Ostra jazda*.
- 2 Gwar.: Szkieł – policjant.
- 3 Więcej o tym w powieści *Jedyne wyjście*.
- 4 Gwar.: Ryczka – taboret.
- 5 Gemela (gwar.) – bałagan.
- 6 Szczon (gwar.) – młody człowiek.
- 7 Pener (gwar.) – łazęga, zaniedbany ulicznik, kloszard.
- 8 Juchta (gwar.) – kradzież, juchciarz – złodziej.
- 9 Świętojanki (gwar.) – czerwone porzeczki.
- 10 Więcej w książkach: *Milczenie jest srebrem*, *Błyskawiczna wypłata*, *Śliski interes*, *Upiory spacerują nad Wartą*.
- 11 Więcej w powieści *Mordercza rozgrywka*.
- 12 Więcej w powieści *Jedyne wyjście*.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz